

Okrety z zachodu

Paul Kearney



calibre 0.9.27

Paul Kearney

Okrety z zachodu

Ships From the West

Księga V cyklu Boże Monarchie

Przełożył: Michał Jakuszewski

Wydanie oryginalne: 2002

Wydanie polskie: 2005

dla Petera Talbota

*Z podziękowaniami dla:
Johna McLaughlina i Jo Fletcher, za ogromną cierpliwość.*

PROLOG

ROK ŚWIĘTEGO 561

Richard Hawkwood wygramolił się z rynsztoka, gdzie rzucił go tłum. Przepchnął się brutalnie przez rozradowaną tłuszcę, nadeptując na nogi, uderzając łokciami w obie strony i łypiąc jak szalencie na każdego, kto odważył się spojrzeć mu w oczy.

Bydło. Przeklęte przez Boga bydło.

Znalazł sobie coś w rodzaju cichej wody, ośrodek spokoju po zawietrznej wysokiego budynku, i zatrzymał się tam, żeby zaczerpnąć tchu. Okrzyki tłumu go ogłuszały, a na domiar złego szarzy mieszkańcy Abrusio nie pachnieli zbyt miło. Otarł pot z oczu. Tłum ryknął wniebogłosy. Od strony brukowanej drogi dobiegł tętent kopyt. Zabrzmiały trąby, słychać też było kroki maszerujących miarowo ludzi. Hawkwood przeczesał brodę palcami. Na krew Boga, naprawdę potrzebował się napić.

Jacyś rozentuzjzmowani durnie rzucali z okien na górnych piętrach płatki róż. Hawkwood dostrzegł przelotnie przez tłum otwartą kaleszę, błysk srebra na siwej głowie pasażera oraz wspaniałe, rude włosy jego towarzyszk, ozdobione bursztynowymi paciorkami. To było wszystko. Żołnierze pomaszerowali dalej w paralizującym upale, kalesza potoczyła się w tym samym kierunku, a szal tłumu zgasł niczym zdmuchnięty płomień świecy. Na szerokiej ulicy nagle zrobiło się luźno. Ludzie się rozproszyli i znowu było słychać krzyki typowe dla ulic dolnego miasta. Hawkwood pomacał sakiewkę – wciąż była na miejscu, choć spłaszczona jak cycki starej baby. Pod jego palcami poruszyły się z brzękiem tylko dwie monety. Wystarczy na butelkę Narboskimu. Miał się niedługo zjawić „Pod Sternikiem”. Tam go znali. Otarł usta i ruszył w tamtą stronę – wychudła postać w kamizelce robotnika portowego i marynarskich bryczesach. Jego twarz nabrała ciemnobrązowego koloru, a broda posiwiała. Miał czterdzieści osiem lat.

* * *

– Siedemnaście lat – zdumiewał się oberżysta Milo. – Kto by pomyślał, że wytrzyma tak długo? Mówię wam, niech go Bóg błogosławi.

Z ust gościa tawerny „Pod Sternikiem” wyrwał się niewyraźny, ale radosny pomruk zgody. Hawkwood popijał w milczeniu brandy. Czy to już naprawdę tak długo? Lata mijały straszliwie szybko, choć odnosił wrażenie, że czas, który spędza w takich miejscach jak to, wlecze się bez końca. Bełkotliwe głosy, drobinki kurzu tańczące w słonecznym blasku. Światło dnia uwięzione w palącym sercu szklanki wina.

Abeleyn IV, syn Bleyna, z bożej łaski król Hebrionu. Gdzie był Hawkwood owego dnia, gdy koronowano młodocianego monarchę? Och, oczywiście. Na morzu. To były lata macassarskiej prosperity, kiedy wspólnie z Juliušem Albakiem, Billerandem i Haukalem zarobił niezłą sumkę na Wyspach Malacarskich. Pamiętał, jak wpłynęli śmiało do korsarskiego Rovenanu. Wszystkie działa mieli gotowe do strzału, a nad pokładem snuł się dym z wolnopalnych lontów. Nerwowe targi doprowadziły w końcu do zawarcia serdecznej przyjaźni, gdy korsarze zgodzili się zaakceptować proponowany udział w zyskach. To byli honorowi ludzie, na swój sposób.

Wtedy to dopiero miałem życie, powtarzał sobie Hawkwood. Tak właśnie powinien żyć mężczyzna. Czuć pod stopami kołyszący się ze skrzypieniem pokład, nie odpowiadać za nic przed nikim i móc swobodnie wędrować po całym szerokim świecie.

Pragnienie wędrowki już go jednak opuściło. W ciągu ostatniego dziesięciolecia życie żeglarza utraciło dla niego blask. Z trudem to przyznawał, nawet przed samym sobą. Czuł się tak, jakby w amputowanej kończynie wreszcie ustąpił fantomowy świąd.

Ta myśl przypominała mu, po co tu przyszedł. Przełknął paskudnie smakującą brandy i nalał sobie

jeszcze trochę. Narboskimski bimber. Po tym, co wydarzy się dzisiaj, natychmiast kupi sobie butelkę fimbriańskiego trunku.

Co zrobi z pieniędzmi? Możliwe, że z całkiem sporą sumką? Może zapyta Galliarda, w co by je zainwestować. Albo po prostu kupi szybki, solidny kuter i popłynie na Levangore. Bądź też przyłączy się do cholernych korsarzy. Czemu by nie?

Wiedział jednak, że nie robi nic w tym rodzaju. Ta znajomość samego siebie była gorzkim darem wieku średniego. Cholerne, głupie marzenia i ambicje młodości wędły pod jej wpływem, zostawiając po sobie tak zwaną mądrość. Przed duszą zmęczoną popełnianiem błędów zdawała się ona zamykać wszystkie drzwi i zatrzaskiwać okna. Hawkwood wpatrzył się z uśmiechem w kieliszek. Zmieniłem się w zapijaczzonego filozofa, pomyślał, gdy trunek oswobodził w końcu jego myśli.

– Hawkwood? Kapitan Hawkwood, zgadza się?

Żeglarz ujrzał przed sobą pulchną, wilgotną od potu dłoń. Ucisnął ją machinalnie, krzywiąc się od lepkiego dotyku.

– Nie kto inny. A ty, jak rozumiem, jesteś Grobus.

Tłuścioch usiadł naprzeciwko niego. Z uszu zwisały mu złote koleczki i cuchnął perfumami. Jakiś jard za nim przystanął drugi mężczyzna. Był barczysty, wyglądał na oprycha i uważnie obserwował otoczenie.

– Nie potrzebujesz tu ochroniarza, Grobus. Nikt, kto chce ze mną rozmawiać, nigdy nie ma kłopotów.

– Ostrożność nigdy nie zawadzi. – Tłuścioch pstryknął palcami na przyglądającego mu się z zasepioną miną oberżystę. – Butelkę candelariańskiego, mój dobry człowieku. I dwa kieliszki. Tylko czyste.

Otarł pot ze skroni koronkową chusteczką.

– No więc, kapitanie, jestem przekonany, że możemy dojść do porozumienia. Rozmawiałem ze współnikiem i uzgodniliśmy odpowiednią sumę. – Grobus wydobyl z rękawa zwój papieru. – Mam nadzieję, że uznasz ją za zadowalającą.

Hawkwood zerknął na wypisane na papierze cyfry. Jego twarz nie zmieniła wyrazu.

– Oczywiście żartujesz.

– Och, zapewniam cię, że nie. To uczciwa cena. W końcu...

– To mogłaby być uczciwa cena za zżartą przez robaki szalupę, ale nie za dalekomorską karakę.

– Jeśli pozwolisz, kapitanie, chciałbym ci przypomnieć, że *Rybołów* nie wypływał na dalekie morza już od jakichś ośmiu lat. Cały kadłub podziurawiły świdraki, dawno też stracił większą część masztów i rej. Mówimy tylko o pustej skorupie statku, niezdatnej do żeglugi.

– A co zamierzasz z nim zrobić? – zapytał Hawkwood, ponownie wpatrując się w kieliszek. W jego głosie pobrzmiwało znużenie. Zwój leżał nietknięty na blacie między rozmówcami.

– Nadaje się jedynie do rozbiórki. Wręgi nadal są dobre, dźwięczą jak dzwon. Ale po prostu nie opłaca się go remontować. Stocznia marynarki wojennej wyraziła już zainteresowanie zakupem.

Hawkwood uniósł głowę, ale jego oczy pozostały pozbawione wyrazu, jakby nic w ogóle nie widziały. Oberżysta przyniósł butelkę wina, wyciągnął korek i napełnił dwa puchary przednim trunkiem, który zwano winem okrętowym. Grobus pociągnął łyk, przyglądając się Hawkwoodowi z mieszaniną nieufności i zdziwienia.

– Ten żaglowiec dotarł do lądów nieznanymi geografom – oznajmił po chwili Hawkwood. – Zarzucał kotwicę u brzegów nietkniętych ludzką stopą. Nie pozwolę go rozebrać.

Grobus starł wino z górnej wargi.

– Wybacz, kapitanie, ale nie masz wyboru. Ciebie i *Rybołowa* otacza mnóstwo heroicznym

mitów, ale takie opowieści nie napelnią sakiewki. Ani kielicha, jeśli już o tym mowa. Zalegasz z opłatami portowymi. Twój dług jest wart fortunę. Nawet Galliardo di Ponera nie zdoła cię dłużej chronić. Jeśli przyjmiesz moją propozycję, spłacisz długi i zostanie ci jeszcze trochę na... na stare lata. To uczciwa oferta...

– Odrzucam ją – przerwał mu Hawkwood, wstając gwałtownie. – Przykro mi, że straciłeś czas, Grobus. Od tej chwili *Rybołów* nie jest już na sprzedaż.

– Kapitanie, musisz dać sobie przemówić do rozsądku...

Hawkwood opuszczał już jednak tawernę, trzymając luźno w dłoni butelkę candelariańskiego wina.

* * *

Mnóstwo heroicznych mitów. Czy naprawdę tylko tym były? Dla Hawkwooda nadal pozostawały treścią koszmarów, wizjami, których minione dziesięć lat nie pozbawiło ostrości.

Pociągnął łyk z butelki, a potem zamknął oczy, ciesząc się wypełniającym mu brzuch ciepłem. O rany, ależ ten świat się zmienił. Przynajmniej pod niektórymi względami.

Dwie cumy – u dziobu i u rufy – łączyły *Rybołowa* z pławami kotwicznymi. Żaglowiec cumował na Szlakach Zewnętrznych. Odległość była spora jak na skif, ale przynajmniej Hawkwood był tu sam, a fale działały na niego jak kołysanka, podobnie jak znajome wonie smoły, soli, drewna i morskiej wody. Jego statek był już jednak zaledwie pozbawionym masztów kadłubem. Z biegiem lat Hawkwood sprzedawał drzewca jedno po drugim, by móc pokryć opłaty portowe. Inwestycja w firmę frachtową, poczyniona przed jakimiś pięcioma laty, pochłonęła wszystko, co zostało z jego oszczędności. Resztę załatwił Murad.

Żeglarz cofnął się myślą do chwili, gdy podczas straszliwego rejsu na zachód czuwał nocą przy naznaczonym blizną szlachcicu. Jakże łatwo byłoby mu go wówczas zamordować. Obecnie jednak jego prześladowca żył w innym świecie, obracał się wśród możnych, a Hawkwood był tylko pyłem u jego stóp.

Na pokładzie nad jego głową kłóciły się mewy. Pokryły już deski warstwą guana tak grubą i twardą, że nie sposób było jej usunąć. Wyjrzał na zewnątrz przez wielkie bulaje rufowej kajuty – ich przynajmniej nie sprzedał – przyglądając się Abrusio, które wznosiło się na brzegu, spowite chmurą smogu, udekorowane girlandą masztów, ukoronowane fortecami i pałacami. Uniósł butelkę w toaście na cześć tej starej dziwki i wypił kolejny łyk. Położył nogi na blacie ciężkiego, przyśrubowanego do podłogi stołu, odsuwając na bok zardzewiały hangar o szerokiej klindze. Trzymał go z myślą o szczurach – czasami robiły się kłótlive i bezczelne – a także o kradnących fragmenty osprzętu portowych złodziejach, którzy jednak rzadko zapuszczali się tak daleko od brzegu. Zresztą nie pozostało już wiele rzeczy, które mogliby zabrać.

Z pokładu znowu dobiegł go hałas. Poirytowany Hawkwood uniósł wzrok, ale kolejny łyk dobrego wina ukoił jego nerwy. Słońce chyliło się już ku zachodowi, rzucając na fale szafranową lunę. Żeglarz przyglądał się kupieckiej karaweli z osprzętem rejoyym, która wpływała powoli na Szlaki Wewnętrzne. Wiatr – ile tam go było – miała prosto z prawej burty. Przy tym tempie minie pół nocy, nim dobieje do brzegu. Dlaczego ten dureń nie zmieni ożaglowania na łacińskie?

Na zejściówce rozległy się czyjeś kroki. Hawkwood poderwał się nagle, odstawił butelkę i sięgnął niepewnie po miecz. Drzwi kajuty zdążyły się już jednak otworzyć. Przez próg przeszedł jakiś spowity w płaszcz mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem.

– Witaj, kapitanie.

– Kim jesteś, u diabła?

– Spotkaliśmy się kilkakrotnie, przed wielu laty. – Przybysz zdjął kapelusz, odsłaniając łysą

czaszkę, dwoje ciemnych, pełnych współczucia oczu oraz bladą jak kość słoniowa twarz. – Przeszedłeś też kiedyś do mojej wieży, żeby pomóc naszemu wspólnemu przyjacielowi.

Hawkwood opadł na krzesło.

– Jesteś Golophin, oczywiście. Teraz cię poznaję. Czas okazał się dla ciebie łaskawy. Wyglądasz młodziej, niż kiedy widziałem cię ostatnio.

Jedna krzaczasta brew uniosła się nieco.

– W rzeczy samej. Ach, candelariańskie. Mogę?

– Pod warunkiem, że nie brzydzisz się pić z tej samej butelki z nisko urodzonym.

Golophin pociągnął łyk.

– Znakomite. Cieszę się, że stać cię choć na to, kapitanie.

– Przyplynałeś tu? Nie słyszałem stuku przybijającej do burty łodzi.

– Można powiedzieć, że dotarłem tu własnym przemysłem.

– Hmm, pod grodzią za twoimi plecami stoi taboret. Jeśli dalej będziesz się tak pochylał, dostaniesz kurczu szyi.

– Dziękuję. Wnętrz statków nie projektowano z myślą o takich przerośniętych skurczybykach jak ja.

Usiedli obaj, przekazując sobie po przyjacielsku butelkę. Patrzyli na zewnątrz, na dobiegający końca dzień i posuwającą się nieśpiesznie ku Szlakom Wewnętrznym karawelę. Światła Abrusio budziły się do życia i miasto przeradzało się stopniowo w mroczny cień rozświetlony pół milionem maleńkich żółtych światełek. Ich blask zawstydził gwiazdy, odbierając im moc.

Wreszcie dotarli do mętów na dnie butelki. Hawkwood pocałował ją i odrzucił w kąt, gdzie uderzyła z brzękiem o puste towarzyszki. Golophin zapalił jasną glinianą fajkę i pykał z niej z wyraźnym zadowoleniem. W końcu zgasił ją i przerwał milczenie.

– Wybacz, kapitanie, ale sprawiasz wrażenie człowieka w wyjątkowym stopniu pozbawionego ciekawości.

– Ciekawość jest przecenianą cechą – odparł Hawkwood, nie przestając wyglądać przez bulaje.

– Zgadza się z tobą, choć niekiedy pozwala nam ona zdobyć użyteczną wiedzę. Słyszałem, że jesteś bankrutem albo przynajmniej niewiele ci do tego brakuje.

– Portowe plotki docierają daleko.

– Ten statek jest swego rodzaju marynistyczną ciekawostką.

– Podobnie jak ja.

– To prawda. Być może mi nie uwierzysz, ale nie miałem pojęcia, że lord Murad aż tak cię nienawidzi. W ostatnich latach udowodnił to wielokrotnie.

Hawkwood odwrócił się. Był czarną sylwetką widoczną na tle jaśniejszego morza. Ostatnie promienie zachodzącego słońca przydały falom koloru krwi.

– Nawet bardzo wiele razy.

– Nie trzeba było odmawiać przyjęcia nagrody od króla. Gdybyś to zrobił, przynajmniej utrudniłbyś Muradowi knucie spisków. A tak przez ostatnie dziesięć lat mógł bez przeszkód uniemożliwiać powodzenie wszystkich twoich przedsięwzięć. Jeśli ma się potężnych wrogów, nie powinno się gardzić potężnymi przyjaciółmi, kapitanie.

– Golophinie, z pewnością nie przyszedłeś tu, by dzielić się ze mną niewydarzonymi truizmami albo mądrością starych wieśniaczek. Czego chcesz?

Czarodziej wybuchnął śmiechem, przyglądając się poczerniałym liściom tytoniu w swej fajce.

– Jak sobie życzysz. Pragnę, byś wstąpił na służbę królewską.

– A to dlaczego? – zapytał zdumiony Hawkwood.

– Dlatego że królowie również potrzebują przyjaciół, a ty jesteś zbyt cenny, by pozwolić ci utonąć w butelce.

– Cóż za altruizm – warknął Hawkwood, ale jego gniew nie brzmiał zbyt przekonująco.

– Bynajmniej. Bez względu na to, czy chcesz to przyznać, Hebrion jest twoim dłużnikiem i jego król również. Ponadto pomogłeś kiedyś mojemu przyjacielowi, a to znaczy, że ja również muszę ci spłacić dług.

– Świat byłby lepszy, gdybym tego nie zrobił.

– Być może.

Na moment zapadła cisza.

– On był również moim przyjacielem – dodał po chwili cichym głosem Hawkwood.

Słońce zaszło i kajutę wypełniła ciemność, maćona jedynie bladą fosforescencją wody za rufą.

– Nie jestem już tym samym człowiekiem, Golophinie – wyszeptał Hawkwood. – Boję się morza.

– Nikt z nas nie jest taki jak dawniej, ale ty nadal pozostajesz znakomitym żeglarzem, który wrócił tym statkiem z najdłuższego rejsu w historii. To nie morza się boisz, Richardzie, ale tych, których spotkałeś na jego drugim brzegu. Oni są teraz tutaj, a ty jesteś jednym z garstki wybrańców, którzy ich spotkali i zachowali życie. Hebrion cię potrzebuje.

Hawkwood parsknął zdławionym śmiechem.

– Jestem marną podporą dla Hebrionu, to pewne. Jakiego rodzaju usług oczekujecie ode mnie? Mam zostać królewskim odźwiernym? A może kapitanem królewskiej szalupy?

– Chcemy, żebyś zaprojektował okręty dla hebrionńskiej marynarki. Takie jak twój *Rybołów*. Szybkie, nawietrzne żaglowce, mogące pomieścić wiele dział. Z nowym ożagłowaniem i nową konstrukcją rej.

Hawkwood zaniemówił na chwilę.

– Dlaczego akurat teraz? – zapytał w końcu. – Co się wydarzyło?

– Wczoraj arcymaga Aruana, którego obaj znamy, mianowano wikariuszem generalnym Zakonu Inicjantów. Tutaj, w Normanii. Jego pierwszym posunięciem było założenie nowego wojskowego zakonu. Choć nie jest to jeszcze powszechnie znany fakt, to wiem, że zakon ma się składać wyłącznie z magów i zmiennych. Nadał mu nazwę Psów Bożych.

– Święty w niebiesiech!

– Chcę, żebyś pomógł nam przygotować Hebrion do wojny, kapitanie.

– Jakiej wojny?

– Tej, która wybuchnie już niebawem. Być może nie w tym roku, ale w ciągu kilku następnych lat. To będzie walka o panowanie nad tym kontynentem. Nikt nie uniknie skutków tej wojny i nikt nie będzie mógł jej zignorować.

– Chyba że najpierw zapije się na śmierć.

Golophin pokiwał z powagą głową.

– Masz rację.

– A więc mam wam pomóc w przygotowaniach do wielkiej wojny z czarownikami i wilkołakami świata. A w zamian za to...

– W zamian za to otrzymasz wysoką pozycję we flocie i na dworze. Obiecuję ci to.

– A co z Muradem? Nie spodoba mu się moje... wyniesienie.

– Zrobi to, co mu się każe.

– A jego żona?

– Czemu o nią pytasz?

– Bez powodu. To nieważne. Zrobię to, Golophinie. Dla tego celu wygramolę się z butelki.

Uśmiech czarodzieja rozjaśnił mroczną kajutę.

– Wiedziałem, że się zgodzisz. Bardzo fortunnie się złożyło, że Grobus zaoferował ci dziś tak marną cenę. *Gabrioński Rybołów* będzie nam potrzebny. Stanie się prototypem nowych okrętów.

– Wiedziałeś o tym. To twoja robota...

– Masz cholerną rację.

Nic się nigdy nie zmienia, pomyślał Hawkwood. Gdy szlachetnie urodzeni dojdą nagle do wniosku, że kogoś potrzebują, wydobywają go z rynsztoka, przyglądają się małemu rozczarowanemu człowieczkowi, którego trzymają w palcach, a potem stawiają go na wielkiej szachownicy, gdzie będą mogli zrobić z niego użytek. No cóż, ten pionek gra według własnych zasad.

– Ciemno tu, choć oko wykol. Pozwól, że zapalę lampę.

Hawkwood poszukał ręką pudełka na hubkę i krzesiwo. Po kilkunastu próbach udało mu się zapalić pokładową lampę, w której zostało jeszcze trochę oliwy. Grube szkło było spękane, ale to nie przeszkadzało kapitanowi. Łagodny żółty blask oświetlił pooraną bruzdami twarz starego czarodzieja. Morze za rufą zniknęło w ciemności.

– To znaczy, że mogę się spodziewać, iż jutro zjawisz się pod bramą Wieży Admiralskiej? – zapytał Golophin.

Hawkwood skinął głową.

– Znakomicie. – Mag rzucił na blat mały mieszek z jeleniej skóry. Rozległo się ciche brzęknięcie. – To zaliczka na poczet pensji. Chyba powinieneś kupić sobie nowe ubrania. Będzie na ciebie czekała kwatera w wieży.

– Będzie czekała czy czeka?

Golophin wstał i włożył kapelusz.

– No to do jutra, kapitanie.

Wyciągnął rękę.

Hawkwood uściśnął ją, również wstając. Jego twarz była pozbawioną wyrazu maską. Golophin odwrócił się w stronę wyjścia, ale nagle się zatrzymał.

– Dobrze jest, gdy wymogi polityki i osobiste pragnienia idą ręką w rękę, kapitanie. To prawda, że cię potrzebujemy, ale przynajmniej ja cieszę się, że znowu będziesz z nami. Na dworze roi się od szlachetnie urodzonych węży. Król potrzebuje również paru uczciwych ludzi.

Wyszedł, pochylając się w progu. Hawkwood słuchał jego oddalających się ku śródokręciu kroków. Gdy już ucichły, znowu rozległy się krzyki swarliwych mew. Potem zapadła cisza.

* * *

Po jakimś czasie wciągnął wiosła na pokład łodzi w odległości kabla od *Rybołowa* i przyglądał się, jak statek płonie. Gdy pożar ogarnął pokład i buchnął jasnym płomieniem ku nocnemu niebu, żaglowiec w jakiś sposób odzyskał choć część dawnego piękna. Ogień odbijał się jasno w wilgotnych oczach kapitana, który czekał aż do chwili, gdy *Rybołów* wypalił się do linii wodnej i morze napłynęło do środka, gasząc gorejące piekło. Rozległ się syk pary, a po nim ciche bulgotanie, gdy pozostałość kadłuba przewróciła się do góry dnem i zniknęła w odmętach. Hawkwood otarł twarz w wietrznym mroku.

Zbuduje im tę cholerną flotę. Będzie skakał przez wszystkie obręcze, jakie przed nim ustawią. W końcu musi jakoś przetrwać. Ale jego dzielny statek nie przerodzi się w plan przechowywany w gabinecie jakiegoś urzędnika.

Chwycił za wiosła i ruszył w daleką drogę do brzegu.

CZĘŚĆ PIERWSZA
UPADEK HEBRIONU

*Głębinom wydrze tajniki,
oświecili odwieczne ciemności,
narody pomnoży i zgubi,
jak dowódca ich prowadzi.
Rządcom ziem odbierze rozsądek,
po bezdrożach pozwoli im błędzić.*

Księga Hioba rozdz. 12, w. 23-24
(tłumaczenie: Biblia tysiąclecia)

JEDEN

14 FORIALONA, ROK ŚWIĘTEGO 567

Grupka jeźdźców mknęła wzdłuż nadmorskich klifów, wzbijając w powietrze tumany brunatnego pyłu. Młodzi mężczyźni na wielkich rumakach zatrzymali się z głośnym łoskotem zaledwie kilka cali od przepaści i siedzieli teraz na parszających wierzchowcach, otrzepując ubrania z kurzu. Świecące jak wypolerowany miedziany talerz słońce opromieniało błękitne morze daleko w dole. Horyzont błyszczał tak jasno, że nie sposób było nań patrzeć. Wypalone słonecznym blaskiem góry za plecami jeźdźców migotały pod wpływem upału niczym halucynacja.

Galopem zbliżył się następny mężczyzna. Był starszy, nosił ciemny strój i miał brodę siwą jak metal działa. Zatrzymał się w rozsądnej odległości i otarł pot ze skroni.

– Połamięcie sobie karki, jeśli nie będziecie uważać, wy cholerni durnie. Nie wiecie, że skała na krawędzi się osypuje?

Większość jeźdźców oddaliła się z zawstydzonymi minami od straszliwej przepaści, ale jeden pozostał na miejscu – barczysty młodzieniec o jasnoniebieskich oczach i włosach czarnych jak krucze pióra. Dosiadał pięknego siwego wałacha, strzygącego czujnie uszami.

– Bevanie, cóż bym zrobił bez ciebie? Przypuszczam, że matka kazała ci nas śledzić.

– Kazała, i nic w tym dziwnego. A teraz odsuń się od tej przepaści, Bleyne. Zrób starcowi przyjemność.

Bleyne z uśmiechem na ustach oddalił się od krawędzi nadmorskiego klifu o jard, a potem drugi. Następnie zsunął się z siodła z płynnością wodospadu, poklepał spoconego konia po karku i strzepnął kurz ze skórzanego stroju do konnej jazdy. Gdy stanął na ziemi, okazało się, że jest niższy, niżby się zdawało. Miał krępy tułów i muskularne nogi. Ciało robotnika portowego kontrastowało z zaskakująco drobnokościstą twarzą arystokraty.

– Myśleliśmy, że uda się nam zobaczyć flotę – wyjaśnił z odrobiną skruchy w głosie.

– To spójrzcie na tamten cypel. Przylądek Grios. Przy takim wietrze okręty powinny pojawić się tam lada chwila. Podnieśli kotwice około północy.

Pozostali jeźdźcy również zsiadli z koni, spętali je i wyjęli z juków bukłaki pełne wina.

– Co się właściwie dzieje, Bevanie? – zapytał jeden z nich. – Tu na prowincji zawsze dowiadujemy się wszystkiego na końcu.

– Słyszałem, że to potężna flota piracka – odezwał się następny. – Z Macassarów. Płynie tu zabijać i plądrować.

– Nic nie słyszałem o żadnych piratach, Bleyne – odparł z namysłem Bevan – ale wiem, że twój ojciec zebrał wszystkich ludzi w majątku i popędził z nimi do Abrusio. W całym królestwie zwołano pospolite ruszenie, a to nie wydarzyło się już od... och, szesnastu, siedemnastu lat.

– On nie jest moim ojcem – zaprotestował gwałtownie Bleyne. Jego arystokratyczną twarz oblał ciemny rumieniec.

Bevan spojrzał na niego.

– Posłuchaj...

– Tam są! – zawołał podekscytowanym głosem jeden z młodzieńców. – Wyływają zza przylądka.

Wszyscy umilkli, gapiąc się na okręty. Wokół bez ustanku grały cykady, ale wietrzyk dmący od suchych gór złagodził nieco upał.

Zza skalistego przylądka, odległego o z górą trzy mile, wynurzyło się coś, co wyglądało jak stado ptaków, które przycupnęły daleko na falach. To jasne żagle przyciągały w pierwszej chwili spojrzenie, gdyż kadłuby skrywały się częściowo za wysokimi falami. Na grotmasztach smukłych

okrętów powiewały szkarłatne proporce Hebrionu. Dwanaście, piętnaście, dwadzieścia potężnych żaglowców ustawionych w szyk bojowy pruć fale, mknąc z wiatrem na morze. Ich żagle były białe jak skrzydła łabędzi.

– To cała flota zachodu – wyszeptał Bevan. – Co, u licha...?

Odwrócił się i spojrzał na Bleyna, który osłaniał oczy dłonią, patrząc z uwagą na morze.

– Są piękne – mruknął zachwycony młodzieniec. – Naprawdę piękne.

– Masz przed oczyma dziesięć tysięcy ludzi, chłopcze. To największa flota na świecie. Twój... lord Murad z pewnością jest na pokładzie. Idę o zakład, że połowa jego ludzi rzyga dalej niż widzi.

– Skurczybyki mają szczęście – wydyszał Bleyn. – A my tu stoimy i patrzymy, jak zgraja wdów na balu.

– Ale po co wyruszyli na morze? Czy trwa jakaś wojna, o której nic nie słyszeliśmy? – zapytał ze zdziwieniem w głosie inny młodzieniec.

– Niech mnie szlag, jeśli to wiem – wychrypiał Bevan. – To musi być coś dużego, jeśli wypłynęli całą flotą.

– Może Himerianie i Rycerze-Bojownicy w końcu zaczęli inwazję – odezwał się piskliwym głosem jeden z młodszych chłopaków.

– Oni przeszliby przez przełęcz Hebrosu, durniu. Prawie wcale nie mają okrętów.

– A może to Morscy Merducy.

– Mamy z nimi pokój już od z górą czterdziestu lat.

– No, ale coś tam musi być. Nie wysyła się całej floty na morze dla zabawy.

– Matka będzie wiedziała – odezwał się nagle Bleyn. Odwrócił się i jednym płynnym ruchem dosiadł wielkiego siwka. – Wracam do domu. Bevanie, zostań z tą zgrają. Spowolnilibyście mnie tylko.

Wiałach parskął, tańcząc jak żwawy duch.

– Zaczekaj chwilę... – zaczął Bevan, ale młodzieniec już odjechał, zostawiając za sobą tylko wiatr i kurz.

* * *

Pani Jemilla była atrakcyjną kobietą; włosy wciąż miała tak samo czarne, jak jej syn. Tylko w jasnych promieniach słońca można było dostrzec nitki siwizny, jak żyły srebra na skalnej ścianie w kopalni. W młodości słynęła z urody i opowiadano, że sam król zaszczycał ją ongiś swymi wzglądami. Już od blisko piętnastu lat była jednak wierną, oddaną żoną wielkiego szambelana Hebrionu, lorda Murada z Galiapeno. Na dworze niemal całkowicie zapomniano o barwnych eskapadach, które urozmaicały jej młode lata, i Bleyn nic na ich temat nie wiedział.

Ziemie Murada leżały na Półwyspie Galapen, na południowy zachód od Abrusio. Była to głęboka prowincja, a wysoka rezydencja, w której od wieków mieszkała jego rodzina, przypominała surową fortecę wzniesioną z zimnego hebroskiego kamienia. Nawet upalnym latem przechowywało się w niej echo mroźnej zimy i dlatego na ogromnym kominku w pokojach Jemilli palił się słaby ogień. Kobieta studiowała leżące na biurku księgi rachunkowe, a widoczne przez otwarte okno spalone słońcem gaje oliwne jej męża przypominały skąpany w jasnym świetle fragment jakiegoś innego, cieplejszego świata.

Hałasu towarzyszącego powrotowi jej syna nie sposób było pomylić z niczym innym. Uśmiechnęła się i w jednej chwili ubyło jej dziesięć lat. Wygięła plecy jak kot, ugniatając krzyż kostkami drobnych pięści.

Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich szeroko uśmiechnięty lokaj.

– Pani...

– Wpuść go, Dominanie.

– Tak jest, pani.

Bleyn wpadł do środka jak wichur. Cuchnął potem, koniem i rozgrzanym skórzanym ubraniem.

Uściskał matkę, która pocałowała go w usta.

– O co chodzi tym razem?

– Okręty. Milion okrętów... no, w każdym razie wielka flota. Opłynęły dziś rano Przylądek Grios.

Bevan mówił mi, że Murad jest na pokładzie, a z nim ludzie, których zabrał w zeszłym miesiącu do Abrusio. O co tu chodzi, matko? Jakie wiekopomne wydarzenia przepływają obok nas tym razem?

Bleyn osunął się na sofę, strzepując kurz i końskie włosy na antyczny aksamit.

– Dla ciebie jest „lordem Muradem”, Bleyne – poprawiła go cierpko Jemilla. – Nawet syn nie powinien się zbytnio spoufalać, jeśli jego ojciec pochodzi ze znakomitego rodu.

– On nie jest moim ojcem – odburknął odruchowo młodzieniec.

Jemilla pochyliła się z widocznym znużeniem.

– Dla świata jest – oznajmiła ściszym głosem. – A te okręty...

– Ale my oboje wiemy, że nie jest, matko. Po co udawać?

– Jeśli nie chcesz stracić głowy, musi być ojcem również dla ciebie. Kolegom możesz opowiadać, co zechcesz. Kazałam ich wszystkich obserwować. Ale przed obcymi musisz połykać tę pigułkę z uśmiechem. Zrozum to wreszcie, Bleyne. Zmęczyły mnie już ciągłe wyjaśnienia.

– A mnie zmęczyło udawanie. Mam siedemnaście lat, matko. Jestem już mężczyzną.

– Zapewniam cię, że jeśli przestaniesz udawać, mężczyzna, którym tak nagle się stałeś, postrada życie, które tak go męczy. Abeleyn nie będzie tolerował kukułczego jaja. Jeszcze nie będzie, mimo że macica tej astarańskiej dziwki jest jałowa jak zasiane solą pole.

– Nie rozumiem tego. Z pewnością nawet dziedzic bękart jest lepszy od żadnego.

– To efekt wojny domowej. Chce, żeby wszystko było całkowicie czyste. Żeby król miał prawowitego dziedzica, któremu nikt nie będzie mógł nic zarzucić. Nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat, a ona jest młodsza od niego. Mają też tego czarodzieja, Golophina. Jego zaklęcia co roku zwabiają królewskie nasienie do jej macicy.

– I wszystko to na nic.

– To prawda. Bądź cierpliwy, Bleyne. W końcu pójdzie po rozum do głowy i zrozumie, że, jak mówiłeś, bękart jest lepszy niż nic.

Jemilla uśmiechnęła się, ale nie był to zbyt miły uśmiech. Widziała, że jej słowa go zraniły. No cóż, będzie się musiał do tego przyzwyczaić.

Zmierzyła mu pokryte pyłem włosy.

– I co z tą flotą?

Był naburmuszony i minęła chwila, zanim jej odpowiedział, widziała jednak, że ciekawość wypala w nim niezadowolenie.

– Bevan mówi, że to cała flota wojenna. Co tu się dzieje, matko? Czyżbyśmy przegapili jakąś wojnę?

Tym razem to ona umilkła na chwilę.

– Nie... nie wiem.

– Musisz wiedzieć. On ci wszystko mówi.

– Nie wszystko. Wiem niewiele więcej od ciebie. Wszystkie posiadłości opróżniono z ludzi i zawarto wielki sojusz, jakiego nie widziano od dni Pierwszego Imperium. Hebrion, Astarac...

– Gabrion, Torunna i Morscy Merducy. Tak, matko, to stare wieści, już sprzed miesiący. Czyżby więc Himerianie rozpoczęli w końcu inwazję? Oni jednak nie mają floty godnej tej nazwy. A Bevan

mówił, że okręty płynęły na zachód. Co tam jest, oprócz pustego oceanu?

– No właśnie, co? Być może cały zastęp pogłosek i legend. Mit, który wkrótce stanie się ciałem.

– Znowu mówisz zagadkami. Czemu nigdy nie możesz odpowiedzieć mi jednoznacznie?

– Nie pyskuj – warknęła Jemilla. – Żyjesz na tym świecie dopiero siedemnaście wiosen, a już wydaje ci się, że możesz przekomarzać się ze mną i umniejszać swego... swego ojca? Szczeniak.

Ustał, łypiąc na nią spođe łba.

– Istnieją legendy mówiące o krainie leżącej na najdalszym zachodzie – ciągnęła nieco łagodniejszym tonem. – O nowym świecie, który wciąż pozostaje nieodkryty i niezamieszany. Tu, w Hebrionie, już od stuleci uważa się, że to tylko bajki dla dzieci, ale co, jeśli te bajki mówią prawdę? Co, jeśli na zachodzie rzeczywiście istnieje ogromny, nieznaną kontynent, i co, gdybym ci powiedziała, że hebrionkie statki już tam dotarły? Że nasza flota dopłynęła na te niezaznaczone na mapach wody?

– No cóż, brawo dla hebrionkiej przedsiębiorczości, ale co to ma wspólnego z armadą, którą widziałem dziś rano?

– Błynie, na dworze krążą na ten temat pogłoski, które dotarły nawet do mnie. Wygląda na to, że Hebrion stoi przed groźbą inwazji.

– A więc to jednak Himerianie!

– Nie. To coś innego. Coś z zachodu.

– Z zachodu? Dlaczego... aha, chcesz powiedzieć, że za morzem naprawdę istnieje jakieś nieznanie imperium? Matko, to zdumiewające wieści! Jak możesz siedzieć tu tak spokojnie? W jakże cudownych czasach przyszło nam żyć!

Bleyn zerwał się na nogi i zaczął spacerować po komnacie, klaszcząc z podniecenia w dłonie. Matka przyglądała mu się z posępną miną. Nadal pozostawał chłopcem, nieświadomym i skłonnym do entuzjazmu. A wydawało jej się, że wychowała go lepiej. Być może, gdyby chłopak faktycznie był potomkiem Abeleyna – albo Murada – sytuacja wyglądałaby inaczej, ale ojcem dzieciaka był niejaki Richard Hawkwood, mężczyzna, którego – o ironio – Jemilla mogła ongiś naprawdę kochać. Jedyny taki mężczyzna w jej życiu. Jednakże jako nisko urodzony nie mógł posłużyć jej ambicjom i w związku z tym był dla niej bezużyteczny. Trzeba pracować takimi narzędziami, jakie dał nam do ręki los, pomyślała. W końcu to mój syn. Jestem jego matką. I naprawdę go kocham. Nie da się temu zaprzeczyć.

– To nie jest imperium – poprawiła go. – A przynajmniej jeszcze nim nie jest. Wygląda, że to, co tam powstało, od wielu stuleci miało łączność z wydarzeniami rozgrywającymi się w Normanii. Nie jestem pewna, na czym ta łączność polegała, ale to coś w jakiś sposób wiąże się z Himerianami i kieruje poczynaniami Drugiego Imperium.

– Wyrażasz się bardzo niejasno, matko – stwierdził ostrożnie Bleyn.

– To wszystko, co mi wiadomo. Bardzo niewielu ludzi wie więcej, oprócz lorda Murada, króla i jego czarodzieja, Golophina.

A także Richarda Hawkwooda. Ta myśl zjawiała się nieproszona. On z pewnością również wiedział wszystko, jako że był kapitanem owej nieszczęsnej ekspedycji sprzed lat. Mówiono, że to największe osiągnięcie w dziejach żeglugi, ale Korona już od początku tłumiała wszelkie spekulacje na ten temat. Początkowe zainteresowanie – a nawet histeria – przygasło przed upływem roku. Nie opublikowano dzienników okrętowych, żaden z ocalonych nie opisał dziejów wyprawy w sprzedawanych na ulicy broszurach. Mogłoby się wydawać, że ekspedycja nigdy się nie odbyła.

To była sprawka jej męża. Murad o niczym nie zapominał i niczego nie wybaczał. Zniszczenie Richarda Hawkwooda stało się jego obsesją – Jemilla nie miała pojęcia dlaczego. Gdy byli na

zachodzie, coś się wydarzyło. Coś strasznego. Wydawało się, że Murad pragnie wymazać ze swej duszy wspomnienie o tym. A jeśli nie zdoła tego dokonać, przynajmniej zniszczy wszystko, co mu o tym przypomina.

Gdyby kiedykolwiek się dowiedział, że Bleyn jest synem Hawkwooda... twarz Jemilli stężała na tę myśl.

Gdy już skończyły się bankiety i audiencje, okazało się, że Hawkwood nic nie zyskał na swej wielkiej wyprawie. Stanowił sezonową ciekawostkę, o której szybko zapomniano. Jemilli przyszło na myśl, że nawet król był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Co tam się wydarzyło? Co doprowadziło ekspedycję do katastrofy i zatrało życie ocalonym?

I co nadpływało teraz z owego okropnego miejsca, że potrzebne były aż takie przygotowania? Sojusze, programy budowy okrętów i fortyfikacji: już od pięciu lat Hebrion i jego sojusznicy sposobili się do wielkiej wojny z nieznanym. A teraz ta wojna w końcu się zaczęła. Jemilla wyczuwała to, zupełnie jak jakiś obrzydliwy fetor niesiony przez wiatr.

Bleyn przyglądał się jej uważnie.

– Jak możesz siedzieć tu tak obojętnie, matko? Wiem, że jesteś kobietą, ale niepodobną do innych...

– A więc znasz ich tak wiele?

– Znam inne szlachcianki. Jesteś wśród nich jak jastrząb pośród gołębi.

Parsknęła śmiechem. Być może wcale nie był aż takim niedorostkiem, za jakiego go miała.

– Muszę znać swoje miejsce, Bleynie. Jak ci wiadomo, lord Murad nie jest człowiekiem, którego dobrze jest rozzłościć, a on wolałby, żebyśmy oboje trzymali się z dala od dworu. Król jest tego samego zdania. Jesteśmy jak trup, zbyt długo ukrywany w szafie. Musimy być cierpliwi, to wszystko.

– Jestem już mężczyzną. Potrafię jeździć konno jak żołnierz i jestem najlepszym szermierzem w całym Galiapeno. Powiniennem popłynąć z tą flotą albo przynajmniej dowodzić *tercio* w miejskim garnizonie. Tego żąda ode mnie moja krew. Żądałaby tego, nawet gdybym był synem Murada, nie króla.

– To prawda.

– Jakie wykształcenie mogę zdobyć tu, na prowincji? Nic nie wiem o dworze, nie znam nikogo ze szlachty...

– Dość już tego, Bleynie. Mogę ci tylko doradzić cierpliwość. Twój czas w końcu nadejdzie.

– Nadejdzie, gdy będę już zgrzybiałym ramolem, a woda mojej młodości wyleje się na kamienie tego cholernego zadupia! – zawołał gniewnie chłopak. Opuścił ze złością komnatę, uderzając po drodze barkiem o framugę. Unosiły się za nim obłoki pyłu. Jemilla czuła jego zapach. Pył. Oto w co obróciło się szesnaście lat jej życia. Kiedyś mierzyła wysoko. Zbyt wysoko. To połowiczne więzienie było jej karą, a Murad jej strażnikiem więziennym. To szczęście, że ocalała życie. Bleyn miał jednak rację. Być może po szesnastu latach spędzonych pośród kurzu w tej spalonej słońcem prowincjonalnej dziurze nadeszła pora, by kości znowu zostały rzucone.

DWA

Zakwitły już pierwsze pierwiosniki, a pośród gęstego igliwia sosnowego lasu pojawiły się szarozielone pędy paproci. Wiatr niósł ze sobą czystą, ostrą woń sosnowej żywicy, świeżej trawy oraz zieleni – znak, że chłody wreszcie odchodzą, ustępując miejsca czemuś nowemu.

Zachwycone tym aromatem konie tańczyły niespokojnie i podgryzały się nawzajem niczym źrebaki. Dwoje jeźdźców, którzy wyprzedzili zasadniczą grupę, popuściło wierzchowcom cugli i po chwili mknęło już pełnym cwałem ku szczytowi jednego z wielkich wyżynnych wzgórz charakterystycznych dla tej części świata. Gdy konie zaczęły parskać i buchać parą, jeźdźcy ściągnęli wodze i ruszyli dalej stępa.

– Hydrax sprawuje się nieźle – stwierdził mężczyzna. – Wygląda na to, że jednak masz talent. Jego towarzyska, dziewczyna albo młoda kobieta, wykrzywiła usta.

– No myślę. Shamarq mówi, że jeśli nadal będę jeździć tak często, zrobią mi się pałakowate nogi. Ale przecież w dworskiej sukni i tak nikt tego nie zauważy.

Mężczyzna parsknął śmiechem. Oboje jechali dalej w milczeniu, a ich konie torowały sobie drogę poprzez gęste skupiska górskiego wrzosu. W pewnej chwili dziewczyna bez słowa wskazała ręką w górę. Na północy krążył samotny drapieżny ptak. Mężczyzna spojrzał we wskazanym kierunku i skinął głową.

Pół mili za nimi wlokło się z mozołem około czterdziestu jeźdźców. Były wśród nich strojnie odziane damy i zakuci w zbroje kawalerzyści. Jeden z mężczyzn niósł jedwabną chorągiew, która łopotała na wietrze, tak że nie można było zobaczyć przedstawionego na niej herbu. Wielu innych prowadziło ciężko obciążone muły, które człapały, pobrzękując uprzężą. Mężczyzna obrócił się w siodle.

– Lepiej na nich zaczekajmy. Nie wszyscy są takimi centaurami jak ty.

– Wiem o tym. Briseis jeździ jak żaba na blasze do pieczenia. A Gebbia niewiele lepiej.

– To są damy dworu, nie kawalerzyści, Mirren. Idę o zakład, że szyją i gotują znacznie lepiej, niż jeżdżą konno. No, przynajmniej szyją.

Znowu wykrzywiła usta. Mężczyzna uśmiechnął się na ten widok. Był w średnim wieku, miał szerokie ramiona, a jego ciemne ongiś włosy posiwiały na skroniach, nadając mu wygląd szpakowatego borsuka. Ogorzałą twarz naznaczyły stare blizny, głęboko osadzone oczy były zaś szare jak morze zimą. Widniał w nich chłód, który topniał jedynie wtedy, gdy mężczyzna spoglądał na towarzyszącą mu dziewczynę. Dosiadał rumaka z perfekcyjną swobodą urodzonego jeźdźcy, a jego strój, choć świetnej roboty, był prosty i pozbawiony ozdób – czarny niczym futro pantery, bez ani jednej barwnej plamy.

Natomiast dziewczyna miała na sobie pstre brokaty, gęsto wyszywane perłami i drogimi kamieniami. Jej białą szyję otaczał koronkowy kołnierz, a blond włosy zdobił pięknie wykonany stroik z płótna i drutu. Prezentowała się na koniu jak młoda królowa. Obraz elegancji psuł jednak stary, wystrzępiony płaszcz do konnej jazdy, który zarzuciła na plecy. To był żołnierski ubiór, który odsłużył wiele lat. Nieraz już go pieczołowicie łatano. Spod płaszcza wyrżał na chwilę pomarszczony pyszczek marmozety. Zwierzątko powęszyło, zadrżało z zimna i schowało się z powrotem.

– Czy musimy już wracać, ojczy? – zapytała dziewczyna obleczonego w czerń towarzysza. – To taka przyjemna wycieczka.

Król Torunny położył ciepłą dłoń na spoczywających na wodzach palcach córki.

– Tym, co naprawdę dobre, lepiej nie cieszyć się zbyt długo – rzekł cicho. W jego zimnych oczach pojawił się cień, w którym nie było nadziei na wiosnę. Widząc to, dziewczyna uniosła dłoń

ojca do ust i pocałowała.

– Wiem. Znowu wzywa nas obowiązek. Ale wolałabym zostać tu na zimnie, niż siedzieć w ciepłe w największym pałacu na świecie.

Skinął głową.

– Ja również.

Słysząc już było tętent kopyt, sapanie koni oraz rozmowy zbliżających się ludzi. Corfe zawrócił wierzchowca, by ich przywitać.

– Felorinie, sądzę, że możemy już ruszać z powrotem do miasta. Zawróć tę kawalkadę i zawiadom zarządcę. Rozbijemy obóz godzinę przed zachodem słońca. Nie wątpię, że znajdziesz odpowiednie miejsce. Panie, błagam was o wyrozumiałość. To już ostatnia noc, którą spędzimy w namiotach. Jutro wszystkie znajdziecie się w wygodnym pałacu. Zostawiam was pod opieką mojej Straży Osobistej. Felorinie, ja i księżniczka dogonimy was za kilka godzin. Pragnę jeszcze udać się w pewne miejsce.

– Sam, panie? – zapytał jeździec o imieniu Felorin. Był to szczupły, żyłasty mężczyzna, którego przystojną twarz pokrywał wir szkarłatnych tatuaży. Miał na sobie czarną opończę z cynobrowym obszyciem, a u jego pasa wisiała kawaleryjska szabla.

– Sam. Nie martw się, Felorinie. W tej części świata potrafię jeszcze znaleźć drogę.

– Ale wilki, panie...

– Mamy szybkie konie. Przestań mi matkować i poszukaj miejsca na obóz.

Felorin zasalutował z niezadowoloną, niespokojną miną, a potem zawrócił konia i pomknął na tył niewielkiej kolumny. Zawracająca kawalkada przerodziła się w pobrzękujący, porykujący chaos pełen żołnierzy, dam, służby, podenerwowanych mułów i drobiących nogami klaczek. Corfe spojrział na córkę.

– Ruszajmy, Mirren.

Poprowadził ją szybkim galopem między wzgórz.

* * *

Chmury rozproszyły się i ujrzeli na błękitnym niebie jasne słońce. Jego blask opromieniał zbocza wzgórz, nadając im wygląd płowordzawego futra usianego liniami cienia. Mirren podążała za ojcem, który gnał przed siebie starą, zarośniętą zielskiem ścieżką, otoczoną z obu stron wrzosem. Końskie kopyta uderzały w twarde, zielony od mchu żwir zamiast w wilgotny torf, i dzięki temu zwiększyli prędkość. Szlak biegł na wschód prosto jak strzała. Latem, gdy zarosną go paprocie, stanie się prawie niewidzialny.

Corfe zwolnił do stępa, a jego córka zmusiła wierzchowca do tego samego kroku i teraz jechali obok siebie. Choć była młoda, jej koń, Hydrax, był masywnym gniadoszem, nie ustępującym rozmiarami karemu wałachowi jej ojca. Wyrok utrudniał mu w pewnym stopniu szalone podrzucanie głową, ale koń nie przestawał tańczyć pod nią, gotowy do psot.

– Ten skurczybyk któregoś dnia cię zrzuci – ostrzegł ją Corfe.

– Wiem o tym. Ale on mnie kocha. Jest po prostu ognisty, to wszystko. Co to za tajemnica? Dokąd jedziemy? I co to za stara ścieżka?

– Widzę, że nie nauczyłaś się zbyt wiele historii ani geografii, mimo że sprowadzamy dla ciebie nauczycieli z czterech stron świata. Wiesz, gdzie się znajdujemy, jak sądzę?

– No pewnie – odparła ze wzgardą Mirren. – To Barossa.

– Tak jest. Po staronormańsku Miejsce Kości. Ale nie zawsze nosiła tę nazwę. To jest stary Trakt Zachodni, który ongiś łączył Torunn z Aekirem.

– Z Aurungabarem – poprawiła go córka.

– Tak jest. Przechodził przez Wał Ormanna...

– Przez Khedi Anwar.

– W rzeczy samej. Ten stary trakt był w swoim czasie kręgosłupem Torunny. Trakt Królewski biegnie na północny zachód stąd, jakieś trzydzieści pięć mil, ale istnieje zaledwie od piętnastu lat. Nim jeszcze powstała Torunna, nim ten region nazwano Barossą, był on wysuniętą najdalej na wschód prowincją dawnego imperium. Droge, po której jedziemy, zbudowali Fimbrianie, podobnie jak prawie wszystko, co na tym świecie trwałe. Dziś już o niej zapomniano, gdyż pamięć ludzi jest krótka, ale kiedyś maszerowały tędy armie i uciekały całe narody.

– Ty też przyszedłeś tędy z Aurungabaru, kiedy byłeś jeszcze zwykłym żołnierzem – zauważyła Mirren z rzadko u niej widzianą nieśmiałością.

– Tak – zgodził się Corfe. – Tak, to prawda. Prawie osiemnaście lat temu.

Pamiętał błoto, zimny deszcz, hordy zrozpaczonych ludzi i setki leżących przy drodze trupów.

– Świat jest teraz inny, dzięki Bogu. Przy Trakcie Królewskim wyrąbano lasy, wypalono wrzosowiska, a na wzgórzach powstały gospodarstwa rolne. Tam, gdzie kiedyś była głusza, wyrosły miasta. A tutaj, gdzie przed wojną były miasta, ziemia wróciła pod władanie natury i wilki żyją na swobodzie. Historia stawia wszystko na głowie. Być może nie ma w tym nic złego. A tam, z przodu... Widzisz te ruiny?

Przed nimi biegło długie wzniesienie, tu i ówdzie porośnięte ciemnymi drzewami. Na jego północnym końcu było widać pozostałości niskich kamiennych murów, sterczące z ziemi niczym spróchniałe zęby. Bliżej, na płaskim terenie, wznosiło się wzgórze, zbyt symetryczne, by mogło stanowić dzieło natury. Na jego szczycie usypano kamienny kopiec, rysujący się ostro na tle nieba. Śmiały i radosny śpiew ptaków, który otaczał ich przez cały poranek, umilkł nagle.

– Co to za miejsce? – zapytała szeptem Mirren.

Corfe nie odpowiedział. Podjechał do podstawy wysokiego wzgórza. Zsiadł z konia i podał rękę Mirren. Marmozeta wysunęła się z pazuchy i wbiegła na ramię dziewczyny, owijając jej szyję ogonem jak szalem.

Były tam kamienne, porośnięte trawą schody i oboje wspięli się na nie, docierając do kopca na szczycie. Miał około pięciu stóp wysokości i zwieńczała go granitowa płyta. W ciemnym kamieniu wyryto następujące słowa:

Tutaj leżymy my, polegli Torunny,

Którzy życiem zapłaciliśmy za wolność ojczyzny.

Mirren otworzyła usta.

– Czy to...?

– Ruiny, które tu widzisz, są pozostałością po siole o nazwie Armagedir – odparł cicho Corfe.

– A to wzgórze?

– To kurhan. Zebraliśmy wszystkich, których zdołaliśmy znaleźć, i pochowaliśmy ich w tym miejscu. Leży tu wielu moich przyjaciół, Mirren.

Ujęła jego dłoń.

– Czy ktoś w ogóle tu jeszcze przyjeżdża?

– Formio, Aras i ja, każdego roku. Poza tym są tu tylko wilki, kanie i kruki. Od chwili, gdy usypano ten kurhan, nasz świat zmienił się w tempie, które ongiś uważałbym za niemożliwe. Niemniej jednak, jego obecną postać zawdzięczamy wyłącznie ludziom, których kości butwieją pod naszymi stopami. Jako moja córka nigdy nie możesz o tym zapomnieć, nawet jeśli inni nie będą pamiętać.

Mirren chciała coś powiedzieć, ale Corfe uciszył ją skinieniem dłoni.

– Zaczekaj.

Z zachodu nadlatywał samotny ptak, sokół albo jastrząb. Zatoczył krąg nad ich głowami i opadł nagle w dół. Marmozeta wrzasnęła ze strachu i Mirren uspokoiła ją pieszczotą. Ptak, wielki białożół, wylądował na trawie parę stóp od dwojga ludzi. Potem poświęcił kilka sekund na poprawienie lotek, otworzył zakrzywiony dziób i przemówił niskim, miódopłynnym głosem dorosłego mężczyzny.

– Wasza królewska mość. Dobrze, że możemy się spotkać.

– Witaj, Golophinie. Jakie wieści przynosisz z zachodu?

Ptak przechylił głowę, spoglądając na Corfe'a żółtym nieludzkim okiem.

– Połączone floty wyruszyły na morze przed trzema dniami. Stacjonują w okolicy Przylądka Północnego. Jedna eskadra patroluje morze na zachód od Wysp Brenn. Jak dotąd nic się nie wydarzyło.

– Ale nie wątpisz, że wróg jest gdzieś na morzu.

– Och, tak. Już od czterech miesięcy morza na zachód od Hebrionese patrolowały galeoty. W ciągu ostatniego sendnia wszystkie zniknęły bez śladu. Ponadto znaczna część północnej floty rybackiej łowiącej śledzenie nie wróciła do domu, choć pogoda była dobra. Coś z pewnością tam jest.

– A co z oczyma twojego ptaka?

Nastała chwila ciszy, jakby coś odwróciło uwagę sokoła albo Golophin zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Mój chowaniec ma obecnie bazę tutaj, w Torunnie, wasza królewska mość. Musi utrzymywać łączność między wschodem a zachodem.

– A co słyhać w Charibonie?

– Ach. Na ten temat mogę powiedzieć coś konkretniejszego. Himeriańskie armie opuszczają właśnie zimowe kwatery. Idę o zakład, że wymaszerują przed upływem dwóch tygodni albo w chwili, gdy Przesmyk Torrinu uwolni się od zasp. Na Linii Thuriańskiej roi się od maszerujących żołnierzy.

– A więc zaczęło się – wydyszał Corfe. – Po tak wielu latach zasłona się uniosła.

– Sądzę, że tak, panie.

– A co z Fimbrianami?

– Na razie milczą. Czekają. Pakt Neyrski mógł wszem wobec ogłosić neutralność, ale nie zdołają wiecznie siedzieć okrakiem na barykadzie.

– Jeśli ta do tej pory niewidzialna flota zdoła wylądować, może im ułatwić podjęcie decyzji.

– A to będzie oznaczało wojnę na dwa fronty.

– Tak, oczywiście.

– Mam nadzieję, że poczyniłeś niezbędne przygotowania, panie?

– Główna armia polowa czeka tylko na rozkaz wymarszu. Generał Aras postawił północny garnizon, stacjonujący w Gaderionie, w stan gotowości. Zawiadomisz mnie, gdy tylko coś się wydarzy?

– Oczywiście, panie. Czy mogę ci przekazać pozdrowienia i wyrazy uznania od twego królewskiego kuzyna, Abeleyna z Hebrionu? Muszę już lecieć.

Ptak rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze niczym poła sukna, znikając w wiosennym błękicie. Corfe śledził go wzrokiem z zasepioną miną.

– A więc to był Golophin. A przynajmniej jego chowaniec – odezwała się Mirren z błyskiem w oczach. – Słyszałam o nim bardzo wiele.

– Tak. To dobry człowiek, choć lata zaczynają mu już ciążyć. Ciężko przeżył to, co uczynił jego uczeń.

– Ach, prezbiter Rycerzy. Czy to prawda, że jest nie tylko magiem, lecz również wilkołakiem? Corfe przyjrzał się uważnie córce.

– Zdaje się, że ktoś podsłuchiwał pod drzwiami.

Mirren zaczerwieniła się.

– To tylko powszechnie znane powiastki, nic więcej.

– W takim razie z pewnością wiesz, że światu zagraża piekielna trójca. Antyponatyfik Himerius, czarnoksiężnik Aruan, który obecnie jest wikariuszem generalnym Zakonu Inicjantów, oraz Bardolin, kolejny arcymag, prezbiter Rycerzy-Bojowników. I tak, krążą pogłoski, że ten Bardolin jest zmiennym. Był ongiś przyjacielem Golophina i najzdolniejszym z jego uczniów, ale teraz należy do Aruana ciałem i duszą. Aruan jest najpotężniejszy z tej trójki, choć w oczach świata ma niższą rangę.

– Ludzie opowiadają, że ten Aruan jest nieśmiertelnym, ostatnim ze starożytniej rasy, która powstała na zachodzie, ale w minionych wiekach ściągnęła na siebie zagładę, parając się czarną magią – wyszeptała Mirren.

– Ludzie opowiadają bardzo wiele, ale tym razem w ich bajaniach kryje się ziarenko prawdy. Aruan przybył znikąd przed zaledwie sześciu laty. Przyplłynął z garstką ludzi na wyspę Alsten na statkach o niezwykłym wyglądzie. Himerius natychmiast uznał go za jakiegoś rodzaju cudownego mesjasza i dopuścił do najwyższych kręgów władzy. Aruan utrzymuje, że jest zwiastunem lepszej epoki, która wkrótce nadejdzie. Wiemy, że jest bardzo stary, ale jeśli chodzi o zaginioną rasę czarodziejów, jestem pewien, że to mit. Tak czy inaczej, ma na swoje rozkazy armie Perigraine, Almarku oraz kilkunastu mniejszych księstw, a także zakony Rycerzy-Bojowników i tajemniczych Psów. Drugie Imperium, jak zwie się ten piekielny konglomerat, jest koszmarem na jawie...

– A Fimbrianie – przerwała mu Mirren. – Co oni zrobią?

– Ach, w tym sęk. Po której stronie opowiedzą się elektoraty? Już od chwili upadku Aekiru marzy im się odzyskanie hegemonii, ale ta nowa tearchia stoi im na przeszkodzie. Nie jestem pewien. Będziemy walczyć o prawo samostanowienia dla wszystkich ramusiańskich królestw, a to szczególnie podoba się Fimbrianom. Z drugiej strony, z pewnością nie chcą też, żeby Himerianie stali się niezwyciężeni. Podejrzewam, że zaczekają, aż my i Charibon wyczerpiemy siły, a potem pozbiierają kości, jak hieny.

– Nigdy nie widziałam wojny – rzekła nieśmiało Mirren. Pogłaskała marmozetę, która przysiadła na jej ramieniu. – Jak ona wygląda, ojczy?

Corfe wpatrzył się w pagórkowate, jałowe wrzosowiska. Przed szesnastu laty to ciche pustkowie stało się epicentrum ogromnej katastrofy. Był pewien, że gdyby wyteżył słuch, usłyszałby echa armatnich strzałów, takie same jak te, które po dziś dzień wypełniały mroczne, głodne przestrzenie w jego umyśle.

– Wojna jest krokiem przez próg piekła – odpowiedział po chwili. – Modłę się, byś jej nigdy nie ujrzała.

– Ale przecież byłeś wielkim wodzem. Dowodziłeś armiami i zwyciężałeś w bitwach.

Corfe popatrzył na nią zimno.

– Walczyłem o przetrwanie. To co innego.

Dziewczyna nie dała się zbić z pantałyku.

– Tym razem również będziemy walczyć o przetrwanie, prawda?

– Tak. To prawda. Nie pragnęliśmy tej wojny. Narzucono ją nam. Musisz o tym pamiętać – odpowiedział poważnym głosem żałobnika.

Ale ukryte w nim mrok i głód chichotały z dziką radością.

TRZY

– Ptaki – odezwał się Abeleyn. – Lecą za okrętami.

Nad flotą unosiła się chmura krzykliwych mew. Krążyły pod niebem jak szalone, a ich niecichnące krzyki przeszywały powietrze, zagłuszając nawet poskrzypywanie desek, plusk prujących wodę kilów oraz jęk olinowania i rej. Były ich tysiące.

– To padlinożercy! – zawołał admirał Rovero, stojący na pokładzie rufówki na dole. – Ale to dziwne, że oddaliły się tak bardzo od lądu.

– Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałem – przyznał Hawkwood. – Pojedyncze sztuki owszem, ale nie takie stada.

Na wszystkich czterech poziomach pokładu – kasztelu dziobowym, śródokręciu, rufowce i pokładzie rufowym – stali żołnierze i marynarze, gapiący się na widoczne za łopoczącymi, wypełnionymi wiatrem żaglami, wyprężonymi rejami oraz oszołamiającym labiryntem olinowania niebo. Niestrudzone mewy krążyły na nim z wrzaskiem.

Okręt flagowy kołysał się pod ich stopami pięknym, swobodnym ruchem. *Pontifidad* była wielkim żaglowcem o wyporności tysiąca dwustu ton. Miała na pokładzie siedmiuset ludzi oraz osiemdziesiąt długich dział. Przyciągnięto je taliami pod zamknięte kłapy furt armatnich i wyglądały jak uwięzione bestie próbujące się wyrwać na wolność. Ta pływająca bateria o ogromnej niszczyielskiej mocy była największym okrętem wojennym w całym zachodnim świecie, dumą hebrionńskiej marynarki.

Abeleyn pomyślał jednak, że to może być za mało. *Pontifidad* i jej potężne siostry, połączona potęgą czterech państw. Cóż znaczyli ludzie i okręty wobec...

– Żagle na horyzoncie! – zawołał człowiek siedzący na oku na grotbramrei. – Karawela płynie ze strefy najsilniejszego wiatru, prosto z lewej burty.

– Wraca nasz rekonesans – stwierdził Hawkwood. – Ciekawe, jakie wieści przynosi?

Grupka ludzi stojących na pokładzie rufówki *Pontifidad* oczekiwała ze spokojem na zbliżający się okręt. Przed dwoma dniami wysłano na zachód małą eskadrę, zlecając jej przeprowadzenie rekonesansu. Flota opłynęła tymczasem przylądek, który został już daleko za rufą.

– Ile okrętów? – zapytał stojący na tylnym pokładzie admirał Rovero.

– Wciąż tylko jeden, admirale – odpowiedział człowiek na oku. – Przedni marsel porwał wiatr i widzę też luźne brasy.

Abeleyn i Hawkwood popatrzyli na siebie.

– Co o tym sądzisz, kapitanie? – zapytał król.

Żeglarz potarł zmierzwioną, upstrzoną siwizną brodę.

– Sądzę, że eskadra mogła znaleźć to, czego szukała.

– Też tak pomyślałem.

Admirał Rovero wszedł, tupiąc głośno, na pokład rufówki i zasalutował monarsze.

– Panie, na pokładzie nikogo nie widać. To brzydko pachnie. Proszę o pozwolenie halsowania na baksztag.

– Udzielam ci go. Kapitanie Hawkwood, sądzę, że powinniśmy zawiadomić sojusznicze kontyngenty. Nieprzyjaciel na północnym zachodzie. Przygotować się do walki.

– Tak jest.

* * *

Rozproszona na kilku milach kwadratowych oceanu flota przebudziła się nagle do życia. Pięćdziesiąt trzy wielkie okręty, a także dziesiątki mniejszych karak i karawel płynęły kursem północno-wschodnim, mając wiatr z lewej burty. Samotna karawela, mały okręt o wyporności nie

przekraczającej stu ton, mknęła z wiatrem prosto pod ich działa.

Flota ustawiła się w formacji grotu strzały. Jego wierzchołek stanowiły hebrionkie okręty, największy kontyngent. Lewe skrzydło należało do Gabrionczyków. Ich jedenaście smukłych jednostek miało załogi złożone ze znakomitych marynarzy. Prawe skrzydło tworzyła astarańska flota. Jej okręty były większe, ale miały mniej doświadczonych załogi. Natomiast trzon strzały składał się z Morskich Merduków. Ich żaglowce były lżejsze, działa również, ale za to mieli na pokładach mnóstwo arkebuźników i zbrojnej w miecze piechoty.

Owego pogodnego wiosennego poranka po morzu płynęło w sumie z górą trzydzieści tysięcy ludzi. Od zachodnich wybrzeży Hebrionu dzieliło ich około stu pięćdziesięciu mil. To była największa armada w dziejach świata. Jej zgromadzenie wymagało cierpliwej, wieloletniej pracy. Flota zebrała się u wybrzeży Hebrionu przed dwoma tygodniami i już od dziesięciu dni płynęła na zachód. A wszystko to z myślą o tej jednej chwili. Tym pogodnym poranku na falach Oceanu Zachodniego.

Abeleyn poczuł woń wolnopalnych lontów dobiegającą z pokładu działowego. Towarzyszył jej odór potu marynarzy, którzy dźwigali ogromne działa, by ich lufy wysunęły się z otworów w burtach niczym tępo zakończone kolce. Na górze żołnierze ładowali już małe, straszliwe, obrotowe dwufuntówki, wpychali kule do luf arkebuzów i wnosili na górę wypełnione wodą wiadra, by mieć czym gasić nieuniknione pożary żagli.

Od karaweli dzieliły ich już tylko niespełna trzy kable. Mknęła prosto na okręt flagowy. Choć za sterem nie było nikogo, pewnie trzymała kurs.

– To mi się nie podoba. Martwy okręt z żywym sterem – odezwał się Rovero. – Panie, proszę o pozwolenie przerobienia go na drzazgi.

Abeleyn pograżył się w zamyśleniu. Mógłby przysiąc, że setki żołnierzy i marynarzy spoglądały przez chwilę wyłącznie na niego.

– Zgoda, admirale – rzekł wreszcie.

Uniesiono flagi sygnałowe i po paru chwilach z wielu okrętów buchnęła salwa, straszliwa jak gniew samego Boga.

Karawela zniknęła w śmiercionośnej burzy spienionej wody. Hawkwood widział, jak deski przeszywają powietrze, a maszt pochyła się i przewraca, oplątany linami. Większość kul armatnich wpadła do wody przed albo za celem, ale wystarczająco wiele trafiło w mały okręt, żeby roztrzaskać go na kawałeczki. Gdy wszystko się uspokoiło, z karaweli pozostał jedynie pozbawiony masztu kadłub, zanurzający się głęboko w wodę i otoczony szczątkami. Kiedy opadł dym i ucichł huk dział, znowu usłyszeli wrzaski krążących w górze mew.

– Oby Bóg dał, że mieliśmy rację – wyszeptał admirał Rovero.

– Patrzcie na jej pokłady! – zawołał ktoś na topie masztu.

Ludzie tłoczyli się przy relingu, czekając z niecierpliwością, aż dym wystrzałów się rozproszy. Grupa oficerów stojących na pokładzie rufówki znajdowała się wyżej niż marynarze na śródokręciu i dzięki temu miała lepszy widok.

Karaluchy? – pomyślał Hawkwood. O Boże.

Gdy karawela znieruchomiała, pojawiły się czarne, błyszczące stwory, które wylaziły z luków i skakały do morza. Wyglądały zupełnie jak rój jakichś wodnych chrząszczy. Gdy tylko ludzie je zobaczyli, na statku rozległy się przerażone szepty.

– Na stanowiska! – ryknął Hawkwood. – To królewski okręt, nie jacht wycieczkowy! Bosmanie, przyłóż temu przy kotbelce.

Chrząszczopodobne stwory próbowały się czepiać wraku karaweli, ale okręt szybko tonął,

pograżając się rufą naprzód w wodnym grobie. Pociągnął za sobą większość owych istot i wkrótce na powierzchni morza nie zostało już nic poza kilkoma kołyszącymi się na falach fragmentami.

Rozległ się krzyk bólu, gdy bosman uderzył zapętlonym końcem liny po plecach jakiegoś pechowego marynarza. Ludzie wrócili na stanowiska bojowe, ale na pokładzie rufówki nadal było słychać ich szept, brzmiące jak cichy szum morza.

– Przechwycili naszą eskadrę i z pewnością wiedzą, gdzie jesteśmy – stwierdził admirał Rovero. Kimkolwiek są, pomyślał Abeleyn. Skinął jednak głową na znak potwierdzenia.

– W końcu tego właśnie chcieliśmy. Nie możemy krążyć tu w nieskończoność. Nieprzyjaciel musi przyjść do nas. – Zwrócił się w stronę Hawkwooda. – Kapitanie – zapytał, ściszej głos – te stwory na pokładzie. Czy...?

– Nie, panie. Nie spotkaliśmy na zachodzie nic takiego.

W tej samej chwili nad ich głowami rozległ się nagły łopot tracącego napięcie płótna. Wszyscy spojrzeli w górę i zobaczyli, że żagle zwisły bezwładnie. Wiatr ucichł. Przez kilka chwil ciszę mącił jedynie szum morza za przednią częścią dziobnicy. Potem on również umilkł. Fale zniknęły i nim minęło pół szklanki, całą flotę unieruchomiła cisza. Formacja rozpadła się, gdy okręty skierowały się dziobami w różne strony. Zrobiło się zdumiewająco cicho.

– Co to, u licha? – zapytał Abeleyn. – Kapitanie, to z pewnością nie jest normalne.

– To nie jest naturalne zjawisko – potwierdził Hawkwood. – Mamy do czynienia z czarami. To robota władcy pogody.

Uderzono w dzwon. Wkrótce rozległy się również dzwony na innych okrętach, gdy ich kwatermistrze wyrwali się z osłupienia. Ów dźwięk zabrzmiał smętnie pośrodku bezkresnego, martwego oceanu. Siedem dzwonów. Było dopiero wczesne popołudnie. Morze zamieniło się w ogromne błękitne zwierciadło, równie gładkie i wolne od zmarszczek, jak bezchmurne niebo nad nim. Flota wyglądała zupełnie jak chaotyczne, najeżone masztami miasto, przeniesione na środek oceanu. Bez względu na całą swą moc, wydawała się nic nieznaczącym pyłkiem wobec otaczającego ją bezkresu żywiołu. Mewy zniknęły.

* * *

Nienaturalna cisza trwała do wieczora. Potem z zachodu nadciągnęła mgła. Z początku była delikatna jak pajęczyna, ale szybko zgęstniała. Przesycony wilgocią opar przesłonił gwiazdy, sierp księżycy, a nawet lampy na masztach wszystkich okrętów poza najbliższymi. Choć zapadła już noc, rozlegał się głos konch, w regularnych odstępach czasu strzelano z arkebuzów, a ludzie pełniący wartę na oku u dziobu i u rufy wykrzykiwali pytania pod adresem szarej ściany. Flota dryfowała, żagle zwisały luźno, a niespokojni marynarze całymi godzinami stali przy relingach, z długimi tyczkami w rękach, na wypadek gdyby zagroziła im kolizja. Wszelki ład zaginął, okręty z Astaracu pomieszały się z gabriońskimi, a smukłe merduckie żaglowce objęły się o wielkie hebrionkie galeony.

* * *

Królowie Hebrionu i Astaracu, a także admirał Rovero i kapitan Hawkwood, spotkali się w Wielkiej Kajucie *Pontifidad* tuż po tym, jak osiem dzwonów oznajmiło koniec psiej wachty. Król Mark wyruszył na okręt flagowy, by naradzić się ze swym królewskim kuzynem, gdy tylko nadeszła mgła, i spędził kilka godzin w łodzi, wożony od okrętu do okrętu, nim wreszcie trafił na właściwy. Jego twarz przybrała ziemistą barwę i wyglądała niezdrowo, mimo że morze było spokojne.

Kabina została urządzona z przepychem. Łukowate okna na rufie lśniły po złotą w blasku zawieszonych na kardanach lamp, a z przodu umieszczono dwa osiemnastofuntowe rarogi, podciągnięte blisko do furt armatnich. Na wielkim, ustawionym w poprzek okrętu stole leżały liczne

mapy, a obok nich stały kielichy z winem oraz karafka. Poziom płynu w tej ostatniej był tak nieruchomy, jakby znajdowali się na suchym lądzie.

– Ludzie są zmęczeni – stwierdził Hawkwood. – Przebywają na stanowiskach od prawie sześciu godzin. Ostatnia wachta nie miała okazji zejść pod pokład.

– Nieprzyjaciel jest bardzo blisko. Kryje się we mgle – odparł ostrym tonem Rovero. – Z pewnością tak jest. Uderzy na nas o świcie. Ludzie muszą zostać na stanowiskach.

Na chwilę zapadła cisza. Mężczyźni popijali wino, nasłuchując melancholijnych nawoływań pełniących służbę na oku marynarzy oraz odległych arkebuzowych salw. Hawkwood nigdy nie spotkał się z podobnie cichą załogą. Z reguły, nawet tak daleko na rufie, było słychać gwar rozmów, śmiechy, sprośne lub wulgarne okrzyki, ale teraz ludzie czekali na pokładach w wilgotnej mgle, prawie nic nie mówiąc, i wybałuszali szeroko oczy, gapiąc się na kłębiącą się przed nimi ścianę bezkształtnej mgły.

– A kim, czy może czym, jest właściwie ten nieprzyjaciel? – zapytał król Mark. – Te stwory na karaweli nie były ludźmi, a przynajmniej na nich nie wyglądały. Nie przypominały też zmiennych, jakich spotkał kapitan podczas swej wyprawy.

Wszyscy spojrzeli na Hawkwooda, lecz on mógł tylko wzruszyć ramionami.

– Wiem równie mało, jak inni, panie. Od czasu ekspedycji minęło wiele lat. Kto wie, jak wykorzystali ten czas, jakie plugastwa zdołali wyhodować?

Rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wszedł żołnierz piechoty morskiej.

– Lord Murad prosi o audiencję, panie.

Twarz żołnierza była biała jak kreda.

Hawkwood i Rovero wymienili pośpiesznie spojrzenia, ale Murad zdążył już wejść do środka i pokłonić się dwornie królowi.

– Mam nadzieję, że zdrowie ci dopisuje, panie.

Ku swemu zaskoczeniu usłyszeli, że jego głos drży. Na twarzy miał kropelki wody.

– Dopisuje. Dopłynąłeś tu bez przeszkód, kuzynie? Mgła jest gęsta jak zupa.

– Mój sternik pytał ludzi na każdym okręcie po kolei, aż wreszcie znaleźliśmy *Pontifidad*. Głos ma ochrypły jak kruk, a ja jestem cały mokry i słony. Wygląda na to, że podążaliśmy śladem króla Marka. Wybacz, wasza królewska mość – dodał, zwracając się do siedzącego za stołem Marka z Astaracu, który przyglądał się mu bez słowa. – Słyszałem, że księżę Frobishir z Gabrionu również szuka okrętu flagowego. Z pewnością nadal błądzi we mgle. Jest taka gęsta, że można by w niej pływać przez całą noc i wrócić do punktu wyjścia. Ale zapominam o manierach. Wyrazy szacunku, admirale Rovero. I jest tu też mój dawny towarzysz, kapitan Hawkwood. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio wymieniliśmy coś więcej niż skinienie głowy na dworze, kapitanie.

Hawkwood pochylił głowę. Jego twarz nic nie wyrażała.

Murad przytył nieco od czasu powrotu z pechowej ekspedycji na Zachodni Kontynent. Nie można go było uznać za grubego, lecz jego trójkątna, naznaczona blizną twarz nabrała pewnej gładkości, która nadawała jej mniej złowieszczy wyraz. Nie można też było go uznać za przystojnego w konwencjonalnym znaczeniu, ale jego byстрыm oczom, przypominającym głęboko osadzone węgielki, nic nie umykało i opowiadano, że często spoglądają na nagie postacie cudzych żon. Małżeństwo ze sławną pięknnością, panią Jemillą, również tego nie zmieniło. Hawkwood spojrział w te obsydianowe oczy i ujrzał w nich wyraz drwiącego wyzwania. Obaj mężczyźni byli zaprzysiężonymi wrogami, a zaszczyty, jakie spłynęły na żeglarza w ostatnich latach, najwyraźniej pogłębiły jeszcze nienawiść Murada. W obecności króla obaj zachowywali jednak pozory uprzejmości.

Murad zapomniał już o początkowym zmieszaniu.

– Przynoszę ci dar, panie. Coś, co wszyscy zapewne uznamy za intrygujące, a śmiem twierdzić, że również pouczające. Jeśli pozwolisz. Varianie! – zawołał. – Przynieś to tutaj.

Na zejściówce doszło do zamieszania. Mężczyźni przeklinali, objając się o siebie. Drzwi się otworzyły i do środka weszło czterech krzepkich marynarzy, wlokąc wielki, wypchany worek z juty. Ku zdumieniu obecnych rzucili go na pokład w Wielkiej Kajucie i oddalili się z niezwykłym, świadczącym o niepokoju, pośpiechem.

Od worka biła woń stęchłej morskiej wody oraz jakiś inny, niezidentyfikowany fetor. Hawkwood nie potrafił go nazwać, choć wydawał mu się niepokojąco znajomy. Wszyscy wstali z krzeseł, by się przyjrzeć, jak Murad otwiera worek.

W środku było coś czarnego i błyszczącego.

Szlachcic wydobył pugnał i zamaszystym ruchem przeciął jutę. Na podłogę wysypało się coś, co w pierwszej chwili wyglądało jak fragmenty czarnej zbroi. Śmierdziało jednak tak okropnie, że wszyscy zaczęli kasłać i sięgnęli po chusteczki.

– Boże Wszechmogący! – zawołał Abeleyn.

– Nie, panie – poprawił go złowrogim tonem Murad. – To nie ma nic wspólnego z Bogiem.

– Jak udało się wam go złapać? – zapytał Hawkwood.

– Złowiliśmy go w kilwaterze tonącej karaweli. Jeden z marynarzy miał sieć. Wyciągnęliśmy więcej, wszystkie były martwe, jak ten, ale wyrzuciliśmy je za burtę. Zostawiliśmy tylko najładniejszy okaz.

W głosie Murada pobrzmiwała grubiańska, triumfalna nuta.

– To znaczy, że przynajmniej toną, jak normalne stworzenia – ucieszył się Rovero. – Co to za materiał, na Świętego? Z pewnością nie metal.

– To róg. – Abeleyn, zachowując mniejszą ostrożność niż pozostali, ukląkł przy martwym stworzeniu i przyglądał się mu uważnie, stukając w skorupę gałką sztyletu. – Jest ciężki. Za ciężki, by ten stwór mógł pływać. Spójrzcie na te szczypcy u końca górnych kończyn. Jak u gigantycznego homara. A kolce u stóp mogłyby przedziurawić drewno. Pomóż mi, kapitanie.

Zeglarz i król chwycili wspólnie segment pancerza, który można było uznać za hełm. Pociągnęli, głośno stękając, i rozległ się ostry trzask, a po nim przyprawiający o mdłości, mlaszczący dźwięk. Hełm oderwał się częściowo. Wszyscy znowu się rozkasłali od smrodu, który spod niego buchnął. Hawkwood pierwszy zdołał stłumić mdłości.

– A więc to jednak jest człowiek.

Wykrzywiona hebanowa twarz, wyszczerzone żółte zęby, podwinięte wargi i jasnobursztynowe oczy. Studium w kości, ścięgnach i wydatnych mięśniach, model anatomiczny.

– Człowiek – zgodził się z powątpiewaniem w głosie król Mark z Astaracu.

– Jeśli to są ludzie, inni ludzie mogą ich pokonać – oznajmił Abeleyn. – Odwagi, przyjaciele. Rovero, natychmiast zawiadom o tym załogę. Nasi wrogowie to zwyczajni ludzie w dziwacznych zbrojach, nie bezduszne demony.

– Tak jest, panie.

Rovero jeszcze raz obrzucił trupa niepewnym spojrzeniem i wyszedł z kajuty.

Hawkwood, Abeleyn, Murad i Mark gapili się na ociekające wodą ciało spoczywające u ich stóp.

– Nigdy jeszcze nie widziałem takiego człowieka – zauważył Hawkwood. – Nawet w Puncie nie mają aż tak czarnej skóry. Widzicie te kły? Są ostre jak u psa. Chyba spiłowane. Niektórzy korsarze robią to samo, żeby nadać sobie straszliwszy wygląd.

– Spójrzcie na oczy – mruknął Abeleyn. – On już jest w piekle. Widać to w jego oczach.

Wiedział, dokąd idzie.

Stali w pełnym niepewności milczeniu. Cierpienie uwidaczniające się w twarzy zabitego sparaliżowało wszystkich.

– Może i był człowiekiem, ale uczyniono mu coś straszliwego – stwierdził Mark bliskim szeptu tonem. – Ci czarnoksiężnicy... jak sądzicie, czy ich władca, Aruan, przybył tu osobiście?

Abeleyn potrząsnął głową.

– Golophin zawiadomił mnie, że Aruan nadal przebywa w Charibonie. Gromadzi siły.

– Ich flota...

– Jest już bardzo blisko. W ciągu ostatnich dziesięciu lat widziano ją tylko raz czy dwa, ale ona istnieje. Składa się ponoć z małych okrętów o łacińskim ożaglowaniu i tępo zakończonych dziobach. Są ich dziesiątki. Wypływają z mgły takiej jak ta. Już od z górą dwóch lat dokonują napadów na Wyspy Brenn. Porywają dzieci i znikają. Dziwne okręty o wysokich kasztelach na dziobie i rufie.

– Jak dawne kogi – zauważył Hawkwood.

– Aha, pewnie tak. Ale chodziło mi o to, że zbudowano je z myślą o abordażu. Nasze ciężkie działa mogą... mogą je utrzymać na dystans...

Głos króla ucichł. Wszyscy popatrzyli na siebie nawzajem. Jednocześnie nasunęła się im ta sama myśl. W takiej mgłę ciężkie działa były niemal zupełnie bezużyteczne. Nieprzyjacielski okręt będzie mógł odpłynąć prawie do samej ich burty, nim ktokolwiek zdoła go zauważyć.

– Jeśli w naszych żaglach nie ma wiatru, to samo musi dotyczyć ich żagli – zauważył Hawkwood. – Nic nie słyszałem o tym, żeby mieli galery, a nawet najzdolniejsi władcy pogody potrafią jedynie wpływać na określony obszar oceanu, a nie popychać wybrane okręty. Stoją w miejscu tak samo jak my, a te pokraki... – trącił trupa nogą – ...najwyraźniej nie umieją pływać. To dla nas dodatkowe błogosławieństwo.

Abeleyn poklepał go po ramieniu.

– Przywracasz mi wiarę, kapitanie. Potrzebujemy teraz zdrowego rozsądku żeglarzy, nie paranoi polityków. Możesz wrócić na pokład, do admirała. Wkrótce do was dołączymy.

Odprawiony Hawkwood opuścił kajutę, najpierw jednak wymienił lodowate spojrzenia z Muradem.

Abeleyn nakrył jutą twarz trupa i nalał sobie pełen kielich wina.

– Z chęcią zatrzymałbym to ciało, żeby Golophin mógł je zbadać, kiedy nas odwiedzi, ale obawiam się, że załoga nie byłaby zachwycona takim pomysłem. I ten smród! – Wypił wino. – Muradzie, zapomnijmy o formalnościach. Proszę cię o radę jako... – uniósł pusty kielich w ironicznym toaście – ...naczelnego dowódcy tej małej ekspedycji. Mamy zapasy na jeszcze miesiąc pobytu na morzu. Potem będziemy musieli wracać do Abrusio. Jeśli nieprzyjaciel nie zaatakuje nas dziś w nocy...

– Nie możemy nigdzie odpłynąć, dopóki trwa ta cisza – przerwał mu ostrym tonem Murad. – Panie, niewykluczone, że gdy my siedzimy ślepi i bezradni w tej dusznej mgłę, nieprzyjaciel mija nas, żeglując pod czystym niebem, gotowy zaatakować królestwo pozbawione najwaleczniejszych obrońców.

– Golophin ma sześć tysięcy ludzi w garnizonie Abrusio i dalsze dziesięć rozmieszczone wzdłuż wybrzeża – warknął Abeleyn.

– Ale to nie są nasi najlepsi ludzie, a on nie jest żołnierzem tylko magiem. Jest jak chorągiewka. Kto wie, w którą stronę się zwróci, jeśli zobaczy, że wiatr nam nie sprzyja?

– Nie waz się wątpić w lojalność Golophina, kuzynie. Bez niego ten sojusz z pewnością nie byłby możliwy.

– Niemniej jednak, panie – ciągnął Murad bez śladu zmieszania – wolałbym, żeby w Hebrionie dowodził żołnierz. Generał Mercado...

– Nie żyje już od dziesięciu lat. Widzę, do czego zmierzasz, kuzynie. Odpowiedź brzmi „nie”; Zostaniesz z flotą. Jesteś mi tutaj potrzebny.

Murad pokłonił się.

– Wybacz, kuzynie.

– Nie ma nic do wybaczenia. Nie sędzę też, by nieprzyjaciel miał nas ominąć.

– A to dlaczego, panie?

Król Mark z Astaracu, który właśnie nalewał sobie wina, odezwał się nagle. Jego twarz odzyskała częściowo kolor.

– Dlatego że w tym koszyku jest zbyt wiele dojrzałych królewskich jabłek do zerwania. Nieprawdaż, Abeleynie? Wisimy tutaj jak robak na końcu haczyka.

– Coś w tym rodzaju, kuzynie.

– Dlatego właśnie wypłynęliśmy z takim hukiem i pompą – zauważył z przekąsem Mark. – Poza wysłaniem pisemnego zaproszenia zrobiliśmy wszystko, co tylko możliwe, by przekonać nieprzyjaciela do spotkania z nami. Abeleynie, podziwiam twój spryt. Mam tylko nadzieję, że nie okażemy się zbyt sprytni. Kiedy ma się zjawić Golophin?

– Rano.

– Nie możesz go wezwać w żaden sposób?

– Nie. Jego chowaniec przebywa na wschodzie, z Corfe'em.

– Szkoda. Bez względu na twoje wątpliwości, Muradzie, czułbym się znacznie pewniej, gdyby staruszek był z nami. Choćby dlatego, że mógłby rozproszyć tę przeklętą mgłę albo przywołać wiatr.

– W twoich słowach jest sens, panie – przyznał Murad, okazując coś, co uchodziło u niego za pokorę. – Jeśli nieprzyjaciel wie cokolwiek o ruchach naszej floty, zaatakuje dziś w nocy, gdy żywioły mu sprzyjają. Muszę wracać na swój okręt.

– Nie wpadnij na nic po ciemku – ostrzegł go Abeleyn, ściskając mu dłoń.

– Jeśli tak się stanie, lepiej niech to nie będzie uczulone na stal. Żegnam was, wasze królewskie moście. Niech Bóg będzie z wami.

– Bóg – mruknął Abeleyn, gdy Murad wyszedł. – Co ma jeszcze Bóg wspólnego z tym wszystkim?

Ponownie napełnił kielichy winem i osuszył swój jednym haustem.

* * *

Noc trwała dalej. Obojętne gwiazdy przesuwały się po niebie, przesłonięte całunem mgły, która uwięziła flotę.

Choć to niewybaczalne, Hawkwood zapadł w drzemkę. Nagle się poderwał. W jego umyśle zapłonął niepokój. Gdy już odzyskał ostrość spojrzenia, ujrzał blask lampy wiszącej nieruchomo na kardanie, leżącą na stole mapę, na której przedstawiono znajomą linię brzegową Hebrionu, błyszczący cyrkiel, spoczywający tam, gdzie wypadł z jego bezwładnych palców. Kapitan spał tylko kilka minut, ale w tym czasie coś się wydarzyło. Wyczuwał to.

Gdy uniósł wzrok, zobaczył, że nie jest w kajucie sam.

W kącie, poza kręgiem światła, kryła się plama ciemności, przycupnięta pod niskimi belkami. Wydało mu się, że widzi dwa światła, które tam błysnęły. Potem mrok skupił się w sylwetkę człowieka. Na górze zabrzmiało osiem dzwonów, oznajmiając koniec nocnej wachty. Były cztery godziny po północy i na wschodzie, nad szczytami Hebrosu, wstawał już świt, który mknął teraz ku nim i miał tu dotrzeć za pół wachty. Nad Oceanem Zachodnim nadal jednak panowała ciemność.

– Cieszę się, że znowu cię widzę, Richardzie.

Hawkwood przechylił lampę i zobaczył stojącą w kącie postać spowitego w szaty Bardolina. Poderwał się gwałtownie. Lampa zakołysała się szaleńczo i kajutę wypełnił chaos tańczących cieni. Żeglarz skoczył w stronę gościa i złapał go za szerokie bary, ściskając ukryte pod czarnymi szatami ciało. Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech i mag odwzajemnił się mu tym samym. Objęli się, śmiejąc się głośno. Nagle jednak Hawkwood odsunął się od przybysza, jakby zaatakował go wąż. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Czego tu chcesz?

Jego dłoń powędrowała do pasa, ale wcześniej zdjął pendent, więc kordelas wisiał na oparciu krzesła.

– Dawno się nie widzieliśmy, kapitanie – odparł Bardolin. Gdy mag wyszedł na oświetloną przestrzeń, Hawkwood odsunął się od niego. – Proszę, Richardzie, daj mi chwilę. Nie wzywaj pomocy ani nie rób nic głupiego. Ile to już czasu, piętnaście lat?

– Coś koło tego.

– Pamiętam, jak szukaliśmy z Griellą *Rybołowa* w porcie starego Abrusio... – Po jego twarzy przebiegł spazm bólu. – A potem piłem brandy z Billerandem.

– Co się z tobą stało, Bardolinie? Co ci zrobili?

Mag uśmiechnął się.

– Jak bardzo świat się zmienił pod naszymi stopami. Nie powinienem był płynąć z tobą na zachód. Lepiej by było, gdyby spalili mnie w Hebronie. Ale to już tylko daremne żale. Nie możemy zmienić przeszłości ani stać się kimś innym niż jesteśmy.

Walące gwałtownie serce żeglarza uspokoiło się nieco. Jego dłoń powędrowała ukradkiem ku rękojęści kordelasa.

– Lepiej więc zrób to szybko.

– Nie przybyłem cię zabić, ty cholerny durniu. Chcę ci ofiarować życie. – Nagle znowu stał się dawnym Bardolinem. Zniknęła otaczająca go aura sennej groźby. – Jestem ci winien przynajmniej tyle. Z nich wszystkich tylko ty byłeś mi przyjacielem.

– I Golophin.

– Tak, on również. Ale to zupełnie inna sprawa. Hawkwood, weź szalupę, skif, czy co tam marynarze uważają za małą, pozbawioną znaczenia łódź, wskocz do niej i uciekaj od tej łajby i jej siostr daleko na otwarte morze, jeśli chcesz dożyć świtu.

– Co ma się wydarzyć?

– Wszyscy już jesteście trupami, a wasze okręty zatoneły. Uwierz mi, na miłość boską. Musisz uciekać od tej floty.

– Powiedz mi, Bardolinie.

Nagle jednak wróciło dziwne zubożenie. Hawkwood odniósł wrażenie, że to wcale nie Bardolin uśmiechnął się do niego.

– Co mam ci powiedzieć? Ze względu na starą przyjaźń zrobiłem co w mojej mocy, żeby cię ostrzec. Zawsze byłeś upartym durniem, kapitanie. Życzę ci szczęścia, a jeśli ono cię opuści, szybkiej i bezbolesnej śmierci.

Zniknął jak blask świecy w świetle słońca, ale Hawkwood zdążył jeszcze ujrzeć ból w jego oczach. Potem został sam w kajucie. Pot spływał mu strumieniami po plecach.

Wtem usłyszał huk dział i krzyki na pokładzie. Zrozumiał, że zaczęło się to, przed czym próbował go ostrzec Bardolin.

CZTERY

Szczyty Gór Cymbryckich pokrywał biały, nieustępliwy śnieg. Nad ich oślepiającym majestatem rozpościerało się niebo, błękitne jak grzbiet zimorodka. W powietrzu czuło się jednak wiosnę, nawet na tej wysokości, a wody u brzegów morza Tor pokrywał tylko ruchomy śryż, który otwierał się i zamykał wokół dziobów i ruf mknących po wodzie łodzi rybackich.

W Charibonie pospadały już z okapu katedry ostatnie, długie na jard sople, a ołowiany dach parował w promieniach słońca. Było słyszeć głosy mnichów śpiewających Sekstę. Kiedy skończą, wyjdą w szeregach i z powagą na twarzach skierują się do wielkich refektarzy klasztornego miasta na południowy posiłek. Spożywszy go, udadzą się do skryptoriów, bibliotek, ogrodów warzywnych bądź zielnych albo do kuźni, by wrócić do pracy, którą oferowali Bogu, podobnie jak pieśni. Te rytuały nie zmieniały się od stuleci i były podstawą klasztornego życia. Jednakże sam Charibon, siedziba pontyfika i ośrodek zachodniej nauki, zmienił się wielce od czasu schizmy sprzed osiemnastu lat.

Zawsze stacjonował tu wielki garnizon, ponieważ właśnie w Charibonie kwaterowali i szkolili się Rycerze-Bojownicy, świeckie ramię Kościoła. Teraz jednak mogło się zdawać, że stare, pozbawione ozdób miasto eksplodowało nagle chaosem nowych budynków. Wielkie połacie otaczającej gród równiny pokrywały teraz szeregi drewnianych chat oraz ziemianek. Łączyły je ze sobą nowe, wysypane żwirem drogi, tworzące rozciągającą się we wszystkich kierunkach pajęczynę. Prowadziły na zachód, do Almarku, na północ, do Finnmarku, na południe, do Perigraine, oraz na wschód, do Przesmyku Torrinu, gdzie Góry Cymbryckie i Thurian kończyły się nagle, tworząc lukę, korytarz, przez który od tysiącleci przechodziły armie najeźdźców.

Na placach apelowych zgromadziły się armie – najeżone bronią skupisko zakutych w zbroje mężczyzn. Niektórzy siedzieli na koniach i ściskali w rękach długie kopie, ozdobione powiewającymi na wietrze proporczykami. Inni byli piechurami i opierali na ramionach piki albo arkebuzy. Jeszcze inni kierowali lawetami transportującymi polowe działa o długich lufach, wymachiwali ubijakami, lontownicami i gąbkami oraz kierowali zaprzęgami mułów, ciągnących pobrzękujące dwukołowe lawety oraz wozy amunicyjne. Pieśni śpiewane przez mnichów w ich cichych klasztorach milkły tu, zagłuszone rytmicznym tupotem żołnierskich nóg oraz głuchym tętentem dziesięciu tysięcy koni. Nad szeregami powiewały chorągwie kilkunastu różnych królestw i księstw. Almarku, Perigraine, Gardiacu, Finnmarku, Fulku, Candelarii, Touronu, Tarberu. Charibon stał się teraz miejscem zakwaterowania armii i stolicą imperium.

* * *

Fimbriańskich posłów zakwaterowano w starym Pałacu Pontyfikalnym. Jego okna wychodziły na bibliotekę świętego Garaso oraz klasztor inicjantów. Dwunastu mężczyzn w znoszonych czarnych strojach pokonało w morderczym tempie góry Malvennoru oraz Wzgórza Nariańskie, a potem zeszło na równiny Tor, by odbyć rozmowy z pontyfikiem Himeriusem w Charibonie. Przeszli całe mile przez miasto, złożone z namiotów oraz zbudowanych z kłód chat, które wyrosło wokół klasztorów, spoglądając profesjonalnym okiem na zbrojownie, kuźnie i konie, na dyscyplinę obozującej tu potężnej armii oraz na niekończące się szeregi wozów, dostarczających zaopatrzenie z bogatych terenów rolniczych położonych na południu i zachodzie. Wszystkie one płaciły teraz daninę Charibonowi. Almarku i Perigraine nie zaliczano już w poczet Pięciu Królestw. Władali nimi himeriańscy prezbiterzy, kapłani-autokraci odpowiedzialni jedynie przed wielkim pontyfikiem, a król Cadamost ogolił głowę i został nowicjuszem zakonu inicjantów.

Minęło dwanaście lat, odkąd fimbriańscy elektorzy podpisali z Drugim Imperium Pakt Neyrski, w którym zobowiązali się do zachowania całkowitej neutralności w sprawach kontynentu poza

własnymi granicami. Wysłali armię na wschód, na odsiecz zaatakowanej przez Merduków Torunnie, i połowa żołnierzy zginęła, a druga zdezerterowała, przechodząc pod dowództwo nowego torunnańskiego króla. Położyło to brutalnie kres fimbriańskim marzeniom o odzyskaniu imperialnej hegemonii nad Normannią. Co jeszcze bardziej bolesne, w następnych latach najlepsi żołnierze elektoratów dezertowali wąskim, lecz stałym strumyczkiem, płynąc na wschód, by dołączyć do *tercios* króla Corfe'a oraz fimbriańskiego renegata, generała Formia. Torunnańskie zwycięstwa sprzed szesnastu lat wstrząsnęły elektoratami, z dawien dawna przekonanymi, że pozostałe zachodnie mocarstwa ustępują im wojskowym profesjonalizmem. Niejednorodna armia, którą Corfe powiódł do tak spektakularnych zwycięstw nad Merdukami, dała im wiele do myślenia. Torunnie byli aktualnie uważani za najlepszych żołnierzy na świecie – przynajmniej dopóki dowodził nimi obecny król. Ponadto stali się częścią Wielkiego Sojuszu, w skład którego wchodziły też Hebrion, Astarac, Gabrion, a nawet Ostrabar. Przeciwno tej konfederacji stanęła potęga Drugiego Imperium. Elektorzy dawno już postanowili, że zapomną o dumie i będą czekali na starcie tych dwóch tytanów. Dopiero gdy pył opadnie, nadejdzie czas, by Fimbria przypomniawszy o swych dawnych pretensjach do władzy nad kontynentem. Nie wcześniej – bez względu na to, jak mocno neutralność frustrowała, a nawet gniewała prostych żołnierzy, którzy gorąco pragnęli odzyskać sławę zdobywców Zachodu. Czasy zmieniały się tak szybko, że przyprawiało to o oszołomienie ludzi przyzwyczajonych do dwóch niezachwianych pewników: niepodzielności Świętego Kościoła oraz groźby ze strony pogańskiego Wschodu. Dlatego Fimbria postanowiła zrewidować swą dotychczasową politykę i przystosować się do nowego porządku świata.

– Moim zdaniem jest tu co najmniej trzydzieści tysięcy piechoty i dziesięć tysięcy konnicy – stwierdził Grall, spoglądając na różnobarwne znaczki leżące na stole.

Justus odwrócił się od okna, za którym było widać charibońskich wiernych wychodzących z katedry na plac. Niemal wszyscy duchowni nosili czerń. Tu i ówdzie dostrzegał obleczonego w brąz antylianina, ale wydawało się, że inicjanci niemal bez reszty wchłonęli wszystkie pozostałe zakony. Przynajmniej na tej połowie kontynentu.

– Są też inne obozy – zauważył Justus. – Dalej na wschód, bliżej przesmyku. U stóp Thurianu wybudowali fortece. Całkowita liczebność ich wojsk może być nawet o połowę wyższa.

– I to nie licząc garnizonów – wtrącił trzeci Fimbrianin odziany w strój czarny jak skrzydła kruka. Zajął miejsce obok kominka. – Nasz wywiad donosi, że utrzymują liczne kontyngenty w Vol Ephrir i w Alstadcie, a nawet daleko na zachodzie, w Fulku.

– Trudno to uznać za zaskoczenie – zgodził się Grall. – Mają do dyspozycji zasoby połowy kontynentu, a są jeszcze ci inni...

Zgarnął niecierpliwym gestem znaczki do skórzanego mieszka, krzywiąc twarz w grymasie niezadowolenia.

– To przede wszystkim o tych innych mieliśmy się czegoś dowiedzieć – przypomniał mu Justus. – Do walki z armiami złożonymi z ludzi możemy się przygotować. Ale jeśli choć połowa pogłosek jest prawdą...

– Jeśli połowa pogłosek jest prawdą, Drugie Imperium ma po swojej stronie zarówno Boga, jak i diabła – przerwał mu z chichotem Grall. – Moim zdaniem to tylko bajdy i zreżna propaganda.

Stojący przy kominku Fimbrianin był niższy i starszy od obu towarzyszy. Srebrne włosy miał krótko przystrzyżone, a twarz twardą i naznaczoną bliznami, jak rzeźbioną z drewna. Tylko oczy go zdradzały. Rozbłyły nagle jak dwa błękitne klejnoty.

– Jest w tym coś więcej. W Charibonie dzieją się dziwne rzeczy, i to już od pięciu, sześciu lat. Odkąd ten cały Aruan pojawił się znikąd i ni stąd, ni zowąd mianowano go wikariuszem generalnym,

jakby ten urząd stworzono specjalnie dla niego.

– A więc sądzisz, że to, co o nim mówią, to prawda, Briannonie? – zapytał z nutą drwiny w głosie Grall.

– Na świecie pełno jest dziwnych rzeczy. Ten Aruan otworzył drzwi Kościoła Himeriańskiego przed wszystkimi czarodziejami i czarownicami w Pięciu Królestwach. Zmienił diametralnie kurs, jakim Kościół podążał od pokoleń. Napływają do niego tłumnie, jakby był samym Ramusiem. Dlaczego to zrobił? Skąd przybył? I jakim jest człowiekiem? Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Teraz, nim zacznie się burza i będzie za późno.

Ktoś zapukał do drzwi komnaty. Do środka zajrzał mężczyzna, który mógłby być bratem każdego z w niej obecnych.

– Już czas, panie – powiedział. – Spodziewają się nas za parę chwil.

– Proszę bardzo – zgodził się Briannon. Wycofał się na chwilę do bocznej komnaty. Gdy po kilku minutach wrócił, z jego munduru zniknęła przynajmniej część brudu, a pierś miał przepasaną szkarłatną szarfą.

– Nie masz diademu? – zapytał z przekąsem Grall. Obaj z Justusem przypasali krótkie żelazne miecze i częściowo wytarli z butów błoto, lecz poza tym wyglądali tak samo, jak nocą, gdy doszli do Charibonu.

– Nie mam. Tak jak ustaliliśmy, jestem tu tylko marszałkiem Briannonem i nie mam nic wspólnego z elektorem, który przypadkowo nosi to samo imię.

* * *

Pontyfikalną Komnatę Audiencyjną zaprojektowano tak, by wywoływała u gości bojaźń. Przypominała katedralną nawę. Każdy suplikant, który pragnął audiencji u wielkiego pontyfika, musiał pokonać długą, onieśmielającą drogę ku ustawionemu na końcu sali podwyższeniu. Z obu stron trasy w masywnych murach znajdowały się nisze, a w każdej z nich stał Rycerz-Bojownik w pełnej zbroi, nieruchomy niczym posąg, ale śledzący uważnie wszelki ruch.

Himerius zasiadał na wielkim tronie, a u jego boków stali wikariusz generalny i prezbiter rycerzy. Inni mnisi byli czarnymi cieniami widocznymi w tle. Było słyszeć ich szepty oraz skrzypienie gęsich piór na papierze. Choć na dworze był pogodny wiosenny dzień, a przez wysokie okna w kopulastym sklepieniu napływał do środka słoneczny blask, wokół podwyższenia żarzyły się piecyki koksowe, a samo podium otoczono zdobnie rzeźbionymi parawanami z drewna. Dzięki temu wydawało się, że Himeriusa i jego doradców spowijają cienie oraz blask ognia. Z drugiego końca oszałamiająco długiej sali trudno było ich w tym mroku wypatrzeć.

Dwunastu Fimbrian maszerowało z powagą na twarzach w jego stronę. Miecze zostawili w przedpokoju i dłonie mieli puste, lecz mimo to z jakiegoś powodu wydawali się groźniejsi od zakutych w ciężkie zbroje rycerzy, których mijali.

Zatrzymali się przed podwyższeniem i pochłonął ich otaczający Himeriusa cień.

Grall słuchał jednym uchem początku rozmowy, ale uwagę skupił głównie na mężczyznach, których miał przed sobą. Himerius był stary – dobrze po siedemdziesiątce – a jego ciało sprawiało wrażenie wyschniętego. Niemal całkowicie ginęło w bogatych szatach, które je spowijały. Oczy jednak błyszczały mu jak u drapieżnego ptaka, a w wychudłej twarzy barwy kości słoniowej wciąż dostrzegało się oznaki witalności.

Po jego prawej stronie stał wysoki mężczyzna spowity w inicjancką czerń. Na szyi nosił łańcuch symbolizujący godność wikariusza. Był łysy jak mnich, ale sprawiał wrażenie potężnego szlachcica. Miał orli nos, przyćmiewający nawet nos Himeriusa, krzaczaste, szerokie brwi oraz głęboko osadzone oczy rzucające błyski. Wyglądał na cudzoziemca, jakby pochodził ze Wschodu. Być może z

powodu wysoko osadzonych, okrutnie zarysowanych kości policzkowych. Otaczająca go władcza aura zrobiła wrażenie nawet na Grallu.

To był Aruan z Garmidalanu, wikariusz generalny Zakonu Inicjantów. Niektórzy utrzymywali, że to właśnie on sprawuje prawdziwą władzę w Kościele Himeriańskim. Z pewnością był szarą eminencją, a otaczająca go tajemnica wywoływała spekulacje we wszystkich królestwach Normanii.

Człowiek stojący po lewej stronie Himeriusa wyglądał zupełnie inaczej. Był barczystym żołnierzem o gładko wygolonej głowie, odzianym w półpancerz. Miał złamany nos, a na czole bliznę po długotrwałym noszeniu hełmu. Mógł mieć sześćdziesiąt parę lat, ale wyglądał zdrowo i groźnie, jak fimbriański instruktor musztry w stopniu sierżanta. W jego oczach błyszczała jednak inteligencja i gdy Grall w nie spojrzał, poczuł, że poddano go ocenie, a potem, gdy spojrzenie przesunęło się dalej, zapomniano o nim. Ten człowiek brał udział w bitwach i przelewał krew. Niemal wyczuwało się otaczający go zapach przemocy. To był Bardolin z Carreiridy, prezbiter Rycerzy-Bojowników – kolejna zagadka. Był ongiś magiem, uczniem wielkiego Golophina z Hebrionu, ale zwrócił się przeciwko swemu mistrzowi i wchodził teraz w skład triumwiratu sprawującego władzę w Charibonie.

– ...widok przedstawicieli elektoratów zawsze sprawia nam w Charibonie przyjemność. Ufamy, że kwatery przypadły wam do gustu, i że podczas waszej wizyty będziemy mieli czas, by omówić różne ważne kwestie dotyczące obu naszych władztw. Tak zwany Wielki Sojusz już od wielu lat był na naszym kontynencie groźną, agresywną siłą. Jego ziemie graniczą z oboma naszymi państwami, a w ostatnich latach jego groźby stawały się coraz bardziej realne. Dlatego jestem przekonany, że musimy wspólnie ustalić, w jaki sposób możemy powstrzymać jego ambicje.

To był Himerius. Jego starczy głos, odbijający się echem od masywnych belek sklepienia, brzmiał zaskakująco czysto i dźwięcznie.

– Elektoraty wykazały się godną podziwu powściągliwością, biorąc pod uwagę, jak wielu nieprzyjaznych aktów dopuścił się wobec nich sojusz, tutaj jednak, w Charibonie, który jest stolicą Prawdziwej Wiary, uważamy, że być może nadeszła już pora, by Fimbria i Imperium sprzymierzyły się przeciwko agresorom. Na świecie doszło do nieodwracalnego podziału. Ku naszemu wielkiemu smutkowi, doradcy mówią nam, że wojna może nadejść już niedługo, bez względu na nasze wysiłki zmierzające ku jej powstrzymaniu. Antypontyfik Albrec Bez Twarzy i jego dobroczyńca, krwawy uzurpator Corfe z Torunny, nie wspominając już o obmierzłych poganach, którzy splugawili święte miasto Aekir, gromadzą wojska u naszych wschodnich granic. Natomiast na zachodzie Hebrion, Gabrion i Astarac, również działające w zмовie z Merdukami, blokują nasze wybrzeża i tłumią handel. Dlatego, marszałku, modlimy się, by wasze poselstwo doprowadziło do zawarcia porozumienia w sprawie nadchodzącej wojny, która, z bożym błogosławieństwem, na zawsze zetrze herezję Albreca z naszych brzegów i położy kres ohydnyemu widowisku, jakie tworzą ramusianie i Merducy modlący się razem – w tej samej świątyni, przy tym samym ołtarzu! – jak ponoć dzieje się w tej jaskini niegodziwości, jaką stał się Torunn.

Grall zamrugał, zaskoczony. Jak na dyplomatyczne oświadczenie, te słowa były subtelne niczym kopniak onagra. Miał ochotę zerknąć na Briannona, by się przekonać, jak elektor przyjął tę przemowę... nie, to żądanie... ale się powstrzymał. Wpatrywał się przed siebie z twarzą pozbawioną wyrazu jak kawał drewna.

– Wasza Świątobliwość wygłosił wiele nadzwyczaj celnych uwag – odparł Briannon. W porównaniu z melodyjnym głosem Himeriusa jego głos wydawał się twardy jak bazalt. – W gruncie rzeczy było ich zbyt wiele, bym mógł w tej chwili odpowiedzieć na wszystkie. Jak wam wiadomo,

fimbriańskich poselstw nigdy nie wysyła się bez istotnego powodu. Sama nasza obecność świadczy, że podzielamy wasze zaniepokojenie obecnym stanem rzeczy na naszych granicach. Mogę wam też wyjawić, że przyznano mi uprawnienia do wypowiedzenia wszelkich traktatów zawartych da tej pory przez elektoraty bądź też podpisania nowych. Pakt Neyrski, gwarantujący neutralność elektoratów we wszelkich toczonych przez Drugie Imperium wojnach, służył nam dobrze przez dwanaście lat. Czasy się jednak zmieniają i raduję się na myśl, że obaj mamy w tej sprawie takie samo zdanie, Wasza Świątobliwość.

Himerius naprawdę się uśmiechnął.

– W takim razie zrobmy przerwę na kolację, mój drogi marszałku. Być może potem będziemy mogli się spotkać nieformalnie, by zbadać nowe możliwości, które ujrzały światło dzienne dzięki temu nowemu stanowi rzeczy.

Briannon pokłonił się lekko.

– Jestem do dyspozycji Waszej Świątobliwości.

* * *

– Myślałem, że Himerius okaże się zręcznym negocjatorem – wyznał Justus. – A tymczasem ten stary sęp oznajmił niemal prosto z mostu, że jesteśmy albo z nim, albo przeciwko niemu.

– To nie były jego słowa – poprawił go Briannon. – Himerius jest tylko marionetką.

Rozmawiamy z tym Aruanem, z nikim innym, a on jest tak pewien swej siły, że wydaje mu się, iż może rozkazywać elektoratom.

– Cóż więc zrobimy? – zapytał zniecierpliwiony Grall. – Czy mamy zawrzeć sojusz z tymi kapłanami i czarnoksiężnikami?

Briannon obrzucił go zimnym spojrzeniem.

– Zrobimy to co najlepsze dla naszego ludu, choćbyśmy nawet musieli w tym celu sprzymierzyć się z samym diabłem.

Trzej ubrani na czarno mężczyźni wrócili na kwaterę, nie odzywając się już ani słowem. Grall myślał o swym kuzynie, Silusie, który przed niespełna trzema tygodniami zdezerterował do Torunny. Powiedział wówczas z goryczą, że chce służyć pod rozkazami żołnierza. Jedyne prawdziwego żołnierza, jaki pozostał na Zachodzie.

* * *

Gdy drzwi zatrzasnęły się z hukiem za Fimbrianami, trzej przebywający na podwyższeniu ludzie ożywili się wyraźnie.

– Byliśmy zbyt otwarci – stwierdził z niezadowoleniem Himerius. – Panie, nikt na świecie nie ma twardszych karków niż ci Fimbrianie. W rozmowach z nimi potrzebna jest ostrożność, uprzejmość i pochlebstwa.

– Oni tylko to wszystko tolerują, ale wcale tego nie lubią – sprzeciwił się Aruan. – Poza tym to tacy sami ludzie, jak inni, i boją się tego, co może przynieść przyszłość. Nasz przyjaciel Briannon to w rzeczywistości ten sam Briannon, który jest elektorem Neyru. Gdyby Fimbrianie zapomnieli o dzielących ich różnicach i postanowili znowu obwołać kogoś cesarzem, to właśnie on przywdziałby cesarską purpurę. Nie przybył tu dla przyjemności. Jestem przekonany, że podpiszą nowy traktat. Zapewniam was, że będziemy mieli w naszej armii fimbriańskich pikinierów. Być może nie od razu, ale gdy już Hebrion i Astarac upadną, zrozumieją, w którą stronę wieje wiatr.

– Nie lubią nas – zauważył Bardolin. – Woleliby służyć pod rozkazami króla Corfe'a. On jest żołnierzem.

– Woleliby służyć tylko pod własnymi rozkazami. Niemniej jednak prości żołnierze zrobią, co im się każe. W końcu od tego są. – Aruan uśmiechnął się. – Mój drogi Bardolinie, ostatnio bardzo wiele

wędrowałeś. Czasami żałuję, że wtajemniczyłem cię w arkana Ósmej Dyscypliny. Czyżbym słyszał w twych słowach sympatię dla tego króla-żołnierza?

Bardolin spojrział w jastrzębie oczy Aruana i nie wzdrygnął się.

– To największy wódz naszej epoki. Większość fimbriańskich żołnierzy może się podporządkować rozkazom, ale w ciągu minionych piętnastu lat tysiące z nich uciekło pod jego sztandary. Każą się nazywać „Sierotami”. To fanatycy. Spotkałem ich na polu bitwy i wiem, że są straszliwymi przeciwnikami.

– Ach, bitwa w Przesmyku Torrinu – przypomniał sobie Aruan. – Ale to była tylko drobna potyczka i od owego czasu minęło już prawie dziesięć lat. Teraz mamy własnych fanatyków, Bardolinie, i oni śmieją się z pik, bez względu na to, kto trzyma je w rękach. Mam rację, dzieci?

Stojący w cieniu mnisi unieśli głowy. Kaptury opadły, odsłaniając zaślinione pyski bestii. Z otwartych paszcz popłynęło wycie i bełkot. Potem podeszli na czterech łapach do Aruana, by łąsić się u jego stóp. Ich żółte oczy lśniły w migotliwym blasku piecyków.

PIĘĆ

Najpierw rozległ się dźwięk, brzmiący jak bicie tysiąca serc. Wyczerpani marynarze i żołnierze wyrwali się z drzemki, w którą zapadli, i stanęli na pokładzie, wpatrując się ze strachem we mgłę. Ich dowódcy również nic nie widzieli. Król Abeleyn stał na pokładzie rufówki pośród gęstej jak zupa mgły, której wielkie rufowe latarnie *Pontifidad* nadawały złocistą barwę. Na trapach śródokręcia było widać marynarzy zastępujących w zamkach arkebuzów wypalone wolnopalne lonty, a na wszystkich pokładach artylerzyści ocierali twarze, spluwali w dłonie i spoglądali na siebie bez słowa. Hałas otaczał ich ze wszystkich stron, z każdą chwilą przybierając na sile. Za godzinę miał nadejść świt, ale nie ulegało wątpliwości, że wcześniej zjawi się coś innego.

Admirał Rovero rozkazał artylerzystom obsługującym dwufuntówki pozostać na górze, choć byli teraz izolowanymi wysepkami, otoczonymi nieprzeniknionym morzem szarości. Z góry dobiegały krzyki dezorientowanych ludzi. Potem zabrzmiała nagła, bezładna salwa małych działek. Na pokład posypały się fragmenty lin i drewna, zestrzelone z rej.

– Zaczęło się – zauważył Abeleyn.

– Sierzancie Miro! – ryknął Rovero. – Wejdz z grupą ludzi na wanty i sprawdź, co się tam dzieje. Hej, ty – dodał trochę ciszej, zwracając się do podoficera żandarmerii. – Idź po kapitana Hawkwooda.

Ogień z każdą chwilą stawał się intensywniejszy. Miro i jego podkomendni odłożyli arkebuzy i weszli na wanty, znikając we mgle. Stojący na zatłoczonych pokładach ludzie spojrzeli w górę ze strachem i zdumieniem, gdy gęsty opar zatańczył w szalonych wirach i głosy ich towarzyszy przerodziły się w krzyki bólu. Na uniesione twarze spadł ciepły deszcz. Z gardeł wyrwały się nieartykułowane krzyki, gdy mężczyźni uświadomili sobie, że to krew. Nagle jedno, dwa, trzy, więcej ciał wyleciało z mgły, łamiąc po drodze drzewca i odbijając się od lin, a potem spadło w tłum stojących na dole marynarzy, tworząc na pokładzie szkarłatne plamy, albo utonęło w czarnym morzu. Salwy działek przeszły w bezładne staccato pojedynczych strzałów. Ludzie na dole pochyłali się i odskakiwali na boki, gdy z niewidocznych rej posypały się jeszcze straszliwsze szczątki: kończyny, wnętrzności, głowy, ciepłe strumienie krwi. W górze wciąż słychać było szemrzący werbel, przebijający się przez strzały i krzyki konających.

Hawkwood podszedł do stojących na pokładzie rufówki Abeleyna i Marka. Twarz miał popielatą i dyszał ciężko.

– Co tu się dzieje, do diabła?

Nikt mu nie odpowiedział. Strzały na rejach umilkły już niemal całkowicie, ale krzyki było słychać nadal. I nagle z mgły wychynęli ludzie, którzy schodzili na dół po linach. Zsuwali się po baksztagach tak szybko, że wydawało się, iż muszą sobie poparzyć dłonie. To Abeleyn pierwszy wyrwał się z sennego paraliżu, który ogarnął wszystkich na pokładzie.

– Żołnierze, salwa w górę! Chorąży Gerrolvo, zapanuj nad ludźmi, do licha! Wszyscy, wszyscy przygotować się do odparcia abordażu! Sierzancie, wydaj kordelasy.

Czar prysł. Wydane rozkazy nadały koszarowi sens i ludzie wykonali je szybko i sprawnie. W stronę kłębiącej się mgły, zaczynającej się dziesięć stóp nad ich głowami, pomknęła salwa z arkebuzów. Pozostali marynarze popędzili ku beczkom na broń po narzędzia przydatne w walce z bliska, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że ciężkie działa są bezużyteczne w walce z atakującym okręt wrogiem.

Stojący na pokładzie rufówki, obok Abeleyna, Hawkwood wyciągnął kordelas, tłumiąc powodującą podchodzące do gardła mdłości panikę. Mało brakowało, by wspomniał hebrionowskiemu królowi o wizycie Bardolina, przełknął jednak te słowa. „Wszyscy już jesteście trupami”. Zapewne i

tak było za późno.

Admirał Rovero stał na śródkręciu i kierował ludzi na stanowiska bojowe, odkopując na bok okaleczone trupy walające się po pokładzie. Nagle zatrzymał żołnierza piechoty morskiej o oszalałym spojrzeniu, którego ręka wyglądała na odgryzioną w nadgarstku. Mężczyzna gapił się na krwawiący obficie kikut, jakby należał on do kogoś innego.

– Miro, wesliście na grotmaszt, prawda? Co tam się dzieje, na Boga?

– To demony – odparł z szaleństwem w głosie żołnierz. – Żółtookie diabły. Mają skrzydła, admirale. Na górze nie ma już nikogo żywego.

Miro był w głębokim szoku. Zdziwiony admirał potrząsnął nim gniewnie.

– Zejdź pod pokład, do izby chorych. Hej, ty, Grode, pomóż mu. Do broni, skurwysyny.

Pamiętajcie, kim jesteście!

W otaczającej ich ze wszystkich stron mgłę było widać czerwone błyski strzałów z broni ręcznej. Po krótkiej chwili rozbrzmiewał stłumiony huk odległych salw, przebijający się przez krzyki. Inne okręty również zaatakowano.

Stojących przy relingu rufowym Abeleyna, Marka i Hawkwooda otoczyła grupa osobistych strażników, hebrionskich i astarańskich. Wszyscy trzymali w rękach miecze. Mieli półpancerze oraz otwarte hełmy. Rozglądali się wokół z determinacją i oszołomieniem na twarzach. Z mgły nad nimi wynurzyło się coś, co rozbłysło szafranowym blaskiem w świetle rufowych latarni, i uderzyło z całym impetem w ich szeregi. Ludzie posypali się na pokład jak kręgle. Jeden z nich wyleciał przez reling i wpadł bezgłośnie do morza. W zbroi pójdzie na dno jak kamień. Stojący pośród chaosu poruszających się bezładnie rąk i nóg oraz przecinających bezsilnie powietrze mieczy Hawkwood widział przez chwilę skrzydlatą postać. Stwór był nieopierzony niczym wąż, miał straszliwe szpony oraz długi, łysy ogon, jak u monstualnego szczura. Potem bestia zniknęła, pozostawiając po sobie wiry w poruszonej skrzydłami mgłę.

Na całym okręcie ludzie walczyli z atakującymi ich z góry przeciwnikami. Dziesiątki, setki stworów wypadały z mgły, rozszarpując żołnierzy i marynarzy na strzępy straszliwymi szponami, a potem znikwały znowu. Żandarmi obsadzili działka na pokładzie rufowym i strzelali na oślep. Śmiercionośne kaskady metalu przeszywały powietrze. Przecięte szrapnelami liny spadały ze świstem na walczących na dole ludzi, fragmenty wielokrążków i talii rozbijały im czaszki, dodatkowo powiększając liczbę ofiar. Hawkwood zauważył, jak trzydziestostopowy kawał drewna wzmocniony żelazem – z pewnością grotbramreja – runął w dół niczym kometa, ciągnąc za sobą olinowanie i talie. Drzewce przebiło pokład i zniknęło pod nim, wlokąc za sobą dwóch artylerzystów, którzy zaplątali się w liny. Ostre drzazgi w otworze rozszarpały ich ciała na strzępy.

– Rozbijają okręt od góry! – zawołał Hawkwood. – Nasi ludzie muszą wrócić na maszty. Inaczej nas unieruchomią.

Pobiegł ku drabince. Za jego plecami dwaj królowie pomagali podnieść się z pokładu swym zakutym w ciężkie półpancerze strażnikom. Z góry opadło kolejne skrzydlate monstrum. Hawkwood ciął je żelaznym kordelasem, odrąbując jeden z wielkich szponów. Bestia uderzyła całym impetem w reling rufowy, wymachując śmierzdzącymi, skórzastymi skrzydłami. Sześciostopowa latarnia wisząca nad nią zadrżała pod wpływem wstrząsu, zakołysała się, a potem spadła na pokład, eksplodując ogniem. Płonący olej trysnął na wszystkie strony. Płomienie ogarnęły króla Astaracu, który w jednej chwili przerodził się w gorejącą żagiew. Otaczających go strażników spotkał ten sam los. Piekli się wszyscy w swych zbrojach. Niektórzy wyskoczyli za burtę. Mark usiłował zgasić ogień, ale ten ogarnął chciwie jego ciało, zwęglałając skórę, trawiąc włosy i pochłaniając szaty. Oszołomiony Hawkwood, którego również zaatakowały płomienie, ujrzał, jak astarański monarcha zdiera sobie

skórę z twarzy w straszliwej agonii. Abeleyn usiłował zgasić ogień płaszczem, ale ten również się palił. Jeden z hebrionskich żołnierzy odciągnął króla do tyłu i położył się na nim, tłumiąc płomienie, które zdążyły już liźnąć jego rękawy i włosy. Hawkwood przetoczył się po pokładzie, gasząc płonące kropelki ognia na własnym ubraniu.

– Brygada przeciwpożarowa! – zawołał. – Brygada przeciwpożarowa na rufę!

Skóra schodziła mu z grzbietów dłoni równymi płatami. Gapił się na to jak zahipnotyzowany.

Rufa stanęła w płomieniach. Zapaliła się smoła w szczelinach desek oraz w impregnowanych baksztagach. Gdy żar dotarł do drugiej rufowej latarni, ta eksplodowała, tryskając płonącym olejem aż na pokład rufowy. Po chwili piekło dotarło do rarogów na pokładzie rufówki. Działa wystrzeliły jedno po drugim, odskakując do tyłu na płonących lawetach. Stojące obok nich ładunki prochowe również eksplodowały z hukiem przypominającym serię armatnich salw. W nadbudowie *Pontifidad* pojawiły się wielkie, nierówne otwory. Grube belki tworzące szkielet i ozebrowanie okrętu pofrunęły w powietrze niczym gałązki. Towarzyszyły im płonące strzępy ludzkich ciał. Okręt jęknął jak zraniona bestia. Potem rozległ się ogłuszający trzask. To bezanmaszt złamał się i przewrócił, rwąc po drodze wanty i sztagi. Maszt runął na lewą burtę, druzgocząc ją doszczętnie. Żaglowiec zaczął się przechylać.

Podmuch wybuchów zrzucił Hawkwooda z płonącego pokładu rufówki. Huk go ogłuszył i to, na co patrzył, stało się dla niego surrealistycznym, bezgłośnym koszmarem. Miał wrażenie, że wszystko to spotyka kogoś innego. Podniósł się ze stosu fragmentów drewna i lin. Wszędzie wokół ludzie walczyli z ogniem, podając sobie żałośnie niewystarczające do jego ugaszenia wiadra z wodą, atakowali latające cienie mieczami, strzelali do nich albo odciągali od ognia rannych towarzyszy. Na pokładzie panował chaos, który jednak nie przerodził się jeszcze w panikę.

To już było coś.

Król. Gdzie był król?

Rovero złapał go za ramię i coś do niego krzyczał, ale Hawkwood nie mógł rozróżnić słów. Połowa twarzy admirała przerodziła się w spaloną, pokrytą pęcherzami ranę. Żeglarz pochylił się, widząc, że kolejne skrzydlate monstrum nurkuje nad pokładem. Poczul nagłe szarpnięcie, gdy bestia porwała admirała. Złapał go za rękę, ale przewrócił się na plecy, gdy ta mu się wyrwała. Po chwili na pokład runęło zdekapitowane ciało Rovera. Hawkwood gapił się na to z przerażeniem w oczach.

Stwory unosiły walczących ludzi i zrzucały ich w dół z rozszarpanymi gardłami. Sierżant piechoty morskiej walczył nieustępliwie piętnaście stóp nad pokładem, wbijając palce w ślepią napastnika. Nieopierzone skrzydła bezsilnie tłukły powietrze. Marynarze łapali swych dręczycieli za długie ogony i ściągali na pokład, gdzie ich towarzysze rąbali je na kawałki. Bestii były jednak setki. Zlatywały się jak muchy i do żywych, i do martwych, siały zniszczenie, nie dbając o własne życie.

Hawkwood nie czuł strachu. Jego osłupiały umysł podjął serię decyzji. Żeglarz złapał za stalowy marszpikiel z kołkownicy przymasztowej i dźgnął nim z całej siły skrzydlatego stwora, który przysiadł na zdruzgotanym pokładzie, pożerając krzyżącego żołnierza. Bestia wyprostowała się i zwała go z nóg, tłukąc skrzydłami w paroksyzmie bólu. Wyczołgał się spod niej i uklęknął na jej piersi, unieruchamiając skrzydła. Stwór splunął na niego. Miał ludzką twarz, ale oczy żółte jak u kota i kły długie jak palce Hawkwooda. Żeglarzem zawładnęły gniew i obrzydzenie. Okładał to oblicze nagimi pięściami, aż popękały mu kostki dłoni, a oczy bestii wypłynęły z oczodołów.

Wstrząsnęła nim bezgłośna eksplozja. Oparzył go gorący podmuch. Hawkwood podźwignął się ciężko. Zaczynał słyszeć dźwięki, ale wszystkie tłumił przenikliwy szum wypełniający mu czaszkę. Koło sterowe i szafka kompasowa stały w płomieniach. Zniknęły szeregi ludzi z wiadrami. Nigdzie nie było widać króla Abeleyna ani jego strażników. Na pokładzie zapanował całkowity chaos.

Ludzie walczyli o przetrwanie, odpierając ataki wroga wszystkim, co wpadło im w dłonie. Żołnierze nie mieli czasu ładować arkebuzów. Uderzali nimi jak maczugami. Wtem Hawkwood usłyszał krzyki rozpacz, przebijające się przez szum w jego uszach. Zobaczył, że ludzie pokazują sobie coś rękoma i się odwrócił.

Przez relingi przełaziły hordy podobnych do chrząszczy wojowników, takich samych jak ci, którzy zatonęli razem z karawelą. Ich szczypcy szybko się rozprawiły z siatką przeciwbordażową, a wyposażone w kolce stopy ułatwiały włożenie na pokład z nadnaturalną szybkością. Hawkwood wyjrzał za burtę i zobaczył gęste skupisko łodzi. Rzucano z nich w górę dziesiątki haków. Nagle *Pontifidad* przechyliła się na prawą burtę i żeglarz zsunął się w dół. Podążyła za nim gęsta masa ludzi, padających z nóg i toczących się po szczątkach towarzyszy. Jakiś marynarz wypadł z luku i nadział się na złamane drzewce, które przeszyło go na wylot. Zdumiony tym nieszczęśnik wiał się z bólu, ściskając w rękach sterczący mu z brzucha, owinięty niebieskimi trzewiami pał.

Tłumy chrząszczopodobnych wojowników zalały pokłady *Pontifidad* niczym karaluchy oblażące wielkiego, gnijącego trupa. Dla przebywających na pokładzie ludzi nie było ratunku. Wszyscy popędzili w stronę luków. Tłum poniósł Hawkwooda ku zejściówce prowadzącej na pokład rufowy. Kapitan padł na kolana, przewrócony przez spanikowanych marynarzy, ale rozepchnął się łokciami i zdołał wstać. Zszedł z innymi na dół, pogrążony w oszołomieniu, ale zatrzymał się u podstawy zejściówki i rozejrzał wokół.

Na środkowych pokładach nadal paliły się latarnie, choć zwisały teraz pod kątem, bo okręt się przechylił. Było gorąco i duszno. Hawkwooda piekły od dymu oczy, a jego piersią wstrząsał kaszel. Kapitan otworzył drzwi do oficerskich kajut na rufie, lecz na spotkanie wyszła mu chciwa eksplozja płomieni, która przypiekła mu twarz i osmałiła brwi. Z pewnością nie było tam nikogo żywego. Żeglarz zatrzasnął dymiące drzwi i ruszył naprzód. Nie myślał o niczym poza ucieczką przed pożarem szalejącym na dole i rzezią trwającą na górze.

Mijał grupki rannych, którzy dowlekli się na dół, żeby tu skonać. Ślizgał się na ich krwi, bo okręt pochylał się coraz bardziej. Musieli w jakiś sposób przedziurawić kadłub poniżej linii wodnej. Potem przestrzeń między pokładami rozszerzyła się, przechodząc w środkowy pokład działowy. Hawkwood znalazł się w centrum mrocznego koszmaru rozświetlanego jedynie przez okrętowe lampy. Tłoczyli się tam spanikowani ludzie, strzelający beładnie z potężnych dział. Teraz przynajmniej mieli jakiś cel, ale kąt celowania był zbyt duży i pociski przelatywały nad nieprzyjacielskimi łodziami przyczepionymi hakami do burty *Pontifidad*. Hawkwood zawołał do nich, żeby pochyłili lufy, a gdy popatrzyli nań bez zrozumienia, złapał za łom i, używając go jako dźwigni, uniósł najbliższego raroga tak, że wylot lufy skierował się w dół. Armata była naładowana i Hawkwood z dziką radością wepchnął w otwór płonący lont. Działo odskoczyło z hukiem do tyłu, a za burtą trysnęły w górę połamane deski.

Jednakże za furta armatnią było już widać połyskliwą masę wrogów. Ich szczypcy z łatwością rozprawiły się z drewnem. Hawkwood walił w nich łomem, ale włązili już do środka przez wszystkie otwory na pokładzie. Ludzie porzucili działa i stanęli do walki wręcz, pochylając się nisko pod belkami. Wyglądało to jak bitwa toczona głęboko pod ziemią, w komorze kopalni.

Fragment pokładu w pobliżu głównego luku nad ich głowami zawalił się nagle. Płonące drewno runęło z impetem lawiny na broniących się ludzi. Razem z nim spadał nieprzyjaciel. Chrząszczopodobni wojownicy przetaczali się niczym kule, wstawali i przystępowali do walki niemal bez chwili przerwy. Straszliwe szczypcy ucinęły ludziom kończyny, a czarne zbroje stworów można było przebić jedynie w spoinach. Artylerzyści zostali zmuszeni do odwrotu. Hawkwood próbował poderwać ich do ataku, lecz jego głos nie mógł się przebić przez tumult. Ponownie ruszył

naprzód, pochylając się pod belkami. Ujrzał przed sobą kolejny luk prowadzący w dół i wszedł do niego, niesiony przez tłum przerażonych ludzi, zmierzających do tego samego celu.

Najniższy pokład. Byli już poniżej linii wody, blisko ładowni.

Zginę tu, pomyślał Hawkwood. Gdy załogę spychano poniżej stanowisk dział, było już po niej.

Wokół jego kostek pluskała woda. Nieprzyjaciel zdołał przedziurawić kadłub, atakując zarówno z wody, jak i z powietrza. *Pontifidad* tonęła, a gdy w końcu podda się bezlitosnym falom, zabierze ze sobą setki ludzi. Stanowiła dumę Hebrionu. Trudno było pojąć, że taki okręt może spotkać zagłada, i to nie od dział albo sztormu, ale... właściwie od czego?

Poparzone dłonie piekły go straszliwie. Hawkwood usunął się chwiejnym krokiem z drogi uciekającego przez luk tłumy i przewrócił na bok. Słona woda dodatkowo zwiększyła jego cierpienia. Wczołgał się za jedną z wielkich drewnianych węzłówek podtrzymujących pokładowe belki i tam się zatrzymał. Poziom wody szybko się podnosił.

Okręt zadrżał z głuchym łoskotem. Ludzie na dole krzyknęli rozpaczliwie, wiedząc, że zguba jest już blisko. Potem rozległ się ogłuszający trzask i w kadłubie pojawiło się wielkie pęknięcie. Do środka trysnęły bryzgi wody. Hawkwood miał wrażenie, że ujrzał przelotnie w otworze wielki czarny pysk.

Woda podnosiła się niewiarygodnie szybko, wpadając przez szeroką na jakieś osiem stóp wyrwę. Ludzie uciekali rozpaczliwie na górę, ku tym samym lukom, z których przed chwilą wyszli. Okręt przechylił się jeszcze bardziej na prawą burtę z jękiem przeciążonego drewna. Hawkwood ześliznął się ku wyłomowi i pokryła go piana. Potem wzburzona woda go wciągnęła. Wyteżył wzrok i ujrzał przed sobą połamane fragmenty kadłuba. Za nimi była ciemność. Obdartymi ze skóry dłońmi uczeplił się desek i wspiał na nie, walcząc ze strumieniem wody. Drzazgi orały mu brzuch i uda. Wreszcie zawirował swobodnie w otwartej wodzie. Chaotyczna turbulencja ciągnęła go w dół. Walczył z nią, wiedząc, że okręt idzie na dno i próbuje go zabrać ze sobą. Poczul uderzenie w czoło. Odnosił wrażenie, że jego płuca zmieniły się w dwa pełne węgielków worki, w każdej chwili gotowe eksplodować. Tułowiem Hawkwooda targały konwulsje, zrodzone z pragnienia zaczerpnięcia powietrza, wody, czegokolwiek. Pohamował jednak ten odruch, wciąż płynąc w górę. Przed oczyma miał czerwień. Obnażył zęby, usta wypełnił mu smak krwi, ale nie przestawał walczyć.

Wreszcie zdołał wynurzyć na chwilę głowę. Wypuścił powietrze i zaczerpnął bezcenny haust. Potem znowu wir wciągnął go pod wodę.

Tym razem walka z prądem była jeszcze trudniejsza. Ręce i nogi poruszały się wolniej. Uniósł wzrok i ujrzał w górze światło, ale było zbyt daleko. Jego kończyny znieruchomiały. Opadał powoli na dno, nadal jednak nie chciał się poddać i zaczerpnąć w płuca wody, choć jego ciało domagało się tego rozpaczliwie.

Niech to szlag. Niech to szlag!

Coś oplątało mu nogi. Owinęło się wokół nich i pociągnęło go w górę. Ciemna plama na tle światła, rzemienie owinięte wokół kostek. Unosił się ku powierzchni nogami naprzód. Spojrzał w dół, ku widocznej za poruszającymi się instynktownie palcami jego dłoni głębinie, i ujrzał tam widok, którego nigdy nie miał zapomnieć.

Dziesiątki ludzi o zwróconych ku światłu twarzach. Jedni poznali już spokój śmierci, inni walczyli jeszcze z morzem, tak jak on. Wisieli w przejrzystej wodzie pod nim, uwięzieni i skazani. Jeszcze niżej było widać ogromną, mroczną sylwetkę *Pontifidad*, która opadała ku dnu niczym jakiś zmęczony podmorski tytan udający się na spoczynek. Kadłub był zdruzgotany i pozbawiony masztów, ale paliło się jeszcze jedno czy dwa światła. Okręt obrócił się wokół osi i światelka zgasły. Czarny gigant opadał bezgłośnie w jeszcze głębszą ciemność.

Hawkwood nadal unosił się ku powierzchni. Nagle wynurzył się i z krzykiem opróżnił płuca z martwego powietrza. Uwolnił nogi i zobaczył, że ocalał go zawieszony na skórzanym pasku bukłak, w połowie wypełniony powietrzem. Ujął go w ramiona, wciągając konwulsyjnie w płuca wielkie hausty zimnego powietrza. Wiedział tylko tyle, że żyje, że ocalał. Okręt zatonął i załoga zniknęła razem z nim w odmętach, ale kapitan żył. Hawkwoodem na chwilę zawładnął paraliżujący wstyd.

Wiatr dał mu prosto w twarz. Mgła już się rozpraszała, a na porannym niebie było widać słońce. Jego promienie padły na strzęp odległej chmury widoczny na wschodzie, zamieniając ją w gęsty kłęb złota, szkarłatu i najbledszej akwamaryny. Hawkwood uniósł głowę. Morze pokrywały niewielkie fale, a gdy znalazł się na szczycie jednej z nich, zobaczył, że otaczają go straszliwe szczątki: ciała i fragmenty ciał, złamane drzewca, kawałki lin. Na zachodzie unosiła się jeszcze nad wodą uparta lawica mgły, która jednak z każdą chwilą rzedła. Było za nią widać las masztów nieprzyjacielskich okrętów oraz zastępy postaci w błyszczących w promieniach porannego słońca pancerzach kłębiące się na pokładach. Tu i ówdzie dryfowały większe kadłuby, na których pozostały tylko połamane kikuty masztów. Niektóre z nich płonęły, inne unosiły się tylko bezwładnie na falach. A pod jaskrawobłękitnym nieboskłonem krążyło szeroką spiralą stado skrzydlatych stworów. Hawkwood przyglądał się, jak opadają na tonący galeon. Nad wodą poniosła się seria odległych strzałów.

Wszędzie było pełno okrętów, majaczących we mgle niczym wyspy. Hebrionkie galeony zbudowane według jego planów, astarańskie karaki, merduckie szebeki, gabrionkie karawele. Wszystkie straciły maszty, płonęły i powoli tonęły. Na falach unosiło się mnóstwo szczątków, pozostałości największej morskiej armady, jaką widział świat. Zniszczono ją zaledwie w godzinę.

Pontifidad płynęła na czele floty, tworzyła grot strzały, i dlatego zatonęła w sporej odległości od jej głównej części. Hawkwood uświadomił sobie, że wiatr znosi go na wschód, coraz dalej od utrzymującej się jeszcze mgły i straszliwej, splątanej masy wraków. W miejscach, gdzie płonęły, woda wciąż była stosunkowo gładka. Zakłęcie władcy pogody najwolniej zanikało w centrum. Tutaj jednak, w odległości zaledwie pół mili morskiej, wiatr przybierał na sile. Hawkwood przyjrzał się niebu. Zbierające się na zachodzie ciemne chmury zapowiadały sztorm. Wyglądało na to, że nieprzyjaciel nie zostawia niczego przypadkowi.

Czy ktokolwiek poza nim ocalał z okrętu flagowego? Hawkwoodem ponownie zawładnął dławiący wstyd. Siedmiuset ludzi, w tym dwóch królów. Panie Boże.

Nie potrafił jednak dać za wygraną. Nie mógł po prostu umrzeć. To był ten sam upór, który pozwolił mu przetrwać przed laty na Zachodzie. Złapał się na tym, że nieświadomie przepatruje powierzchnię morza w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co pozwoliłoby mu zachować życie przez jeszcze kilka godzin.

W odległości pół kabla na falach kołysało się ospale skupisko drewna. Wciąż jeszcze trzymały się go jufersy oraz strzępki szmat. Hawkwood uświadomił sobie, że to szczątki grotmasztu. Popłynął w tamtą stronę, zostawiając bukłak, i przez pełne desperacji pół godziny walczył resztką sił z falami. Gdy wreszcie dotarł do celu, nie był w stanie wciągnąć się na górę, trzymał się więc tylko masztu, drżąc z osłabienia. Dłonie przerodziły się w zeszywniałe szpony, które nie słuchały już jego rozkazów. Chmury zgęstniały i słyszał niesiony wiatrem krzyk mew karmiących się pozostałościami po katastrofie, zacisnął jednak powieki i przytrzymał się grotmasztu, choć nie wiedział już właściwie, dlaczego to robi.

* * *

Dłonie rozdzierał mu straszliwy ból. Próbował krzyknąć, gdy poczuł na nich bezlitosny uścisk, od którego pękały pęcherze i złaziła zwęglona skóra. Wyciągnięto go z wody i padł z łoskotem na mokre drewno złamanego grotmasztu. Leżał tam zalewany wodą, aż wreszcie krzyk ucichł w jego pełnych

soli ustach.

– Wszystko w porządku, Richardzie. Mam cię.

Otworzył oczy i zobaczył tylko czarny cień na tle nieba.

SZEŚĆ

Komnaty królowej były pełne cieni. Choć na dworze trwała już ciepła wiosna, na wszystkich masywnych kominkach palił się ogień, a zdobne kraty okiennic zostały zamknięte, wpuszczając do środka jedynie blade, stłumione światło, które nie mogło rywalizować z blaskiem ognia.

Twarze dam dworu zdobiły powabne rumieńce, a głębokie dekolty sukni pozwalały podziwiać frapujący widok potu perlącego się w zagłębieniach nad obojczykami. Corfe pociągnął się za ciasny kołnierz i odesłał wszystkie witające go dygnięciami kobiety.

– Wyjdźcie na dwór odetchnąć świeżym powietrzem, na Boga.

– Panie, ale...

– Idźcie już. Usprawiedliwię was przed waszą panią.

Po kolejnej serii dygnięć damy opuściły komnatę, szepcząc. Wachlowały się przy tym białymi dłońmi i unosiły spódnice, jakby przechodziły przez kałuże. Corfe odprowadził je pełnym podziwu spojrzeniem. Potem wziął się w garść.

– Parno tu jak w macassiańskiej łaźni! – zawołał. – Co to za nowa moda, pani?

Z wewnętrznej sypialni wyszła jego żona. Na ramionach miała szal i wspierała się na lasce z kości słoniowej.

– Gburowaty wieśniak z prowincji nie musi się przejmować takimi drobiazgami – odparła czystym, spokojnym głosem.

Corfe wziął ją w ramiona tak ostrożnie, jakby była zrobiona z metalowej folii, i pocałował w pomarszczone czoło. Było zimne jak marmur.

– Chodź. Już od dwóch tygodni mamy forialon. Przy Trakcie Królewskim rosną pierwiosniki. Czemu kulisz się przy kominku?

Odelia odwróciła się.

– Jak się wam udała wycieczka szlakiem wspomnień? Mam nadzieję, że Mirren była zadowolona. – Kobieta usiadła na wyściełanym krześle stojącym przy kominku, wspierając na szczycie laski naznaczone niebieskimi żyłami dłonie. W tej samej chwili po ścianie zeszła czarna, wielonoga kulka futra, która wdrapała się na jej ramię i wtuliła w szyję, wydając odgłos przypominający mruczenie wielkiego kota. Liczne oczka stwora lśniły niczym wilgotne jagody.

– Tobie też dobrze by zrobiła przejażdżka.

Odelia uśmiechnęła się. Jej włosy, ongiś złote i błyszczące, przeredziły się już i posiwiały. Lata naznaczyły też mocno pełną zmarszczek i bruzd twarz. Tylko oczy się nie zmieniły. Były zielone jak płytkie morze opromienione blaskiem słońca, a także pełne życia.

– Jestem już stara, daj mi spokój. Nie można walczyć z czasem jak z nieprzyjacielską armią. Jestem stara i bezsilna. Wszystkie moje dary przeszły do Mirren. Sprawiałabym, żeby była chłopcem, gdybym mogła, ale to przekraczało moje możliwości. Męska linia Fantyrów wygasła. Pewnego dnia Mirren będzie dla kogoś wspaniałą królową, ale Torunna musi mieć króla. Oboje wiemy o tym aż za dobrze.

Corfe podszedł do okna i otworzył ciężkie okiennice, wpuszczając do środka słońce oraz chłodny wietrzyk dmący ze wschodu, znad Morza Kardiańskiego. Popatrzył na morze dachów na dole i wieżycę Pontyfikalnego Pałacu, górujące nad placem. Wieża, w której przebywał, miała dwieście stóp wysokości, lecz mimo to słyszał dobiegające z rynku krzyki handlarzy zachwalających swe towary, stukot wozów toczących się po kocich łbach i porykiwanie mułów.

– Przez kilka pierwszych dni posuwaliśmy się naprzód powoli – zaczął lekkim tonem. – To zdumiewające, jak szybko natura potrafi pochować dzieła rąk ludzkich. Stary Trakt Zachodni zniknął już niemal całkowicie.

– Bardzo trafna uwaga. Naszym zadaniem jest nie dopuścić, by natura pochowała dzieła naszych rąk, gdy nas zabraknie.

– Tyle razy już o tym rozmawialiśmy – zaprotestował ze znużeniem w głosie.

– I jeszcze nieraz będziemy. Skoro już mowa o pochówku, mój czas na tej pięknej Ziemi dobiega końca. Zostały mi tylko miesiące, nie lata...

– Nie mów tak, Odelio.

– Musisz pomyśleć o nowej żonie. Takie pielgrzymki do przeszłości są bardzo miłe, ale trzeba też myśleć o przyszłości. Potrzebujesz męskiego dziedzica. Mój Boże, Corfe, spójrz, w którą stronę kręci się świat. Po długich latach nadchodzi kolejny krwawy konflikt, w porównaniu z którym merduckie wojny mogą się wydać zwykłą potyczką. Niewykluczone, że walki już się rozpoczęły, u brzegów Hebrionu, być może nawet pod Gaderionem. A kiedy ty wyruszysz do boju, wystarczy jedna zbłąkana kula, żebyśmy przegrali wojnę. Bez ciebie królestwo będzie zgubione. Nie pozwól, by wszystko, co osiągnąłeś, obróciło się w pył po twojej śmierci.

– Och, więc teraz mówimy o mojej śmierci. Bardzo miły temat na wiosenny poranek.

– Nie spłodziłeś bękartów. Wiem o tym z całą pewnością, ale niemalże tego żałuję. Nawet dziedzic z nieprawego łoża byłby lepszy niż żaden.

– Mirren może władać tym królestwem równie dobrze jak mężczyzna, jeśli tylko dać jej czas – stwierdził z pasją Corfe.

Odelia znowu się uśmiechnęła.

– Corfe, król-żołnierz, żelazny generał. Jedyna córka jest dla niego słońcem. Nie pozwól, by miłość cię zaślepiła, mój drogi. Czy potrafisz sobie wyobrazić Mirren dowodzącą armiami?

Na to pytanie nie znalazł odpowiedzi. Odelia miała rację, rzecz jasna. Niemniej sama myśl o powtórnym małżeństwie wystarczała, by otworzyć stare rany, ukryte głęboko w jego duszy.

Aurungzeb, sułtan Ostrabaru, miał dwoje dzieci z... ze swoją królową, a ponoć także kilkanaścioro z nałożnicami. Nasir, jedyny chłopiec, miał już prawie siedemnaście lat i Corfe spotkał go kilkakrotnie podczas oficjalnych wizyt w Aurungabarze. Miał czarne włosy, szare jak morze oczy i śniadą cerę Merduka. Taki syn mógł dawać powód do dumy. Dziewczyna była parę lat młodsza, ale trzymano ją w izolacji, jak wszystkie merduckie damy.

Ich matka również rzadko opuszczała teraz harem. Corfe nie widział jej od z górą szesnastu lat, ale ongiś – w innym świecie – była jego żoną, miłością jego życia. Tak, ta stara blizna nadal sprawiała mu ból. Zagoi się dopiero z chwilą, gdy jego serce przestanie bić.

– Nie wątpię, że sporządziłaś już listę potencjalnych następczyni.

– Tak. Trzeba przyznać, że to krótka lista. Nie ma obecnie zbyt wielu księżniczek.

Parsknął śmiechem, odrzucając głowę do tyłu, jak mały chłopiec.

– Do czego to doszło? Kto więc jest na czele tej listy? Jakaś blada hebrionka panna? A może ciemnooka matrona z Astaracu?

– Ma na imię Aria. Jest młoda, ale pochodzi ze znakomitego rodu. W obecnej sytuacji musimy połączyć się z jej ojcem wszelkimi możliwymi więzami.

– Kto to? – zapytał zdziwiony Corfe. – Abeleyn? Mark?

– Aurungzeb, ty durniu. Aria jest jedyną córką jego ramusiańskiej królowej, siostrą jego dziedzica, a w związku z tym księżniczką królewskiej krwi. Jeśli ją poślubisz, nieodwołalnie połączysz Torunnę z Ostrabarem. Wasze dzieci...

– Nie.

– Co? Jeszcze nie skończyłam. Musisz...

– Powiedziałem „nie”. Nie ożenię się z tą dziewczyną. – Odwrócił się od okna. Twarz miał białą

jak kreda. – Znajdź inną.

– Zapytałam już o to. Jej ojciec się zgadza. Wasze potomstwo na zawsze połączy królewskie rody Ostrabaru i Torunny. Nasz sojusz stanie się nierozzerwalny.

– Zrobiłaś to bez mojej zgody?

– Wciąż jestem królową Torunny! – warknęła. W jej oczach rozblęsnął na chwilę dawny ogień. – Nie potrzebuję twojego pozwolenia, żeby nasikać do nocnika!

– W tej sprawie potrzebujesz – odparł cicho. Jego oczy były zimne jak mróz i twarde jak krzemień.

– Co masz przeciwko niej? Przyznaję, że jest młoda, ale przecież ja też jeszcze nie umarłam. Wszyscy się zgadzają, że to wyjątkowa piękność, żywy obraz matki. Do tego ma słodkie usposobienie.

– Na Boga, jesteś dobrze poinformowana.

– Staram się o to. Corfe, ja umieram – dodała łagodniejszym tonem. – Pozwól, bym zrobiła jeszcze tę ostatnią rzecz dla ciebie i dla królestwa. Wiem, że w ostatnich latach nie byłam zbyt dobrą żoną...

Podszedł do niej i uklęknął obok krzesła. Gdy dotknął twarzy królowej, poczuł, że skóra pod jego palcami jest cienka jak bibułka. Miał wrażenie, że wystarczyłby powiew od okna, by zdmuchnąć życie Odelii.

– Byłaś dla mnie żoną i czymś więcej. Przyjaciółką, doradcą i wielką królową.

– To spełnij moje ostatnie życzenie. Zadbaj o Torunnę. Ożeń się z tą dziewczyną. Spłodź z nią syna. Wielu synów. Ty także jesteś śmiertelny.

– A co z Mirren?

– Musi wyjść za młodego Nasira.

Zacisnął powieki. Dawny ból płonął głęboko w jego piersi. Tej propozycji się spodziewał. Ale poślubić córkę Herii? Dziecko jego żony? Nigdy.

Wstał z twarzą jak kamień.

– Porozmawiamy o tym innym razem, pani.

– Rozmawiamy o tym teraz.

– Nie sądzę.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z mrocznej komnaty, nie oglądając się za siebie.

* * *

Przy wejściu czekał na niego dworzanin.

– Panie, pułkownik Heyn kazał cię zawiadomić, że przybyli kurierzy z meldunkami z Gaderionu.

– Znakomicie. Spotkam się z nimi w Sali Mieczy. Pozdrów ode mnie pułkownika. Ma się tam stawić tak szybko, jak tylko będzie mógł. To samo przekaż generałowi Formiowi i innym członkom Naczelnego Dowództwa.

Dworzanin zasalutował i popędził wykonać rozkazy.

Osobisty strażnik Corfe'a, Felorin, dogonił go w korytarzu. Król stawiał wielkie kroki, uderzając butami o gładzony kamień. Obaj mężczyźni nie odzywali się ani słowem, zmierzając przez skrzydło królowej do właściwego pałacu. Było tu mniej dworzan niż za czasów króla Lofantyra i wszyscy nosili skromne burgundowe szaty. Gdy król ich mijał, salutowali jak żołnierze. Tylko dworskie damy były odziane pięknie jak zawsze. Wszystkie witały przechodzącego Corfe'a delikatnymi dygnięciami. Kiwał do nich głową, ale nie zwolnił nawet na chwilę.

Minęli Komnatę Audiencyjną. Ich kroki niosły się echem w pustej, surowo urządzonej sali. W tej części pałacu korytarze i komnaty były starsze i nie tak wspaniałe. Widziało się tu więcej drewna i

mniej kamienia. Gdy Fimbrianie budowali Pałac Torunnański, miał on się stać siedzibą imperialnego gubernatora, który był też dowódcą sporej armii. Ta część kompleksu pałacowego pełniła z początku funkcję koszar, ale do czasu, gdy Corfe zasiadł na tronie, wykorzystywano ją głównie jako magazyny. Nowy monarcha przywrócił jej pierwotne przeznaczenie. Kwaterowało tu obecnie pięciuset ludzi składających się na Straż Osobistą króla. Byli to ochotnicy pochodzący z armii i skądinąd, którzy przeszli rygorystyczne szkolenie zaplanowane przez samego Corfe'a. W ich szeregach służyli Fimbrianie, Torunnanie, cymbryckie dzikusy, a nawet całkiem sporo Merduków. Podczas pobytu w garnizonie nosili czarno-szkarłatne opończe, starą „krew i siniaki”, tak jak ongiś ludzie Johna Moga. Do boju wszyscy – nawet Fimbrianie – ruszali na ciężkich rumakach, uzbrojeni w pistolety skałkowe i długie szable. Zarówno ludzie, jak i ich wierzchowce byli przyzwyczajeni do noszenia pancerzy długości trzy czwarte, wykonanych przez torunnańskich płatnerzy tak znakomicie, że zatrzymywały nawet kule z arkebuzów. Na każdym napierśniku było widać płytkie okrągłe zagłębienie – ślad po próbie, jakiej go poddano.

– Gdzie jest dziś Comillan? – warknął Corfe.

– Na Placu Prób, z nowymi ludźmi – odparł Felorin.

– A Formio?

– Wraca z Pola Menina.

– W takim razie najpierw pójdziemy tam. Pobiegnij pierwszy, Felorinie, i przygotuj Salę Mieczów do narady. Potrzebne będą mapy Przesmyku Torrinu, czysty stół plastyczny i trochę brandy. Zresztą wiesz, co jest potrzebne.

Felorin obrzucił monarchę dziwnym spojrzeniem, choć wyraz jego twarzy zawsze był trudny do odczytania ze względu na tatuaże.

– Brandy?

– Tak, do cholery. Mam ochotę sobie łyknąć. A teraz ruszaj.

Felorin popędził naprzód. Corfe zwolnił kroku, a po chwili zatrzymał się i wsparł o parapet. Okno wychodziło na Plac Prób, gdzie właśnie musztrowano rekrutów. Szkło pociemniało z wiekiem, ale król widział wkopane w ziemię drewniane słupki wysokości mężczyzny oraz szeregi spoconych ludzi, którzy rąbali je straszliwie ciężkimi ćwiczebnymi mieczami o klingach wypełnionych ołowiem. Kazano im uderzać w określone punkty na wysokości ramienia, pasa i kolana, najpierw z prawej strony starych, twardych jak żelazo słupków, a potem z lewej. Musieli to robić tak długo, aż ręce pokryją im pęcherze, oczy zaleje pot, a plecy staną się jedną masą obolałych mięśni. Z górą trzydzieści lat temu Corfe rąbał te same słupki, a sierżanci wrzeszczeli i drwili z niego. Przynajmniej niektóre rzeczy się nie zmieniły.

Sala Mieczów była jednak nowa. Corfe rozkazał wznieść ten długi, nakryty kopułą i przypominający kościół budynek przed dziesięciu laty. Znajdował się on nieopodal dawnych kwatermistrzowskich magazynów, gdzie przyszedł król znalazł ongiś pięćset znoszonych merduckich zbroi i zabrał je dla żołnierzy swego pierwszego oddziału. Nie lubił urządzać sztabowych narad w starych salach konferencyjnych, wszystkie bowiem znajdowały się w pałacu, gdzie kręciło się mnóstwo dworzan i pokojówek. Choć Odelia przypominała mu cierpkim tonem, że były one wystarczająco dobre dla samego Kaile'a Ormanna, czuł potrzebę zerwania z przeszłością. Chciał też zapewnić oficerom miejsce, w którym mogliby się spotykać bez nieuniknionych opóźnień związanych z samym wejściem do kompleksu pałacowego. Co więcej, w głębi duszy po dziś dzień cieszył się z każdej sposobności opuszczenia pałacu.

Nadal jestem wieśniakiem z brudem za paznokciami, choć minęło już tyle czasu, pomyślał ze skwaszoną satysfakcją.

Na ścianach Sali Mieczy wisiały antyczne zbroje i oręż, a także arras i obrazy przedstawiające dawne bitwy, sceny z wygranych i przegranych wojen. A pod potężnymi belkami podtrzymującymi dach umieszczono chorągwie i flagi wielu pokoleń torunnańskiej armii. Znalezione je w rozlicznych magazynach kompleksu pałacowego po wstąpieniu Corfe'a na tron. Niektóre były wystrzępione i zbutwiałe, ale inne, uszyte z najprzedniejszego jedwabiu i przechowywane z większą pieczołowitością, wyglądały równie świeżo jak w dniach, gdy powiewały nad głowami walczących.

W ścianach znajdowały się setki nisz na zwoje, a w każdej z nich umieszczono mapę. Na wyżej położonych galeriach ustawiono regały pełne podręczników wojskowości, dzieł historyków oraz traktatów o taktyce i strategii. Kilku szlachetnie urodzonych pochlebców błagało przed laty Corfe'a, by on również napisał ogólny traktat o wojnie, odmówił im jednak stanowczo. Mógł być zwycięskim wodzem, ale nie był pisarzem, i nie miał zamiaru dyktować swych nieporadnych zdań skrybie, by jakiś pasożyt o splamionych inkaustem palcach mógł je wygładzić na użytek publiczności.

Nad nadprożem wielkiego kominka usytuowanego na końcu sali wisiała szabla Moga, Udzielająca Odpowiedzi. Corfe miał ją ze sobą na Północnym Wzniesieniu, podczas bitwy królewskiej, a także potem, pod Armagedirem. Była darem od królowej i wisiała tu w blasku kominków już od dziesięciu lat, ponieważ przez cały ten czas król Torunny nie musiał ruszać do boju.

W dolnej Sali Mieczy ustawiono wielkie stoły otoczone krzesłami. Siedziała na nich grupka młodych mężczyzn w torunnańskich mundurach. Wszyscy bardzo się starali ignorować dwóch ubłoconych kurierów, którzy stali z boku ze znużeniem na twarzach. Corfe zachęcał swych oficerów, by w wolnym czasie przychodzili tu czytać albo analizować problemy taktyczne na długim stole plastycznym, ustawionym w jednym z licznych pomieszczeń. Zawsze była tu służba, gotowa w razie potrzeby podać jadło i napoje w niewielkiej kantine. W ten między innymi sposób Corfe starał się doprowadzić do powstania naprawdę profesjonalnej klasy oficerskiej, w której kariera opierałaby się na zasługach, nie na urodzeniu czy starszeństwie. Za progiem Sali Mieczy wszyscy oficerowie byli równi i nawet najmłodszy stopniem mogli przemawiać swobodnie. Co być może ważniejsze, położono kres dawaniu prezentów, które dowódcy zwyczajowo przyjmowali w zamian za przydział. Wszyscy kandydaci na wodzów zaczęli jako zwykli chorążowie przydzieleni do *tercio* piechoty i musieli się pocić na Placu Prób, tak samo jak rekruci. Co dziwne, gdy tylko Corfe wprowadził te reformy, liczba błękitnokrwistych galantów pragnących się zaciągnąć do armii spadła gwałtownie. Uśmiechnął się na tę myśl.

W Torunnie nie było jeszcze regularnej wojskowej akademii, takiej jak w Fimbirze, ale Corfe już od kilku lat rozważał plan jej założenia. Choć sprawował w królestwie niemal absolutną władzę, musiał brać pod uwagę opinie najważniejszych rodów. Nigdy już nie odważą się wystąpić przeciw niemu otwarcie, ale nie przestały sprzeciwiać się jego planom, stosując subtelniejsze sposoby. Ich członkowie uważali akademię wojenną za drogę do stworzenia w królestwie zupełnie nowej hierarchii, opartej nie na krwi, lecz na wojskowych zasługach. I była to słuszna opinia.

Młodzi mężczyźni w sali przerwali lekturę i wstali. Corfe odwzajemnił ich saluty. Obaj kurierzy zdjęli hełmy.

– Jak się nazywacie?

– Gell i Brinian, panie. Przynosimy meldunki z...

– Tak, wiem. Dajcie mi je. – Wręczyli Corfe'owi dwie skórzane tuby. Obie zawierały ten sam meldunek. – Mieliście jakieś problemy po drodze?

– Nie, panie. Pod Arboronem spotkaliśmy małe stado wilków, ale byliśmy od nich szybsi.

– Kiedy opuściliście Gaderion?

– Przed pięcioma dniami.

– Dobra robota, chłopaki. Wyglądacie na wykończonych. Powiedzcie kucharzom, żeby dali wam coś, i przebierzcie się w czyste łachy. Potem będziecie mi potrzebni, ale na razie możecie odpocząć.

Kurierzy zasalutowali, unieśli ubłocone płaszcze i ruszyli do kantyny. Corfe spojrzął na pozostałych obecnych w sali ludzi, którzy przez cały ten czas nie ruszyli się z miejsc.

– Brascian, Phelor, Grast. – Ci trzej stali obok siebie. Miejsce przy drugim stole zajmował śniady oficer średniego wzrostu, który trzymał się osobno. Corfe zmarszczył brwi. – Wybacz, chorąży. Nie przypominam sobie ciebie.

Młodzieniec zeszywniał jeszcze bardziej.

– Jestem chorąży Baraz, wasza królewska mość. Jeszcze się nie spotkaliśmy.

– Oficerowie w garnizonie mówią do mnie po prostu „panie”. Czy pochodzisz z ostrabarskiej rodziny Barazów?

– Bratem mojej matki był shahr Baraz, osobisty strażnik królowej, a moim dziadkiem ten sam shahr Baraz, który zdobył Aurungabar, wasza... panie. Zachowałem nazwisko Baraz, gdyż jestem ostatnim mężczyzną w rodzie.

– Wtedy to miasto nazywało się Aekir. Nie znałem twojego wuja, ale wszyscy są zgodni, że twój dziadek był wybitnym wodzem i szlachetnym człowiekiem. – Corfe przyjrzał się uważnie Barazowi.

– Jak to się stało, że jesteś chorążym w torunnańskiej armii?

– Zgłosiłem się na ochotnika, panie. Generał Formio przyjął mnie osobiście, niespełna trzy miesiące temu.

Corfe nie odzywał się, więc Baraz mówił dalej.

– Moja rodzina już od lat pozostaje w niełasce na ostrabarskim dworze, a na całym wschodzie wiadomo, że wasza armia przyjmuje lojalnych ludzi ze wszystkich ras. Pragnąłbym dostać się do twojej Straży Osobistej, panie.

– W takim razie będziesz musiał zdobyć trochę doświadczenia. Czy już przeszedłeś wstępne szkolenie?

– Tak jest. Skończyłem w zeszłym tygodniu.

– W takim razie uważaj się za tymczasowo przydzielonego do sztabu generalnego. Brakuje nam tłumaczy.

– Panie, wolałbym, żeby mnie przydzielono do *tercio*.

– Masz wykonywać rozkazy, chorąży.

Wydawało się, że młodzieniec oklapł leciutko.

– Tak jest.

– Bardzo dobrze – odparł Corfe, starając się zachować poważny wyraz twarzy. – Za parę minut zacznie się narada sztabowa. Możesz usiąść. – Skinął głową do trzech pozostałych oficerów, którzy nadal stali sztywno jak kołki. – Wy również, panowie. Dobrze wam zrobi, jeśli zobaczycie, jak pracuje sztab, choć oczywiście nie wolno wam nikomu mówić o tym, co tu usłyszycie. Jasne?

Odpowiedział mu chór głosów zgodnym „tak jest”, kiwanie głowami oraz stłumione pośpiesznie uśmiechy.

* * *

Polem Menina nazywano nowy plac apelowy, który powstał na północ od Torunnu. Miał on powierzchnię setek akrów i pozwalał nawet licznym oddziałom ćwiczyć skomplikowane manewry, nie było tu bowiem przeszkód dezorganizujących szeregi. Na północnym końcu placu ustawiono wysoki, kamienny cokół – ciemny, posępny pomnik poległych w wojnie. Górował nad musztrowanymi oddziałami niczym czujny olbrzym i powiadano, że w burzliwych czasach nocą gromadzą się pod nim cienie dawnych armii, gotowe znowu służyć Torunnie.

General Formio uniósł wzrok znad dostarczonej przez kuriera notatki i spojrzął na otaczających go konnych oficerów.

– Wzywa mnie król. Wygląda na to, że dotarły wieści z północy. Pułkownik Melf, pokieruj dalszą częścią ćwiczeń. *Tercios* Gribbena nadal są do niczego. Muszą ćwiczyć, aż się nauczą maszerować w dowolnej kolejności, nie zamieniając się w beładny motłoch. Do dzieła, panowie.

Zawrócił konia i odjechał, żegnany salutami podkomendnych.

Już przed wielu laty uległ wymogom konieczności i jeździł teraz konno, jak wszyscy starsi stopniem oficerowie. Był w Torunnie prawą ręką Corfe'a i pełnił tę funkcję od tak dawna, że ludzie niemal zapomnieli, iż jest cudzoziemcem, i to Fimbrianinem. Niewiele się zmienił od czasu wojen merduckich. Włosy mu posiwiały na skroniach, a zimą doskwierał ból w starych ranach, ale poza tym był tak samo zdrowy jak szesnaście lat temu, przed Armagedirem, gdzie zniesiono go konającego z pola bitwy. Życie uratowała mu królowa Odelia, a jej damy dworu opiekowały się nim podczas serii nawrotów, którym towarzyszyła gwałtowna gorączka. Przeżył jednak i jedna z tych dam, Junith, została jego żoną. Miał teraz dwóch synów. Starszy już za parę lat będzie mógł rozpocząć wstępne szkolenie. Formio nie był wyjątkiem. Prawie wszyscy Fimbrianie, którzy przeżyli Armagedir, ożenili się z Torunnankami.

Z kręgu oficerów i przyjaciół, którzy otaczali króla w owych dniach, zostali tylko on i Aras, a Aras przebywał teraz na północy, broniąc Gaderionu i Przesmyku Torrinu przed Himerianami. W armii pojawiły się jednak nowe twarze, całe mnóstwo twarzy. Zupełnie nowe pokolenie oficerów i żołnierzy. Byli dziećmi, gdy padł Aekir, i straszliwa walka z zastępami Aurungzeba stanowiła dla nich poznaną w dzieciństwie opowieść albo coś, o czym czytało się w księgach i sławiło w pieśniach. Od tego czasu Merducy stali się sojusznikami Torunny. Czuli tego samego Boga i uważali tego samego człowieka za jego posłańca. Ahrimuz i Ramusio byli jednym i tym samym. Kościół Macrobiański miał merduckich biskupów, a torunnańscy kapłani modlili się w świątyni Pir-Sar w Aurungabarze, która ongiś była katedrą Carcassona. Merducy służyli nawet w Straży Osobistej samego króla Corfe'a.

Te lata czegoś bardzo bliskiego pokojowi przyniosły również inne zmiany. Torunnańska armia była potęgą już za czasów króla Lofantyra, a teraz powszechnie uważano ją za niezwyciężoną. Formio nie był tego jednak taki pewien. W ostatnich latach w jej szeregach dawało się zauważyć samozadowolenie. Co ważniejsze, liczba służących w niej weteranów spadała szybko. General nie wątpił w swych rodaków. Mieli wojnę we krwi. A dzikusy, które stanowiły większość Katedralników, uważały ją za normalny sposób życia. Torunnanie byli jednak inni. Aż trzy czwarte służących obecnie w armii żołnierzy nigdy nie widziało wojny na własne oczy.

Minęło dziesięć lat od chwili, gdy Himerianie wysłali swe wojska do Przesmyku Torrinu. Nie próbowali dyplomacji ani nie udzielili ostrzeżenia. Dla całego świata było oczywiste, że reżim kierowany przez jednego pontyfika nigdy nie uzna rządu, który dał schronienie drugiemu, ani nawet nie zgodzi się z nim pertraktować.

Nieprzyjaciel posuwał się naprzód ostrożnie, Corfe zaś ruszył mu na spotkanie z maksymalną szybkością. Forsowny marsz z Torunnu sprawił, że dziesiąta część armii została w tyle ze zmęczenia. On jednak się nie zatrzymał. Uderzył na wroga z samymi Katedralnikami i Sierotami, odrzucając jego siły na drugi koniec Równin Toriariskich. Himerianie ponieśli olbrzymie straty. Formio pamiętał rzeź Rycerzy-Bojowników, którzy ruszyli do kontrataku na linię jego pik z samobójczą odwagą, lecz niewielkim pojęciem o taktyce. Wielkie rumaki z wyprutymi wnętrzościami kwiczące z bólu. Ich jeźdźców unieruchomionych ciężarem zbroi i stratowanych w krwawym błocie przez Katedralników, którzy przyjechali dokończyć robotę. Wyglądało jednak na to, że bitwa na Równinach Toriańskich

skłoniła himeriańskie przywództwo do zastanowienia. Ponoć mag Bardolin uczestniczył w niej osobiście, ale tych pogłosek nigdy nie potwierdzono.

Od tej pory nie było już walnych bitew. Nieprzyjaciel wznosił reduty z kamienia, drewna i ziemi, posuwając się z nimi tak daleko między wzgórz, jak tylko się odważył, ale nie próbował już otwartych ataków. Linia Thuriańska, jak nazwano ten system fortyfikacji, stała się obecnie granicą między Torunną a Drugim Imperium.

Minęło dziesięć lat i znowu zjawily się nowe twarze. Ludzie z torunnańskiej armii zostali dobrze wyszkoleni dzięki wysiłkom profesjonalisty, jakim był król Corfe, ale nie poznali jeszcze smaku krwi.

Wkrótce jednak miało się to zmienić.

* * *

W Sali Mieczy zapalono ogień, a nad stołem mapowym dominowała mapa Barossy, regionu, którego granicę na wschodzie stanowił Searil, na zachodzie Torrin, a na północy góry Thurianu. Pokrywały ją niebieskie i czerwone znaczniki, przypominające żetony używane przez hazardzistów. Przez głowę Formia przemknęła złowroga myśl, że pod pewnymi względami tym właśnie są.

– I jak się prezentują, generale? – zapytał Fimbrianina Corfe. Król w jednej dłoni trzymał pusty kielich, a w drugiej zmięty meldunek. Otaczała go grupka oficerów. Kilku z nich wyglądało tak, jakby nie zaczęli się jeszcze golić.

– Są dobrzy, ale tylko na placu apelowym. Podczas bitwy ich formacje zaraz pójdą w rozsypkę. Potrzebują więcej ćwiczeń w polu.

Corfe pokiwał głową.

– Wkrótce będą mieli okazję je odbyć. Panowie, przed chwilą przybyły meldunki z północy, od Arasa. Morze Tor jest już niemal całkowicie wolne od lodu. Roi się na nim od himeriańskich transportowców, jak od much na dzemie. Nieprzyjaciel znacznie wzmacnia swe przyczółki w przesmyku. W tamtą stronę maszerują też przynajmniej dwie armie, z Tarberu i z Finnmarku. Piętnastego zaczęli przechodzić w bród Tourbering.

– Czy znamy ich liczebność, panie? – zapytał przysadzisty oficer o barbarzyńskim wyglądzie.

– Wojska z Finnmarku i Tarberu liczą sobie razem co najmniej czterdzieści tysięcy ludzi. Jeśli dodać do tego żołnierzy, którzy już stacjonują na naszych granicach, mam wrażenie, że mówimy o około siedemdziesięciu tysiącach.

Rozległy się szepty trwogi. Aras miał w Gaderionie przeszło dwukrotnie mniej ludzi.

– Będą potrzebowali co najmniej czterech albo pięciu dni, żeby przepłynąć się przez rzekę. Aras wysłał w zeszłym miesiącu podjazd, który spalił mosty, a do tego nadeszły roztopy i Tourbering wezbrał od spływającej z gór wody.

– Ale gdy już się przepłyną, będą się szybko posuwać przez równiny leżące na południe od rzeki – zauważył przysadzisty oficer. – Mamy jakieś informacje na temat ich składu, panie?

– Bardzo niewiele, Comillan. Nasze źródła w tych okolicach są kiepskie. Wiemy, że król Skarp-Hedin towarzyszy armii, podobnie jak książę Adalbard z Tarberu. Północne księstwa tradycyjnie mają słabą kawalerię. Kręgosłupem ich wojsk jest ciężka piechota.

– Gallowglassowie – odezwał się ktoś.

Corfe skinął głową.

– Są staromodni, ale skuteczni, nawet przeciw konnicy. Do tego ich harcownicy nadal używają dziurytów. To dobrzy żołnierze na trudny grunt, ale na otwartym terenie nie ma z nich wielkiego pożytku. Podejrzewam, że Himerianie wyślą w pierwszej fali lekkich żołnierzy z północy, nim ruszą naprzód z ciężkimi oddziałami.

Wszyscy wpatrzyli się w mapę i w leżące na niej znaczniki. Czerwone żetony ułożone wzdłuż nakreślonej inkaustem linii Tourberingu nabrały groźnego wyglądu. Naprzeciwko nich stał tylko jeden niebieski kwadrat reprezentujący oddział Arasa.

– Jeśli rzeczywiście tak wygląda ich plan, to pozwoli nam zyskać nieco na czasie – stwierdził Formio, przerywając ciszę. – Oddziały z północy będą potrzebowały prawie dwóch tygodni, żeby przebyć Równiny Toriańskie.

– To prawda – zgodził się Corfe. – Zdążymy przysłać posiłki Arasowi. Mam zamiar przetransportować znaczącą część naszych oddziałów w górę Torrinu. Dzięki temu zaoszczędzimy na czasie i konie się nie zmęczą.

– A więc zaczęło się? – zapytał Formio. – Ogłaszamy mobilizację?

Król spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Zaczęło się, Formio. Wygląda na to, że wszystkie drogi prowadzą do przesmyku. Być może nieprzyjaciel spróbuje przemycić kilka kolumn przez wzgórza na południu, ale Cymbrianie pomogą nam się z nimi załatwić. Ponadto admirał Berza współpracuje z Nalbeńczykami na Morzu Kardiańskim, by osłonić południową flankę.

– To niekorzystny teren – stwierdził Comillan. Jego czarne oczy skrywały się pod powiekami. Oficer pociągał z namysłem za koniuszki sumiastych wąsów. – Te wzgórza wokół Gaderionu są raczej nierówne. Konnica będzie niemal całkowicie bezużyteczna, chyba żebyśmy przesadzili naszych ludzi na kozy.

– Wiem o tym – potwierdził Corfe. – Nieprzyjaciel przesunął swe placówki aż pod same góry i mamy mało swobody manewru, chyba że porzucimy Gaderion i cofniemy się na równiny. A to się nie zdarzy, panowie.

– A więc zepchnęli nas do defensywy? – zapytał ktoś. Oficerowie odwrócili się. To był chorąży Baraz. Pozostali młodzieńcy gapili się na niego przez chwilę, zszokowani, a potem znieruchomieli niczym drewniane figury. Tylko jeden z nich przesunął się lekko na palcach, jakby chciał w ten sposób odciąć się od bezczelnego towarzysza.

– Kto to, do licha... – zaczął gniewnym tonem Comillan, ale Corfe uciszył go, unosząc rękę.

– Czy tak brzmi twoja konkluzja, chorąży?

Na policzkach młodzieńca pojawił się rumieniec.

– Nasze siły zorganizowano z myślą o ofensywie, panie. Do tego są szkolone i wyekwipowane.

– Ale największe zwycięstwa odnieśliśmy w wojnie obronnej.

– To była taktyczna defensywa, panie, ale strategiczna ofensywa. Zawsze.

– Znakomicie – pochwalił go z uśmiechem Corfe. – Panowie, nasz młody przyjaciel trafił w samo sedno. W tej wojnie bronimy Torunny, tak jak ongiś broniliśmy jej przed jego przodkami, ale nie odniesiemy zwycięstwa, kryjąc się za kamiennymi murami. Nie możemy pozwolić, by nieprzyjaciel choć na chwilę odzyskał równowagę, bo to pozwoliłoby mu zgromadzić siły potrzebne do zadania śmiertelnego ciosu. A w tym celu musimy uderzyć pierwsi.

– Ale gdzie, panie? – zapytał Comillan. – Nieprzyjacielskie reduty są dobrze rozlokowane. Linia Thuriańska mogłaby wytrzymać ataki wielu tysięcy żołnierzy.

– Powinniśmy zaatakować te reduty, jeśli tylko będzie to możliwe, i to znacznymi siłami. Ale nie tam zamierzam skierować najsilniejsze uderzenie. – Corfe pochylił głowę. – Gdzie możemy wyrządzić największe szkody, hę? Zastanówcie się.

Zgromadzeni oficerowie milczeli. Corfe popatrzył Formiowi w oczy. Obaj rozmawiali już o tym i doszło między nimi do gwałtownego sporu, ale Fimbrianin nie zamierzał niczego zdradzić.

– Charibon – odezwał się wreszcie chorąży Baraz. – Chcesz uderzyć na Charibon.

Wszyscy wciągnęli powietrze z głośnym sykiem.

– Nie gadaj bzdur, chłopcze – warknął Comillan z błyskiem w czarnych oczach. – Panie...

– Chłopak ma rację, Comillan.

Dowódca Straży Osobistej zaniemówił.

– To niewykonalne – sprzeciwił się ktoś.

– A dlaczego? – zapytał cicho Corfe. – Nie krępujcie się, panowie. Podajcie mi powody.

– Po pierwsze – zaczął Comillan – Linia Thuriańska jest zbyt silna, żeby można ją było szybko przełamać. Gdybyśmy próbowali zdobyć ją szturmem, ponieśliśmyby ogromne straty, a gdybyśmy zaczęli od ostrzału artyleryjskiego, nieprzyjaciel miałby czas sprowadzić liczne posiłki albo nawet wybudować drugą linię umocnień za pierwszą. Dochodzi jeszcze kwestia rzeźby terenu. Jak już wcześniej wspomniano, skuteczność naszych oddziałów szturmowych opiera się na mobilności. Nie można rzucać konnicy, ani nawet pikinierów, do szturmowania na mury czy do ataku w górzystym terenie.

– Wszystko to prawda. Ale zapomnij na chwilę o Linii Thuriańskiej. Pomówmy o samym Charibonie. Jakie problemy on stwarza?

– Liczny garnizon, panie? – zasugerował jeden z chorążych.

– Zgadza się. Ale nie zapominaj, że większość żołnierzy z klasztornego miasta zostanie przeniesiona na wschód, żeby zaatakować Gaderion. Charibon ma bardzo niewiele murów, a te, które są, zbudowano w drugim stuleciu, przed wynalezieniem prochu strzelniczego. To bardzo słaba forteca i można ją zdobyć bez ciężkiego sprzętu oblężniczego.

– Ale żeby do niej dotrzeć, trzeba się najpierw przedrzeć przez Linie Thuriańską – zauważył pułkownik kirasjerów, Heyd. – A w tym celu trzeba by zniszczyć charibońskie armie. Brakuje nam ludzi, by osiągnąć ten cel.

– Jeszcze nie skończyłem, Heyd. Wzniesione ludzką ręką umocnienia Charibonu są słabe, ale naturalne fortyfikacje to całkiem inna sprawa. Spójrzcie. – Corfe pochylił się nad leżącą na stole mapą. – Od północnego wschodu dostępu do miasta broni morze Tor. Od południowego wschodu Góry Cymbryckie. Atakujące armie mogą do niego dotrzeć tylko od zachodu i od północy, a północną drogę dostępu przecina rzeka Saeroth. Charibon nie potrzebuje murów. Osłonę zapewnia mu ukształtowanie terenu. Z drugiej jednak strony, gdyby miasto nagle zaatakowano w chwili, kiedy jego wojska wdadzą się w bój na wschód od Przesmyku Torrinu, byłoby prawie niemożliwe sprowadzić te oddziały z odsieczą. Czynniki utrudniające zadanie atakującym zwróciłyby się nagle przeciwko obrońcom. Jedynym sposobem na to, by szybko sprowadzić te wojska do Charibonu, byłoby przetransportowanie ich przez morze Tor statkami. A statki można spalić.

– Wszystko to brzmi pięknie, panie – sprzeciwił się wyraźnie poirytowany Comillan – ale nasi żołnierze nie potrafią latać. Nic mi też nie wiadomo o żadnych drogach prowadzących przez Góry Cymbryckie. Jak mamy się tam dostać?

– A co, jeśli istnieje inna droga do Charibonu, pozwalająca ominąć Linie Thuriańską?

Na twarzach wszystkich obecnych, oprócz Formia, zaczęło się uwidaczniać zdumienie.

– A istnieje, panie? – zapytał ostrym tonem Comillan.

– Może i tak. Może i tak. Rzecz w tym, panowie, że nie możemy sobie pozwolić na wojnę na wyczerpanie. Przeciwnik ma przewagę liczebną i, jak wskazał chorąży Baraz, zepchnął nas do defensywy. Nie chcę odrąbać wężowi ogona. Mam zamiar uciąć mu głowę. Jeśli wyeliminujemy himeriański triumwirat, obejmujące cały kontynent imperium rozpadnie się.

Wyprostował się i wbił spojrzenie w zebranych.

– Zamierzam przejść z armią przez Góry Cymbryckie i zaatakować Charibon od tyłu.

Nikt się nie odzywał. Formio wpatrywał się w mapę, w grubą linię Gór Cymbryckich nakreśloną

czarnym inkaustem. To ponoć były najwyższe góry na świecie i nawet wiosną pokrywała je warstwa śniegu gruba na wiele jardów.

– Jednocześnie – ciągnął spokojnie Corfe – Aras zaatakuję Linię Thuriańską. Szturm zostanie przeprowadzony z wigorem wystarczającym, by przekonać nieprzyjaciela, że to rzeczywiście próba przedarcia się na równiny, ale prawdziwym celem będzie odciągnięcie oddziałów broniących klasztornego miasta. Trzecią częścią operacji będzie atak na porty na wschodnim brzegu morza Tor. Musimy zniszczyć nieprzyjacielską flotę transportowców. Jeśli osiągniemy ten cel, wróg znajdzie się w pułapce.

– Ale najpierw musimy przejść przez Góry Cymbryckie – zauważył Formio.

– To prawda. Ale na ten temat na razie nie powiem nic więcej. Nie miejcie złudzeń, panowie, musimy wygrać tę wojnę szybko. Doszło już do pierwszych starć. Z zachodu doszły mnie wieści, że flota Wielkiego Sojuszu wkrótce zetrze się z nieprzyjacielem. Doniesiono mi też, że Charibon odwiedziło fimbriańskie poselstwo. Wydaje się prawdopodobne, że himeriańskim wojskom przyznano prawo przejścia przez Fimbrię, by mogły zaatakować Hebrion. Wiemy też, że nieprzyjaciel gromadzi siły na granicach wschodniego Astaracu. Nie toczy my tej wojny sami, ale stanowimy jedyne królestwo wystarczająco silne, by ją wygrać.

Formio nie spuszczał wzroku ze swego króla i przyjaciela. Podszedł blisko do niego.

– Nie będzie odwrotu, Corfe – wyszeptał błagalnie. – Jeżeli przegrasz pod Charibonem, nie będzie odwrotu.

– A co z Fimbrianami? – zapytał Heyd, oficer o kwadratowych ramionach i zaciśniętych wargach, który dowodził torunnańskimi kirasjerami.

– Są wielką niewiadomą w tym równaniu. Najwyraźniej w obecnej chwili sprzyjają imperium, ale wyłącznie dlatego, że uważają nasze armie za poważniejszą groźbę. Sądzę, że są przekonani, iż potrafią sobie poradzić z Aruanem. Pomyślcie tylko, jak łatwo byłoby im wysłać armię na wschód i zdobyć Charibon. Jeśli nawet my rozważamy taką możliwość, możecie być pewni, że oni również to zrobili. Nie, chcą, żeby imperium nas rozbiło i innych członków sojuszu również. Dopiero wówczas uderzą, by odbudować swą starożytną hegemonię na gruzach rozdartego wojną kontynentu. Mylą się jednak. Mam nadzieję, że gdy rzeczywista skala konfliktu stanie się jasna, ponownie przemyślą swą pozycję.

– A jeśli tego nie zrobią? – zapytał Formio, patrząc królowi w oczy.

– Będziemy musieli ich również pokonać.

SIEDEM

Na zachodzie szalał sztorm. Mieszkańcy Abrusio już od dwóch dni widzieli, jak skłębione chmury wynurzają się zza horyzontu, przesłaniając połowę nieba. Co wieczór słońce znikało w nich jak kulka płynnego żelaza w popiołach. Jego drogę rozświetlały odległe błyskawice. Dął stały wiatr od morza, który jednak w ogóle nie wpływał na chmury. Wyglądały one jak powykręcane kamienne szanice wzniesione na krawędzi świata, zwiastuny straszliwych wieści.

W mieście panowała cisza. Już od wielu dni w porcie roiło się od ludzi – nie robotników czy marynarzy, ale zwykłych obywateli. Stali na pirsach i wzdłuż nabrzeży, poważni, skupieni w grupy, rozmawiali szeptem i wpatrywali się w widoczny za falochronami zachmurzony horyzont. Nie opuszczali portu nawet nocą. Palili ogniska i gromadzili się wokół nich, wpatrzeni jak zahipnotyzowani w błyskawice. Było niewiele śpiewu czy zabaw. Wino przechodziło z rąk do rąk, wypijane bez radości. Wszyscy co chwila podnosili wzrok ku stawom świetlnym ulokowanym na końcu Szlaków Zewnętrznych. Miano je zapalić, gdy wróci flota. Być może oznajmią zwycięstwo w wojnie, której nikt z czekających do końca nie rozumiał.

Płonące na nabrzeżach ogniska były dobrze widoczne z balkonów pałacu. Mogłoby się zdawać, że w porcie szaleje bezgłośny pożar. Według obliczeń Golophina przebywało tam około stu tysięcy ludzi, jedna czwarta ludności miasta. Wszyscy gapili się na morze.

Isolla, królowa Hebrionu, stała obok starego czarodzieja na jednym z balkonów, spoglądając na szalejący na oceanie sztorm. Była wysoką, szczupłą kobietą w wieku czterdziestu kilku lat. Miała ostre rysy twarzy i piegowatą cerę. Wspaniale błyszczące rude włosy odgarnęła z twarzy i nakryła prostym koronkowym czepkiem.

– Co tam się dzieje, Golophinie? To już zbyt długo trwa.

Czarodziej położył lekko dłoń na jej ramieniu. Jego pozbawiona zarostu twarz zastygła w złowrogim wyrazie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nagle się powstrzymał. Zdjął kościstą dłoń z ramienia kobiety i zacisnął pięść. Otoczyła ją biała gniewna poświata, która po chwili zgasła.

– Nie pozwalają mi do niego dotrzeć, Isollo. To nie jest Aruan. To ktoś inny, czy może coś innego. Wewnątrz tego sztormu ukrywa się potężny mag, który wzniosł barierę nie do przebycia dla okrętów i czarodziejów, a nawet samych żywiołów ziemi i morza. Bóg wie, że próbowałem.

– Cóż mogą działać działa i kordelasy przeciwko takiej magii?

Czarodziej zacisnął zęby.

– Powiniennem być z nimi, to prawda. Powiniennem być z nimi.

– Nie dręcz się. Mówiliśmy już o tym nieraz.

– T... tak. Dobrze wybrał moment, Isollo. Jedyłą nadzieję pokładam w tym, że ten mag, kimkolwiek jest, wyczerpał wszystkie siły na to monstrualne zaklęcie i nie będzie w stanie uczestniczyć w ataku na flotę. To by znaczyło, że będą ją musieli zaatakować konwencjonalnymi metodami, a w takim przypadku męstwo, stal i proch strzelniczy mogą jeszcze uratować naszych ludzi.

– A jeśli ich nie uratują? – zapytała, nie patrząc na niego. – Co wtedy zrobimy?

– Przygotujemy się do odparcia inwazji.

– Inwazji kogo, Golophinie? Kraj stanął na krawędzi paniki. Ludzie nie wiedzą, z kim toczymy wojnę. Niektórzy mówią, że z Drugim Imperium. Inni twierdzą, że z Fimbrianami. Na Boga, co właściwie nam zagraża?

Stary czarodziej nie odpowiedział. Długim palcem nakreślił w powietrzu płonący kształt. Symbol rozbłysnął na sekundę, a potem zgasł. Nic się nie wydarzyło. To było tak, jakby patrzył na kamienny mur.

– Walczymy z Aruanem i z tym, co przyprowadził ze sobą z Najdalszego Zachodu. Nie wiemy, z czym dokładnie mamy do czynienia, Isollo, ale nie ulega wątpliwości, że zamiarem naszych przeciwników jest zniszczenie wszystkich królestw Zachodu. Oni kryją się w tym sztormie i nie potrafię ci powiedzieć, jakiego rodzaju ludźmi są, ani nawet, czy w ogóle są ludźmi. Słyszałaś opowieści o wyprawie Hawkwooda, powtarzane przez te wszystkie lata. Niektóre z nich są tylko czczym wymysłem, a inne nie. Wiemy, że nieprzyjaciel ma okręty, ale nie wiemy, kto na nich płynie. Wróg dysponuje mocą, ale nie jesteśmy pewni, kto nią włada. Obawiam się też, że nasza ostatnia próba odparcia ataku zakończyła się niepowodzeniem. – Jego głos brzmiał ochryple od żalu i tłumionej furii. – Niepowodzeniem.

* * *

Połowa nocnego nieba była niewidoczna, ale na drugiej połowie błyszcząły gwiazdy, umożliwiające płynącemu na fragmencie masztu Hawkwoodowi nawigację. Po południu natrafił na płachtę płótna, wystarczająco dużą, by mogła posłużyć jako obrus na szlacheckim stole. Z pływających po wodzie fragmentów wykonał prymitywny maszt oraz reję i teraz stały wiatr z zachodu popychał go w stronę Hebrionu, mimo że szczątki topu grotmasztu służące mu za tratwę zalewała wysoka na dwie stopy fala, a koniec zapętlonego sztagu, który pozwalał utrzymywać niewielki maszt w pionie, Hawkwood musiał sobie owiązać wokół obdartej ze skóry, ociekającej ropą dłoni.

Jego towarzysz, zakapturzony i anonimowy, przykucnął ze spokojem na wilgotnym drewnie. Fale zalewały ich obu, pokrywając skorupą soli. Hawkwood przesunął się z drzeniem, kierując na tajemniczą postać płonące oczy człowieka dręczonego gorączką.

– A więc wróciłeś. O co chodzi tym razem, Bardolinie? Znowu chcesz mnie ostrzec przed nadciągającą katastrofą? Obawiam się, że wybrałeś niewłaściwego rozmówcę. Jestem już tylko żarciem dla ryb.

– A mimo to, Richardzie, ani na moment nie zaprzestajesz walki o przetrwanie. Twoje czyny zadają kłam śmiałej rozpaczyci twoich słów. Nigdy dotąd nie spotkałem człowieka, który tak bardzo pragnąłby żyć.

– Muszę przyznać, że to mój słaby punkt.

Kaptur zakołysał się w sposób, który mógł znamionować bezgłośny śmiech.

– Mam dla ciebie nowinę. Będziesz żył. Ten wiatr zanieś cię do portu, z którego wypłynąłeś.

– A więc to też zaplanowano.

– Wszystko zaplanowano, kapitanie. Na tym świecie niczego już nie zostawia się przypadkowi.

Hawkwood zmarszczył brwi. Coś w mrocznej postaci siedzącej naprzeciwko wzbudziło jego niepewność.

– Bardolinie?

Kaptur zsunął się, odsłaniając orli nos, twarz o autokratycznym wyrazie oraz łysinę. Była noc i oczy wydawały się tylko czarnymi jamami, jak oczodoły czaszki.

– Nie jestem Bardolinem.

– To kim, do diabła, jesteś?

– Noszę wiele imion, Richardzie... mogę cię nazywać Richardem? Ale na początku byłem Aruanem z Garmidalanu.

Pochylił głowę z drwiącą uprzejmością.

Hawkwood spróbował się poruszyć, ale zamiast skoczyć do śmiertelniegroźnego ataku, zachwiał się lekko. Lina podtrzymująca niewielki maszt wpiła się w poparzone ciało dłoni i nie chciała puścić. Z bólu dopadły go mdłości, choć nie miał już czym wymiotować. Aruan wyprostował się i ustawił

maszt z powrotem na miejsce. Żagiel załopotał, a potem znowu się napiął. Obaj mężczyźni spoglądali na siebie, a tratwa kołysała się na lśniących w blasku gwiazd falach.

– Przyszedłeś dokończyć dzieła? – wychrypiał Hawkwood.

– Tak, ale nie w taki sposób, jak sądzisz. Uspokój się, kapitanie. Gdybym pragnął twojej śmierci, nie pozwoliłbym Bardolinowi cię odwiedzić i nie byłoby mnie tu teraz. Spójrz na siebie! Mógłbyś uniknąć tych cierpień, gdybyś tylko ostatniej nocy posłuchał rady przyjaciela. Twoje poczucie honoru zasługuje na podziw, ale sprowadza cię na manowce.

Hawkwood nie był w stanie się odezwać. Ból w przesyconych solą oparzeniach nie ustawał ani na chwilę, a język żeglarza zrobił się chropowaty jak piasek.

– Będziesz moim posłańcem, Richardzie. Wrócisz do Abrusio i przekażesz moje warunki.

– Warunki?

Wypowiadając to słowo, czuł się, jakby żuł tłuczone szkło.

– Hebrion i Astarac są pokonane, ich królowie nie żyją, a szlachta została zdziesiątkowana. Że tak powiem, trzymały wszystkie jajka w jednym koszyku. Tak, odpowiesz mi, że ich lądowe armie są nietknięte, ale widziałeś siły, jakimi dysponuję. Żadna armia na świecie nie oprze się moim dzieciom, nawet jeśli dowodzi nią ktoś taki, jak Mogen czy Corfe. W swoim czasie ja również byłem obywatelem Astaracu. Nie chcę spustoszyć tych królestw. Nie jestem barbarzyńcą.

– Jesteś potworem.

Aruan roześmiał się cicho.

– Być może, być może. Ale potworem, który ma sumienie. Pozwolę ci ocalić życie, tak jak zawsze pozwalałem. Wrócisz do swojego przyjaciela Golophina. Hebrion i Astarac muszą przede mną skapitulować, chyba że chcesz, by spotkał je taki sam los jak flotę, którą wysłały do walki ze mną. Jeśli się nad tym zastanowić, być może tak będzie najlepiej. Jesteś bardzo przekonującym ocalonym z katastrofy, kapitanie, i jesteś też dobrym świadkiem.

– Niech cię piekło pochłonie.

– Już jesteśmy w piekle. Wyobraź sobie, co się stanie, jeśli moje zastępy wtargną do królestw Zachodu. Wyobraź sobie krew, przerażenie, góry trupów. Nie chcesz tego, podobnie jak ja. Golophin lepiej niż ktokolwiek inny zrozumie, że to nie czeze przechwałki. Mówię poważnie. Hebrion i Astarac muszą się poddać Drugiemu Imperium, wydać mi niedobitki swej szlachty i uznać moje zwierzchnictwo. Jeśli tego nie zrobią, obrócę je w pustynię, a ich mieszkańców wytnę w pień.

W oczach Aruana rozbłysło głodne żółte światło, które nie miało w sobie nic ludzkiego. Jego głos stał się niższy i bardziej ochryply. Na chwilę w powietrzu pojawił się potężny zwierzęcy odór, lecz zaraz uniósł go wiatr.

Hawkwood wbił spojrzenie w przesywane błyskawicami chmury za nimi. Oczy go szczypały.

– Kim właściwie jesteś?

– Istotą nowego rodzaju. Przyszłością. Ludzie przez stulecia marnowali siły na ciągłe, bezsensowne wojny. Wiele z nich wszczynali w obronie Boga, którego nigdy nie widzieli. Albo wytężali mózgi, by wynaleźć skuteczniejsze sposoby wygrywania tych wojen, i zwali to nauką, postępem cywilizacji. Odwrócili się plecami do kryjących się w nich mocy, ponieważ uznali je za złe. Co jednak jest gorsze: magia, która leczy rany, czy proch, który je zadaje? Zdumiewa mnie to, Hawkwood. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak wielu inteligentnych ludzi uważa mnie i moich pobratymców za monstra.

– Ja nigdy tak nie sądziłem. Wynajmowałem władców pogody i byłem cholernie zadowolony z ich usług. Królowa Torunny jest ponoć czarownicą, a mimo to szanują ją na całym kontynencie. Mag Golophin był przez dwadzieścia lat prawą ręką Abeleyna. A Bardolin...

– Co z nim?

– Był kiedyś moim przyjacielem.

– Nadal nim jest.

– Z jakiegoś powodu w to wątpię.

– Widzisz? Podejrzliwość. Strach. Wymienieni przez ciebie ludzie są izolowanymi przypadkami, wyjątkami, które potwierdzają regułę. Przed czterystu laty na każdym królewskim dworze był mag, każda armia miała kadrę czarodziejów, a w każdym mieście działał kwitnący cech taumaturgów. Wędrownie czarownice i znachorki były elementem codziennego życia. To ten przeklęty Ramusio wszystko zmienił, on i jego bredzenia. Bóg, którego czczą twoi pobratymcy, doprowadził swoimi prześladowaniami mój lud do krawędzi zagłady. Czy możesz mieć do nas pretensję o to, że postanowiliśmy się bronić?

– To twój człowiek Himerius rozpoczął przed osiemnastu laty najstraszliwsze czystki. Czy na tym ma polegać obrona?

Aruan znieruchomiał na chwilę. Żółte światła rozblęły znowu.

– To był tylko środek wiodący do celu, bolesny, ale niezbędny. Musiałem oddzielić nasz lud od waszego, sprawić, by wszyscy wyraźnie ujrzeli różnicę między nami.

– Bo w przeciwnym razie po ataku na zachodnie królestwa mógłbyś mieć przeciwko sobie czarodziejów walczących za swych królów. Sprawa nie byłaby tak jednoznaczna. Chcesz władzy. Nie udawaj, że walczysz o szlachetną sprawę.

Aruan ryknął śmiechem.

– Jesteś bystrym człowiekiem, Richardzie. Tak, chcę władzy. Czemu by nie? Ale na tym świecie człowiek musi być czymś synem. Inaczej jest nikiem. Wiesz o tym najlepiej ze wszystkich. Dlaczego ludzkością miałyby władać banda głupców, których jedyna zasługa polega na tym, że poczęto ich w królewskim łożu? Chcę władzy, mogę ją zdobyć i uczynię to.

Hawkwood ponownie wpatrzył się w burzliwe niebo na zachodzie, za plecami jego towarzysza. Przeszywały je błyskawice, a ciemne chmury przesłaniały gwiazdy. Wszystkie te piękne okręty, królowie ludzi, ich potężne działa i piękne, dumne chorągwie.

– Zginęli. Wszyscy zginęli.

– Prawie wszyscy. Wiem, że to dla ciebie szok. Ludzie wierzą w swą wojskową potęgę tak mocno, że czyni to ich ślepyi na jej słabości. Okręty muszą się utrzymywać na wodzie i potrzebują wiatru, który będzie je popychał.

– Powinniśmy byli mieć własnych władców pogody.

– W całych Pięciu Królestwach nie został już ani jeden. Mów sobie, co chcesz, ale lud dweomeru należy do mnie. Od stuleci cierpiał pod władzą zaślepionych, fanatycznych głupców, z tym już jednak koniec. Wreszcie nadeszła jego godzina. Nadam nowy kształt tej ciasnej krainie, kapitanie.

– Golophin nie zdradził. Nie wszyscy ludzie dweomeru uważają cię za zbawcę.

– Ach, tak. Mój przyjaciel Golophin. Jeszcze z niego nie zrezygnowałem. Jesteście do siebie niezwykle podobni. Macie upór we krwi. Nie można was sterroryzować, zastraszyć ani przekupić. Dlatego właśnie jest taki cenny. Chcę, żeby sam wyciągnął właściwe wnioski, i jestem gotowy na to zaczekać.

– Corfe z Torunny też nigdy nie ugnie przed tobą kolan.

– To prawda. Kolejny głupiec, którego szlachetność wyprowadziła na manowce. Czeka go zagłada, razem z tą jego sławetną armią. Moja burza powali dęby, a oszczędzi wierzby. Ten wasz mały kontynent stanie się dzięki temu lepszym miejscem.

– Oszczędź mi tego gadania. Widziałem to twoje lepsze miejsce we mgle. Nie chcę mieć z nim

nic wspólnego.

– Wielka szkoda. To mnie jednak nie dziwi. W takich bólach rodzi się nowy świat. Czeka nas ból i krew, ale gdy to już się skończy, nadejdzie nowy początek. Noc jest najciemniejsza przed świtem.

– Daruj sobie tę retorykę. Mówisz to samo, co wszyscy żądni władzy szlachcice. Nie chcesz stworzyć nowego świata, a jedynie zawładnąć starym i zniszczyć wszystko, co ci stanie na drodze. Ci, którzy łowią ryby albo orzą ziemię, będą mieli nowych panów, ale ich życie się nie zmieni. Będą po prostu płacili podatki komuś innemu.

Aruan pochylił się ku Hawkwoodowi z uśmiechem, który był jedynie zwierzęcym grymasem.

– I tu właśnie się mylisz, kapitanie. Nie masz pojęcia, co zaplanowałem dla świata. – Wstał. Kołysanie się tratwy najwyraźniej mu nie przeszkadzało. – Przekaż moje warunki Golophinowi. Może je przyjąć albo odrzucić. Nie mam zwyczaju negocjować. Ten wiatr zanieś cię do domu za dzień albo dwa. Przeżyj, Hawkwood. Przekaż wiadomość ode mnie, a potem znajdź sobie jakąś dziurę i ukryj się w niej. Moja wyrozumiałość się skończyła.

Aruan zniknął. Hawkwood został na tratwie sam. Fale były czarne, a noc zimna. Przeżarte solą dłonie stały się dlań udręką, a gorączka we krwi gorzała jasnym płomieniem. Z ust wyrwał mu się nieartykułowany krzyk wyzwania pod adresem pustego morza i obojętnych, błyszczących gwiazd.

* * *

O świcie Hawkwood ujrzał na horyzoncie spokojne, sine szczyty Hebrosu. Znajdowały się one jednak na północy. Zdumienie nie opuszczało go przez kilka minut, nim wreszcie zrozumiał, że musiał nocą minąć Przylądek Grios. Pokonał prawie sto mil.

W ostatnich godzinach wiatr skręcił o kilka rumbów w lewo. Hawkwood nadal miał go z rufy po prawej, ale teraz popychał go w kierunku zachodnio-południowy zachód. Tratwę znosiło na Zatokę Hebrionską. Ze wszystkich stron otaczały go niesione wiatrem bryzgi, a podtrzymująca niewielki maszt lina zniknęła w grudzie obrzmiałego ciała, która była ongiś jego dłonią.

Oczy bolały go od blasku słońca, zacisnął więc powieki. Chwile jasności umysłu przeplatały się z majaczeniami. To szydercze wrzaski wielkiej chmary mew przywołały go do rzeczywistości. Ptaki krążyły nad niewielką flotyllą joli poławiaczy śledzieni, odległą o jakieś półtorej mili. Załogi wciągały na pokład nocny połów. Nawet z tej odległości Hawkwood widział srebrzyste ryby szamoczące się w wypchanych sieciach. Spróbował wstać, zawołać do rybaków, ale gardło miał ściśnięte i był za słaby, żeby choć unieść rękę. Nie szkodzi. Wiatr w plecy gnał jego pokraczną tratwę prosto na stateczki. Za jakieś pół szklanki wciągną go na pokład razem z błyszczącymi rybami i będzie mógł zanieść królestwu swą przerażającą wiadomość. A gdy już to zrobi, jeśli przeżyje, pójdzie za radą Aruana i schowa się w jakiejś dziurze. Albo może w butelce.

* * *

– Gdzie on jest? – zapytała zniecierpliwiona królowa.

– Spokojnie, Isollo. Drużyna żołnierzy piechoty morskiej właśnie go do nas niesie.

– Drużyna może nie wystarczyć. Słyszysz te tłumy na dole? Kazałam żołnierzom z garnizonu wyjść na ulice. W mieście pali się mnóstwo pochodni.

Golophin wyteżył słuch. Dźwięk brzmiał jak szum odległego, wzburzonego morza. Dziesiątki tysięcy ludzi pogrążonych w panicznych, rozgorączkowanych spekulacjach tłoczyły się na ulicach, blokując miejskie bramy. Tłum doprowadzony do szaleństwa przez strach przed nieznanym. I wszystko to stało się zaledwie w kilka godzin. Pogłoski przemieszczały się szybciej od konia w pełnym cwale. W całym mieście ludzie zawodzili już, że flota zatonała i teraz czeka ich inwazja. Ale właściwie czyja? To właśnie było jądrem paniki. Niewiedza. Jol, który przywiózł tu ocalonego, pojawił się na Szlakach Wewnętrznych późnym popołudniem, a żołnierze piechoty morskiej

prowadzący żeglarza do pałacu poruszali się wolniej niż spekulacje.

– Wezwałaś szlachtę?

– Wszystkich, którzy zostali. Czekają w opactwie. Na Boga, Golophinie, co to właściwie znaczy?

W oczach miała łzy. Po raz pierwszy od wielu lat widział, żeby płakała. Naprawdę kochała Abeleyna i podobnie jak wszyscy doszła do – być może przedwczesnego – wniosku, że zginął. Golophina przeszło ukłucie rozpaczy. W głębi serca wiedział, co mu powie rozbitek. Musiał jednak usłyszeć relację z ust naocznego świadka.

Ktoś załomotał do drzwi. Wycofali się do komnat królowej, gdyż w całej pozostałej części pałacu panowało zamieszanie.

Wszyscy najlepsi oficerowie królestwa znajdowali się na pokładach tych dumnych okrętów. Zostali tu tylko ci, którzy chcieli po prostu odsłużyć przepisowy termin, oraz ci, których pominięto w awansach z uwagi na niekompetencję. Hebrion został zdekapitowany.

O ile flota faktycznie zginęła, pomyślał Golophin. Znowu załomotano do drzwi.

– Proszę! – zawołała Isolla, biorąc się w garść.

Krzepki żołnierz z siną blizną na twarzy wsunął głowę do środka. Wszystkie pokojówki odesłano już w bezpieczne miejsce.

– Wasza królewska mość, mamy go tutaj. Przywieźliśmy go na wózku ręcznym, ale zablokował się w tłumie, więc...

– Dawajcie go – warknął Golophin.

To był Hawkwood. Nie wiedzieli o tym do tej chwili. Gdy żołnierze wnieśli kapitana do środka, Isolla uniosła rękę do ust. Położyli go na łożu z baldachimem i stanęli bez ruchu, zdruzgotani. Wszyscy popatrzyli na Golophina, a potem przenieśli wzrok na leżącego na łożu nieszczęśnika, jakby czekali na jakieś wyjaśnienie.

– W przedpokoju jest wino, sierżancie – odezwał się nieco łagodniejszym głosem czarodziej. – Nalej trochę sobie i swoim ludziom. Zaczekajcie tam. Będę chciał potem z wami porozmawiać.

Zasalutowali i opuścili komnatę. Gdy tylko drzwi się za nimi zatrzasnęły, Golophin pochylił się nad leżącym na łożu ciałem.

– Richardzie. Richardzie, zbudź się. Isollo, przynieś mi ten dzban i wszystko, co stoi na tacy. I wodę, mnóstwo wody. Znajdź gdzieś jedną z tych cholernych pokojówek.

Hawkwood odniósł straszliwe rany. Połowę brody strawił mu ogień, a jego twarz stała się połyskliwą raną, pokrytą pęcherzami i sączącą. Ramiona i pierś również ucierpiały, a prawa pięść przerodziła się w masę spalonej tkanki, z której sterczał ucięty kawałek liny. Kapitana pokrywała skorupa soli zmieszanej z czymś, co wyglądało na zakrzepłą krew.

Golophin wylał strumyczek wody na spierzchnięte wargi ranego i zwilżył kropelkami płynu powieki.

– Richardzie.

Poruszył palcami i wyczarował w powietrzu białą kuleczkę płomienia. Cisnął nią, jakby chciał odpędzić natarczywą muchę. Kuleczka uderzyła nieprzytomnego marynarza w czoło, w mgnieniu oka znikając w jego ciele.

Wróciła Isolla. Towarzysząca jej pokojówka niosła wielki zestaw rozmaitych szmat i butelek, a także miskę z gorącą wodą. Dziewczyna wybałuszała oczy niczym sowa, ale na jedno spojrzenie pani natychmiast uciekła.

Hawkwood uchylił powieki. Białko jednego z oczu miało szkarłatną barwę.

– Golophinie – wyszeptał słabo.

Czarodziej wylał mu na wargi jeszcze trochę wody i ciałem żeglarza wstrząsnął gwałtowny

kaszel.

– Weź jego głowę w obie dłonie, Isollo, i unieś ją.

Królowa przytuliła krwawiącą głowę marynarza do piersi. Po jej twarzy spływały łzy.

– Richardzie, czy możesz mówić? – zapytał łagodnym tonem Golophin.

Oczy – jedno z nich jaskrawoczerwone – rozwarły się na chwilę w wyrazie szaleństwa. Ciałem Hawkwooda targnęły konwulsje. Potem kapitan oklapł, jak marionetka, której przecięto sznurki.

– Cała flota zatonała. Zniszczyli ją, Golophinie. Wszystkie okręty.

Isolla zacisnęła powieki.

– Opowiedz mi o tym, kapitanie.

– To był czar władcy pogody. Cisza morska i mgła. Potwory, w powietrzu i w morzu. Tysiące.

Nie mieliśmy szans.

– Wszyscy...

– Zginęli. Utonęli. O Boże! – Hawkwood rozciągnął wargi, odsłaniając poczerwiałe dziąsła. Z jego ust wyrwał się ochryply krzyk. – Ból! Ach, niech to się wreszcie skończy!

Żeglarz umilkł.

– Uzdrowię cię – zapewnił Golophin. – A potem będziesz długo spał, Richardzie.

– Nie! Wysłuchaj mnie! – W oczach Hawkwooda pojawił się błysk gorączki i bólu. – Widziałem go, Golophinie. Rozmawiałem z nim.

– Z kim?

– Z Aruanem. Uwolnił mnie. Odesłał z powrotem. – Ciałem żeglarza targnęło łkanie. – Mam przekazać jego warunki.

Na sercu Golophina zacisnęła się dłoń z czystego lodu.

– Mamy się poddać. Wydać mu szlachetnie urodzonych. Hebrion i Astarac. Inaczej zniszczy oba królestwa. Może to zrobić i nie cofnie się przed tym. Płyną tu z zachodnim wiatrem, Golophinie, ukryci wewnątrz sztormu.

Cała opowieść wypłynęła zeń strumieniem bezładnych słów. Tratwa. Pojawienie się Aruana. Jego słowa, jego nieprzejednanie. Na koniec głos Hawkwooda przerodził się w ledwie słyszalny, ochryply szept.

– Przykro mi. Mój okręt. Powiniennem zginąć.

Isolla pogłaskała go po zdrowym policzku.

– Ciii, kapitanie. Dobrze się sprawiłeś. Teraz możesz zasnąć.

Popatrzyła na Golophina i stary czarodziej skinął głową. Twarz miał poszarzałą.

– Śpij. Wypocznij.

Hawkwood wbił w nią wzrok i na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Pamiętam cię.

Potem znowu nadszedł atak kaszlu i kapitan osunął się w ramiona Isolli, usiłując zaczerpnąć tchu. Po chwili wybałuszył oczy, wypuścił z płuc powietrze w długim, znużonym wydechu i znieruchomiał.

– Za dużo wycierpiał – mruknął Golophin. – Zabrakło mi cierpliwości. Jestem głupcem.

Isolla pochyliła głowę. Jej ramiona drżały. Zachowała jednak milczenie.

– A więc umarł – stwierdziła po chwili ze spokojem w głosie.

Golophin położył dłoń na piersi Hawkwooda i zacisnął powieki. Ciało marynarza podskoczyło nagle. Jego kończyny zadrżały.

– Nie pozwolę mu umrzeć – oznajmił ze złością czarodziej. Dweomer zapłonął w jego ciele, wylewając się na zewnątrz przez oczy i koniuszki palców. Wypływał mu z ust niczym kłęby białego dymu. – Odsuń się od niego, Isollo.

Królowa wykonała polecenie, osłaniając oczy przed aurą Golophina. Czarodziej przerodził się w postać z gorejącego srebra. Lśnienie nabierało intensywności, aż wreszcie nie sposób było na nie patrzeć. Stało się jasnym jak słońce wirem, a potem opuściło ciało maga razem z krzykiem, który wyrwał się z jego ust, i rzuciło się na leżącą na łożu postać. Nastąpił bezgłośny wstrząs, od którego zgasły lampy, a pościel zatańczyła w powietrzu, jak trawiona płomieniami. Ciało Hawkwooda miało się i podrygiwało niczym kukielka w rękach szalonego lalkarza.

W całej komnacie zapadła ciemność. Tylko wokół postaci Golophina, który uklęknął przy łożu, dysząc ciężko, było jasno. Z jego oczu nadal bił szalony blask magicznego ognia. Isolla stała pod najdalszą ścianą, jak przyklejona do niej. Na głowę królowej sypał się lekki proszek, a skóra na połowie jej twarzy była z jakiegoś powodu napięta.

– Zapal świecę – polecił czarodziej. Blask w jego oczach zgasł i w komnacie zapanował nieprzenikniony mrok. Z łoża dobiegał jęk.

– Nic... nic nie widzę, Golophinie – wyszeptała Isolla.

– Wybacz.

U sufitu zapłonął maleńki magiczny ogienek. Królowa sięgnęła po pudełko z krzesiwem i podniosła z podłogi świecę. Grzbiety jej dłoni oraz ubranie pokrywała cienka warstewka białego popiołu. Kobieta uderzyła krzemieniem o stal, pochwyciła skrę na kulkę hubki i przysunęła ją do knotu. Magiczny ogień ustąpił miejsca bardziej ludzkiemu światłu.

Golophin podniósł się ciężko, strzepując popiół z szat. Gdy spojrzał na Isollę, zaparło jej dech w piersiach pod wpływem szoku.

– Mój Boże! Golophinie, twoja twarz!

Połowa oblicza starego czarodzieja przerodziła się w masę bliznowatej tkanki, przypominającej dawno zagojone poparzenie. Golophin pokiwał głową.

– Dweomer zawsze żąda zapłaty, zwłaszcza gdy komuś się śpieszy. Ach, dziecko, tak mi przykro. Nie powinnaś przy tym być. Myślałem, że sam wystarczę.

– O czym mówisz?

Podszedł do niej i pogłaskał ją delikatnie po dziwnie napiętym policzku.

– Ty również ucierpiałaś – wyjaśnił.

Dotknęła swej twarzy. Była twarda i niemal całkowicie znieczulona wzdłuż linii biegnącej od kącika oka aż do żuchwy. Coś w żołądku kobiety poruszyło się gwałtownie, ale w jej głosie nie słyszało się drżenia.

– To nieważne. Co z nim?

Zwrócili się ku łożu, unosząc świecę nad nadpaloną kołdrą i nad pokrytym popiołem, dymiącym materacem. Zniszczone ubranie Hawkwooda zniknęło bez śladu. Nagi żeglarz leżał na łożu, dysząc ciężko. Stracił również brodę, a głowę porastała mu tylko ciemna szczecina, na ciele jednak nie było żadnego śladu obrażeń. Golophin dotknął jego czoła.

– Będzie spał przez kilka godzin, a obudzi się zupełnie zdrowy. Hebrion nadal go potrzebuje. Zostań przy nim, moja droga. Ja muszę sprawdzić, jaki nastrój panuje w mieście, i załatwić jeszcze parę spraw. – Przyjrzał się uważnie Isolli, jakby się zastanawiał, czy ma jej coś powiedzieć. Potem odwrócił się pozornie dziarskim ruchem. – Może mnie nie być przez pewien czas. Czuwaj nad pacjentem.

– Tak jak kiedyś czuwałam nad Abeleynem? – zapytała pełnym żalu głosem. Przypomniała sobie inny wieczór, innego mężczyznę ocalonego przez moc Golophina. Ale wtedy mieli jeszcze nadzieję.

Czarodziej wyszedł, nie odpowiadając na to pytanie.

OSIEM

Ścieżkami umysłu Hawkwooda wędrował orszak snów, wszystkie z nich jasno oświetlone i w pełni logiczne. W końcu jednak wypaliły się, jak papierowe lampy puszczone na wiatr, pozostawiając po sobie tylko opadający na ziemię popiół i dym.

Widział starego *Rybołowa*, który płonął pośród nocy, a nad jego pokładem unosiły się trawione ogniem żagle. Przy relingu stał król Abeleyn, a u jego boku Murad. Ten drugi się śmiał.

Przed oczyma żeglarza, niczym seria pięknie szlifowanych klejnotów, przemknęło sto portów i miast całego świata. Towarzyszyły im twarze. Billerand, Julius Albak, Haukał, jego dawno już zapomniana żona Estrella. Murad. Bardolin. Te dwie ostatnie jakoś się łączyły. Miały ze sobą coś wspólnego, ale nie potrafił pojąć co. Murad nie żył. Nawet we śnie Hawkwood wiedział o tym i się z tego cieszył.

Na koniec pojawiła się rudowłosa kobieta z blizną na policzku. Tuliła go do piersi. Uświadomił sobie, że ją zna. Gdy przyjrzał się jej twarzy, sny odeszły, a razem z nimi strach. Czuł się tak, jakby dotarł do lądu po najdłuższym z rejsów. Uśmiechnął się.

– Ocknąłeś się!

– I żyję. Jak, do licha...?

I nagle ujrzał wyraźnie jej twarz. Policzek przecinała blizna przypominająca ślad palców zostawiony przez rzeźbiarza w mokrej glinie.

Uniosła ku niej dłoń, chcąc ją zasłonić. Po chwili jednak opuściła rękę, stanowcza, jak przystało królowej. Na jej twarzy Hawkwood dostrzegł ślady łez.

W komnacie było ciemno i zimno. Nadeszła już poprzedzająca świt szarówka, a z ognia na kominku pozostały tylko kopcające się węgielki. Jak długo tu leżał? Co się z nim stało? Nie czuł bólu. Wszystkie obrażenia zniknęły.

– Golophin uratował cię przy użyciu dweomeru. Ale musiał za to zapłacić. Ucierpiał znacznie bardziej ode mnie. Nieważne, grunt, że żyjesz. Niedługo tu wróci.

Isolla wstała. Hawkwood śledził spojrzeniem każdy jej ruch. Wypełniał go ból, pełen bezradności i zdziwienia. Przesunął dłonią po twarzy.

– Moja broda! – zawołał zdumiony.

– Odrośnie ci. Bez niej wyglądasz młodziej. Przy łożu leży ubranie. Powinno na ciebie pasować. Kiedy będziesz gotowy, przyjdź do przedpokoju. Golophin chce z nami pomówić.

Oddaliła się sztywnym krokiem, odziana w prostą, pozbawioną ozdób dworską suknię.

Hawkwood odrzucił kołdrę i przyjrzał się swemu ciału. Nie było na nim żadnych śladów. Zniknęły nawet stare blizny sprzed dwudziestu lat. Był też bezwłosy jak niemowlę.

Poczuł się nedorzecznie zawstydzony i pośpiesznie wciągnął przygotowane ubranie. Dręczyło go pragnienie, pociągnął więc łyk źródlanej wody ze stojącego obok srebrnego dzbanka. Miał wrażenie, że musi na nowo rozruszać wszystkie stawy, poświęcił więc kilka minut na rozciąganie i zginanie kończyn, by przywrócić w nich krążenie krwi. Żył. Nie został kaleką. To nie był cud, ale wydawało mu się to czymś więcej niż cudem. Choć nieraz już był świadkiem działania magii, niektóre jej aspekty nie przestały go zdumiewać. Potrafił zrozumieć przywołanie sztormu. Takich właśnie rzeczy spodziewał się po czarodziejach. Ale żeby przekształcić ciało, wygładzić ślady po oparzeniach i uzdrowić zniszczone, zatkane dymem płuca? To było naprawdę niesamowite.

Jaką jednak cenę zapłacono za ów dar życia? Dama czekająca za drzwiami okupiła go bliznami. A przecież była królową Hebrionu.

Z posępną miną żałobnika opuścił komnatę. Rzadko zdarzało mu się odwiedzać sypialnie osób królewskiej krwi i nie miał pojęcia, co powinien zrobić: pokłonić się, usiąść, czy nadal stać.

Przedpokój był małym ośmiokątnym pomieszczeniem o wysokim suficie. Na kominku palił się tryskający niebieskimi skrami wyrzucony przez morze na brzeg węgiel, na krzesłach walały się porozrzucane damskie fatałaszkę, a na stole stała pełna karafka, lśniąca rubinowo w blasku zatkniętych w wiszące na ścianach uchwyty woskowych świec. Ich delikatny zapach mieszał się z wonią perfum Isolli. Jedyne okno zasłonięto grubymi kotarami, więc równie dobrze mógłby być środek nocy, ale wewnętrzny zegar informował Hawkwooda, że świt już minął i słońce wspina się teraz po nieboskłonie.

– Nie przestrzegamy tu zbyt formalności, kapitanie. Nalej sobie trochę wina. Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Zrobił to, o co go prosiła, lecz nadal nie mógł się uspokoić. Pragnął odsunąć zasłony i przekonać się, co widać na porannym niebie.

– Już cię kiedyś spotkałam, prawda? – zapytała sztywno.

– Byłem w ciągu tych lat na paru oficjalnych przyjęciach, pani. Ale jeszcze przedtem spotkaliśmy się na Trakcie Północnym. Twój koń zgubił podkowę.

Zaczerwieniła się.

– Pamiętam. Poczęstowałam cię winem w wieży Golophina. Wybacz, kapitanie, mam dziś straszny mętlik w głowie.

Hawkwood pochylił lekko głowę. Nie zostało nic więcej do dodania. Isolla jednak chciała coś jeszcze powiedzieć. Wbiła wzrok w wino.

– Jak on zginął? – zapytała. – To znaczy król.

Hawkwood zaklął bezgłośnie. Co mógł powiedzieć tej kobiecie, żeby łatwiej było jej spać po nocach? Że jej mąż spłonął, rozszarpały go potwory, utonął? Uniosła głowę i wyczytała w jego oczach to, czego nie chciał jej zdradzić.

– A więc to była zła śmierć.

– Była – przyznał ciężkim głosem. – Ale, pani, to nie trwało długo dla żadnego z nich.

– A mój brat?

Oczywiście, była siostrą Marka. Ta kobieta stała się teraz jednym z ostatnich żyjących członków dwóch dynastii. Niewykluczone nawet, że ostatnim.

– W jego przypadku to również stało się szybko – skłamał Hawkwood. Patrzył Isolli prosto w oczy, starając się ją zmusić, by mu uwierzyła. – Zginął w odległości kilku stóp od Abeleyna. Obaj stali obok siebie na pokładzie rufówki.

Na moim okręcie, pomyślał. Zginęli dwaj królowie i admirał, ale nie ja. Wstyd palił jego duszę.

– Cieszę się, że zginęli razem – rzekła z bólem w głosie. – Za życia byli jak bracia, tyle że Mark zawsze nienawidził morza. Jak to się stało, że nie był na własnym okręcie flagowym?

Hawkwood uśmiechnął się, wspominając pozieleniałą twarz wymiotującego gwałtownie króla Astaracu, którego wnoszono na pokład *Pontifidad* w ławeczce bosmańskiej.

– Przybył na naradę i... i odwlekał chwilę powrotu.

Ona również się uśmiechnęła i w pokoju zrobiło się trochę cieplej.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do środka wszedł Golophin. Na widok twarzy starszka Hawkwood musiał wziąć się mocniej w garść. Boże w niebiesiech, dlaczego to zrobili?

Czarodziej stał się wychudłą kukłą o białej jak pergamin skórze. Na tle tej bladości fioletowe i różowe blizny rzucały się w oczy jeszcze wyraźniej. Uśmiechnął się jednak do Hawkwooda. Żeglarz stał nieruchomo, ściskając w ręku kielich, z którego nie wysączył dotąd nawet kropli.

– Dobrze, dobrze. Świetna robota. Przez chwilę niepokoił się o ciebie, kapitanie.

Isolla zdjęła z niego ciężką szatę, jak dziewczynka pomagająca ojcu, i podała mu swój kielich.

Wypił jego zawartość jednym haustem, podszedł do okna i odsunął zasłony.

Okno wychodziło na zachód. Ciągnęła się za nim bezkresna, skłębiona ciemność. Hawkwood podszedł do czarodzieja, gapiąc się na ten widok.

– Na krew Boga – wyszeptał.

– Twój sztorm już prawie do nas dotarł, kapitanie. Nocą przemieszczał się bardzo szybko.

Ogromna, nieregularna chmura tworzyła potężny bastion cienia, obejmujący cały horyzont na zachodzie. U podstawy przesywały ją ognie błyskawic. Kłębiła się umęczonym ruchem, który nadawał jej niemal wygląd rozumnej.

– W mieście całą noc panował ruch jak w gnieździe os, a kiedy ludzie zobaczyli rano ten widok, tamy pękły. W opactwie zebrał się już tłum żołnierzy, marynarzy i drobnej szlachty. Wszyscy gadają i nikt nie chce słuchać. Żołnierze z garnizonu wyszli na ulice, ale jest ich za mało. Panika już się zaczęła. Tysiące ludzi uciekają z miasta przez Bramę Północną. Statki w porcie pozostawiły towary na brzegu i oferują ucieczkę z Hebrionu każdemu, kto ma przy sobie sumę godną okupu za króla.

– Nikt nie zdradził się ani słowem – zdumiała się Isolla. – Jednego rozbitka wyrzuciło na brzeg i cały kraj oczekuje najgorszego. Sztorm sztormem, ale czy ci ludzie nie mają wiary? To obłąd.

– Rybacy znaleźli mnie, jak płynąłem na fragmencie masztu wielkiego okrętu. Niektórzy z nich rozpoznali we mnie kapitana statku flagowego. Do tego nie odpowiedziałem na żadne z ich pytań – wyjaśnił łagodnym tonem Hawkwood. – Zwycięstwo nigdy nie bywa tak ukrywane. Domyślili się, że flotę spotkała jakaś katastrofa.

– Jestem też przekonany, że niektóre z pałacowych służek okazały się w swej ciekawości bardziej pomysłowe, niż je o to podejrzewałem – dodał Golophin. – Tak czy inaczej, tajemnica się wydała. Flota zatонуła, a król razem z nią. Tyle przynajmniej wiedzą wszyscy. Warunków postawionych przez Aruana jeszcze nie rozpowiedziano. To przynajmniej możemy uznać za błogosławieństwo. Jeśli ta sytuacja ma się utrzymać, musimy pozbyć się z tego skrzydła pałacu pokojówek i lokajów. Wystawiłem w korytarzu wartowników.

– I co mamy teraz zrobić? – zapytała powoli Isolla, wbijając spojrzenie w nadnaturalną burzę, która zbliżała się do nich z zachodnim wiatrem. Królowa nie była naiwnym dziewczątkiem, ale nic w dotychczasowym życiu nie przygotowało jej na ten nagły, miazdzący ciężar odpowiedzialności. Nawet nie знаła nazwiska oficera, który dowodził teraz armią.

Golophin spojrzał na Hawkwooda i zauważył, że żeglarz gapi się na królową z dziwną pasją. Pokiwał głową. Miał rację. Miał ją przed wielu laty i nadal miał ją dzisiaj. Może jeszcze wyniknąć z tego coś dobrego.

– W Abrusio ciągle stacjonuje garnizon liczący sobie jakieś sześć tysięcy ludzi – zaczął, wydymając wargi. – Piechota morska odplynęła z flotą, podobnie jak wszystkie wielkie okręty. Zostało nam tylko trochę okrętów kurierskich oraz kanonierek. W Imerdonie i na granicy z Fulkiem stacjonują nieliczne garnizony, ale to całe tygodnie drogi stąd.

– Są jeszcze forty na falochronach – przypomniała Isolla. – Podczas wojny domowej powstrzymywały flotę Abeleyna przez wiele dni.

– Te stwory potrafią latać – oznajmił powoli Hawkwood.

– A co to właściwie za stwory, kapitanie? – zapytał Golophin. Nawet w takiej chwili robił wrażenie raczej zaciekawionego niż przerażonego.

– Widziałem już takiego, w dżungli na Zachodnim Kontynencie. Jestem przekonany, że były kiedyś ludźmi, ale je wypaczono, pozbawiono człowieczeństwa. Wyglądają jak ogromne nietoperze z ogonami i szponami jak u drapieżnych ptaków. I jest ich wiele tysięcy. Jest tam także flota, złożona głównie z niewielkich okrętów. Na ich pokładach płyną wojownicy, którzy mają szczypce zamiast

dłoni i czarne pancerze, jak chrząszcze. Roją się niczym karaluchy. Abrusio nie ma szans oprzeć się takiemu przeciwnikowi. Nasi najlepsi żołnierze zginęli za Przylądkiem Północnym, a nasi obywatele, sądząc z tego, co mi mówiłeś, nie są w nastroju do walki.

– A więc miasto jest skazane – wyszeptała Isolla.

Twarz Golophina wyglądała jak maska demona.

– Sądzę, że masz rację. Przynajmniej Hebrion będzie musiał przyjąć warunki Aruana. W przeciwnym razie dojdzie do rozlewu krwi, przy którym zblednie wojna domowa.

– On żąda również wydania szlachty – przypomniał mu Hawkwood. – Zamierza eksterminować arystokrację całego królestwa.

Obaj mężczyźni popatrzyli na Isollę. Królowa uśmiechnęła się z goryczą.

– Nie dbam o to. Mój mąż i brat nie żyją. Równie dobrze mogą do nich dołączyć.

Golophin ujął jej dłoń.

– Moja królowo, byłaś dla mnie jak córka. Byłaś jedną z nielicznych osób, którym ufałem w swym długim, absurdalnym życiu. Drugą taką osobą jest ten mężczyzna, chociaż nie zawsze zdawał sobie z tego sprawę. Trzecią był twój mąż Abeleyn, a czwartą Bardolin z Carreiridy. Teraz zostaliście mi tylko ty i Hawkwood. – Zwiesiła głowę, a on ścisnął jej palce jeszcze mocniej. – Mówię teraz do ciebie jako królewski doradca, lecz również jako przyjaciel. Musisz opuścić Hebrion. Musisz wsiąść na statek z garstką domowników, którym ty z kolei ufasz, i opuścić ten brzeg. I to szybko, jeszcze dzisiaj.

– Dokąd miałabym się udać? – zapytała wyraźnie wstrząśnięta Isolla.

Odpowiedział jej Hawkwood:

– Król Corfe nadal włada Torunną, a jego armia jest największa na świecie. Powinnaś popłynąć do Torunnu, pani. Tam będziesz bezpieczna.

– Nie. Moje miejsce jest tutaj.

– Hawkwood ma rację – poparł go z pasją Golophin. – Jeśli wpadniesz w ręce Aruana, wszystkie nasze nadzieje upadną. Ludzie będą potrzebowali kogoś, kto zapewni im poczucie ciągłości. I musisz tam popłynąć. Droga lądowa na wschód jest zamknięta. – Uniósł rękę. – Wystarczy już o tym. Rozmawiałem z komendantem floty w Wieży Admiralskiej. Czeka na ciebie królewska szebeka. Hawkwood będzie jej kapitanem. Powiedziano mi, że powinnaś odbić od brzegu z tym... no jak mu tam... z odpływem.

– Nadejdzie sześć godzin po południu – wyjaśnił Hawkwood. – Szebeka to dobry wybór. Ma lacińskie ożaglowanie, a przy tym zachodnim wietrze będzie miała wiatr w pół burty. Ale to znaczy też, że przy wypływaniu z portu zostanie jej bardzo niewielkie pole manewru. Będziecie jednak musieli znaleźć innego kapitana. Ja zostaję tutaj.

Isolla i Golophin wbili w niego wzrok.

– Przeżyłem swojego króla, admirała i swój okręt, mimo że byłem jego kapitanem – wyjaśnił Hawkwood. – Nie będę już więcej uciekał.

– Jesteś cholernym głupcem – stwierdził Golophin. – Co tutaj działasz, poza tym, że zetną ci głowę z tego sztywnego karku?

– To samo mógłbym powiedzieć o tobie – zauważył kapitan. – Wygląda na to, że ty również tu zostajesz. Po co?

– Jeśli zechcę, mogę w mgnieniu oka znaleźć się w Torunnie.

– Wyglądasz tak, jakby dziecko mogło cię zwalić z nóg wierzbową witką.

– On ma rację, Golophinie – wtrąciła pośpiesznie Isolla. – Czy twoje moce wymagają odnowy? Nie wyglądasz na zdrowego.

Przez chwilę sprawiała wrażenie poirytowanej własną bojaźliwością. Hawkwood zauważył, że zacisnęła zęby. Golophin jednak zignorował ją i dźgnął żeglarza w pierś kościstym palcem wskazującym.

– Aruan powiedział ci, że jego wyrozumiałość już się skończyła. Dwukrotnie pozwolił ci ujść z życiem, bo to służyło jego celom. Nie robi tego po raz trzeci. Poza tym ten statek potrzebuje doświadczonego nawigatora. Żeby dotrzeć do Torunnu, będziecie musieli przemierzyć trzy morza. Popłyniesz na nim, kapitanie. Ty również, pani. Nawet gdybym nie był twoim przyjacielem, nalegałbym, żebyś tak postąpiła jako królowa Hebrionu. Zrobisz to, nawet gdybym musiał wsadzić cię do worka i zanieść na pokład. Hawkwood, powierzam ci opiekę nad nią. No, ale wystarczy już o tym. Tak się składa, że mam powód, by tu zostać, a twoje słowa przekonały mnie, że Aruan nie będzie chciał zabić mnie natychmiast. Nie jestem też bezbronny, możecie więc zapomnieć o tych altruistycznych obawach i przygotować się do wyruszenia w rejs. Pod pałacem biegną tunele prowadzące niemal na samo nabrzeże. Abeleyn kazał je wydrążyć przed dziesięcioma laty. Będziecie mogli opuścić gmach, nie powiększając paniki. Isolla wie, gdzie są te korytarze. Udacie się tam tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

– Nie mogę tego zrobić. Muszę najpierw przemówić do szlachty. Nie mogę po prostu uciec – sprzeciwiła się królowa.

Golophin stracił w końcu cierpliwość.

– Możesz to zrobić i zrobisz! – warknął. Jego oczy rozbłyły zimnym światłem. Isolla cofnęła się o krok przed gniewnym białym płomieniem. – Na brodę Ramusia, myślałem, że masz więcej rozumu. Myślisz, że wygłosisz uspokajającą przemowę do szlachty, a potem wymkniesz się niepostrzeżenie? Królestwo wkracza w mroczny wiek, jakiego nawet sobie nie wyobrażamy. Sztorm, który go niesie, już niemal do nas dotarł. Nie mam czasu siedzieć tutaj i użerać się z upartymi durniami i głupimi dziewczątkami. Oboje zrobicie, co wam każę!

Światło w jego oczach zgasło.

– Hawkwood, chcę z tobą zamienić słówko na osobności – dodał bardziej ludzkim głosem.

Mag i marynarz opuścili zszokowaną królową i zatrzymali się pod jej drzwiami. Hawkwood spoglądał nieufnie na Golophina. Stary czarodziej uśmiechnął się szeroko.

– I co? Udało mi się ją wystraszyć?

– Ty stary skurczybyku! Nie tylko ją.

– Świetnie. Z tymi oczyma to był chyba niezły pomysł. Posłuchaj, Richardzie, musisz dotrzeć z nią na ten okręt najpóźniej parę godzin po południu. Żaglowiec nazywa się *Zajac Morski* i cumuje przy królewskim nabrzeżu, u samej podstawy Wieży Admiralskiej. Nie pytaj, w jaki sposób udało mi się go zawłaszczyć. Czerwienię się na samą myśl o tym. Tak czy inaczej, jest twój, a cała papierkowa robota... – Znowu się uśmiechnął. – Nie ma znaczenia. Wszystko jest gotowe albo prawie gotowe. Ludzie ładują teraz na pokład dodatkowe zapasy, ale słyszałem, że to statek przeznaczony do ucieczki, nie do walki, i jeśli rozkażę zaokrętować piechotę morską, wzbudzę podejrzenia. Aktualny kapitan dostał urlop i z pewnością kisi ogóra w jakimś zamtuzie. Rozmawiałem z komendantem portu. Wie, że ty będziesz kapitanem, ale twoi pasażerowie to tylko anonimowa szlachta i na tym koniec.

– Szlachta? A więc będzie ich więcej? – zainteresował się Hawkwood.

– Nie jestem jeszcze pewien. Właśnie wybieram się sprawdzić. Zaprowadź Isollę na ten okręt. I... opiekuj się nią, Richardzie. Jest nie tylko królową, ale również wspaniałą kobietą.

– Wiem o tym. Posłuchaj, Golophinie, jeszcze ci nie podziękowałem...

– Mniejsza z tym. Potrzebuję cię, tak samo jak ty mnie. A teraz muszę już iść. – Czarodziej

uściskał jego ramię. – Jeszcze się zobaczymy, kapitanie. Możesz być tego pewien.

Golophin oddalił się korytarzem. Miał ruchy dużo młodszego mężczyzny, choć wyglądał jak człowiek, który nic nie jadł od miesiący.

* * *

Zaczęło się gorączkowe pakowanie. Hawkwooda zaciągnęła do tej roboty Brienne – mała, ciemnowłosa służka Isolli. Astarąńska dziewczyna towarzyszyła królowej od dzieciństwa. Isolla milczała. Twarz miała zupełnie białą. Nadal sądziła, że gniew Golophina był autentyczny. Potem ich trójka pośpiesznie opuściła pałac podziemną drogą. Potykali się w blasku pochodni, obciążeni torbami i nawet małym kufrem. Admiralską Wieżę dzieliło od pałacu z górą półtorej mili. Przez jedną trzecią drogi schodzili po stromych, ociekających wodą schodach. Królowa szła pierwsza, trzymając w ręku skwierczącą pochodnię. Hawkwood i Brienne podążali za nią. Dźwigane przez nich ciężary nie pozwalały im widzieć własnych nóg. W pewnej chwili Hawkwood nadepnął na miękkiego, wijącego się szczura i potknął się. Mocna ręka Isolli natychmiast złapała go za łokieć, pomagając mu odzyskać równowagę. Twarz królowej ukrywał kaptur płaszcza, ale Isolla dorównywała wzrostem mężczyźnie i potrafiła sobie poradzić z dźwiganym brzemieniem. Hawkwood podziwiał jej szybki, pewny krok, a także szczupłe palce ściskające pochodnię. Czuł bijącą od niej woń perfum. Pachniała lawendą jak pogórze Hebrosu latem.

W końcu dotarli do drzwi. Isolla otworzyła je i wszyscy troje wyszli na dwór u podstawy wieży. Otoczył ich portowy zgiełk oraz wrzaski mew. Powietrze przesyciły morskie zapachy gnijących ryb, smoły, drewna i soli. Blask słońca raził ich w oczy po podziemnej podróży. Ten spektakl oślepił ich i przez chwilę stali bez ruchu, mrugając. Hawkwood otrząsnął się pierwszy i poprowadził kobiety na żaglowiec, który cumował przy nabrzeżu razem z wieloma innymi.

* * *

Zajac Morski był szebeką o łacińskim ożaglowaniu. Jego wyporność wynosiła około trzystu ton. Był szybkim okrętem kurierskim, a jego załoga składała się z sześćdziesięciu ludzi. Wyposażono go w trzy maszty, umożliwiające zmianę osprzętu z łacińskiego na rejowy, w zależności od pogody. Miał ostry dziób, wąską stępkę i duży kosz rufowy, lecz mimo to był wystarczająco szeroki, by zachować stabilność podczas złej pogody. Obły pokład sprawiał, że nawet jeśli woda przelewała się przez burty, natychmiast spływała przez szpigaty. Nad pokładami umieszczono gretingi biegnące od linii środkowej aż po relingi. Dzięki temu marynarze byli osłonięci. Jak powiedział Golophin, był to okręt zbudowany z myślą o szybkości, nie o walce, i choć miał na rufie dwa dwunastofuntowe działa, z obu burt umieszczono tylko po sześć lekkich działek, przydatnych raczej do powstrzymywania abordażu niż do prawdziwej bitwy morskiej. Hawkwooda przywitano nieprzyjaznymi spojrzeniami, ale gdy tylko damy sprowadzono na dół, zaczął wykrzykiwać rozkazy, udowadniając, że zna się na swej robocie. Pierwszy oficer, Merduk imieniem Arhuz, był niskim, krępyim mężczyzną o ciemnej jak u foki skórze. Przed trzydziestu laty pływał z Juliusem Albakiem i jak wszyscy marynarze słyszał o Richardzie Hawkwoodzie i o jego wielkiej wyprawie, tak jak pamięta się poznane w dzieciństwie wierszyki. Gdy tylko załoga dowiedziała się, kim jest nowy kapitan, wszyscy zabrali się z pasją do roboty. Nie co dzień zdarza się okazja pływania pod rozkazami żywej legendy.

Trzeba było wnieść na pokład całe mnóstwo zapasów. Główny luk był szeroko rozwartym i stojącym na rejach ludzie trudzili się przy taliach, opuszczając do ładowni skrzynie i worki. Następni przynosili ładunki z wielkich magazynów pod wieżą, a jeszcze inni zwijali zapasowe liny albo wciągali na pokład opierające się kozy i wnosili klatki z kurami. Wszystko to sprawiało wrażenie chaosu, ale był to kontrolowany chaos. Hawkwood nie wątpił, że zdążą ukończyć załadunek i wyruszyć z wieczornym odpływem.

Panika panująca w porcie nie dotarła do królewskiej stoczni, ale zza wysokich murów oddzielających ich od Szlaków Wewnętrznych dobiegały jej odgłosy. W powietrzu unosił się smród strachu. Marynarze zerkali na nadciągający z zachodu sztorm. Chmury z każdą chwilą przesłaniały coraz większą część nieba. W tej części świata Hawkwood nie potrzebował map. Znał wybrzeża w okolicy Abrusio równie dobrze jak własną twarz, która spoważniała nagle, gdy kapitan rozważył kwestię wypłynięcia ze Szlaków Wewnętrznych przy silnym wietrze z zachodu. Choć szebeka świetnie sobie radziła z bocznym wiatrem, to gdy tylko wypłyną do zatoki, zaczną ich znosić ku bezlitosnym brzegom Hebrionu. Jednakże pod stępką będą mieli odpływ, który powinien zanieść ich na szersze wody. Hawkwood miał nadzieję, że to wystarczy.

W ciągu swej wieloletniej kariery wyprowadzał z tego portu niezliczone żaglowce, wypływając nimi na zielone wody zatoki, a potem dalej, do korsarskiego Macassaru albo do ojczystego Gabrionu, którego prawie wcale już nie pamiętał. Na wybrzeża gorącego Calmaru albo do dżungli dzikiego Puntu. Wszystkie te wspomnienia były jednak drobiazgiem w porównaniu z wyprawą, której zawdzięczał sławę. Wyprawą, która go złamała. Nie przyniosła nic dobrego nikomu, a zwłaszcza jemu, wiedział jednak, że jego nazwisko jest z nią nieodwołalnie związane – przynajmniej dla marynarzy. Zdobył miejsce w historii i – co być może ważniejsze – wywalczył dla siebie honorową pozycję pośród największych żeglarzy w dziejach. Nie był jednak z tego dumny. Wiedział, że to nie ma znaczenia. Ludzie dokonywali wielkich rzeczy dlatego że musieli, albo dlatego że uważali, iż nie mają innego wyjścia. A potem uznawano ich za bohaterów. Tak już był urządzony ten świat. Hawkwood w końcu to zrozumiał.

Jednakże kobieta przebywająca pod pokładem miała znaczenie. Rzecz jasna, miała je dla świata – było istotne, by ocalała życie – ale była ważna również dla niego. Nie śmiał się nad tym głębiej zastanawiać, z obawy przed śmiesznością typową dla średniego wieku. Wystarczało mu, że Isolla jest przy nim.

Richard Hawkwood stał na pokładzie rufówki okrętu należącego do kogoś innego, przyglądał się nadciągającej z zachodu zagładzie oraz ludziom przygotowującym się do wypłynięcia na morze. Wiedział, że Isolla jest na dole, i uszczęśliwiała go to z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu.

Wtem na nabrzeżu doszło do poruszenia. Przez bramę wpadło dwoje jeźdźców. Rozpędzone wierzchowce zatrzymały się przed szebeką, wywołując panikę wśród marynarzy i mew. Mężczyzna i kobieta zsunęli się z siodeł. Pokrywała ich gruba warstwa pyłu. Trzymając się za ręce, bez zbędnych ceremonii wbiegli po trapie. Nie przedstawili się nikomu, a spienione wierzchowce zostawili na brzegu. Hawkwood wyrwał się z zamyślenia, wezwał krzykiem podoficera żandarmerii i podbiegł do intruzów.

– Co to ma znaczyć, do licha? To królewski okręt. Nie możecie...

Kobieta zsunęła zdobnie haftowany kaptur i uśmiechnęła się do niego.

– Cześć, Richardzie. Kopę lat.

To była Jemilla.

CZEŚĆ DRUGA
KRÓL-ŻOŁNIERZ

*Lecz z Galahadem już się pożegnałem,
Z rycerzem z marzeń pełnym próżnej dumy
Żądę i ślepa nienawiść pokochałem,
I przy mnie są poległych druhów tłumy...*

Siegfried Sassoon

DZIEWIEĆ

Gaderion narodził się jako drewniany blokhauz wzniesiony na otoczonej przez górskie strumienie odnodze Thurianu. Stacjonowali tu fimbriańscy żołnierze pilnujący drogi przez Przesmyk Torrinu i pobierający myto od karawan wędrujących z zachodu na wschód bądź w przeciwną stronę. Po rozpadzie imperium posterunek porzucono i jedyną pamiątką po Fimbrianach była znakomita droga, którą zbudowali dla swojej armii.

Torunnanie wzniesli w przesmyku cały szereg placówek, przy których wyrosły gospody oraz stajnie zaspokajające potrzeby podróżnych. Wszystkie jednak popadły w ruinę z biegiem lat, z powodu kryzysu wywołanego przez merduckie wojny oraz schizmy, która nastąpiła później. Handel między Torunną a Almarkiem spadł niemal do zera.

Później fortecę w przesmyku próbowała zbudować merducka armia, zanim pokonano ją pod Berroną. Po bitwie pod Armagedirem król Corfe doszedł do wniosku, że ta okolica wymaga starannej uwagi. W miejscu, gdzie droga biegła wąską doliną między dwoma łańcuchami górskimi, rozkazał wzniesić na wzgórzu wielki kompleks forteczny, przynajmniej rozmiarami mogący rywalizować z dawno utraconym Wałem Ormanna. W następnych latach fortyfikacje rozciągnięto na długość prawie półtorej mili, wzdłuż całego wąwozu. Gaderion składał się obecnie z trzech oddzielnych fortów, połączonych ze sobą potężnymi murami kurtynowymi.

Na południowym wschodzie, na stromej wyniosłości z czarnej skały, zbudowano donżon. Mury przysadzistej cytadeli miały pięćdziesiąt stóp grubości i mogły się oprzeć działom oblężniczym. Na terenie fortecy znajdowało się źródło, a pod spodem, w litej skale, wykuto schrony zdolne pomieścić sporą armię i zapasy dla niej na cały rok. Ulokowano tu również administracyjne centrum garnizonu oraz kwaterę głównodowodzącego. Nad budynkami górował wyższy obiekt, tępo zakończona iglica skalna, która ongiś, w latach młodości świata, była pnem stopionej lawy otoczonym ścianami wulkanu. Te ściany uległy z czasem erozji, pozostawiając jedynie złowieszczą bazaltową pięść. Gdy inżynierowie Corfe'a weszli na szczyt, znaleźli tam pogański ołtarz. Iglicę częściowo wydrążono – prace były bardzo kosztowne i niebezpieczne – by stała się ostatnim schronieniem wewnątrz donżonu. Ponadto z jej szczytu rozciągał się widok na całą dolinę Torrinu i na góry po obu stronach. W twardej ścianach wydrążono otwory strzelnicze i ulokowano w nich lekkie działa, panujące nad wszystkimi drogami wiodącymi do fortecy. Ludzie zwali złowrogą kamienną wieżycę Szpikulcem.

Donżon i Szpikullec górowały nad płaską doliną o szerokości około trzech czwartych mili. Gleba była tu żyzna i ciemna, nawadniał ją zimny strumień, który setki mil na południowy wschód stąd stawał się Torrinem. Żołnierze z garnizonu uprawiali poletka w cieniu fortecy, nie zważając na krótkie górskie lato oraz zabójcze mrozy zimy. W Gaderionie stacjonowało obecnie dwadzieścia osiem tysięcy ludzi. Wielu z nich miało mieszkanie w pobliżu żony i dolina na wschód od murów była upstrzona szeregiem kamiennych bądź drewnianych chat. Oficjalnie spoglądano na to z niechęcią, ale po cichu tolerowano, w przeciwnym bowiem razie rozłąka z rodzinami stałaby się nieznośna.

Na samym środku doliny znajdowało się okrągłe wzgórze wysokości około pięćdziesięciu stóp. Wzniesiono na nim drugą z fortec Gaderionu – prostą, kwadratową redutę z trójkątnymi kazamatami w narożnikach. Pozwalały one złapać zbliżającego się do murów nieprzyjaciela w śmiercionośny ogień krzyżowy. Pod łukami dwóch obsadzonych silnymi posterunkami bram przebiegał Trakt Północny. Przed tymi bramami usytuowano bliźniacze redany, każdy obsadzony baterią dział. Za murami umieszczono stajnie dla królewskich kurierów, którzy utrzymywali łączność między Gaderionem a światem zewnętrznym. Tam też stacjonował główny oddział wypadowy fortecy, około ośmiu tysięcy ludzi, w tym połowa kawalerii.

Ostatni z fortów Gaderionu stanowiło Orle Gniazdo. Było ono przyklejone, niczym gniazdo jaskółek, do stromych stoków Candorwiru, góry piętrzącej się nad doliną od zachodu. W skale wykuto tam pomieszczenia dla trzech tysięcy ludzi oraz pięćdziesięciu wielkich dział. Do fortecy prowadziła jedynie stroma, przyprawiająca o zawrót głowy ścieżka, tak wąska, że mógł nią iść tylko jeden muł. Ją również wykuto w skalnym stoku. Działa Orlego Gniazda i donżonu mogły ostrzeliwać ogniem krzyżowym dno doliny, zamieniając ją w śmiertelną pułapkę, gdzie każdy punkt namierzono i zaznaczono na mapach. Gaderiońscy artylerzyści mogli, jeśli tylko zechcieli, ostrzeliwać dolinę po ciemku, gdyż każde działo wyposażono w rejestry wymieniające kąt podniesienia i kąt obrotu, niezbędne do wycelowania w określone punkty.

Choć te trzy fortece były potężne, miały pewien słaby punkt – mur kurtynowy. Miał on czterdzieści stóp wysokości i prawie tyle samo grubości. Przecinał dolinę dziwnym zygzakiem, łącząc donżon z redutą, a redutę z urwiskami u podstawy Orlego Gniazda. Co trzysta jardów umieszczono na nim wieżyczki o załamujących się pod ostrymi kątami murach, a wzdłuż niego stacjonowały cztery tysiące ludzi. Choć wydawał się silnym punktem obronnym, był najslabszym elementem fortyfikacji. W jego kazamatach ulokowano tylko garstkę dział, bo Corfe już dawno temu zdecydował, że to artyleria trzech fortec będzie broniła muru. Nawet gdyby nieprzyjaciel go sforsował, rozlokowane w fortcach działa i tak uniemożliwią mu przeprowadzenie wojsk przez dolinę. By osiągnąć ten cel, przeciwnik będzie musiał zdobyć wszystkie fortece: donżon, redutę i Orle Gniazdo. Ich załogi liczyły w sumie dwanaście tysięcy ludzi. Szesnaście tysięcy pozostałych mogło przeprowadzać akcje zaczepne i patrolować okolicę. Kiedyś wydawało się, że to wystarczy zawiązką, ale teraz głównodowodzący Gaderionu, generał Aras, nie był już tego taki pewien.

* * *

Niespełna dwadzieścia mil na północny zachód od Gaderionu wąski przesmyk przechodził w szerokie Równiny Toriańskie. Pośród wzgórz dzielących je od gór było widać szereg wzniesionych z drewna i ziemi budowli – początek Linii Thuriańskiej, wysuniętej najdalej na wschód placówki Drugiego Imperium. Wojska Himeriusa zbudowały tu przy pomocy tysięcy przymusowych robotników potężną barierę z drewna i gliny. Pełniła ona funkcję linii obronnej, a zarazem rejonu ześrodkowania. Wiła się między trawiastymi wzgórzami niczym monstrualny wąż, najeżony ostrokołami, umocnieniami skarp i koszami szanćowymi. Było tam niewiele ciężkich dział, ale całą niezmierną długość linii patrolowały bardzo liczne oddziały, z tyłu zaś zbudowano otoczone ziemnymi wałami miasteczka oraz wysypane tłuczniem drogi. Dym z ognisk było widać w odległości wielu mil jako tłustą plamę na obrąbku nieba. Wokół miasteczek ciągnęły się trzęsawiska, przez które bez ustanku wędrowały oddziały piechoty oraz brnącej po pęciny w błocie kawalerii. Stacjonowali tu ludzie z kilkunastu różnych krajów – od leżącego na dalekim zachodzie Fulku aż po ukryty wśród Gór Jafrarskich Gardiac. Rycerze z Perigraine, wyglądający jak zabytek przeszłości na swych pięknie przystrojonych rumakach. Pobrząkujący zbrojami gallowglassowie z Finnmarku ze swymi wielkimi mieczami oraz toporami. Almarkańscy kirasjerzy z pistoletami przytroczonymi do siodeł. Rycerze-Bojownicy, zakuci w zbroje równie ciężkie, jak ich towarzysze z Perigraine, ale robiący znacznie groźniejsze wrażenie. I inicjanci, którzy nie byli już noszącymi habity mnichami, lecz tonsurowanymi wojownikami, dosiadającymi rumaków, dzierżącymi buzdygany i zakutymi w lakierowaną na czarno stal. Prowadzili oni luźne kolumny ludzi, którzy nie mieli broni ani zbroi, ale mimo to budzili największy strach spośród wszystkich żołnierzy Himeriusa. To były Psy Boże. Gdy ich oddział przemierzał kłusem błotniste ulice garnizonu, wszyscy, nawet muskularni gallowglassowie, schodzili im z drogi. Torunianie nie zmierzili się jeszcze w walce z tymi stworami. Były one tajną bronią, na której opierało się wiele nadziei imperium.

Na spornym terytorium między dwiema liniami umocnień już od kilku miesięcy trwały brutalne, choć niezbyt intensywne walki. Obie strony wysyłały patrole mające zbierać informacje o przeciwniku, a gdy te oddziały spotykały się ze sobą, nie dawano pardonu. Przed zaledwie dwoma dniami torunnańska kolumna złożona z tysiąca kirasjerów przemknęła niepostrzeżenie między wzgórzami na północny wschód od Linii Thuriańskiej i spaliła mosty na Tourberingu, sto mil na północ stąd. Gdy jednak wracali, Himerianie już na nich czekali i zaledwie dwustu jeźdźców pojawiło się ponownie pod murami Gaderionu.

* * *

Gdy zbliżał się wieczór, mała grupka lekkobrodnej torunnańskiej kawalerii ściągnęła wodze i przygotowała się do spędzenia nocy na niskim wzniesieniu, z którego było widać ciągnący się bez końca szereg świateł Linii Thuriańskiej. Opuścili Gaderion przed trzema dniami, udając się na rekonesans. Przejechali wzdłuż całej linii, a rankiem mieli wrócić do koszar. Połowa żołnierzy stała na warcie, a druga połowa zsiadła z koni, wytarła je i nakarmiła, a potem rozwinęła mokre pośłania. Zrobiwszy to, spieszeni żołnierze stanęli na straży, by towarzysze mogli pójść w ich ślady. Sześćdziesięciu zmęczonych, brudnych mężczyzn pragnęło jedynie przetrwać noc, wrócić do łóżek, umyć się i zjeść ciepły posiłek. Torunnanom nie pozwalano palić ognisk, gdy przebywali na ziemi niczyjej, ich obozy były więc zimne i ponure, a racje żywnościowe niewiele lepsze. Konie przywiązano na lesistym terenie u stóp wzniesienia i spętane zwierzęta zatopiły nosy w workach z obrokiem. Było już prawie zupełnie ciemno. Wyszczerbiony szczyt Candorwuru za ich plecami lśnił jeszcze w ostatnich promieniach słońca, ale na bezchmurnym nocnym niebie pojawiło się już siedem jasnych gwiazd Kosy.

Dowodzący oddziałem oficer, tyczkowaty młodzieniec o włosach barwy słomy, wpatrywał się w linię świateł widoczną w odległości około dziesięciu mil na północny zachód. Przemierzały świat lukiem niczym filigranowy naszyjnik, zbyt delikatny, by mógł wydawać się groźny. Widział je jednak z bliska i wiedział, że Himerianie zdobią te szanice głowami Torunnan nadzianymi na pale. Ciała zostawiali dla padlinożerców niedaleko murów, w zasięgu dział.

– Jest spokojnie, chorąży – zameldował sierżant, cień pośród pozbawionych twarzy cieni.

– W porządku, Dieter. Ty też połóż się spać. Ja jeszcze tu trochę postoję.

Sierżant nie ruszył się jednak z miejsca. Wpatrywał się w Linie Thuriańską, podobnie jak jego dowódca.

– To zabawne. Za murami jest rojno jak w mrowisku, które ktoś rozgrzebał patykiem, ale skurwysyny nie wystawiają na zewnątrz nawet paluszka. Ani jednego patrolu! Nigdy nie widziałem czegoś takiego, a służę tu już od czterech lat.

– Aha, faktycznie paskudnie to pachnie. Może pogłoski mówią prawdę i wojna wreszcie się zaczyna.

– Na krew Świętego, mam nadzieję, że nie.

Młody chorąży spojrział na starszego o dwadzieścia lat sierżanta i uśmiechnął się szeroko.

– A cóż to, Dieter? Nie masz ochoty dobrać się im do skóry? Kryją się za tymi szanicami już od dziesięciu lat. Pora, żeby zza nich wyleźli i zmierzyl się z nami.

– Walczyłem pod Armagedirem, chłopcze – odparł Dieter z pozbawioną wyrazu twarzą. – A przedtem w bitwie królewskiej. Miałem wtedy tyle lat, co ty teraz, i myślałem tak samo. Wszyscy młodzi mężczyźni są jednakowi. Pragną zobaczyć wojnę na własne oczy, a kiedy ją ujrzą, nie chcą jej oglądać już nigdy więcej. O ile przeżyją.

– Nie wierzysz w chwałę?

– Roche, służysz tu już rok. Jak wiele chwały widziałeś przez ten czas?

– Ach, ale to były tylko te cholerne potyczki. Chcę zobaczyć, jak wygląda prawdziwa bitwa, taka, gdzie rozwinięte szyki ciągną się na milę, a ziemia drży od huku dział.

– Ja chcę tylko wrócić do łóżka i do żony.

– A co z małym Pierem? Już niedługo będzie wystarczająco duży, żeby dosiąść konia i utrzymać pikę. Czy chcesz, żeby poszedł w twoje ślady i wstąpił do armii?

– Mam nadzieję, że zdołam go przed tym powstrzymać.

– Ach, Dieter, jesteś po prostu zmęczony i tyle.

– Nie, nie o to chodzi. To chyba przez to czekanie. Skurwysyny przygotowują się już od dziesięciu lat, od bitwy na Równinach Toriańskich. Panują nad całym obszarem od Malvennoru i Gór Cymbryckich aż po granice jafrarskich sultanatów, ale wciąż im mało. Nie zatrzymają się, dopóki ich nie rozbijemy. Pewnie chciałbym mieć to wreszcie za sobą.

Przerwał, wytężając słuch. Stojące pośród drzew konie zachowywały się niespokojnie i agresywnie, mimo że były tak samo zmęczone jak jeźdźcy. Szarpały postronki i próbowały stawać dęba, mimo że przednie nogi im spętano.

– W wietrze czuć dzisiaj coś dziwnego – rzucił od niechcienia młody chorąży. Jego twarz zastygła w wyrazie niepokoju.

Nocną ciszę mąciły jedynie odgłosy szamoczących się koni. Wartownicy pełniący służbę przy zwierzętach próbowali je uspokoić, przeklinając i łapiąc za worki z obrokiem.

– To prawda – zgodził się Dieter. – Ty również to czujesz?

Chorąży powęszył z niepewną miną.

– Gdzieś tu musi być stara lisia nora. Dlatego konie się płoszą.

– Nie, ten zapach jest inny. Silniejszy.

Jeden z wartowników podbiegł do obu mężczyzn, trzymając w dłoni szablę. Metal lśnił zimnym blaskiem w świetle gwiazd.

– Tam w mroku coś jest, chorąży. Coś się porusza. Okrążyło obóz, a potem zniknęło w tym parowie po lewej. Skryło się między drzewami.

Młody oficer zerknął na sierżanta.

– Obudź ludzi.

Wtem rzenie koni przeszło w chór przerażonego kwiku. Wszyscy zamarli, porażeni grozą. Spanikowani wartownicy przybiegli do obozu, uciekając od przywiązanych wierzchowców.

– Coś tam jest, sierzancie!

– Pobudka! – ryknął Dieter, choć ludzie wygrzebywali się już z posłań i łapali za broń.

– Co tam się dzieje, do licha?

– Nic nie widzieliśmy. Wyszły z parowu. To jakieś zwierzęta, czarne jak wilcze gardło, i chodzą na tylnych nogach, jak ludzie. Ale to nie są ludzie, sierzancie.

Konie rozpaczliwie próbowały wspiąć się po skalistym zboczku do obozu, w którym czekali jeźdźcy. Zwierzęta ciągnęły postronki za sobą, ale ich przednie nogi były spętane i konie padały z kwikiem na boki, wierzgając szaleńczo tylnymi kończynami. Ludzie widzieli już, że są pokryte czarną, lśniącą krwią. Jednemu z wierzchowców wypruto wnętrzności i ślizgał się na własnych jelitach.

– Sierzancie Dieter – rozkazał chorąży drżącym głosem – weź pół plutonu i sprawdź, co się tam dzieje.

Dieter patrzył nań przez chwilę, a potem skinął głową. Ryknął na stojących najbliżej ludzi i dwunastka żołnierzy podążyła niechętnie za nim do porośniętej drzewami niecki, z której dobiegała piekielna kakofonia głosów ginących zwierząt.

Reszta ludzi ustawiła się w szyku na wzgórzu, obserwując towarzyszy, którzy przedzierali się między przerażonymi, ginącymi końmi, wciąż usiłującymi się wydostać spomiędzy drzew. Dwaj żołnierze padli na ziemię. Sierżant zostawił ich tam, rozkazując, by uwolnili tyle wierzchowców, ile tylko zdołają. Spanikowane zwierzęta otaczały ich tłumnie, szukając ochrony u swych jeźdźców. Potem grupa Dietera zniknęła w bezdennym cieniu lasu porastającego podstawę wzgórza.

Uwolnione z pęt konie wbiegały już na wzniesienie. Ludzie próbowali je łapać i uspokajać, ale większość umknęła. Skupieni wokół chorążego żołnierze byli nie tylko przerażeni, lecz również zdumieni i rozgniewani brutalnym atakiem na ich wierzchowce. Wiele z tych, którym udało się uciec, krwawiło z głębokich ran zadanych pazurami.

Rozległ się krótki urywany krzyk, jakby krzyczącemu wybito powietrze z płuc.

– To był Dieter – odezwał się jeden z ludzi stojących na wzgórzu.

Rosnące w niecce olchy i brzozy zaczęły się nagle poruszać, jakby ktoś potrząsał ich gałęziami. Stojący na szczycie żołnierze wyteżali wzrok, przeklinając ciemność. Za leżącymi na ziemi okaleczonymi końmi wypatrzyli szereg czarnych postaci, które wyłoniły się spomiędzy drzew niczym obłok cienia. Znowu poczuli tę samą woń, tym razem silniejszą – piżmowy odór jakiejś wielkiej bestii. Coś poleciało ku nim przez noc i wylądowało z łoskotem u ich stóp. Usłyszeli jakiś dźwięk. Wielu przysięgało później, że brzmiał on jak ludzki śmiech. Potem jeden z żołnierzy wyciągnął rękę, wskazując leżący na ziemi przedmiot. To była głowa sierżanta.

Stwory rozpląnęły się w ciemności. Gałęzie zasunęły się za nimi. Ludzie na wzgórzu stali bez ruchu, jak skamieniali. Nagle zapadła cisza. Ucichł nawet kwik koni.

* * *

Codziennie konne wycieczki pani Mirren były trudną próbą dla przydzielanych jej strażników i dla dam dworu. Co rano, tuż po świcie, księżniczka zjawiała się w królewskich stajniach. Czekał już tam na nią jej wierzchowiec Hydrax, osiodłany przez Shamarqę, starzejącego się Merduka, jej głównego stajennego. Zawsze miała do towarzystwa jedną z dam dworu, która wyciągnęła tego dnia krótką słomkę, oraz odpowiedniego młodego oficera, służącego jako eskorta. Dziś rano był to chorąży Baraz, który przez kilka dni spędzał przyjemnie czas w Sali Mieczy, nim wreszcie przyciągnął spojrzenie generała Comillana. Zaakceptował ten nowy przydział z tak wielką godnością, na jaką tylko mógł się zdobyć, i teraz jego wielki siwek tańczył niecierpliwie obok Hydraxa. Do siodła miał przytroczoną parę pistoletów i szablę. Gebbia, mająca im towarzyszyć dama, otrzymała spokojną kasztankę, na którą i tak spoglądała z miną bliską rozpacz.

Wszyscy troje wyjechali z miasta przez północno-zachodnią bramę i ruszyli naprzód szybkim galopem. Klaczka Gebbii podskakiwała jak zabawka, nie mogąc nadążyć za dwoma większymi wierzchowcami. Uczepiona szyi Mirren marmozeta szczyrzyła zębki na rzeński wiatr i próbowała lizać powietrze. Jeźdźcy ominęli pełen wozów Trakt Królewski i ruszyli ku położonym na północ od miasta wzgórzom. Księżniczka ściągnęła wodze dopiero, gdy konie zaczęły parskać i buchać parą. Baraz dotrzymywał jej kroku, ale biedna Gebbia została pół mili z tyłu. Klaczka damy dworu nadal podskakiwała uparcie za nimi.

– Nie rozumiem, dlaczego tych panien nie można nauczyć jeździć na porządnych koniach – poskarżyła się torunnańska księżniczka.

Baraz poklepał swego wierzchowca po spoconej szyi, nie odzywając się ani słowem. Żałował teraz, że król zainteresował się nim na chwilę. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przydzielą go do *tercio*, by mógł posmakować prawdziwej żołnierki. Mirren przyjrzała się jego pozbawionej wyrazu twarzy.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Chorąży Baraz, pani. Tak, z tych Barazów.

Miał już serdecznie dość reakcji, jaką wywoływało jego nazwisko.

– Dobrze jeździsz, ale sprawiasz wrażenie jeszcze bardziej niezadowolonego od Gebbii. Czy uraziłam cię czymś?

– Z pewnością nie, pani. – Nadal przypatrywała mu się z uwagą. – Po prostu liczyłem na przydział o bardziej... wojskowym charakterze. Jego królewska mość przydzielił mnie do Naczelnego Dowództwa jako oficera sztabowego...

– A ty wolałbyś trochę pobrudzić sobie ręce, zamiast dotrzymywać towarzystwa księżniczkom cwałującym po okolicy.

– Coś w tym rodzaju – przyznał z uśmiechem Baraz.

– Większość młodych oficerów bardzo lubi dotrzymywać towarzystwa cwałującym księżniczkom.

Baraz pokłonił się w siodle.

– Jestem nieokrzesany. Muszę cię przeprosić, pani. To oczywiście wielki zaszczyt...

– Och, przestań chrzanić, Baraz. Wcale nie mam do ciebie pretensji. Gdybym była mężczyzną, czułabym to samo, co ty. O, jedźcie Gebbia. Można by pomyśleć, że właśnie przemierzyła konno całą Normannię. Gebbio! Ściśnij mocno kolana i pogoń kopniakiem tę leniwą szkapę, bo inaczej uciekniemy ci na dobre.

Gebbia, ładne, ciemnowłose dziewczętko o twarzy zaczerwienionej ze zmęczenia, skinęła tylko głową i popatrzyła błagalnie na Baraza.

– Może powinniśmy jechać przez chwilę stępa, żeby konie mogły ostygnąć – zasugerował młodzieniec.

– Proszę bardzo. Jedź obok mnie, chorąży. Jak dotrzemy do tamtego wzgórza, może pozwolę ci się ze mną pościgać.

Trzy konie ruszyły w spokojniejszym tempie długim, porośniętym wrzosem i usianym głązami stokiem. Słońce wznosiło się już ponad horyzont przed nimi, rozświetlając skłębione chmury różowym blaskiem. Ze wschodu nadleciał sokół, który zatoczył z głośnym krzykiem krąg i pomknął w stronę Torunnu, w kilka sekund przeradzając się w uskrzydłony punkcik. Mirren śledziła z uwagą jego lot, osłaniając oczy dłonią. Marmozeta zaczęła mamrotać z niezadowoleniem i dziewczyna uspokoiła zwierzątko.

– Nie, Mij, to był tylko ptak.

– Rozumiesz, co on mówi? – zapytał zaciekawiony Baraz.

– Poniekąd. To mój chowaniec. – Roześmiała się, widząc, że wybałuszył oczy. – Nie wiedziałeś, że Fantyrowie mają dweomer we krwi? Przynajmniej żeńska linia. Po matce odziedziczyłam zdolności do czarów, a po ojcu umiejętność jeżdżenia na wszystkim, co ma cztery nogi.

– To znaczy, że potrafisz rzucać zaklęcia?

– Chcesz, żebym spróbowała? – Poruszyła palcami, podsuwając mu dłoń pod nos, i Baraz wzdrygnął się mimo woli. Mirren znowu parsknęła śmiechem. – Mam niewiele talentu i poza matką nie pozostał nikt, kto mógłby mnie uczyć. W Torunnie nie ma już wielkich magów. Ponoć wszyscy uciekli do Himeriusa, żeby służyć jego imperium.

– Nigdy nie widziałem, jak się rzuca czar.

Mirren pomachała ręką, marszcząc w skupieniu brwi, i Baraz zobaczył zielononiebieskie światło ciągnące się za rękawem dziewczyny. Blask skupił się na jej otwartej dłoni w jasną kulkę magicznego ognia. Księżniczka rzuciła ją i kulka okrążyła głowę zdumionego młodzieńca, a potem zgasła jak zdmuchnięta świeca.

– Widzisz? To tylko jarmarczne sztuczki, niewiele więcej.

Wzruszyła ramionami z rzadkim u niej smutkiem. Ujrzał przez chwilę w licu dziewczyny odbicie twarzy jej ojca. Oczy Mirren miały cieplejszy wyraz, ale w linii żuchwy i długiego nosa dostrzegało się tę samą siłę. Nie żałował już tak bardzo, że kazano mu jej towarzyszyć.

Przyjrzała mu się, wciąż zasmucona, a potem zwróciła do swej damy dworu:

– Nie próbuj dotrzymywać nam kroku, Gebbio, bo tylko spadniesz z konia. Gotowy do wyścigu?
– zapytała Baraza.

Wrzasnęła przeraźliwie i pogoniła kopniakiem Hydraxa. Wielki gniadosz natychmiast ruszył galopem, a po chwili przeszedł w pełen cwał. Czarna grzywa powiewała za nim niczym flaga. Zdumiony Baraz śledził ją wzrokiem. Zauważył, że księżniczka trzyma się na koniu bardzo pewnie, mimo że jeździ w damskim siodle. Potem wbił pięty w końskie boki.

Z początku myślał, że pozwoli jej na chwilę wysunąć się na czoło, ale zorientował się, że to ona zostawia go szybko z tyłu. Musiał pędzić za nią ze wszystkich sił. Teren był nierówny i siwek trząsał mocno. W pewnej chwili Baraz był zmuszony ściągnąć z całej siły wodze, bo wałach potknął się i omal nie runął na ziemię. Chorąży potrzebował wszystkich swych umiejętności, by dopędzić księżniczkę. Gdy dotarli na szeroki płaskowyż znajdujący się na szczycie wzniesienia, Mirren przeszła w galop, kłus, a na koniec w powolnego stępa.

– Nieźle – pochwaliła go.

Marmozeta ułożyła się wokół jej szyi. Ślepiec małpki błyszczały równie jaskrawo, jak oczy dziewczyny.

– Mij, trochę luźniej, bo mnie udusisz.

Szczytem wzgórz biegła wyboista ścieżka. Jechali po niej stępa, spoglądając z góry na stolicę. Od jej bram dzieliło ich już jakieś pięć, sześć mil, a Gebbia przerodziła się w małą plamkę widoczną na dole. Mimo to biedna dziewczyna wciąż kłusowała śmiało w górę.

Minęli ruiny domu, czy też górskiego gospodarstwa. Belki dachu dawno już zapadły się niczym zwęglone żebra, niknąc w cieniu ścian.

– Ojciec opowiadał mi, że przed wojną pośród tych wzgórz mieszkało wielu knieci. Ale potem przyszli Merducy i... – Mirren pokraśniała. – Och, przepraszam, chorąży Baraz.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– To prawda, pani. Moi rodacy spustoszyli tę krainę, zanim twój ojciec pokonał ich pod Armagedirem i zmusił do odwrotu. To były paskudne czasy.

– A teraz potomek wielkiego shahra Baraza z Aekiru nosi torunnański mundur i wykonuje rozkazy torunnańskiego króla. Czy nie wydaje ci się to dziwne?

– Gdy wojny się skończyły, byłem małym chłopcem. Dorastałem, wiedząc, że Ramusio i Ahrimuz byli tą samą osobą. Całe życie modliłem się razem z ramusianami. Starsi ludzie pamiętają, jak było dawniej, ale młodszy znają tylko świat, w którym żyjemy obecnie. I tak jest lepiej.

– Z pewnością się z tym zgadzam.

Uśmiechnęli się do siebie jednocześnie i Baraz poczuł, że zrobiło mu się ciepło na sercu. Nastrój zmąciły jednak nerwowe wrzaski chowańca Mirren.

– Co się stało, Mij?

Zwierzątko łąziło jak szalone po jej ramionach, sycząc i popłakując. Mirren zatrzymała konia, by je uspokoić. Baraz przejął od niej wodze, a ona wzięła stworzonko w ręce i spojrzała mu w twarzyczkę. Ucichło i schowało się ze słabym jękiem w jej kapturze. Położyło się tam, szczebiocząc coś do siebie.

– Jest przerażony, ale pokazał mi tylko pysk wielkiego czarnego wilka. – Zaniepokojona Mirren

wzięła wodze od chorążego.

– Ktoś jest na drodze przed nami – poinformował ją Baraz, poluzowując szablę w pochwie.

W oddali stał jakiś wysoki człowiek, nie zwracający uwagi na ich obecność. Znieruchomiał niczym posąg, wpatrując się w mury stolicy, które przybrały w blasku porannego słońca barwę musztardy, a także w widoczną dalej błękitną wstęgę rozszerzającego się po drodze do morza Torrinu.

– Nie wygląda groźnie – zauważyła Mirren. – Och, Baraz, nie przesadzaj z tą rolą strażnika. To tylko jakiś żebrak albo wagabunda. Spójrz, na poboczu czeka następny. To jacyś staruszkowie, którzy zgubili drogę.

Podjechali do mężczyzn, pogrążonych w kontemplacji widocznego w oddali miasta. Jeden z nich siedział oparty plecami o kamień. Głowę zakrywał mu kaptur podobny do mnisiego. Niewykluczone, że spał. Drugi miał na sobie brudne ubranie podróżne, jasnobrązowe od pyłu, a na głowie kapelusz o szerokim rondzie, rzucającym cień na twarz. Na jego kościstym ramieniu wisiał wypchany chlebak.

– Dzień dobry, ojcowie – przywitał ich Baraz. – Zmierzacie do miasta?

Mężczyzna siedzący na ziemi nie ruszył się z miejsca.

– Tak, tam właśnie się wybieram – potwierdził drugi. Głos miał głęboki jak studnia.

– No to został ci jeszcze spory kawałek drogi.

Nieznamy nie odpowiedział mu od razu. Opuszczone ramiona sugerowały znużenie. Mężczyzna podniósł wzrok na oboje jeźdźców. Po raz pierwszy ujrzeli jego twarz i mimo woli wciągnęli powietrze pod wpływem szoku.

– A kim wy jesteście? – zapytał.

– Ja jestem chorążym Baraz z armii torunnańskiej, a to jest...

– Księżniczka Mirren, córka samego króla Corfe'a. No cóż, to szczęśliwy zbieg okoliczności.

Mężczyzna uśmiechnął się i zobaczyli, że mimo iż połowę twarzy ma zniszczoną, jego oczy lśnią życzliwością.

– Skąd wiesz, kim jestem? – zainteresowała się Mirren.

Człowiek siedzący na ziemi uniósł nagle głowę i odezwał się:

– Twój chowaniec nam powiedział.

Baraz wyciągnął szablę i trącił siwka, przesuając się naprzód, tak że znalazł się między księżniczką a niezwykłą parą.

– Powiedzcie, jak się nazywacie i co was sprowadza do Torunny – wychrypiął z błyskiem w ciemnych oczach.

Mężczyzna siedzący na ziemi wstał. On również wyglądał na znużonego. Obu można by wziąć za parę steranych wędrowną włóczędzów, gdyby nie ta ostatnia uwaga oraz otaczająca ich aura niespokojnej mocy.

– To czarodzieje – wyjaśniła Mirren.

Staruszek o okaleczonej twarzy zdjął kapelusz.

– W rzeczy samej, moja droga. Młodzińcze, to wyłącznie nasz interes, co nas tu sprowadza, ale jeśli chodzi o nasza imiona, jestem Golophin z Hebrionu, a mój towarzysz...

– Na razie pozostanie bezimienny – przerwał mu drugi.

Baraz dostrzegł pod kapturem kwadratową szczękę i złamany nos, ale niewiele więcej.

– Golophin! – zawołała Mirren. – Ojciec często o tobie opowiada. Ponoć jesteś największym magiem na świecie.

Golophin zachichotał, wkładając z powrotem kapelusz.

– Być może nie jestem największy. Mój towarzysz mógłby się obruszyć na taką sugestię.

– Co robisz w Torunnie? Myślałam, że nadal przebywasz w Abrusio.

– Chcę się zobaczyć z królem Corfe'em, twoim ojcem. Mam dla niego wieści.

– A twój małomówny towarzysz? – zapytał Baraz, wskazując szablą na drugiego mężczyznę.

I nagle broń wysunęła mu się z rąk. Zawirowała, skrząc się, w powietrzu, a potem wpadła między wrzosi i wbiła się w ziemię tak mocno, że jej rękojeść zadrżała. Baraz potrząsał ręką, jakby się w nią oparzył. Rozdziawił szeroko usta.

– Nie lubię, jak podsuwa mi się broń pod twarz – oznajmił łagodnym tonem nieznamy czarodziej.

– Lepiej nas zostawcie – poradził Barazowi Golophin. – Kiedy się zjawiliście, byliśmy w trakcie małej sprzeczki. Dlatego mój przyjaciel jest w złym humorze.

– Golophinie, muszę cię zapytać o mnóstwo spraw – oznajmiła Mirren.

– Doprawdy? Możesz mnie pytać, o co zechcesz, dziecko, ale nie w tej chwili. Teraz jestem raczej zajęty. Chyba byłoby lepiej, gdybyście nikomu nie wspominali o tym spotkaniu.

Popatrzył ze śmiechem na towarzysza, który w odpowiedzi wykrzywił ledwie widoczne pod kapturem usta.

– Ale ojcu możesz powiedzieć. Zobaczę się z nim dziś w nocy albo może jutro rano.

– A co to za wieści? Ja mu je powtórzę.

Okaleczona twarz Golophina zastygła jak maska.

– Ktoś tak młody jak ty nie powinien przynosić takich nowin. – Spojrzał na Baraza. – Odprowadź panią bezpiecznie do domu, żołnierzu.

Chorąży łypnął na niego ze złością.

– Możesz być pewien, że to zrobię.

* * *

Choć powietrze pachniało wiosną, to gdy pośród wzgórz pojawił się wiatr, zrobiło się dość zimno. Po pewnym czasie Golophin i jego towarzysz rozpalili ognisko za pomocą czerwonego impulsu teurgii i usiedli na stosach zerwanych wrzosów, grzejąc się przy przejrzystych płomieniach. Gdy popołudnie przeszło w wieczór i słońce skryło się za białymi szczytami Gór Cymbryckich, Golophin zauważył, że dołączyła do nich trzecia osoba, mała, milcząca postać, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami tuż poza kręgiem światła.

– To ohyda – oznajmił Golophin.

– Być może. Nie jestem pewien, czy mnie to jeszcze obchodzi. Można się przyzwyczaić do wszystkiego. – Towarzysz maga zdjął wreszcie kaptur, odsłaniając twarz mężczyzny w średnim wieku o krótko przystrzyżonych włosach i wyglądzie zawodowego pięściarza. Sięgnął za pazuchę habitu i wydobyl stamtąd stalową manierkę. Odkręcił zatyczkę, pociągnął łyk i rzucił manierkę siedzącemu po drugiej stronie ogniska Golophinowi. Starszy czarodziej złapał ją zręcznie i również się napił.

– Hebrionowski akvavit. Masz świetny gust, Bard.

– Możesz to nazwać dodatkową korzyścią płynącą z mojej pozycji.

– Wolę właściwą nazwę: łup wojenny.

– Hebrion był również moją ojczyzną, Golophinie.

– Bądź pewien, że o tym nie zapomniałem.

Nad dzielącym ich ogniskiem unosiła się aura napięcia, które jednak nagle zelżało, kiedy Bardolin zachichotał.

– Ach, Golophinie, twoja buta robi wrażenie.

– Pracuję nad tym.

– Miło byłoby tak sobie posiedzieć, słuchając głosów polujących nietoperzy oraz wrzosu szumiącego na wietrze, gdyby nie fakt, że świat wokół nas płonie. Lubię ten kraj. Ma w sobie surowe piękno. Nie dziwię się, że rodzą się tu tacy wspaniali żołnierze.

– Słyszałem, że przed dziesięciu laty spotkałeś się z nimi na polu bitwy. A więc zostałeś teraz generałem?

Bardolin pokłonił się.

– Muszę przyznać, że raczej kiepskim. Daj mi *tercio*, a będę wiedział, co z nim zrobić. Ale kiedy dasz mi armię, nie ukrywam, że będzie mi trudniej.

– To nie rokuje dobrze ambicjom twego pana w tej części świata, prezbiterze.

– Mamy generałów, Golophinie. Niektórzy z nich mogliby cię zaskoczyć. Mamy też przewagę liczebną. I *dweomer*.

– *Dweomer* jako broń. Ponoć w czasach poprzedzających powstanie imperium, pierwszego imperium, niektórzy królowie wysyłali do boju całe pułki magów. Ale żaden kronikarz nie podaje, że tolerowali w swych armiach zmiennych. Nawet starożytni nie byli takimi barbarzyńcami.

– Mówisz o sprawach, o których nic nie wiesz.

– Wiem wystarczająco wiele. Wiem, że ten, kto siedzi przy ognisku naprzeciwko mnie, nie jest Bardolinem z *Carreiridy*, a *sukkuba*, który kryje się w cieniach za jego plecami, nie wyczarowano po to, by go pocieszał.

– Niemniej czasem znajduję u niej pociechę.

– Po co tu przybyłeś? Czy tylko po to, żeby posnuć nostalgiczne wspomnienia o dawnych dniach?

– Czy to byłoby aż tak niewytłumaczalne, tak trudne do zaakceptowania?

Golophin spuścił wzrok.

– Nie wiem. Dziesięć, dwanaście lat temu wierzyłem, że jakąś część mojego ucznia można jeszcze ocalić. Teraz nie jestem już tego pewien. *Fraternizuję się z nieprzyjacielem*.

– Nie musi tak być. Nadal jestem Bardolinem, którego znałeś. To dzięki mnie *Hawkwood* jeszcze żyje.

– To był tylko kaprys twojego pana.

– Częściowo. Możesz jednak być pewien, że fakt, iż ten drugi również ocalał, nie miał ze mną nic wspólnego.

– Jaki drugi?

– Prawa ręka prezbitera *Hebrionu*.

– Nie rozumiem, Bard.

– Nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Nie zapominaj, że ja również *fraternizuję się z nieprzyjacielem*.

Obaj czarodzieje popatrzyli na siebie. W ich spojrzeniach nie było wrogości, a tylko łagodny smutek.

– *Hebrion* wcale nie został zniszczony, *Golophinie* – dodał cicho Bardolin. – Po prostu zmienił właściciela.

– To brzmi jak słowa złodzieja usprawiedliwiającego swój czyn.

– Jesteś tak cholernie uparty i ślepy. – Bardolin pochylił się nad ogniskiem. Jego twarz przybrała w blasku płomieni wygląd rzeźbionej maski. – Flota nie wylądowała w *Hebrionie* dlatego, że *Aruan* miał taki kaprys, *Golophinie*. Twoja, nasza, ojczyzna ma kluczowe znaczenie dla jego planów. Tak się składa, że *Hebrion*, razem z górami *Hebrosu*, był ongiś częścią Zachodniego Kontynentu.

– Skąd...

– Pozwól mi skończyć. W jakimś okresie, w niewyobrażalnie odległej przeszłości, *Normannia* i

Zachodni Kontynent tworzyły jedną masę lądową, jednakże przed eonami oddzieliły się od siebie i odpłynęły w przeciwnie strony, niczym olbrzymie lilie wodne, a przerwę między nimi wypełnił ocean. Aruan i jego czołowi magowie badają tę sprawę już od wielu lat.

– I co?

– I to, że w trzewiach Zachodniego Kontynentu ukrywa się jakiś pierwiastek czy minerał stanowiący esencję energii, którą znamy jako magię. Czysta teurgia biegnie jak żyła drogocennej rudy przez skałę, na której wspiera się ląd. To właśnie ona uczyniła Aruana tym, kim jest.

– I ciebie również, jak rozumiem.

– Tę samą energię można znaleźć w Hebrosie, ongiś bowiem stanowił on jeden łańcuch z górami Zachodniego Kontynentu. Dlatego właśnie w Hebrionie zawsze rodziło się więcej ludu dweomeru niż w pozostałych Pięciu Królestwach. Dlatego właśnie Hebrion musiał upaść. Golophinie, nie masz pojęcia o zakrojonych na wielką skalę badaniach, które prowadzi się na zachodzie, w Charibonie, a nawet w Perigraine. Aruan jest bliski rozwiązania starożytnej zagadki o kluczowym znaczeniu. Czym jest lud dweomeru i w jaki sposób powstaje? Czy jest możliwe nasycenie zwyczajnego człowieka dweomerem i uczynienie z niego maga?

Golophin poczuł, że pełna goryczy odpowiedź uwięzła mu w ustach. Mimo woli poczuł się zafascynowany. Bardolin uśmiechnął się.

– Pomyśl o postępach, jakie ta armia magów mogłaby poczynić w poszukiwaniu czystej wiedzy, jeśli otrzymają wszelkie potrzebne materiały i będą mogli w spokoju zająć się badaniami. Golophinie, po raz pierwszy w dziejach otworzono trzewia biblioteki świętego Garaso w Charibonie. Są w niej traktaty i grimuary wywodzące się z czasów poprzedzających Pierwsze Imperium. Kościół zamknął je na całe stulecia, ale teraz wreszcie studiowaniem ich zajęli się ci, którzy potrafią je zrozumieć. Widziałem pierwsze wydanie *Bestiariusza Ardinaca*...

– Nie! Willardius zniszczył wszystkie egzemplarze.

Bardolin wybuchnął śmiechem, unosząc ręce nad głowę.

– Mówię ci, że je widziałem! Golophinie, wysłuchaj mnie. Zastanów się nad tym. Wyobraź sobie, co mógłby znaczyć dla postępu wiedzy zarówno teurgicznej, jak i innej umysł taki jak twój, sprzymierzony z umysłem Aruana. Ośma Dyscyplina to zaledwie początek. To bezcenna szansa. Stoimy na rozstajach dróg historii, tutaj, pośród wzgórz na północ od Torunnu, gdzie nad naszymi głowami krążą piszczące nietoperze. Niektóre cechy naszego reżimu mogą budzić twoją odrazę. Nikt nie jest doskonały, nawet Aruan. Ale, niech to szlag, nasze motywy są czyste. Pragniemy poprowadzić ludzkość inną ścieżką. Droga przed nami się rozwidła. Człowiek może albo rozwijać to, co zwie nauką, wynajdować coraz skuteczniejsze metody zabijania i zbudować świat, w którym dweomer nie znajdzie dla siebie miejsca i z czasem umrze, albo może uznać swe prawdziwe dziedzictwo i stać się czymś zupełnie innym. Można stworzyć społeczeństwo, w którym teurgia stanie się elementem codziennego życia, a wiedzę będzie się ceniło wyżej niż dłubaninę rzemieślników o brudnych od sadzy palcach. W obecnym punkcie historii ludzkość musi wybrać między tymi dwoma przeznaczeniami, a owemu wyborowi będzie towarzyszyła fala krwi, ponieważ rewolucje mają to do siebie. Choć jednak jest to godne pożałowania, nie unieważnia samego wyboru. Przyłącz się do nas, Golophinie, w imię boże. Być może wspólnie zdołamy ograniczyć przelew krwi.

Obaj mężczyźni przypatrywali się sobie z uwagą nad ogniskiem. Golophin nie był w stanie nic powiedzieć. Po raz pierwszy w długim życiu zabrakło mu słów.

– Nie proszę cię, byś zdecydował już teraz. Ale przynajmniej zastanów się nad tym. – Bardolin wstał. – Aruan przebywał poza Normannią przez bardzo długi czas. To dla niego obca kraina. Z nami jednak sprawy mają się inaczej. Choć jest uczony, brak mu znajomości współczesnego świata, którą

my posiadamy. On cię szanuje, Golophinie. A jeśli twoje sumienie nadal się sprzeciwia, pomyśl o jednym: jestem przekonany, że łatwiej wpłyniesz na jego poczynania jako przyjaciel i doradca niż jako przeciwnik. Jeśli zaś chodzi o mnie, zawsze byłeś moim druhem i nadal nim pozostajesz, bez względu na to, co sam na ten temat sądzisz. – Bardolin wyprostował się płynnie jak mężczyzna w znacznie młodszym wieku. – Pomyśl o tym, Golophinie. Zrób przynajmniej tyle. Do zobaczenia.

Zniknął, pozostawiając po sobie tylko lekki powiew i słaby zapach ozonu. Golophin nie ruszył się z miejsca. Wpatrywał się w ognisko jak ślepiec.

DZIESIEĆ

W Sali Mieczy było tłoczno. Wysuwano najrozmaitsze przypuszczenia, a gwar rozmów wznosił się aż pod belki wysokiego sufitu. Byli tu obecni niemal wszyscy starsi stopniem oficerowie w kraju, pomijając tylko generała Arasa z Gaderionu. Przysłał on jednak oficera sztabowego, który pełnił też funkcję kuriera, i poinformował w jego imieniu Naczelne Dowództwo o wydarzeniach, do jakich doszło niedawno w przesmyku.

Król wszedł do sali bez żadnych ceremonii. Lekko utykał, jak zawsze, gdy był zmęczony. Wszyscy w pałacu wiedzieli, że większość nocy spędza ostatnio na krześle przy łożu królowej. Czują się już bardzo kiepsko i wyglądało na to, że pożyje najwyżej kilka dni. Nie dalej jak wczoraj na jej rozkaz wysłano do Aurungabaru oficjalne poselstwo. Na dworze krążyły szalone spekulacje na temat tego, co to mogło oznaczać. Króla jednak lepiej było o to nie pytać. Zawsze był wybuchowy, a ostatnio zrobił się naprawdę gwałtowny.

Gdy wszedł do sali, zapadła cisza. Towarzyszyli mu generał Formio oraz wysoki starzec ze straszliwą blizną na twarzy, który miał na sobie brudne odzienie podrózne, a na ramieniu chlebak. Grupkę zamykał osobisty strażnik Corfe'a, Felorin, który wpatrywał się nieufnie w plecy nieznajomego. Czterej mężczyźni zatrzymali się przed stołem mapowym i Corfe omiół spojrzeniem twarze zebranych oficerów. Wszyscy oni spoglądali z zainteresowaniem na jego wiekowego towarzysza.

– Panowie, chciałbym wam przedstawić maga Golophina z Hebrionu, byłego głównego doradcę króla Abeleyna. Przynosi nam z zachodu wieści, które muszą mieć pierwszeństwo przed wszelkimi innymi sprawami. Golophinie, bardzo proszę.

Stary czarodziej podziękował Corfe'owi, a potem wpatrzył się w otaczające go spragnione wieści twarze, podobnie jak król. Gdy przemówił, w jego miódopłynnym głosie zabrakło słyszalnego tam zwykle melodyjnego brzmienia.

– Król Abeleyn z Hebrionu nie żyje, podobnie jak król Mark z Astaracu i książę Frobishir z Gabrionu. Potężna armada, którą dowodzili, została zniszczona. Flota z zachodu wylądowała w Hebrionie i całe królestwo poddało się nieprzyjacielowi.

Na chwilę zapadła pełna zdumienia cisza. Potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. W sali było słycać okrzyki przerażenia oraz niktające w tłumie pytania. Corfe uniósł rękę i hałas ucichł. Twarz torunnańskiego króla była szara jak marmur.

– Dajcie mu mówić.

Nie czekając na pozwolenie, Golophin nalał sobie kielich wina z karafki i wypił je jednym haustem. Od czarodzieja biła woń drzewnego dymu, potu oraz jakiś inny, charakterystyczny zapach, przywodzący na myśl przesycone energią powietrze przed burzą. Żył na jego skroni pulsowała niczym siny robak.

– Himeriańskie armie wyruszyły do boju. Maszerują z Fulku w stronę Imerdonu oraz północnych brzegów Hebrionu, posuwając się po obu stronach Hebrosu. Inna armia przekroczyła granicę między Candelarią a wschodnim Astarakiem i rozbiła Astaran u podstawy gór. Garmidalan czeka oblężenie. Być może nawet już się rozpoczęło. A jeśli moje informacje są prawdziwe, trzecia himeriańska armia zmierza ku przełęczom Malvennoru, by uderzyć na Cartigellę od tyłu.

– Skąd wiesz o tym wszystkim? – zapytał generał Comillan. Jego gęste wąsy nastroszyły się jak miotła.

– Mam... godne zaufania źródło w himeriańskim obozie.

– Czy nie stawia przynajmniej jakiegoś oporu? – zapytał z niedowierzaniem któryś z Torunnan.

– Nie w Hebrionie. Zgodzono się, że w zamian za bezkrwawą kapitulację Abrusio nie zostanie

splądrowane. W Astaracu armia dała się zaskoczyć, tak jak my wszyscy. Jest w pełnym odwrocie, wycofuje się na zachód. Garnizon w Cartigelli jest jednak dość silny i zapewne spróbuje przetrzymać oblężenie. Dowodzi nim Cristian, następca tronu. – Golophin nalał sobie drugi kielich, popatrzył na wino, jakby było cykuta, i wypił je. – Ale upadek miasta jest tylko kwestią czasu.

– Panowie – odezwał się cicho Corfe. – Zaczęła się wojna. Zarządziłem już powszechną mobilizację. Przed niespełną półgodziną podpisałem Dekret o Poborze. Królestwo jest w stanie wojny i wszystkich zdolnych do noszenia broni mężczyzn wzywa się pod sztandary. Nie będzie wyjątków. Comillan, Formio, rankiem zajmiecie się szkoleniem pierwszej fali rekrutów. Chcę, żebyście to zrobili najszybciej, jak tylko można. Comillan, Straż Przyboczna stanie się jądrem nowej kadry szkoleniowej...

– Panie, protestuję.

– Twój protest został odnotowany. Pułkowniku Heyd, sformuję dla ciebie oddział, który przed upływem dwóch dni poprowadzisz na północ, żeby wzmocnić Arasa. Pułkowniku Melf.

– Słucham, panie.

– Ty również otrzymasz niezależny oddział. Gdy tylko z Aurungabaru przybędą merduckie kontyngenty, wyruszysz z nimi na południe, do portu Rone. Areną twoich działań będzie południowe podnóże Gór Cymbryckich, tam gdzie docierają one aż do samego Levangore. Nieprzyjaciel może spróbować przemyścić tamtędy kolumnę, żeby zaatakować nas od południowej flanki. Połączysz siły z admirałem Berzą.

– Tak jest, panie!

Melf, wysoki, szczupły mężczyzna o wyglądzie wieśniaka, rozpromienił się radośnie.

– A co z zasadniczymi siłami, panie? – zapytał Formio.

– Na razie zostaną w Torunnie, pod moim dowództwem. To będą Katedralnicy, twoje Sieroty, Formio, oraz oczywiście Straż Przyboczna. Chorąży Roche, wybaczone, że kazałem ci czekać. Jakie wieści przynosisz od Arasa?

Młody oficer przełknął z zakłopotaniem ślinę i uniósł w drżącej ręce tubę z listem.

– Panie...

– Przeczytaj to na głos, jeśli łaska. Wszyscy obecni muszą to usłyszeć.

Chorąży Roche otworzył skórzaną tubę, wyjął z niej papier i rozwinął go. Odchrząknął.

– List napisano przed sześciu dniami, panie.

Corfe, piszę do Ciebie w pośpiechu i bez zbędnych ceremonii. Oficer, który dostarczy ten meldunek, będzie mógł opisać panującą tu sytuację dokładniej, niż potrafiłbym tego dokonać na piśmie. Widział to na własne oczy. Musisz się jednak dowiedzieć, że zakrojona na wielką skalę ofensywa nieprzyjaciela całkowicie wyparła nas z równin. Każdy wysłany przez nas patrol natyka się na liczne grupy wrogów, a w ubiegłym tygodniu ponieśliśmy dotkliwie straty w ludziach i koniach. Kusiła mnie myśl o spróbowaniu większej wycieczki, ale wolałem poczekać na Twą aprobatę, nim zdecyduję się na tak poważną operację. Finnmarkanie i Tarberanie szczęśliwie nie dotarli jeszcze na miejsce, gdyż spaliliśmy im mosty, ale wygląda na to, że Himerianie i bez nich mają wystarczająco wielu żołnierzy. Podejrzewam, że wycofali z Charibonu większą część garnizonu. Nie ulega wątpliwości, że zamierzają zdobyć Gaderion.

Na tym jeszcze nie koniec. Natknęliśmy się na coś nowego. Oddawca tego listu będzie mógł opowiedzieć ci o tym dokładniej. Te „Psy”, jak je zwą, to jakiegoś rodzaju bestie albo ludzie, którzy potrafią przeradzać się w monstra. Jak wszystkim nam wiadomo, pogłoski o nich krążyły po kontynencie już od lat, ale ostatnio straciłem całe patrole,

półtercios dobrych żołnierzy, wyrżnięte jak króliki przez te stwory. Zawsze dzieje się to w nocy i napastnicy są ledwie widoczni. Nie jesteśmy już w stanie zbierać informacji o nieprzyjacielu. Jestem przekonany, że wkrótce zacznie się oblężenie.

Nasi żołnierze są więcej warci od nieprzyjacielskich, ale nie wiemy, jak walczyć z tym nowym przeciwnikiem i nie ma wśród nas nikogo z ludu dweomeru, żeby nam doradzać. Potrzebuję posiłków, ale muszę też poznać jakiś sposób walki z tymi stworami. Dowiedzieć się, jak je zabijać.

Głównodowodzący Gaderionu, Nade Aras.

Zapadła głucha cisza, jakby wszystkim zaparło dech w piersiach. Pierwszy odezwał się Corfe.

– Chorąży Roche, spotkałeś te stwory, o których pisze generał Aras?

– Tak jest, panie.

Corfe machnął niecierpliwie dłonią.

– Opowiedz nam o nich.

Roche zdał beznamiętnym głosem zwięzłą relację z tego, co spotkało jego patrol przed dwoma sendniami. Opisał atak przerażających, ukrytych w mroku bestii oraz śmierć sierżanta.

– Potem znaleźliśmy ciała w lesie, panie. Dwunastu ludzi rozerwanych na strzępy. A usłyszeliśmy tylko jeden krzyk. Osiodłaliśmy konie, które nam pozostały, wsiedliśmy na nie po dwóch i tej samej nocy wróciliśmy do Gaderionu.

– Zostawiliście ciała niepochowane? – warknął Comillan.

Roche pochylił głowę.

– Obawiam się, że tak, generale. Ludzie wpadli w panikę i...

– W porządku, chorąży – przerwał mu Corfe. Spojrzał na starego maga, który stał u jego boku, przysłuchując się wszystkiemu z uwagą. – Golophinie, czy mógłbyś nas oświecić?

Czarodziej westchnął ciężko, wpatrując się w pusty kielich.

– Aruan i jego sługusi prowadzili eksperymenty od lat, być może od stuleci. Zamieniali zwyczajnych ludzi w zmiennych. Wypaczali zmiennych, nadając im nowe postacie. Stworzyli nienaturalne bestie, których jedynym celem jest wojna, i poszczuli je na świat. To właśnie te bestie zniszczyły flotę sprzymierzonych i wezmą teraz udział w ataku na Torunnę.

– Zadam ci to samo pytanie, co Aras. Jak mamy je zabijać?

– To bardzo proste. Żelazem albo srebrem. Wystarczy drobne draśnięcie którymś z tych metali, by prąd dweomeru płynący w ich żyłach uległ zakłóceniu. Giną natychmiast.

– I to wszystko? – zapytał Corfe z lekkim niedowierzaniem.

– Tak, panie.

– W takim razie te bestie wcale nie są takie straszliwe. Pocieszył mnie, Golophinie.

– Miecze i groty pik naszej armii są wykonane z hartowanej stali – wtrącił kwaśnym tonem Formio. – Wygląda na to, że nic im nie zrobią. Podobnie jak ołowiane kule.

Spojrzał pytająco na czarodzieja.

– Masz rację, generale.

– Musimy pogonić kowali do roboty – skwitował Corfe. – Żelazne miecze i groty pik. Myślę też, że dałoby się wyposażyć zbroje w jakieś żelazne zadziory. Zrobimy z każdego z naszych żołnierzy śmiertelnie niebezpiecznego jeża. Jeśli któryś z tych stworów choć położy na nim łapę, natychmiast znajdzie się w piekle.

Nastrój w Sali Mieczy poprawił się nieco. Kilku ludzi nawet zachichotało. Co prawda, z zachodu nadeszły złe wieści, ale Hebrion i Astarac nie były Torunną, a Abeleyn nie był Corfe'em. Aruan i jego sługusi mogli podporządkować swej woli samo morze, ale żadna siła na Ziemi nie powstrzyma

torunnańskiej armii, gdy ta już wymaszeruje.

– Panowie – odezwał się Corfe – jestem przekonany, że wszyscy znacie swe obowiązki. Bóg wie, że nie brakuje nam roboty. Możecie odejść. Chorąży Baraz, proszę zostać na chwilę.

– Corfe – rzekł cicho Formio – czy myślałeś o naszej dyskusji?

– Myślałem, Formio – potwierdził spokojnie król – i choć w wielu punktach masz rację, jestem przekonany, że możliwe korzyści przeważają nad ryzykiem.

– Jeśli się mylisz...

– Zawsze istnieje taka możliwość. – Corfe złapał z uśmiechem Formia za ramię. – Jesteśmy żołnierzami, nie jasnowidzami.

– Ale ty jesteś królem, nie jakimś oficerem niskiej rangi, którego można poświęcić w pogoni za kaprysem.

– Uwierz mi, to nie kaprys. Jeśli nam się uda, Drugie Imperium upadnie. Dlatego warto podjąć ryzyko.

– W takim razie chociaż pozwól, żebym wyruszył z tobą.

– Nie. Muszę tu zostawić kogoś, komu ufam. Kogoś, kto zostanie regentem, gdyby doszło do najgorszego.

– Fimbrianina?

– Fimbrianina, który jest moim najlepszym przyjacielem i najbardziej zaufanym dowódcą. To musisz być ty, Formio.

– Szlachta nigdy tego nie zaakceptuje.

– Torunnańska szlachta nie jest już taka swarliwa jak ongiś. Dopilnowałem tego. Nie, będziesz miał poparcie armii, a tylko to liczy się naprawdę. Ale wystarczy już o tym. Będziemy kontynuować przygotowania, tyle że dyskretnie.

– Wtajemniczysz go w nasz mały sekret? – zapytał Formio, wskazując głową na Golophina, który na drugim końcu sali pograżył się w rozmowie z chorążym Barazem. Niemal wszyscy poza nimi już wyszli i nagle nastąpiła cisza, maćona tylko głośnym skwierczeniem płonącego na kominku ognia. Felorin jak zwykle stał na straży w cieniu.

– Chyba tak. Może potrafi nam coś doradzić. I jest jeszcze ten jego ptak, diabelnie użyteczny. Formio skinął głową.

– Ale coś mi się w tym Golophinie nie podoba.

– Wy tłumacz mi to.

– Może nic w tym nie ma. Po prostu czasem odnoszę wrażenie, że powinien bardziej nienawidzić. Zabito jego króla, jego kraj popadł w niewolę, a mimo to nie wyczuwam w nim nienawiści, a nawet bardzo niewiele gniewu.

– Czyżbyś potrafił czytać w myślach? – zapytał z uśmiechem Corfe.

– Po prostu nie ufam mu w pełni.

Król Torunny klepnął przyjaciela w plecy.

– Formio, robisz się stary i zrędlivy. Zobaczymy się później na Polu Menina. Przećwiczymy jeszcze raz te nowe formacje. Pomów w moim imieniu z głównym kwatermistrzem. Dowiedz się, ile żelaznego złomu da radę zgromadzić.

Formio zsalutował, obrócił się na pięcie i wyszedł dziarskim krokiem, jak młody oficer świeżo po szkoleniu musztry.

– Mam wrażenie, że to wartościowy człowiek – odezwał się Golophin. Mag podszedł do króla, oddalając się od kominka. – Masz szczęście do przyjaciół, panie.

– To prawda, miałem do nich szczęście – zgodził się Corfe. Jednakże trochę zaniepokoiły go

słowa Formia. Przyjrzał się uważnie staremu czarodziejowi. – Golophinie, powiedziałaś, że masz godne zaufania źródło w himeriańskim obozie. Czy byłoby nie na miejscu, gdybym cię zapytał, kto to jest?

– Wolałbym, żeby jego tożsamość pozostała na razie tajemnicą. To rozdarty człowiek, niepewny, komu powinien być wierny. Ci, którzy nie potrafią zdecydować, co jest czarne, a co białe, zasługują na politowanie, nie sądzisz?

Uśmiech maga wydawał się niepokojąco przewrotny.

– W rzeczy samej.

Obaj mężczyźni popatrzyli sobie w oczy i przez krótką chwilę doszło między nimi do czegoś przypominającego pojedynek na siłę woli. Golophin pierwszy opuścił wzrok.

– Jest coś jeszcze, panie?

– Tak, tak. Zastanawiałem się, czy... jakby to powiedzieć... – Tym razem to Corfe umknął ze spojrzeniem. – Pomyślałem sobie, że mógłbyś odwiedzić królową. Jest już z nią bardzo kiepsko i lekarze nie potrafią jej pomóc. Mówią, że to starość, ale podejrzewam, że kryje się w tym coś więcej. Coś, co wiąże się z... twoją specjalnością.

– Z chęcią, panie. – Tym razem czarodziej nie wzdrygnął się przed spojrzeniem Corfe'a. – Pochlebiam ci, że jesteś skłonny mi zaufać w tak poważnej sprawie. – Pokłonił się nisko. – Jeśli nic nie stoi na przeszkodzie, udam się do niej natychmiast. Wybacz, panie, ale mam jeszcze trochę spraw do załatwienia.

– Czy komnaty, które ci przydzielono, są odpowiednie?

– Bardziej niż odpowiednie. Dziękuję, panie.

Czarodziej pokłonił się po raz drugi i wyszedł, szeleszcząc szatami.

Ten człowiek służył królom wiernie i niezachwianie od czasów, gdy Corfe'a nie było jeszcze na świecie. Formio był po prostu ostrożnym Fimbrianinem, nic więcej. Król Torunny potarł skronie, znużony. Boże, jak bardzo pragnął opuścić ten pałac i miasto, dosiąść konia i przez pewien czas sypiać pod gwiazdami. Niekiedy odnosił wrażenie, iż w jego głowie kłębi się tak wiele różnych spraw, że któregoś dnia pęknie ona jak przejrzały melon. Mimo to podczas bitwy umysł miał klarowny jak końcówka sopła.

Nie nadaję się na króla, pomyślał, tak jak często to robił w ciągu minionych lat. Ale jestem nim i nie ma nikogo innego.

Wziął się w garść i podszedł do kominka, przy którym stał sztywno na baczność zapomniany chorąży Baraz.

– Widzę, że poznałeś już wielkiego Golophina. I co o nim sądzisz?

Baraz był wyraźnie zdumiony tym pytaniem.

– Pytał mnie o dziadka – wyznał. – Ale nie mogłem mu powiedzieć wiele więcej niż to, co znajdzie w dziełach historyków. Pisał poezje.

– Golophin?

– Shahr Ibim Baraz, panie. „Straszliwy Starzec”, jak zwali go jego ludzie.

– Tak. My też tak go czasem nazywaliśmy. Używaliśmy również innych określeń – dodał z ironią Corfe. – A co się z nim stało?

– Nikt tego nie wie. Opuścił obóz w chwili największego triumfu. Niektórzy powiadają, że wrócił na stopy swej młodości.

– Na całe szczęście dla Torunny. Baraz, księżniczka Mirren ma o tobie bardzo dobre zdanie. Uważa, że jesteś wyjątkowo uprzejmym młodym oficerem i prosi, żebyś od tej pory codziennie towarzyszył jej podczas przejażdżek. Co powiesz na taką propozycję?

Na twarzy Baraza satysfakcja mieszała się z frasunkiem.

– Zaszczyca mnie zaufanie księżniczki, panie, i uznałbym szansę dotrzymania jej towarzystwa za wielki przywilej.

– Ale?

– Ale miałem nadzieję otrzymać przydział do regularnej armii. Nie dowodziłem jeszcze niczym poza strażą honorową. Liczyłem na przydział do *tercio*.

– A więc uważasz czas spędzony w Sztapie Generalnym za stracony?

Gdy Baraz się rumienił, jego ciemna twarz ciemniała jeszcze bardziej.

– Bynajmniej, panie. Ale jeśli oficer nigdy nie dowodził ludźmi w polu, to co z niego za oficer? Corfe skinął głową.

– Masz rację. Zaproponuję ci umowę, Baraz. Tylko postaraj się, żebym tego nie pożałował.

– Słucham, panie.

– Na razie będziesz dotrzymywał towarzystwa księżniczce Mirren i nadal pozostaniesz przydzielony do sztabu jako tłumacz. Dziś wieczorem będę potrzebował twoich usług. Ale obiecuję, że gdy nadejdzie czas, będziesz dowodził oddziałem liniowym. Zadowolony?

Baraz uśmiechnął się niepewnie.

– Jestem oczywiście na twoje rozkazy, panie. Zrobię, co mi każesz. Dziękuję.

– Świetnie. Możesz odejść.

Baraz zasalutował i opuścił salę. Coś w dziarskim kroku młodego oficera przyciągnęło uwagę Corfe'a. Przed Aekirem on również miał w sobie trochę podobnego zapachu. Pragnął zdobyć sławę, zrobić to co słuszne. Jednakże w Aekirze jego dusza została przetopiona w rozżarzonej do białości tyglu i stał się innym człowiekiem.

* * *

Otoczona pustkowiem oślepiająco białego płótna twarz przypominała bezkrwiste oblicze lalki. Nakryte kołdrą wychudłe ciało było tak wątłe, że mogłoby go nie być w ogóle. Można by je wziąć za złudzenie wywołane grą światła lamp, cień rzucany przez ciepłe płomienie buzujące na kominku. Potem jednak oczy się otworzyły i załśniło w nich życie. Choć były przekrwione z bólu, gorzała w nich jeszcze odrobina dawnego ognia. Golophin potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo piękna musiała być ongiś ta wyniszczona twarz.

– Jesteś hebrionński mag Golophin.

Głos był słaby, ale wyraźny.

– Tak, pani.

– Karina, Prio, zostawcie nas – rozkazała dwóm damom dworu, które siedziały w cieniu, cichutko jak myszki. Obie dygnęły, zamiatając spódnicami kamienną posadzkę, i zamknęły za sobą drzwi.

– Podejdź bliżej, Golophinie. Wiele o tobie słyszałam.

Czarodziej podszedł do łoża. Gdy na jego zniszczoną twarz padł blask ognia, królowa otworzyła szerzej oczy.

– Widzę, że upadek Hebrionu zostawił na tobie ślad.

– To lekkie brzemię w porównaniu z tymi, które przypadły w udziale innym.

– Mój mąż prosił cię, byś do mnie przyszedł?

– Tak, pani.

– To miło z jego strony, ale oboje wiemy, że to nic nie da. I tak bym po ciebie wysłała, bo w dzisiejszych czasach trudno o inteligentnego człowieka, z którym mogłabym porozmawiać. Wszyscy tylko wpadają tutaj z należycie smętnymi minami. Nawet Corfe. Nie mogę się od nich nic

sensownego dowiedzieć. Wiem, że koniec jest blisko. – Zawahała się. – Mój chowaniec nie żyje – dodała słabszym głosem. – Odszedł przede mną. Nie spodziewałam się, że ta utrata będzie aż tak bolesna.

– One są częścią nas – zgodził się Golophon – a gdy odchodzą, tracimy fragment duszy.

– Słyszałam, że czarodzieje potrafią je tworzyć, podczas gdy ubogie w dweomer czarownice muszą czekać, aż znajdą następnego. Ja już nie będę potrzebowała chowańca, ale brak mi biednego Aracha. – Wyraźnie wzięła się w garść. – Zapominam jednak o dobrym wychowaniu. Możesz usiąść i nalać sobie trochę wina, jeśli nie przeszkadza ci, że będziesz pił z kielicha, z którego przedtem korzystała królowa. Wezwałabym pokojówkę, ale to doprowadzi do okropnego zamieszania, a na starość zrobiłam się niecierpliwa.

– Tak jak my wszyscy. – Golophon z uśmiechem nalał sobie wina. – Starzy mają mniej czasu do stracenia niż młodzi.

Przez dłuższą chwilę przypatrywała mu się w milczeniu. Wydawało się, że wypróbowała słowa w ustach. Jej oczy błyszczały w gorączce jak klejnoty.

– I co z tobą będzie, panie magu? Gdzie jest teraz twój dom?

– Nie mam już domu, pani. Jestem włóczęgą.

– Wrócisz kiedyś do Hebrionu?

– Mam nadzieję, że tak.

– Byłbyś bardzo mile widziany jako doradca na naszym dworze.

– Hebrionski czarodziej? Chyba przesadzasz.

– Mamy teraz w Torunie wielu najróżniejszych cudzoziemców. Formio jest Fimbrianinem, Comillan pochodzi z plemienia Felimbrich, admirał Berza jest Gabrionczykiem, a nasz pontyfik, Albrec, Almarkaninem. Do naszego kraju trafiają rozbitkowie życiowi z całego świata. Czy wiesz, dlaczego?

– Powiedz mi.

– Z powodu króla. On jest jak świeca, do której zlatują się ćmy. Nawet butni Fimbrianie rok w rok napływają wąskim strumyczkiem przez góry. A on nienawidzi tego z całego serca. Wolałby być prostym, nikomu nie znanym żołnierzem, jakim był przed upadkiem Aekiru. Obserwowałam go przez siedemnaście lat i widziałam, jak radość wycieka z niego dzień po dniu. Tylko Mirren raduje jego serce. Mirren i perspektywa poprowadzenia armii do boju.

Golophon spojrział ze zdumieniem na Odelię.

– Pani, twoja szczerść jest rozbijająca.

– Niech szlag trafi szczerść. Umrę przed upływem tygodnia. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Co tylko zapragniesz.

– Zostań tu z nim. Pomóż mu. Kiedy odejdę, zostanie mu tylko Formio. Całe życie służyłeś królom. Zakończ je na służbie tego króla. To genialny żołnierz, Golophonie, ale potrzebuje przewodnika, który przeprowadzi go przez jedwabne trzęsawisko, jakim jest dwór. Stał się też teraz mniej cierpliwy i nie toleruje żadnych sprzeciwów wobec tego, co uważa za słuszne. Nie chciałabym, żeby taki człowiek jak on zakończył życie jako znenawidzony przez wszystkich tyran.

– To z pewnością niemożliwe.

– W jego duszy kryje się czarna dziura. Gdy tylko postawi sobie coś za cel, poruszy niebo i ziemię, by go osiągnąć, w ogóle nie myśląc o konsekwencjach. Przez wszystkie lata jego królowania starałam się wytłumaczyć mu wartość kompromisu, ale równie dobrze mogłabym przekonywać kamień. Potrzebny mu ktoś, kto zna mroczną i podstępą stronę rzeczy, żeby mu wyjaśnił, że miecz nie jest rozwiązaniem wszystkich problemów.

– Schlebiasz mi, pani. Nielatwo jest zdobyć zaufanie króla.

– Podziwia kompetencję i szczerłość. Sądząc z tego, co o tobie słyszałam, posiadasz obie te cechy. Jest jednak coś jeszcze. Po moim odejściu na dworze nie będzie już żadnego użytkownika dweomeru poza moją córką. Ona również potrzebuje przewodnika. Krynica mocy, która w niej bije, przyćmiewa wszystko, co w życiu widziałam. Nie chciałabym, żeby badała dweomer na własną rękę.

– Odelia odwróciła wzrok. Zwiędłymi dłońmi nerwowo szarpała grubo tkaną kołdrę. – Wolałabym, żeby się urodziła bez niego. Miałaby łatwiejsze życie. Nasz lud wybrał w tej wojnie przeciwną stronę, Golophinie. Niewłaściwą stronę. To prawda, że nasi bracia nie mieli wielkiego wyboru, ale i tak ucierpią z tego powodu. Być może nawet przyniesie im to zgubę.

Nagle Golophin uświadomił sobie coś zdumiewającego.

– Jesteś przeciwna tej wojnie.

Odelia zdołała rozciągnąć usta w nerwowym uśmiešku.

– Nie samej wojnie, ale mam wątpliwości, czy powinniśmy ją toczyć aż do gorzkiego końca. Dweomer płynie w mojej krwi, tak samo jak w twojej i we krwi mojej córki. Jestem przekonana, że ten Aruan jest złym człowiekiem, ale wiele celów, które sobie stawia, trzeba uznać za słuszne. Tym razem nie będziemy walczyli z Merdukami, tylko z ramusianami, takimi jak my, chociaż teraz pewnie nie ma już między nami większej różnicy. Nie chcę też, by pogrom ludu dweomeru zbrukał zwycięstwo Corfe'a, jeśli uda mu się je osiągnąć. Trzeba w końcu położyć kres bezsensownym prześladowaniom tych, którzy praktykują magię.

Golophina zalała fala ulgi. A więc nie był zdrajcą. Nie tylko on miał wątpliwości. A Bardolin mógł wcale nie być marionetką zła, czego obawiał się jego nauczyciel, ale człowiekiem, który próbował znaleźć właściwą drogę w trudnych okolicznościach. Golophin pragnął, by okazało się to prawdą, i jego życzenie miało szansę się spełnić.

– Pani – rzekł – masz moje słowo, że gdy nadejdzie czas, będę u boku twego męża, a jeśli okaże się to konieczne, stanę się jego sumieniem.

Odelia zamknęła oczy.

– Nie proszę o nic więcej. Dziękuję, bracie magu. Przyniosłeś ulgę starej kobiecie.

Golophin pokłonił się. Nasunęła mu się myśl, że w Torunnie znalazł króla i królową, którzy byli w jakiś sposób więksi od monarchów znanych mu do tej pory. Abeleyn stał się przed końcem życia dobrym, a nawet wielkim władcą, ale w porównaniu z Corfe'em z Torunny, królem-żołnierzem, wydawał się zaledwie chłopcem. A ta wątła kobieta, która dożywała swych dni w łożu, była godną jego małżonką. W tym kraju Golophin spotkał wielkość, która będzie żyła w legendach nawet po upływie niezliczonych stuleci.

Położył dłoń na czole królowej. Odelia otworzyła drżące powieki, muskając rzesami jego skórę.

– Spokojnie.

Żyjący w niej dweomer przygasł do kopącego się węgielka. Nigdy już nie zapłonie pełnym blaskiem, ale tylko on utrzymywał ją jeszcze przy życiu. On i jej niezłomna wola. Odelia mogła zostać magiem. Posiadała wystarczającą moc, która jednak nie miała szansy rozkwitnąć z braku niezbędnego szkolenia. W Golophinie obudził się gniew. Ilu innych, małych i wielkich, zmarnowało w podobny sposób swe talenty na tym pełnym uprzedzeń świecie? Bardolin miał rację. Świat mógł stać się inny. Mógł i powinien. Być może było to jeszcze realne.

Dał Odelii sen, głęboki i uzdrawiający, i rozjarzył własnymi mocami ostatni płonący w niej węgiel. Wydobył z niego iskierkę życia. Potem usiadł, nalał sobie jeszcze trochę aromatycznego wina i zadumał się nad pokrętnym tokiem spraw na tej pogrążającej się w mroku Ziemi.

JEDENAŚCIE

Aurungzeb poruszył się leniwie, wyczuwając pod tłustym zadkiem dotyk szeleszczącego jedwabiu.

– Lubię tę kobietę. Zawsze ją lubiłem. Jest bezpośrednia jak mężczyzna, ale umysł ma subtelny jak skrytobójca.

Przetoczył się na drugi bok i łożo z twardego drewna skrzypnęło pod jego ciężarem. Dziewczyna o białych kończynach, która spędziła z sułtanem noc, usunęła mu się zręcznie z drogi. Tłuste cielsko ułożyło się wygodnie i Aurungzeb westchnął z zadowoleniem.

Zgrzybiały wezyr, Akran, wspierał się na lasce, która ongiś miała wyłącznie ceremonialne znaczenie, ale teraz była mu autentycznie potrzebna. Staruszek stał za zasłoną ze zwiewnego jedwabiu, która otaczała monumentalne sułtańskie łożo z baldachimem na podobieństwo delikatnej mgiełki.

– Jest... nadzwyczajna, sułtanie. Muszę to przyznać. Aranżuje ślub swego męża, podczas gdy ona, jego żona, jeszcze żyje. To świadczy o niezwykłej sile woli.

– On się zgodzi, oczywiście. Ale i tak się niepokoję. Być może za wcześnie wysłaliśmy poselstwo. Nie jestem przekonany, czy potrafi dostrzec w tym coś więcej niż nieprzystojny pośpiech. Corfe jest zimny i krwiożerczy jak wilk zimą, ale ma w sobie sporo konwencjonalnej sztywności. Ci ramusianie... no cóż, nie są już ramusianami, jak sądzę, tylko naszymi braćmi w wierze... patrzą na małżeństwo inaczej od nas. Prorok, niech Bóg będzie dla niego łaskawy, nigdy nie powiedział, że mężczyzna powinien mieć tylko jedną żonę, jeśli zaś chodzi o monarchę, no cóż... Jak człowiek, który ma jedną żonę, może zachować godność? Jak może być pewien, że zostawi po sobie syna? Królowa Torunny mogła być pod wieloma względami wspaniałą kobietą, ale jej macica okazała się jałowa jak zasiane solą pole. Albo prawie. Jedno dziecko w ciągu szesnastu lat, i do tego dziewczynka. Co więcej, wydanie jej na świat ponoć całkowicie pozbawiło Odelię sił. Jeśli Corfe ma w żyłach choć trochę czerwonej krwi, powinien się uradować z takiej okazji. Piękna, młoda dziewczyna, która będzie dzieliła z nim łożo i urodzi mu synów? A ona jest piękna, Akranie. Tak jak ongiś jej matka. Nie, bez względu na nieprzystojny pośpiech, królowa Torunny i ja zgadzamy się ze sobą w tej sprawie. A dziecko zrodzone z tego związku będzie moim wnukiem. Pomyśl tylko, Akranie. Mój wnuk na tronie Torunny!

Wezyr pokłonił się, a potem wyprostował, wspierając się na lasce. Stłumił jęk.

– A co z tym drugim związkiem, panie? Książę Nasir gorąco pragnie dowiedzieć się czegoś więcej o przyszłej żonie.

Uśmiech Aurungzeba zniknął pod ciemną, krzaczastą brodą. Sułtan usiadł, korzystając z pomocy nagiej dziewczyny. Gdy ta wsparła się na jego plecach, by pomóc mu w zachowaniu wyprostowanej pozycji, podrapał się po brodatym podbródku tłustą, owłosioną dłonią. Zdobiące ją pierścienie błyszcząły jak maleńki, jasny gwiazdozbiór.

– Ach, tak, dziewczyna. To dobry związek, zrównoważy tamten. – Ściszył głos, wpatrując się w szarą mgiełkę zasłony. – No wiesz, mówią, że jest czarownicą, jak matka.

– To mogą być tylko dworskie plotki, panie.

– Nieważne. To będzie problem Nasira, nie mój.

Sułtan ryknął nagłym śmiechem, wstrząsając szczupłymi ramionami podtrzymującej go z wysiłkiem dziewczyny.

– Książę wyraził życzenie zobaczenia dziewczyny przed ślubem. W gruncie rzeczy, przekazuje za moim pośrednictwem prośbę o pozwolenie udania się do Torunnu, żeby mógł ujrzeć tę księżniczkę Mirren na własne oczy.

Akran nerwowo oblizwał wąskie usta.

Aurungzeb zmarszczył brwi.

– Będzie trzymał język za zębami i zrobi, co mu się każe. Co go obchodzi wygląd tej dziewczyny? Ma zaorać jej bruzdę i zasiać w niej syna, a dla rozrywki będzie miał ogród pełen nałożnic. Ech, ta młodzież! Trzymają się jej bardzo dziwne pomysły.

– Chciałby też odwiedzić Torunn, żeby...

– Żeby co? Gadaj.

– Pragnie zobaczyć ojczyznę matki.

Brwi Aurungzeba podskoczyły w górę niczym dwie gąsienice na sznurkach.

– Jest chory czy co?

Akran kaszlnął cicho.

– Mam wrażenie, że królowa opowiadała mu o historii swego ludu. Wybacz, sułtanie, ludu, do którego ongiś należała.

– Wiem, co chciałeś powiedzieć – warknął Aurungzeb. – I wiedziałem o tym. Wypełniała mu głowę niestworzonymi opowieściami o Johnie Mogenie i Kaile’u Ormannie. Lepiej by było, gdyby mu mówiła o Indunie Meruku albo shahrze Barazie.

Sułtan podźwignął się z tytanicznym wysiłkiem z łoża, wyplątał się z otaczającej je zwiewnej zasłony i przewiązał mocno jedwabny szlafrok. Potem podszedł na bosaka do połączanego stolika, który błyszczał w świetle zawieszonych u sufitu lamp. Podeszwy jego stóp uderzały głośno o marmurową posadzkę, był bowiem ogromnym mężczyzną z wielkim brzuszyskiem. Wyciągnął delikatnym ruchem upstrzoną siwizną brodę spod szlafroka, wziął w rękę srebrny dzbanek i nalał sobie puchar bursztynowego płynu o ostrym zapachu.

Gdy pociągnął łyk, jego twarz zmieniła wyraz. Zniknęły wszelkie ślady jowialności. Oczy sułtana stały się dwoma czarnymi kamieniami.

– Co wiemy o aktualnej sytuacji w Gaderionie? – warknął.

– Doszło do walk na otwartej przestrzeni między dwiema liniami obronnymi, panie. Wygląda na to, że Torunnan spotkało niepowodzenie. Tak czy inaczej, nasi szpiedzy meldują, że pobór zaczął się na dobre i ogłoszono stan wojny.

Aurungzeb chrząknął.

– Zechce, żebyśmy przysłali mu żołnierzy, zgodnie z traktatem. Pewnie będę mu musiał dać parę oddziałów. W końcu jesteśmy sojusznikami, a po tych ślubach...

Umilkł. Podbródek opadł mu na pierś.

– Są chwile, Akranie, gdy wszystko to wydaje mi się snem. Wszystko, co wydarzyło się po Armagedirze. Wiara naszych dwóch krajów różni się od siebie tylko nazwą, mają nas połączyć ze sobą bliskie więzy dynastyczne, tak bliskie, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nasze dwie dynastie staną się w zasadzie jedną. A przecież przed zaledwie dwudziestu laty próbowaliśmy unicestwić się nawzajem, tocząc najokrutniejszą wojnę w historii. Dawne zwyczaje wcale nie okazały się żywotne. Rozpłynęły się bez śladu jak poranna mgła. Próbuję przekonać sam siebie, że wszystko to wyjdzie tylko na dobre naszym ludom, ale jakaś część mojej jaźni nadal czuje się zdumiona i w każdej chwili spodziewa się powrotu wojny. I jeszcze to Drugie Imperium, które zjawilo się znikąd, zrodziło z czczej teologii i próbuje zapanować nad światem... – Potrząsnął głową jak stary, zdziwiony niedźwiedź. – Żyjemy w naprawdę dziwnych czasach.

Pogrążył się na chwilę w zadumie.

– Coś ci powiem. Nasir pojedzie do Torunnu. Poprowadzi kontyngent, który musimy tam wysłać zgodnie z wymogami traktatu. Zobaczy narzeczoną na własne oczy, ale również złoży mi meldunek o

stanie torunnańskiej armii oraz obecnej sytuacji w przesmyku. Jego młodzieńczy entuzjazm może osiągnąć więcej niż podstępne machinacje szpiegów.

– Jest młody, panie...

– E, tam, ja w jego wieku walczyłem już w kilku bitwach. Młodsze pokolenie nie ma pojęcia...

Aurungzeb umilkł. Przerwał mu stukot drzwi komnaty, rozsuniętych przez dwóch łysych eunuchów.

Pod zdobną framugą przeszła wysoka kobieta spowita w jedwabie kobaltowej barwy. Jej twarz zasłaniał kwef, ale nad nim było widać czernione antymonem brwi oraz bystre szare oczy. Obute w sandały stopy stukwały głośno w marmurową posadzkę. Za jej plecami kuliła się nerwowo grupka zakwefionych kobiet. Wszystkie osunęły się na kolana, gdy sułtan omiół je złowrogim spojrzeniem. Leżąc w łóżu szczupła dziewczyna nakryła głowę kołdrą.

– Moja królowo... – zaczął grzmiącym głosem Aurungzeb, ale kobieta mu przerwała.

– Cóż to za pogłoski o ślubie Arii z królem Torunny. Czy to prawda?

Wezyr odsunął się dyskretnie i gestem rozkazał eunuchom zamknąć drzwi. Zrobili to, ale głuchy łoskot nie przyciągnął niczyjej uwagi. Aurungzeb i królowa gapili się na siebie ze złością.

– Twoja obecność w haremie jest niezręczna i obraźliwa! – ryknął sułtan. – Merducka królowa...

– Czy to prawda?

Coś nagle opuściło Aurungzeba, jakieś płynące z przekonania o własnej słuszności oburzenie. Odwrócił wzrok, przyglądając się zapomnianemu kielichowi z winem. Nie chciał patrzeć na ogień w jej oczach.

– Tak, to prawda. Odbyły się negocjacje i obie strony zgadzają się na ten związek. Jak rozumiem, ty się mu sprzeciwiasz.

Ku jego zaskoczeniu, nie powiedziała nic. Odwrócił się do niej z pytającym wyrazem twarzy i zauważył, że królowa stoi sztywno jak słup. Splotła mocno dłonie, a w jej pięknych oczach błyszczały łzy, które nie chciały popłynąć.

– Aharo? – zapytał, zdziwiony.

Pochyliła głowę.

– Kto wpadł na ten pomysł? Jego żona jeszcze nie umarła.

– To właśnie ona zgłosiła tę sugestię. Przekazali ją regularni dyplomatyczni kurierzy. Wygląda na to, że jest umierająca i chce, by dynastia jej męża była bezpieczna. Torunna potrzebuje męskiego dziedzica. Jak skuteczniej można by wzmocnić więź między naszymi krajami? Jednocześnie Nasir poślubi córkę Corfe'a. Jestem pewien, że to będzie bardzo wzruszające. – Aurungzeb przerwał. – Aharo, co się stało?

Łzy spłynęły za kwef.

– Proszę, nie rób tego. Nie zmuszaj do tego Arii.

Jej głos był cichy i było w nim słycać drżenie.

– Ale dlaczego? – zapytał sułtan z irytacją połączoną ze zdziwieniem.

– Jest... taka młoda.

Aurungzeb uśmiechnął się wyrozumiale i wziął Aharę w ramiona.

– Wiem, że dla matki to trudna chwila. Ale w sprawach państwowych tego rodzaju posunięcia są konieczne. Z czasem przyzwyczaisz się do tej myśli i ona również. Ten Corfe nie jest zły. Może trochę surowy, ale będzie dla niej dobry. Lepiej, żeby był, bo to w końcu moja córka. W ten sposób nasze dynastie połączą się na zawsze, a nasze ludy zbliżą do siebie jeszcze bardziej. – Sułtan spróbował ją objąć, ale poczuł się tak, jakby ścisnął kamienną kolumnę. Wyglądając zza jej ramienia, skinął głową do Akrana. Wezyr zastukał w drzwi komnaty.

– Królowa wychodzi. Usuńcie się z drogi.

Aurungzeb puścił żonę, uniósł jej podbródek i pocałował ją przez zasłonę. Jej oczy były puste, nic nie wyrażały. Łzy już wyschły.

– Teraz lepiej. Tak powinna się zachowywać merducka królowa. Chyba potrzebujesz odpoczynku, słodziutka. Akranie, odprowadź królową na jej pokoje. I pamiętaj, żeby Serrim dał jej coś na uspokojenie.

Znowu spojrzął znacząco na wezyra.

Ahara, czy Heria, jak ją ongiś zwano, wyszła bez słowa. Aurungzeb wsparł dłonie na szerokich biodrach i zmarszczył brwi. Była matką Nasira, przyszłego sułtana. Uczynił ją też swoją królową. Była jego żoną już od blisko siedemnastu lat. A mimo to jakaś część jej jaźni nadal pozostawała przed nim ukryta. Kobiety! Było je nieporównanie trudniej zrozumieć niż mężczyzn. Miał wrażenie, że zwykła się zwierzać staremu shahrowi Barazowi, ale nikomu poza nim. A on opiekował się nią, jakby był jej ojcem.

Leżąca w łóżu dziewczyna zamruczała.

– Mój sułtanie? Zimno mi. Trzeba mnie ogrzać.

Potarł podbródek. Skoro Nasir wybiera się obejrzeć przyszlą żonę, to czemu nie wyświadczyć Corfe'owi tej samej uprzejmości? Tak jest, Aria również pojedzie. Przydzielili jej odpowiednią towarzyszkę z haremu. Jej uroda rozpuści tę jego sztywną przyzwoitość, przemówi mu do rozsądku. Świetny pomysł. A gdzie urządzi się to wspaniałe podwójne wesele? Najlepiej w Aurungabarze. Pir-Sar nadawałby się do tego znakomicie. Ale nie, Corfe z pewnością zażąda, żeby urządzić ślub w jego stolicy. W końcu jest królem Torunny. Trzeba jednak zrobić to jak najszybciej. Wojna już się zaczyna, a gdy rozgorzeje na dobre, Corfe z pewnością wyruszy w pole i może nie wracać do stolicy przez wiele miesięcy. Tak jest, niech będzie w Torunnie. I to natychmiast. W gruncie rzeczy, niech Aria już wyruszy w drogę.

Aurungzeb przypomniał sobie nagle, że Odelia nie wyzionęła jeszcze ducha. Pośpiesznie odmówił ukradkową modlitwę, by prosić proroka o wybaczenie za podobną zarozumiałość. Lubił i szanował obecną królową Torunny. Ich korespondencja zawsze była dla niego interesującym wyzwaniem. Ale potrzebował jej śmierci, i to szybko.

* * *

Królowa Ostrabaru tkwiła w swych komnatach jak porcelanowa waza schowana w wyściełanej aksamitem szkatule. Siedziała wyprostowana na otomanie, spoglądając przez zdobne okno na ludne miasto na dole. Przez całe jej życie było dla niej domem, choć pod innymi postaciami. Kiedyś zwało się Aekirem, a ona była Herią. Teraz stało się Aurungabarem, a ona przerodziła się w Aharę. Jest królową, a mężczyzna, który był ongiś jej mężem, jest królem. Ale innego królestwa.

Gdy myślała o tym w ten sposób, nie mogła się nie zdumiewać figlem, jaki los spletał Corfe'owi i jej. Młodość Herii już minęła. Wchodziła w wiek średni i miała dorosłe dzieci z mężczyzną, do którego nie czuła nic poza wstrętem.

A teraz wyglądało na to, że jej córce jest przeznaczone poślubić człowieka, który był ongiś mężem Herii.

Jak Corfe mógł jej to zrobić? I samemu sobie? Czy aż tak bardzo się zmienił? Być może upływ lat uleczył jego rany albo uczynił go twardszym. Być może był już obecnie tylko królem, politycznym pragmatykiem. Czyżby to była dla niego wyłącznie sprawa wagi państwowej?

– Wysłałaś po mnie, mamó?

W drzwiach stała Aria. Przybyła ze Skrzydła Królowej, więc nie nosiła kwefu. Wyglądała jak zwiewna wersja jej samej z lat młodości. A może o to chodziło? O podobieństwo do ducha kobiety,

którą ongiś kochał.

– Mamo?

– Usiądź tu ze mną, Ario.

Dziewczyna usiadła na otomanie i Heria z uśmiechem odgarnęła kruczoczarne włosy z policzka córki. Jej umysł spowijała mgła sprawiająca, że wszystko wydawało się nierzeczywiste, nie było to jednak nieprzyjemne wrażenie. Serrim, starzejący się eunuch, miał małą szkatułkę pełną wszelkich znanych na Wschodzie eliksirów, ziół i narkotyków. Przed godziną przygotował dla niej maleńką kosteczkę czystego *kobhangu*. Razem z tą zaszuszoną wroną Akranem przyglądali się ze źle ukrywaną ulgą, jak ją połknęła. Nie chodzi o to, że się jej bali, ale to na nich spadał gniew Aurungzeba, gdy popełniła jakieś wykroczenie, takie jak samotna wyprawa na targowisko albo przyjęcie gościa płci męskiej bez nadzoru eunucha. Wydawało się, że z biegiem lat obowiązujące ją reguły stają się coraz sztywniejsze – częściowo dlatego że była matką sułtańskiego dziedzica, a częściowo dlatego że jako szlachetna matrona winna świecić przykładem, wieść życie pełne zakwefionej, nikogo nie rażącej dyskrecji. Nie pozwalano jej już nawet jeździć konno, ale noszono ją w lektyce jak jakiegoś starego libertyna.

– Czy słyszałaś już pogłoski, Ario?

– O moim ślubie? Tak, mamo. – Dziewczyna spuściła wzrok. – Mam wyjść za króla Torunny, a Nasir ma się ożenić z jego córką.

– A więc wiesz o tym. Przykro mi. Powinnaś usłyszeć to ode mnie.

– Nic nie szkodzi. Wiem, czego się ode mnie wymaga. To pewnie stanie się niedługo. W kuchniach mówią, że karawana przygotowuje się już do wyruszenia do Torunnu, a Nasir ma dowodzić armią, która wspomocze króla Corfe'a. Wyobraź to sobie, mamo. Nasir będzie dowodził armią! – Aria uśmiechnęła się. Była cichą, poważną dziewczyną, ale uśmiech rozpromieniał jej twarz.

Heria odwróciła wzrok.

– Da sobie radę, i ty również.

– Pojedziesz z nami?

Wstrząsnęło nią to pytanie.

– Nie... nie wiem. – Jej głowę wypełniła szalona myśl, wizja jej samej na ślubie córki, tego, jak rzuca się na pana młodego, błagając go, by ją sobie przypomniał. Zamrugnęła, by oczyścić z łez szczypiące oczy. – Być może.

Aria ujęła ją za rękę.

– Jaki on jest, mamo? Czy jest bardzo stary?

Odchrząknęła.

– Corfe? Nie... nie jest taki stary.

– Starszy od ciebie?

Uścisnęła mocno palce córki.

– Trochę starszy. Kilka lat.

Aria zrobiła zamyśloną minę.

– To stary. Mówią, że jest kulawy i łatwo wpada w gniew.

– Kto tak mówi?

– Wszyscy. Mamo, moja ręka... – Heria puściła córkę. – Nic ci nie jest, mamo?

– Nic, moja droga. Jestem tylko zmęczona. Poproś służące, żeby przyniosły koc. Chyba się chwilkę zdrzemnę.

Aria nie ruszyła się z miejsca.

– Znowu ci dawali ten narkotyk, prawda?

– On mnie uspokaja, Ario. Nie martw się.

Nie martw się, pomyślała. Poślubisz dobrego człowieka. Najlepszego z ludzi. Zamknęła oczy.

Aria położyła ją na otomanie i pogłaskała po włosach.

– Wszystko będzie dobrze, mamó. Zobaczysz – wyszeptała. Jej piękna twarz znowu nabrała poważnego wyrazu.

Heria zasnęła. Spod zamkniętych powiek ciekły łzy.

* * *

Jest taka godzina przed świtem, w głębi czarnego gardła nocy, gdy nawet tak wielkie miasto jak Torunn zasypia. Koń Corfe'a posuwał się bez przeszkód ulicami. Wodze zwisały luźno przy jego szyi, jakby wielki wałach znał drogę lepiej od jeźdźca. Być może rzeczywiście tak było, gdyż gniady rumak z własnej inicjatywy zaniósł Corfe'a pod Bramę Północną, gdzie król zsalutował sennym wartownikom, a ci – narzekając pod nosem, nieświadomi, z kim mają do czynienia – otworzyli wysoką furkę, by mógł wyjechać na zewnątrz. Znalazłszy się poza granicami miasta, popuścił wałachowi wodzy. Wierzchowiec pognął przed siebie szybkim galopem. Bliski pełni księżyc unosił się wysoko na rozgwieżdżonym niebie, można jednak już było dostrzec pierwsze zapowiedzi jutrzeńki nad odległymi Górami Jafrarskimi ciągnącymi się na wschodzie. Corfe opuścił błądą wstęgę Traktu Królewskiego, kierując się na północ. Wierzchowiec kołysał się pod nim na pagórkowatym gruncie. Jeździec ścisnął jednak mocno nogami końskie boki i trzymał luźno wodze. Mogłoby się niemal zdawać, że płynie kołyszącym się statkiem po szarym, rozświetlonym blaskiem księżycy morzu, gdyby koń nie stękał z wysiłku, a siodło nie poskrzypywało.

Wreszcie ściągnął wodze. Ze zmęczonego wałacha buchała para, czysta, lecz o gryzącym zapachu. Corfe zsunął się z siodła, sprawnie spętał wierzchowca, ściągnął uzdę i siodło, a potem wytarł zwierzę wiązką szorstkiej wyżynnej trawy. Wałach odkuśtykał na bok, z zadowoleniem wtykając nos w żółtą trawę, by węszyć w poszukiwaniu czegoś lepszego do zjedzenia, a Corfe usiadł na szczycie wzgórza, szary w blasku księżycy. Nie patrzył na wschód, w stronę nadchodzącego świtu, ale na zachód, gdzie majaczyły Góry Cymbryckie, czarne i złowrogie w tych ostatnich godzinach nocy.

Opowieści górskich plemion mówiły, że gdzieś tam biegnie ukryty szlak, wąska ścieżka, którą zdeterminowanym ludziom udało się ongiś przejść przez straszliwe góry. Ta wyprawa była czymś bliskim legendy – Góry Cymbryckie nie bez powodu otaczała sława najtrudniejszych do przebycia na świecie – wydarzyła się jednak naprawdę. A Corfe miał mapę trasy, którą podążała.

Przed blisko czterema stuleciami, gdy Fimbrianie władali światem, wysyłali badawcze ekspedycje do wszystkich zakątków kontynentu. Jednej z nich zlecono znalezienie przejścia przez Góry Cymbryckie. Cel udało się osiągnąć, lecz cena okazała się straszliwa. Albrec, wielki pontyfik Torunny i wszystkich macrobiańskich królestw, natrafił na dziennik tej wyprawy w inicjanckich archiwach katedry w Torunnie. Wydawało się, że uważa odkrywanie unikalnych, starożytnych dokumentów za część swego powołania. A może to było hobby? Corfe uśmiechnął się w blasku księżycy. Nawet teraz, gdy Albrec był mężczyzną w średnim wieku, kierującym potężną, wpływową organizacją, zachował sporo chłopięcego entuzjazmu, o ile w grę wchodziły zakurzone manuskrypty albo pokryte pleśnią grimuary. Pod wpływem kaprysu pokazał starożytny dokument, stertę pozaginanych, butwiejących kart, Corfe'owi, nie zdając sobie sprawy, jak wielkie może być jego znaczenie.

Król Torunny zamierzał zrobić użytek z tego dziennika, przeprowadzić armię przez Góry Cymbryckie i wygrać wojnę jednym uderzeniem.

Rzecz jasna, ryzyko było ogromne. Dziennik mógł się okazać fikcyjny albo przynajmniej beznadziejnie przestarzały. Alternatywą dla podobnego śmiałego uderzenia mógłby być jednak tylko frontalny atak na Linie Thuriańską albo przejście do defensywy i obrona Gaderionu w nadziei na to, że wszystko zakończy się pomyślnie. Próba przełamania Linii Thuriańskiej stanowiłaby lekkomyślność graniczącą z szaleństwem. Fortyfikacje były tam zbyt potężne, a do tego obrońcy mieliby wielokrotną przewagę liczebną nad atakującymi. Jeśli zaś chodzi o umocnienia Gaderionu, to choć były one imponujące, Corfe pokładał niewielką wiarę w zaletach statycznej obrony. Żywił to przekonanie już od czasów Aekiru. Zbyt często widział, jak padały rzekomo niezdobyte miasta i fortece, by mógł spoglądać z optymizmem na szanse zatrzymania Himerian w przesmyku.

Szczyty Gór Cymbryckich wciąż jeszcze okrywał śnieg, lśniący w jasnym blasku księżyca. Turnie wydawały się bezcielesnymi, świetlistymi kształtami, zawieszonymi nad pogrążoną w mroku ziemią. W wyższych partiach gór śnieg leżał przez cały rok, a nawet wśród niższych szczytów nadal utrzymywały się głębokie zasy. W górach wiosna nie przychodziła szybko.

Fimbriańska ekspedycja, złożona z trzystu ludzi, wyruszyła w roku Świętego 117, gdy tylko zaczęły topnieć śniegi. Kiedy Fimbrianie przedarli się już do centrum łańcucha, posuwali się naprzód grzbietami potężnych lodowców, jakby były one siecią dróg biegnących między niebosiężnymi szczytami, na których się zrodziły. Rozpadliny i lawiny zabiły dziesiątki ludzi, ale w końcu podróżnikom udało się pokonać blisko sto mil najtrudniejszego terenu na świecie i dotrzeć na brzegi morza Tor oraz do placówki handlowej, jaką był wówczas Fort Cariabon. Choć Fimbrianie słynęli z odporności i wytrwałości, przejście przez góry zajęło im dwa tygodnie, a ciała połowy wędrowców zostały na skutych lodem zboczach.

Corfe przeglądał dziennik już od miesięcy. Wypytał też wielu cymbryckich dzikusów, by sprawdzić jego wiarygodność. Nic z tego, co opowiedzieli mu o tym regionie, nie kłóciło się z relacją Fimbriana. Był przekonany, że choć droga jest trudna, nadal można ją przebyć. Nie widział innego sposobu na zwycięstwo w wojnie.

Znudzony suchą zimową trawą koń szturchnął go nosem w szyję. Corfe poczuł na karku ciepły oddech zwierzęcia. Potarł je roztargnionym ruchem po miękkich jak aksamit nozdrzach, a potem zwrócił głowę na wschód.

Słońce nie wynurzyło się jeszcze zza Gór Jafrarskich, ale na jaśniejącym niebie widać już było jego zapowiedź. Chmurki spowijające szczyty wyglądały jak podświetlone ogniem od dołu. Niebo za nimi miało kolor najbledszej akwamaryny, a różowa łuna z każdą chwilą sięgała coraz wyżej.

Corfe skierował spojrzenie na północny wschód, ku szczytom Thurianu. Nadchodzący świt już zaczynał rozświetlać ich wschodnie stoki. Granice znanego mu świata określały bezwzględne w swym majestacie góry. Góry Cymbryckie, Jafrarskie i Thurian. To w nich brały początek rzeki dające światu wodę: Ostian, Searil, Torrin. Gdzieś na nizinach, blisko Morza Kardiańskiego, wznosił się Aurungabar, stolica Ostrabaru. Odwiedził go jako król i widział wielki wysiłek włożony przez Merduków w jego odbudowę. Wielki plac Zwycięstw Myrniusa Kulna nadal istniał. Zaczynał się u stóp budynku, który ongiś był katedrą Carcassona, ale teraz nosił nazwę *Hor el Kadhar*, Chwała Boża. Dawny pałac pontyfikalny stał się prywatnym ogrodem rozkoszy sułtana i zainstalowano w nim jego harem. Gdzieś w tych budynkach spała teraz kobieta, która była ongiś żoną Corfe'a.

Nie wiedział, dlaczego pomyślał o niej akurat w tej chwili. Zawsze widział ją najwyraźniej oczyma duszy, gdy się budził albo zasypiał. W tych nieokreślonych chwilach między ciemnością a światłem. A może leżała teraz na jawie w poprzedzającym świt mroku i myślała o nim. Serce zabiło mu szybciej na tę myśl. Kobieta, którą sobie wyobrażał, wyglądała jednak bardzo młodo, była jeszcze prawie dzieckiem, podczas gdy Heria osiągnęła już dojrzałość, zbliżała się do czterdziestki.

A on był siwiejącym żołdakiem utykającym na jedną nogę. Byli dla siebie zupełnie obcy. Mimo to ból nie chciał ustąpić.

Czy rzeczywiście myślała o nim w tej chwili? Poczul w piersi ucisk. Potarł powieki dłońmi, aż przed oczyma zatańczyły mu światła, i ból minął. Corfe był już za stary, żeby myśleć o takich głupotach.

Wiedział, że ożeni się z dziewczyną, która jest córką jego żony. Wymagało tego dobro królestwa, a on poświęcił już tak wiele, że nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby postąpić inaczej.

Istniał też jednak inny, mroczniejszy motyw tej decyzji. Nigdy nie przyznałby się do tego nawet przed samym sobą, ale żeniąc się z Arią, znowu posiadał jakiś okruch Herii. Być może uspokoi to jego przesyconą gniewem duszę. Być może.

DWANAŚCIE

Na placach i rogach ulic zbierały się przygnębione tłumy. Ci, którzy umieli czytać, odczytywali współobywatelom treść codziennych obwieszczeń.

Dzisiejszego dnia stracono Hilaria, księcia Imerdonu, lorda Querisa z Hebriony oraz panią Marian z Fulku. Uznano ich za winnych spiskowania przeciwko prezbiterowi Hebrionu, lordowi Orkhowi. Niech Bóg Wszechmogący zmiłuje się nad ich duszami.

Oferuje się nagrodę w wysokości pięciuset srebrnych koron za informacje, które doprowadzą do aresztowania następujących osób...

Dalej odczytywano długą listę nazwisk. Recytowano ją stentorowymi głosami, zawsze wypatrując z uwagą, czy w pobliżu nie ma żadnego Rycerza-Bojownika albo, co gorsza, inicjanta.

Nikt nie wiedział, gdzie odbywają się egzekucje ani w jaki sposób się je przeprowadza. Wszystkie ofiary należały do hebrionńskiej szlachty. Dlatego choć nisko urodzeni mogli być rozgniewani, a nawet oburzeni niewidoczną rzezią wyżej postawionych obywateli, nie dotyczyła ich ona zbytnio. Poza tym musieli się przyzwyczaić do nowej szlachty.

Życie w Abrusio, które zamarło w trwożnym bezruchu na długie dni po lądowaniu pierwszych najeźdźców, wracało powoli do czegoś przypominającego normę. Ostrożnie otwierano stragany na targowiskach, a wieczorami gospody zaczęły się wypełniać, gdyż ludzie nie bali się już tak bardzo wychodzić z domu po zmierzchu. Nie ogłoszono godziny policyjnej ani stanu wojennego. Okupanci wydawali jedynie codzienne obwieszczenia, w tekście których nie zmieniało się nic poza nazwiskami. Nawet żołnierzom z garnizonu rozkazano tylko zdać broń i wrócić do koszar. Krążyły pogłoski o podpisaniu traktatu, o pokojowej aneksji. Z pewnością nowym władcom Hebrionu nie brakowało zajęć. Nie zamieszkali w pałacu, lecz w dawnym inicjanckim opactwie, jak przystało grupie duchownych. Wyływał stamtąd nieprzerwany strumień kurierów, a w porcie na każdy ocalały okręt królewskiej floty wsiadła grupa Himerian. Flota gorączkowo przygotowywała się do wyjścia w morze.

Ogólnie rzecz biorąc, nie było tak źle. Ludzie ze zdziwieniem i zawstydzieniem wspominali historię, która zapanowała, gdy do miasta dotarły wieści o zagładzie floty. Zapomnieli – albo nie chcieli pamiętać – o sztormie, który spadł na miasto, o czarnych chmurach, które przesłoniły słońce i nadały morzu ciemną barwę, choć było południe, o piorunach, uderzających jak szalone, zabijających ludzi na ulicach i wywołujących pożary domów. Tylko dzięki ulewie, która nadeszła wkrótce potem, miasto nie spłonęło po raz drugi. Z chmur lunęły strumienie wody i ludzie kryli się pośpiesznie przed gwałtownym deszczem, który uspokoił wzniecone przez zachodni wiatr fale i zmienił strome ulice górnego miasta w brązowe rzeki.

Niektórzy opowiadali, że podczas ulewy i burzy z piorunami niebo nie było puste. Pod nisko wiszącymi chmurami krążyły jakieś przerażające stwory, na pewno nie będące ptakami. Ludzie woleli jednak o tym nie myśleć, a tych, którzy uparcie zapewniali, że je widzieli, ignorowano bądź nawet wyśmiewano.

Gdy burza się skończyła i wróciło światło dnia, horyzont był ciemny od okrętów. Znalazła się garstka głupców, którzy otarli deszcz z powiek i zaczęli wznosić okrzyki na cześć wracającego króla Abeleyna, ale szybko ich uciszono. Z zachodu napływał nieprzyjaciel, gotowy zająć miasto.

Żołnierze z garnizonu – wielu z nich było właściwie tylko wystraszonego chłopca – wysunęli wielkie działa ulokowane w fortach na falochronach i ustawili barykady na nabrzeżach. Pomagała im garstka przejętych obywatelskimi obowiązkami mieszkańców, większość jednak zamknęła się w domach, jakby w jakiś sposób mogli powstrzymać najeźdźców samą siłą woli. Jeszcze inni zapchali bramy miejskie wozami i objuczonymi mułami, umykając ku niepewnemu schronieniu w górach

Hebrosu. Może ze sto tysięcy mieszkańców opuściło w ten sposób Abrusio, oddalając się Traktem Północnym w panicznym exodusie. Było wśród nich wielu szlachetnie urodzonych, którzy ukryli w wypchanych jukach całe fortuny. Sprytny wozak mógł się nieźle wzbogacić, jeśli tylko zgodził się sprzedać swój wóz jakiejś zdesperowanej arystokratycznej rodzinie.

Nieprzyjacielska flota wypchnęła żagle na wiatr w odległości półtorej mili od brzegu i tam przetrwała bezpiecznie nawałnicę, która tymczasem zmieniła kierunek na południowo-południowo-wschodni. Tylko kilka himeriańskich okrętów wpłynęło na Szlaki Wewnętrzne pod flagą rozejmu. Archaiczne, podobne do kog żaglowce przesunęły się gładko obok wytrzeszczających oczy artylerzystów na falochronach i zacumowały u stóp Wieży Admiralskiej. Wbrew obawom mieszkańców nie wysiadły z nich bestie rodem z koszmarów, ale pełna godności grupa obleczonych w czerń duchownych pod powiewającą na wietrze białą flagą. Artylerzyści w fortach nie otworzyli ognia przede wszystkim ze strachu, ponieważ nigdy nie widzieli tak wielkiej floty jak ta, która leżała w dryfie pod żaglami za potężnymi falochronami Abrusio. Co więcej, na pokładach niezliczonych okrętów tłoczyły się dziesiątki tysięcy zakutych w zbroje postaci. Gdyby Himerianie postanowili przedrzeć się siłą, obrońcy mogliby im zadać wielkie straty, ale w końcu musieliby ulec przewadze liczebnej. Ich oficerowie – wyłącznie szlachetnie urodzone miernoty – uciekli z miasta w poprzednich dniach i przy braku jasno określonych rozkazów prości żołnierze z Abrusio czekali, co będzie dalej. Ufali białym flagom najeźdźców oraz pogłoskom o tajemniczym traktacie, krążącym po mieście od chwili ucieczki królowej.

Garstka zamożniejszych obywateli, którzy nie byli pozbawieni kręgosłupa, spotkała się z himeriańską delegacją na nabrzeżu. Oznajmiono im uprzejmym, ale stanowczym tonem, że są teraz poddani Drugiego Imperium oraz wiernymi Kościoła Himeriusa i jako takim przysługuje im ochrona przed grabieżą i gwałtami. To pocieszyło ich znacznie. Padli na kolana i ucałowali pierścień ciemnoskórego przywódcy najeźdźców. Oczy mężczyzny miały niepokojącą bursztynową barwę. Przedstawił się jako Orkh, nowy prezbiter Hebrionu. Mówił z dziwnym akcentem, kojarzącym się ze Wschodem. Gdy miał trudności ze zrozumieniem Abrusian, stojąca u jego boku zakapturzona postać tłumaczyła mu ich słowa z niewątpliwie hebrionkim akcentem.

Od tego czasu do portu przybyło jeszcze trochę okrętów, ale ku zdumieniu mieszkańców ogromna himeriańska flota zniknęła. Starzy marynarze naprawiający sieci w porcie wachali wiatr, który znowu zmienił kierunek na zachodni, i spoglądali na siebie z niedowierzaniem. Taki wiatr powinien unieruchomić w Zatoce Hebrionkiej okręty z ożaglowaniem rejowym, takie jak himeriańskie kogi, albo nawet zepchnąć je na brzeg. One jednak odplynęły nocą, najwyraźniej żeglując pod wiatr wbrew wszystkiemu, co doświadczeni żeglarze uważali za naturalne.

Z tych okrętów, które przybyły do brzegu, wysiadło może z tysiąc żołnierzy. Drugie Imperium zapewne uznało, że nie potrzebuje w Abrusio większych sił okupacyjnych, choć do miasta docierały pogłoski o innych armiach, które pojawiły się na północy i na wschodzie. Ponoć doszło do bitwy na granicy z Fulkiem i hebrionkie siły zostały zmuszone do panicznego odwrotu. Pontifidad, stolica księstwa Imerdonu, skapitulowała przed najeźdźcami po przegranej bitwie pod murami miasta. Książę Imerdonu uciekł, a Rycerze-Bojownicy ścigali go zawzięcie. Krążyły też jeszcze mniej jasne pogłoski. Nikt nie potrafił ich potwierdzić ani wyjaśnić ich pochodzenia. Głosiły one, że himeriańskie wojska wylądowały w Astaracu i przygotowują się do oblężenia Cartigelli.

Okupanci Abrusio byli dziwną, niejednorodną grupą. Wielu z nich nosiło czarne szaty inicjantów, lecz nakładali na nie półpancerze tej samej barwy. Mieli też stalowe rękawice i byli uzbrojeni w stalowe buzdygany. Ich konie o lśniącej hebanowej sierści były wysokie jak wielbłądy ze Wschodu i chude jak charty. Wśród tych budzących lęk kapłanów było bardzo wielu czarnoskórych ludzi.

Wyglądali oni, jakby mogli pochodzić z Puntu czy Ridawanu, ale mówili w języku nie znanym nawet największym obieżyświatom spośród marynarzy. Wielu z nich miało homunkulusy, które siedziały przycupnięte na ich ramionach albo fruwały wokół wygolonych głów.

Byli też Rycerze-Bojownicy, dosiadający takich samych dziwacznych koni, jak ich inicjancy bracia, ale twarze cały czas mieli ukryte pod zamkniętymi hełmami. Widać było tylko oczy, błyszczące za szparą w kształcie litery T. Najbardziej tajemniczymi z najeźdźców byli jednak ci, których cudzoziemscy duchowni zwali po prostu „Psami”. Wszędzie chodzili w luźnych oddziałach i zawsze towarzyszył im konny inicjant. Sprawiali wrażenie wywodzących się ze wszystkich krajów pod słońcem. Byli bosi, bez wyjątku odziani w łachmany, a ich oczy miały straszliwie głodny, wilczy wyraz. Rzadko się odzywali i prawie w ogóle nie kontaktowali się z tubylcami. Inicjanci prowadzili ich tak, jak pasterze prowadzą owce albo nadzorcy niewolników. Jednakże, choć byli obdarci i nie nosili broni, budzili w mieszkańcach Abrusio większy strach niż cała reszta Himerian.

* * *

– Nie popłynęli krótszą trasą wzdłuż brzegu, ale wyruszyli na otwarte morze – oznajmił lord Orkh, prezbiter Hebrionu. Mówił po normańsku z silnym akcentem, a jego głos miał syczące brzmienie.

– Jak rozumiem, znaleźli się już poza zasięgiem naszych powietrznych kontyngentów. W przeciwnym razie ta rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej.

Orkh obliznął pozbawione warg usta. W ciemnej komnacie jego żółte oczy lśniły własnym światłem, a skóra miała gładki połysk.

– Tak, panie. Spodziewaliśmy się, że popłyną do Zatoki Hebrionńskiej, kierując się wprost ku wybrzeżu Astaracu, ale oni...

– Przechytrzyli cię.

– W rzeczy samej. Człowiek, który jest kapitanem *Zająca Morskiego*, to marynarz otoczony znaczną sławą. Mam wrażenie, że go znasz. To Richard Hawkwood, z pochodzenia Gabrińczyk.

Symulakrum, do którego przemawiał prezbiter Hebrionu, umilkło nagle. Migotliwa, świetlista podobizna Aruana zmarszczyła brwi. Orkh pochylił głowę przed bezlitosnym spojrzeniem swego pana.

– Hawkwood – warknął Aruan. Nagle wybuchnął śmiechem. – Nie bój się, Orkh. Wygląda na to, że padłem ofiarą własnego kaprysu. Hawkwood! Jest twardszy, niż się spodziewałem. – Jego głos przycichł, przypominając teraz mruczenie wielkiego kota. – Rzecz jasna, wprowadziłeś już w życie alternatywny plan mający doprowadzić do pojmania hebrionńskiej królowej.

– Tak jest, panie. Szybki żaglowiec właśnie w tej chwili odbija od królewskiego nabrzeża.

– Kto nim dowodzi?

– Mój zastępca.

– Renegat? Ach tak, oczywiście. To trafny wybór. Jego umysł wypełnia irracjonalna nienawiść, która każe mu spełnić tę misję. Jak wielką przewagę ma Hawkwood?

– Tydzień.

– Tydzień! Mam nadzieję, że wśród ścigających są władcy pogody?

Orkh zawahał się przez chwilę, po czym stanowczo skinął głową.

– To świetnie. W takim razie możemy uznać, że tę nie załatwioną sprawę mamy z głowy. Co z hebrionńskim skarbcem?

Orkh uspokoił się nieco.

– Przejęliśmy go niemal w całości, panie.

– Znakomicie. A co ze szlachtą?

– Dzisiaj straciliśmy Hilaria, księcia Imerdonu. To w praktyce koniec z najwyższą warstwą arystokracji.

– Pomijając twego zdradzieckiego zastępcę, rzecz jasna.

– On należy do nas bez reszty, panie. Mogę za to poręczyć osobiście. A jego status będzie dla nas użyteczny, gdy już sytuacja trochę się uspokoi.

– Tak, pewnie masz rację. Jest narzędziem przydatnym do wielu zadań. Nie żałuję, że go oszczędziłem, w przeciwieństwie do Hawkwooda. Ale gdybym pozwolił, żeby Hawkwood zginął razem z Abeleynem, mógłbym stracić Golophina. – Cień Aruana oparł w zamyśleniu podbródek na piersi. – Gdybym tylko miał więcej takich ludzi jak ty, Orkh. Ludzi, którym mogę zaufać.

Prezbiter Hebrionu pokłonił się nisko.

– Ale Golophin da jeszcze przemówić sobie do rozsądku, gwarantuję ci to. Znakomicie! Rozdaj pieniądze tym, którzy je docenią. Dotrzyj do wszystkich przekupnych dusz w Hebrionie i rządz krajem w aksamitnych rękawiczkach. To srebrny filigran, tak jak Torunna jest żelazem. Królestwo Corfe’a musimy zmiażdżyć, ale Hebrion... ach, tu konieczne są zaloty... Kiedy flota ma przybyć do Cartigelli?

– Moi kapitanowie zapewniają, że przy pomocy władców pogody zakotwiczą pod miastem za osiem dni.

– To wystarczy. Jestem przekonany, że wystarczy. Zaatakujemy Cartigellę od lądu i od morza. Obrońcy zachowają się rozsądnie, tak jak Hebrionczycy.

– Nie sądzisz, by hebrionka królowa płynęła do ojczyzny?

– Jeśli tak, flota z pewnością ją pojmie, ale wątpię w to. Nie, wyczuwam w tym rękę Golophina. Z pewnością to on uzdrowił Hawkwooda i wykradł królową. Przebywa obecnie w Torunnie i sądzę, że ona również tam się udaje. Słyszałem, że darzą się nawzajem wzruszającą sympatią. Musimy zabić tak wielu wspaniałych ludzi! To wielka szkoda. Ale gdyby nie byli tyle warci, nie warto byłoby ich zabijać. – Uśmiechnął się, choć na jego twarzy nie było śladu wesołości. – Dopilnuj, żeby nasz szlachetnie urodzony renegat dogonił tę Isollę. Gdy jej zabraknie, Hebrion znacznie łatwiej pogodzi się z naszymi rządami. Jeśli ten człowiek ją zabije, oddam mu królestwo. Kiedy poinformuję go o tej nagrodzie, z pewnością zwiększy to jeszcze jego zapał. Ciebie przeniosę do Astaracu. Jestem przekonany, że to królestwo sprawi nam więcej kłopotów niż Hebrion. Będiesz też mógł mieć oko na Gabrion. Czy to cię zadowoli?

W ustach Orkha poruszyło się nagle coś, co mogło być cienkim czarnym językiem.

– To dla mnie zaszczyt, panie.

– Wojna na wschodzie nabiera impetu. Wkrótce rozpocznie się atak na Gaderion, a armia Perigraine wyruszy ze swych baz w Candelarii, żeby uderzyć na Rone. Wkroczymy do Torunny tylnymi drzwiami, pukając jednocześnie do frontowych. Niech ten ich sławetny król-żołnierz spróbuje być w dwóch miejscach jednocześnie.

Znowu pojawił się groźny, triumfalny uśmiech. Symulakrum zaczęło blednąć.

– Nie zawieź mnie, Orkh – rzuciło jeszcze i zniknęło.

* * *

Hibrusianin był smukłą barkentyną o wyporności około sześciuset ton. Jego załoga składała się z pięćdziesięciu ludzi. Miał na fokmaszcie ożaglowanie rejowe, a na grotmaszcie i bezanmaszcie żagle skośne. Zbudowano go z myślą o nielicznej załodze. Był jednym z eksperymentalnych okrętów zaprojektowanych przez Richarda Hawkwooda i jego stępkę położono zaledwie przed rokiem. W założeniu miał być wielkim królewskim jachtem, którym monarcha i jego świta pływaliby za granicę na oficjalne wizyty. Dlatego został pod każdym względem luksusowo wyposażony. Himerianie

znaleźli go w suchym doku i na rozkaz Orkha natychmiast zwodowali. Ktoś, kto lubił czarny humor, zmienił nazwę żaglowca na *Zmartwychwstaniec*. Barkentyna cumowała teraz na Szlakach Zewnętrznych, w pewnej odległości od brzegu. Liczba ludzi na pokładzie wzrosła trzykrotnie, zaokrętowano bowiem himeriańskich żołnierzy najróżniejszych formacji. Okręt czekał tylko na rozkaz z Wieży Admiralskiej, by wypłynąć na łowy.

W końcu sygnał nadszedł. Wypalono z trzech dział w krótkich odstępach czasu, nad blankami pojawiły się trzy obłoki szarego dymu, a po chwili zabrzmiały trzy głuche wystrzały. *Zmartwychwstaniec* odcumował, rozwinął na grotmaszcie i bezanmaszcie kliwry oraz kursy, a potem pomknął przez lekko wzburzone morze, zostawiając za sobą jasny kilwater. Wiatr miał prosto z prawej burty. Na pokładzie rufówki stwór, który był ongiś lordem Muradem, uśmiechnął się okrutnie, spoglądając na południowy horyzont. Siedzący na jego ramieniu homunkulus chichotał mu do ucha.

TRZYNAŚCIE

– Trzymaj ten kurs do czwartego dzwonu – polecił sternikowi Hawkwood. – A potem zmień go o jeden rumb w lewo. Arhuz!

– Kapitanie?

– Bądź gotowy rozwinąć bezanmarsel, kiedy zmienimy kurs. Jeśli wiatr skręci w lewo, zawołaj mnie natychmiast. Schodzę pod pokład.

– Tak jest – odpowiedział szybko Arhuz. Sprawdził kurs szebeki na róży kompasowej, a potem omiół pokłady spojrzeniem, zwracając uwagę na pochylenie rej, wypełnienie żagli oraz stan ruchomego olinowania. Potem popatrzył na morze i na niebo, obserwując kierunek, w jakim posuwają się fale, pozycję chmur, bliskich i dalekich, a także wszystkie te niemal niemożliwe do zdefiniowania szczegóły, które doświadczony żeglarz zauważa bez świadomego wysiłku. Hawkwood klepnął go po ramieniu, wiedząc, że *Zajac Morski* jest w dobrych rękach, a potem zszedł na dół.

Czuł się zmęczony. Już od kilku dni niemal bez przerwy przebywał na pokładzie, tylko od czasu do czasu zasypiając na chwilę w hamaku z płótna żaglowego, zawieszonym na wantach bezanmasztu. Posiłki jadł na wąskim pokładzie rufówki szebeki, jednym okiem obserwując wiatr, a drugim żagle. Zmuszał załogę i okręt do maksymalnego wysiłku, starając się wydusić ze smukłego żaglowca każdy węzeł prędkości. Sternicy nie mieli ani chwili spokoju, bo kapitan co chwila rozkazywał im dokonywać drobnych korekt kursu, by złapać kapryśny wiatr. Log działał nieustannie. Kilkanaście razy w ciągu doby zajmujący się nim marynarz zanurzał swą deskę w wodzie, podczas gdy jego pomocnik obserwował piasek przesypujący się w trzydziestosekundowej klepsydrze, by w odpowiednim momencie krzyknąć „już”. Następnie zwijano linę i odnotowywano liczbę węzłów. Do tej pory, przy wietrze z prawej burty, skośne ożaglowanie szebeki spisywało się bardzo dobrze i ich średnia prędkość wynosiła siedem węzłów. Siedem długich, morskich mil na godzinę. Płynęli prosto na południe i w ciągu sześciu dni oddalili się blisko pięćset siedemdziesiąt mil od biednego starego Abrusio. Zgodnie z obliczeniami Hawkwooda dawno już minęli szerokość geograficzną północnego Gabrionu, choć wciąż dzieliło ich od tej wyspy jakieś trzysta mil w kierunku wschodnim. Hawkwood postanowił, że ominie wąskie Cieśniny Malacarskie, opłynie Gabrion od południa i wpłynie na Levangore na zachód od Azbakiru. Cieśniny leżały za blisko Astaracu i zbyt łatwo było je patrolować. Wiele jednak zależało od wiatru. W ciągu kilku ostatnich dni utrzymywał się stały wiatr z zachodu, przesuwany się tylko o rumb czy dwa w jedną albo drugą stronę. Gdy zmienią kurs na wschodni, co stanie się już za chwilę, będzie musiał rozważyć zmianę ożaglowania na rejowe, przynajmniej na fokmaszcie i grotmaszcie. Łacińskie ożaglowanie gorzej się nadawało do żeglowania z wiatrem od rufy. Ludzie również się ucieszą. Masywne łacińskie reje, które nadawały *Zajacowi Morskiemu* wygląd jakiegoś cudownego motyla, były trudne i niewygodne w obsłudze.

Hawkwood potarł powieki. Pokład rufówki zmoczyły plamy piany, wzbitej przez tnący szybko fale dziób. Szebeka posuwała się po morzu z gracją, niemal w ogóle nie kołysząc się na boki. Mimo to pasażerki padły ofiarą choroby morskiej, gdy tylko żaglowiec wypłynął z osłony Przylądka Grios. Cały czas siedziały w kajutach, z czego kapitan bardzo się cieszył. Miał zbyt wiele na głowie, by się jeszcze martwić wymianą złości między Isollą a Jemillą. A chłopak? Czym był bachorem? W oczach świata – Murada, ale Hawkwood słyszał krążące na dworze plotki. Dlaczego Golophin miałby pomagać jemu i jego matce w ucieczce z Hebrionu, gdyby w jego żyłach nie płynęła królewska krew? Młodzieniec właśnie wyszedł na pokład. Minę miał pełną zapału, jak młody pies gończy, który wypatrzył lisa. Jako jedyny z pasażerów nie cierpiał na chorobę morską. Sprawiał wręcz wrażenie zachwyconego szybką żeglugą na południe i wysiłkiem dzielnej załogi. Hawkwood rozmawiał z nim kilkakrotnie. Chłopak był pompatyczny, jak na kogoś tak młodego, i rzecz jasna

okropnie pewny siebie, ale wiedział, kiedy trzeba trzymać język za zębami, co było błogosławieństwem.

– Kapitanie? Jak szybko płyniemy? – zapytał Bleyn.

Reszta ludzi obecnych na pokładzie rufówki zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok. Wszyscy bardzo szybko polubili Hawkwooda, gdy tylko dowiedział, że rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, i uważali, że chłopak nie okazuje mu należytego szacunku.

Hawkwood nie odpowiadał mu przez krótką chwilę. Popatrzył na różę kompasową, zerknął na żagle, a gdy zauważył, że jeden z nich zaczyna drżeć, warknął do sternika:

– Żegluj ostrzej do wiatru.

Potem skierował ponure spojrzenie na Bleyna. Miał właśnie ochotę zejść pod pokład i przespać się porządnie po raz pierwszy od paru dni i niech go szlag, jeśli pozwoli, żeby pozbawił go tego jakiś gadatliwy paniczyk. Powstrzymał go jednak wyraz nieskrywanej ekscytacji w oczach młodzieńca.

– Zejdźmy pod pokład. Pokażę ci to na mapie.

Ruszyli ku zejściówce i dotarli do kajuty Hawkwooda. W zasadzie powinna mu przypaść najlepsza kabina na okręcie, ale kapitan oddał ją Isolli, zostawiając dla siebie kajutę pierwszego oficera. Zamiast okien były tu dwa zamykane pokrywą włazy. Obaj z Bleynem musieli się pochylić, wchodząc do środka. Szeroki, ustawiony w poprzek pokładu stół przytwierdzono do desek mosiężnymi szynami. Leżała na nim mapa zachodniego Levangore oraz Zatoki Hebrionńskiej. Hawkwood wziął cyrkiel i zajrzał do dziennika okrętowego, ignorując Bleyna. Chłopak gapił się na zawieszane na grodzi kordelasy, na poobijany kufer i wiszący w kącie kwadrant. Po chwili Hawkwood wskazał na lewy dolny róg mapy.

– Znajdujemy się gdzieś tutaj.

Bleyn spojrział na mapę.

– Jesteśmy na pustym morzu! I wciąż płyniemy na południe. Niedługo wypłyniemy za koniec mapy.

Hawkwood potarł z uśmiechem odnawiający się na podbródku zarost.

– Dla ściganych puste morze nie jest najgorszym wyborem. Na otwartym oceanie można się łatwo ukryć.

– Ale z pewnością wkrótce skrócisz na wschód?

– Zmienimy kurs dzisiaj albo jutro, zależnie od wiatru. Do tej pory był stały, ale nigdy nie widziałem, żeby w zatoce stały wiatr zachodni utrzymywał się tak długo. Wiosną ląd się ogrzewa i chmury napływają nad morze. W tej części świata częściej spotyka się wiatry z południa i podczas żeglugi na wschód powinniśmy znowu mieć wiatr z prawej burty. Dlatego nie śpieszę się z rezygnacją z łacińskich żagli.

– One są lepsze, kiedy wiatr wieje z boku, prawda?

– Wiatr w pół burty, panie Bleynie. Jeśli chcesz mówić jak marynarz, musisz się nauczyć naszego języka.

– Bakburta jest lewa, a sterburta prawa, zgadza się?

– Brawo. Jeszcze nauczymy cię chodzić po rejach, zanim dopłyniemy do celu.

– A kiedy będziemy w Torunnie?

Hawkwood pokręcił głową.

– To nie jest karoca zaprzężona w cztery konie. Na morzu nie przestrzegamy dokładnych rozkładów. Ale jeśli wiatry będą dla nas łaskawe, sądzę, że powinniśmy wpłynąć do ujścia Torrinu za trzy, góra cztery tygodnie.

– Cały miesiąc! Do tego czasu wojna może się skończyć.

– Z tego, co słyszałem, raczej w to wątpię.

Rozległ się głuchy łoskot. Ktoś obił się o ścianę działową, zrobioną z cienkich desek. Bleyn i Hawkwood popatrzyli na siebie. To była kajuta Jemilli, choć słowo „kajuta” było chyba zbyt górnolotne na określenie tej przypominającej psią budę kłitki.

– Co wiesz o tym królu Corfe’em? – zapytał chłopak.

– Tylko to, co usłyszałem od Golophina i co powtarzają ludzie. To ponoć twardy, ale sprawiedliwy człowiek i znakomity wódz.

– Ciekawe, czy pozwoli mi służyć w swojej armii – rozmarzył się Bleyn.

Hawkwood obrzucił go ostrym spojrzeniem, ale nim zdążył coś powiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyły się nagle, odsłaniając spowitą w szal Jemillę. Splecione w warkocze włosy opadały jej na ramiona. Była blada, twarz miała zapadniętą, a oczy podkrążone.

– Kapitanie, widzę, że wreszcie zszedłeś pod pokład. Już od paru dni chciałam zamienić z tobą słówko na osobności. Mogłabym niemal uwierzyć, że celowo mnie unikasz. Bleynie, zostaw nas...

– Matko...

Spiorunowała go spojrzeniem. Zamknął natychmiast usta i wyszedł bez słowa. Jemilla ostrożnie zamknęła za nim drzwi.

– Mój drogi Richardzie – rzekła cicho. – Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio byliśmy ze sobą sam na sam.

Hawkwood rzucił cyrkiel na mapę.

– To dobry chłopak, ten twój syn. Nie powinnaś go już traktować jak dziecko.

– Potrzebna mu silna, ojcowska ręka.

– Jak rozumiem, Murad nie przejawiał ojcowskich uczuć.

Jej uśmiech nie był miły.

– Można by tak powiedzieć. Brakowało mi ciebie, Richardzie.

Hawkwood prychnął wzgardliwie.

– Do cholery, Jemillo, przez blisko osiemnaście lat bardzo dobrze ci wychodziło udawanie, że jest inaczej.

Zaskoczyła go złość, którą usłyszał we własnym głosie. Sądził dotąd, że Jemilla nic już dla niego nie znaczy. Fakt, że obie z Isollą przebywały na pokładzie, przyprawiał go o potężne zmieszanie i choć okręt rzeczywiście wymagał pełnej uwagi kapitana, by żeglować jak najszybciej, stało się to dla niego wymówką pozwalającą mu przebywać cały czas na pokładzie, w jego własnym świecie, z dala od kryjących się na dole komplikacji.

– Mam sporo zajęć i jestem bardzo zmęczony. Jeśli chcesz o czymś porozmawiać, będziesz musiała z tym zaczekać.

Podeszła bliżej. Szal zsunął się, odsłaniając kremowe ramię. Hawkwood gapił się na nią. Mimo woli czuł się zafascynowany. Jemilla miała w sobie bujną dojrzałą kobiecość. Była egzotycznym owocem, który już za chwilę zacznie gnić. Jej bezwstydne zachowanie nie wydawało się czymś występny, a jedynie wyrazem normalnych potrzeb.

Pocałowała go lekko w usta. Szal zsunął się niżej. Pod spodem miała tylko cienkie giezło. Przez tkaninę prześwitywały ciemne sutki, Hawkwood ujął jedną pierś w stwardniałą dłoń i Jemilla zamknęła oczy. Na jej ustach pojawił się uśmiech, który już zapomniał. W połowie triumfalny, w połowie głodny. Wpił się w jej usta, a ona zacisnęła delikatnie zęby na jego wysuniętym języku.

Ktoś zapukał do drzwi. Hawkwood wyprostował się natychmiast i odsunął od Jemilli. Kobieta owinęła się szalem, nie odrywając spojrzenia od jego oczu.

– Proszę.

To była Isolla. Wzdrygnęła się, widząc, że oboje stoją tak blisko siebie. Na jej twarzy pojawiło się przygnębienie.

– Wróć w stosowniejszej chwili.

Jemilla dygnęła z wdziękiem.

– Proszę, nie wychodź z mojego powodu, wasza królewska mość. Właśnie miałam wracać do siebie. – Gdy mijąca w wejściu królową, szal z niewytłumaczalnych powodów znowu zsunął się z jej ramienia. – Do zobaczenia, Richardzie! – zawołała, oglądając się przez nagie ramię, i zniknęła.

Hawkwood czuł, że twarz mu płonie. Nie mógł spojrzeć Isolli w oczy. Czynił sobie gorzkie wyrzuty, sam nie wiedział za co.

– W czym mogę ci pomóc, pani?

Isolla sprawiała wrażenie bardziej zmieszanej od niego.

– Nie wiedziałam, że pani Jemilla i ty jesteście... znajomymi, kapitanie.

Hawkwood uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

– Przed laty byliśmy kochankami. Ale teraz nie ma już między nami nic.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, zadał sobie pytanie, czy są prawdą.

Isolla poczerwieniała.

– To nie mój interes.

– Lepiej powiedzieć to otwarcie. Będziemy przez kilka tygodni żyć w wielkiej ciasnocie. Nie zamierzam na własnym okręcie tańczyć menuetów wokół prawdy. – Jego głos zabrzmiał brutalniej, niż było to jego zamiarem. – Czujesz się już lepiej? – spytał łagodniejszym tonem.

– Tak. Chyba... chyba już się przyzwyczajam do morza.

– Lepiej wyjdź na pokład odetchnąć świeżym powietrzem. Na dole cuchnie. Tylko nie patrz na morze za relingiem.

– Na pewno tego nie zrobię.

– O czym chciałaś powiedzieć, pani?

– To nic ważnego. Życzę dobrego dnia, kapitanie. Dziękuję za twoje rady.

Wyszła, uderzając po drodze kolanem o ościeżnicę.

Hawkwood usiadł nad mapą, wpatrując się niewidzącymi oczyma w papier i połyskujący słabo mosiężny cyrkiel. Potarł powieki kostkami dłoni. Wróciło zmęczenie, odzierając z siły jego mięśnie. Musiał usiąść. Wybuchnął śmiechem, sam nie wiedział dlaczego.

* * *

Drobna zmiana kursu, którą uprzednio nakazał przeprowadzić, obudziła go z niespokojnego snu. Wstał z kołyszącej się koi i włożył mokre buty, ziewając i mrugając. Śniło mu się, że jest straszliwie spragniony, obrzęknięty język wypełnia mu wyschnięte usta, obok stoją dwa dzbany, jeden z wodą, a drugi z winem, on zaś nie może ugasić pragnienia, bo nie potrafi między nimi wybrać.

Wspiął się na pokład rufówki i zastał tam tłok oraz nerwową atmosferę. Arhuz przywitał go skinieniem głowy i spojrzał na różę kompasową.

– Kurs wschodnio-południowy wschód, kapitanie, wiatr przechodzi w zachodnio-południowo zachodni, więc mamy go z prawego baksztagu. Chcesz, żeby wszyscy wyszli na pokład?

Hawkwood spojrzał na żagle, by sprawdzić ich trym. Nadal wyglądały dobrze.

– Jaką mamy prędkość?

– Sześć węzłów i jeden sążeń.

– W takim razie utrzymamy ten kurs aż do zmiany wachty, a potem zmienimy ożaglowanie na fokmaszcie i grotmaszcie na rejowe. Obudź żaglomistrza, Arhuz, niech wszystko przygotowuje.

Bosmanie! Otwórz główny właz i wyciągnij talie na top grotmasztu.

Marynarze zabrali się do roboty ze spokojną kompetencją, która bardzo cieszyła Hawkwooda. To nie byli ludzie z jego *Rybołowa*, ale też znali swój fach i nie musiał im mówić nic więcej. Na zachodzie znowu się chmurzyło, horyzont zasnuwały obłoki. Na północy niebo było czyste jak lód, a na morzu nie widziało się nic żywego.

– Hej, na oku! – zawołał. – Co widzisz?

W takie popołudnie, gdy wiosenne słońce ogrzewało pokład i dał świeży wiatr, człowiek na oku mógł obserwować szeroki przestwór oceanu o średnicy blisko pięćdziesięciu mil.

– Ani jednego żagla, kapitanie. Nie ma też ptaków ani wodorostów.

– Bardzo dobrze.

Nagle zauważył, że obie pasażerki wyszły na pokład. Isolla stała przy wantach podtrzymujących bezanmaszt z lewej strony, spowita w futro. Kosmyki pięknych rudoblond włosów muskały jej twarz, targane wiatrem. Jemilla przystanąła u prawej burty, wpatrując się z niepokojem w olinowanie.

– Kapitanie – odezwała się bez śladu kokieterii – nie mógłbyś mu czegoś powiedzieć, wydać jakiegoś rozkazu?

Hawkwood prześledził jej wzrok i zobaczył wysoko na stendze fokmasztu trzech młodych mężczyzn. Zmarszczył brwi, uświadamiając sobie, że jeden z nich to Bleyn, a dwaj towarzysze zachęcają go gestami, by wspinał się jeszcze wyżej.

– Gribbs, Ordio! – ryknął natychmiast. – Złażcie na pokład! I sprowadźcie na dół pana Bleyna!

Młodzieńcy przestali się wspinać, a potem ruszyli w dół, z szybkością zrodzoną z długiej praktyki.

– Spokojnie, spokojnie, do cholery! – zawołał i obaj zwolnili.

– Dziękuję, kapitanie – powiedziała Jemilla ze szczerą ulgą na twarzy. Potem przełknęła ślinę i uniosła rękę do ust.

– Lepiej zejść na dół, pani.

Opuściła kołyszący się pokład rufówki, zataczając się jak pijana. Hawkwood skinął głową do jednego z podoficerów, który posłużył jej ramieniem i sprowadził po zejściówce. Gdy Jemilla zniknęła, kapitan poczuł lekkie, niegodne ukłucie zadowolenia. To był jego świat. Tutaj on dowodził, a ona była niewiele więcej niż bagażem. W ostatnich latach widywał ją kilkakrotnie na dworze. Grała szlachetnie urodzoną arystokratkę, która uważała, że wyrządza mu łaskę, jeśli raczy zauważyć jego istnienie. Teraz role się odwróciły. Jemilla stała się zbiegiem, bezpieczeństwo jej i jej syna zależało od Hawkwooda. Jej cierpienia sprawiały mu satysfakcję, a z tą ziemistą, niezdrową cerą nie wydawała mu się atrakcyjna.

Nie zdoła mnie opętać, obiecał sobie. Nie podczas tego rejsu.

Wiatr przybierał na sile i *Zajac Morski* mknął na jego skrzydłach jak podeksycytowany koń. Obfite bryzgi opadały na kasztel dziobowy, docierając aż do śródookręcia. Hawkwood złapał za baksztag bezanmasztu, czując napięcie liny. Jeśli tak pójdzie dalej, będzie musiał zrefować żagle, na razie jednak chciał wycisnąć z błogosławionego wiatru każdą kropelkę prędkości.

– Arhuz, daj drugiego człowieka do steru i ściągnij bezan.

– Tak jest. Przygotować się do refowania żagli! Hej, ty, Jorth, właz na reję. Zostaw tego cholernego szczura lądowego, niech sam sobie radzi. To nie żłobek.

Rzeczonym szczurem lądowym był Bleyn. Młodzieniec zdołał pokonać trudną drogę na pokład rufówki i stał teraz przed Hawkwoodem, ociekając wodą. Jego zaczerwieniona od wiatru twarz promieniała radością.

– To lepsze od przejażdżki na dobrym koniu! – zawołał, przekrzykując wiatr.

Hawkwood mimo woli uśmiechnął się do chłopaka. Przynajmniej był dzielny.

– Zejdź na dół, Bleyne, i przebierz się. Zjrzyj też do matki. Źle się poczuła.

– Tak jest!

Hawkwood odprowadzał chłopaka wzrokiem, czując niewytłumaczalny ucisk w piersi.

– Wygląda na wspaniałego młodzieńca. Zastanawiam się, dlaczego nie przedstawiono go na dworze – odezwała się Isolla.

Hawkwood zapomniał o niej na chwilę.

– Lepiej byłoby, gdybyś ty również zeszła pod pokład, pani. Tutaj może się zrobić dość wietrznie.

– To mi nie przeszkadza. Chyba się w końcu przyzwyczyłam do ruchów pokładu, a to powietrze działa uzdrawiająco.

Jej oczy błyszczały. Nie była piękną, ale miała w sobie siłę i zdrowie, które odbijały się na jej twarzy i z jakiegoś powodu skłaniały innych do otwartości. Wrażenie psuła tylko sina blizna na policzku. Nie czyniła jej brzydką w oczach Hawkwooda, ale za każdym razem przypominała mu o długu, jaki u niej zaciągnął.

Kim się stałem, pytał sam siebie, jakimś zadurzonym młodzieńcem? Coś w nim reagowało silnie na pasażerów – na każde z trojga w inny sposób – ale prędzej skoczy za burtę, niż spróbuje wnikać w to głębiej. Dzięki Bogu miał mnóstwo roboty, która zajmowała jego myśli.

Przywołał obraz leżącej w kajucie mapy, tak łatwo, jak niektórzy przypominają sobie cytat z czytanej wiele razy książki. Jeśli nadal będzie utrzymywał ten kurs, minie południowo-zachodni kraniec Gabrionu w odległości jakichś trzydziestu, czterdziestu mil. Wszystko pięknie, ale gdy nadejdą południowe wiatry z Calmaru, będzie miał bardzo niewiele swobody manewru. Gdyby zaś spróbował ją zwiększyć, musiałby poświęcić na to dodatkowy czas. Może ze dwa dni.

Liczyby i kąty połączyły się w jego głowie w jedną całość. Widział, że Isolla przygląda mu się uważnie, ale nie zwracał na nią uwagi. Marynarze nie zbliżali się do niego. Wiedzieli, o czym myśli, i zdawali sobie sprawę, że potrzebuje spokoju, żeby się zastanowić.

– Trzymać kurs – rozkazał wreszcie Arhuzowi. Szaleńczo przeważyło to, co usłyszał od Bleyna. Nie mogli sobie pozwolić na marnowanie czasu. Będzie musiał narazić się na południowe wiatry i zyskiwać swobodę manewru za pomocą drobnych zmian kursu. Podjęta decyzja oczyściła jego umysł. Napięcie na pokładzie opadło. Hawkwood przyjrzał się ożaglowaniu. Łacińskie żagle na fokmaszcie i grotmaszcie na razie spisywały się dobrze. Zostawi je na miejscu, dopóki wiatr nie zacznie zmieniać kierunku, o ile w ogóle to się stanie. Nie musiał wzywać wszystkich ludzi na pokład. Druga wachta mogła sobie spokojnie chrapać w hamakach.

– Bosmanie! – zawołał. – Bez pośpiechu z tymi żaglami. Na razie zostaniemy przy łacińskich. Zdejmij talie.

Przyglądał się z pokładu rufówki, jak ludzie weszli na wanty i zaczęli ściągać wydęty bezan ręką za ręką, związując go w luźną belę na rei. Kołysanie się *Zająca Morskiego* stało się nieco mniej gwałtowne, ale gdy Hawkwood przyjrzał się uważnie morzu i chmurom, uświadomił sobie, że pogoda wkrótce się pogorszy. Z zachodu nadciągał szkwał. Dostrzegał już białą linię jego furii, przecinającą coraz wyższe fale. Chmury na niebie skłębiły się i pociemniały. Zmierzały ku nim jak jakiś świadomie dążący do celu tytan. Pod nimi było widać słabe światełka błyskawic.

Kapitan i Arhuz popatrzyli na siebie. W bezlitosnej szybkości, z jaką zbliżała się do nich linia wzburzonej wody, było coś niepokojącego.

– Skąd to się wzięło, do licha? – zapytał zdumiony Merduk.

– Wszyscy na pokład! – ryknął Hawkwood. – Arhuz, zajmij się dwoma przednimi masztami, ale

migiem!

Druga wachta wypadła na pokład. Ludzie spojrzeli na zbliżający się sztorm i natychmiast zaczęli się wspinać na wanty, ziewając i potrząsając głowami, żeby wygnać z nich senność.

– Czy coś się stało, kapitanie? – zapytała Isolla.

– Zejdź pod pokład, pani – rozkazał Hawkwood nie znoszącym sprzeciwu tonem. Posłuchała go bez słowa.

Marynarze zrefowali już kursy na dwóch tylnych żaglach, ale nadal szarpali się z łopoczącym fokiem, gdy nadszedł szkwał.

W cztery minuty zrobiło się ciemno. Z nieba lunął deszcz i zapanował półmrok, w którym zawodził wicher, a nad ich głowami biły pioruny. Sztorm uderzył w *Zajaca Morskiego* z prawego baksztagu i natychmiast zniósł go o cały rumb z kursu. Hawkwood pomagał dwóm sternikom walczyć z szarpiącym się szaleńczo kołem sterowym. Gęsty, ciepły deszcz spływał im po prawej stronie twarzy. Obserwowali uważnie skryty w szafce kompas i po straszliwych wysiłkach zdołali zawrócić żaglowiec o jeden rumb, a potem o dwa i trzy, aż wreszcie dziób skierował się na wschodnio-północny wschód i okręt pomknął z wiatrem.

Dopiero wtedy Hawkwood uniósł wzrok. Zobaczył, że fok wyrwał się z rąk ludziom na rei i łopocze swobodnie na wietrze. Ciężkie płótno siało spustoszenie wśród forsztagów, zrywając liny i łamiąc drzewca aż po bom foka. W końcu marynarzom udało się odciąć żagiel, który zerwał się do lotu niczym ogromny biały ptak i zniknął w skłębionym mroku przed nimi.

Przez kasztel dziobowy przelewała się masa wody. Gdy dziób się unosił, spływała po śródokręciu, zwalając ludzi z nóg i przedostając się do zejściówek, co znaczyło, że zatapiała kajuty na rufie. Hawkwood widział przed sobą szare, gniewne niebo. Potem rufa się unosiła, fale piętrzyły się nad dziobem niczym mroczne widma o spienionych grzbietach i zalewały go ponownie.

Arhuz wiązał sztormliny i mocował szalupy przy bomach.

– Tak trzymać, tak właśnie trzymać! – krzyknął Hawkwood do ucha starszego sternika.

Odpowiedź marynarza zagłuszył ryk wichru i fal, ale mężczyzna jednocześnie pokiwał głową. Kapitan przeszedł na śródokręcie, ostrożnie, jak człowiek schodzący z urwiska podczas wichury. Obły pokład znakomicie sobie radził z masą wody, ale przedarła się ona przez progi w zejściówkach i Hawkwood czuł, że jej dodatkowy ciężar usztywnił okręt, co z kolei powodowało, że dziób głębiej zapadał się w nadążające fale. Dzięki Bogu, że szebeka nie miała kwadratowej rufy, jak większość okrętów, na których dotąd żeglował. Dlatego fale, które rzucał na nich wicher, spływały po niej bez większych trudności. Hawkwood złapał się na tym, że podziwiał smukły żaglowiec i uroczy zapał, z jakim mknął po ogromnych falach.

– Dobrze płynie! – krzyknął Arhuzowi do ucha.

Merduk uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

– Tak jest, kapitanie, to zawsze był dobry żaglowiec.

– Trzeba wysłać ludzi do pomp i te płachty na lukach się poluzowały. Niech Chips zejdzie na pokład, żeby je przymocować.

– Tak jest, kapitanie.

Arhuz ruszył w stronę rufy, trzymając się świeżo rozciągniętych sztormlin.

Hawkwood uświadomił sobie, że pomaga im brak ciężkich dział burtowych. Ciężar kilkudziesięciu rarogów podnosił środek ciężkości okrętu, czyniąc go znacznie mniej stabilnym. Różnica była taka, jak między człowiekiem dźwigającym ciężki plecak a biegnącym bez obciążenia. Szebeka płynęła z wiatrem, napędzana tylko zrefowanym bezanem, ale mimo to rozwijała sporą prędkość. Być może nawet za dużą. Przed oczyma jego umysłu pojawiła się mapa, nadal leżąca na

stole pod pokładem. Zmierzali prosto na bezlitosne zachodnie wybrzeże Gabrionu. Nie znajdą tam bezpiecznej przystani w promieniu wielu mil w obie strony. Przylądki tego wybrzeża sterczały w morze niczym okrutne bastiony fortecy. Muszą zawrócić, jeśli nie chcą, żeby fale cisnęły okręt na brzeg, rozbijając go w drzazgi. Hawkwood zamknął oczy. Wokół jego kolan płynęła woda. Bezpieczniej będzie wybrać kurs północny. Kiedy już ominą wielki skalisty półwysep znany jako Kłopot, znajdą na płaskich, północnych brzegach Gabrionu mnóstwo kotwicowisk. To jednak oznaczałoby rezygnację z południowej trasy. Byliby zmuszeni przepłynąć przez Cieśniny Malacarskie, czego ze wszystkich sił starał się uniknąć.

Otworzył oczy i ponownie wpatrzył się w zachmurzone niebo. Podobne szkwały zdarzały się na Morzu Hebrionskim rzadko, ale bynajmniej nie były nieznane. Z reguły kończyły się szybko. Krótka, chaotyczna nawałnica była najgroźniejsza w ciągu kilku pierwszych minut. Teraz jednak horyzont przesłaniały ze wszystkich stron chmury, a słońce zniknęło. Ten szkwał potrwa co najmniej dzień albo dwa. Południowa trasa byłaby zbyt niebezpieczna. Hawkwood zaklął w duchu. Będą musieli skręcić na północ, gdy tylko stanie się to możliwe.

Zamrugał, by oczyścić oczy z deszczu. Przez chwilę wydawało mu się...

I nagle poczuł pewność. Rzeczywiście widział coś na tle ciemnych chmur – cień albo grupę cieni mknących z wiatrem. Żyły wypełnił mu chłód. Wyteżał wzrok, ale nie zauważył już nic poza rozpędzonymi obłokami, błyskawicami oraz srebrną, migotliwą zasłoną deszczu.

* * *

Kajutę Hawkwooda zalała głęboka na co najmniej stopę woda, która przelewała się w rytm ruchów okrętu. Osłonięta kapturkiem lampa zawieszona na kardanach nadal paliła się słabo. Zwiększył jej płomień, żeby mieć więcej światła, a potem pochylił się nad mapą i wziął cyrkiel. Nawigacja obliczeniowa ze skalistym brzegiem po zawietrznej w chwili, gdy szkwał znosi ku niemu statek z szaleńczą prędkością. Koszmar każdego marynarza. Otarł oczy ze słonej wody i skupił się z wysiłkiem woli, starając się ocenić prędkość żaglowca oraz jego kurs. Rezultaty obliczeń sprawiły, że zagwizdał bezdźwięcznie i rzucił cyrkiel na mapę z czymś przypominającym gniew. Ten szkwał nie miał w sobie nic naturalnego, Hawkwood był już tego pewien. Pojawił się znikąd akurat w odpowiednim momencie, by rozbić ich okręt o skały Gabrionu. Nie uspokoi się, dopóki nie spełni zadania.

– Skurwysyny.

Wziął butelkę brandy i pociągnął spory łyk, czując, jak dobry trunek rozgrzewa mu wnętrzności. Zastanawiał się, czy szebeka wytrzyma zmianę kursu na północny. W takim przypadku miałyby wiatr z lewej burty, grożący wywróceniem statku do góry dnem. Decyzję trzeba będzie podjąć wkrótce. Z każdą minutą zbliżali się do śmiertelniegroźnego brzegu.

Ktoś zapukał do drzwi kajuty, które otworzyły się nagle, przesuając się w obie strony pod naciskiem pluskającej w przejściu wody. Hawkwood nie odwrócił się. Nie był zaskoczony, gdy usłyszał lekko zachrypnięty głos Isolli.

– Kapitanie, czy mogę z tobą porozmawiać?

– Ależ oczywiście.

Znowu pociągnął łyk z butelki, jakby mógł w niej znaleźć inspirację.

– Jak sądzisz, długo jeszcze potrwa ten sztorm? Marynarze sprawiają wrażenie bardzo zaniepokojonych.

– Nie wątpię w to, pani – odparł z uśmiechem Hawkwood.

Pokład przechylił się gwałtownie i Isolla poleciała na ościeżnicę. Kapitan podtrzymał ją jedną ręką. Płaszcz miała zimny i mokry. Przemokła tak samo jak on.

– Jestem przekonany, że Himerianie nas znaleźli – poinformował ją po chwili. – To oni wyczarowali ten szkwał. Nie jest wystarczająco gwałtowny, żeby zagrozić okrętowi, przynajmniej na razie, ale znosi nas tam, gdzie nie chcemy popłynąć. – Wskazał na pomarszczoną od wilgoci mapę. – Jeśli nie uda mi się szybko zmienić kursu, władujemy się prosto na skały Gabrionu. Bardzo precyzyjnie wybrali moment rzucenia czaru.

– Jak mogą rzucić zakłęcie z tak wielkiej odległości? – zapytała ze zdumioną miną Isolla. – Hebrion został setki mil za nami.

– Wiem o tym. Gdzieś za zasłoną sztormu musi być drugi żaglowiec. Władcy pogody mogą podtrzymywać tylko jedno zakłęcie jednocześnie. Przypuszczam, że użyli czarów, by zwiększyć prędkość swojego okrętu i zbliżyć się do nas na wystarczającą odległość, a potem zmienili zakłęcie i przywołali ten sztorm, który ma nas zanieść ku zagładzie.

– A czy im się uda?

– Nawet nadnaturalny sztorm można przetrzymać, tak samo jak każdy inny, jeżeli ma się dobrą załogę i odrobinę szczęścia. Jeszcze nas nie pokonali! – Uśmiechnął się. Możliwe, że był to wpływ brandy albo burzy, ale czuł, że może sobie pozwolić na wiele. – Cała przemokłaś. Powinnaś unikać wody. Jeśli nie ma innego wyjścia, wejdz na koję i przykryj się kocem.

Wzruszyła ramionami, uśmiechając ironicznie.

– Woda wlewa się do środka przez drzwi i skapuje z sufitu. Chyba nigdzie na okręcie nie znajduje suchego miejsca.

Pod wpływem nagłego impulsu Hawkwood pochylił się ku niej i pocałował ją w zimne usta.

Zdumiona Isolla odsunęła się raptownie i uniosła rękę do twarzy.

– Zapominasz się, kapitanie. Pamiętaj, kim jestem.

– Nigdy o tym nie zapomniałem – rzucił rozgorączkowany Hawkwood. – Pamiętam o tym od tego dnia na trakcie, przed tylu laty, kiedy twój koń zgubił podkowę i poczęstowałaś mnie winem w wieży Golophina.

– Jestem królową Hebrionu!

– Utraciłaś Hebrion, Isollo, a za dzień czy dwa wszyscy możemy zginąć.

Ponownie wyciągnął ku niej rękę, ale znowu się odsunęła. Osaczył ją przy drzwiach, opierając dłonie na grodziach po obu jej stronach. W jednej pięści nadal ścisnął butelkę. Okręt kołysał się w przód i w tył oraz na boki, skrzypiąc przy tym głośno, wokół ich nóg przepływała zimna woda, a wiatr zawodził nad pokładem jak żywy stwór, pełen rozumnej złośliwości. Hawkwood pochylił głowę i pocałował Isollę raz jeszcze, pozwalając, by szalejący wichur odarł go z wszelkiej ostrożności. Tym razem nie odsunęła się, ale czuł się tak, jakby całował marmurowy posąg, kamień smakujący solą.

Wsparł z jękiem czoło na jej mokrym ramieniu.

– Przepraszam.

Chwila, gdy wszystko było możliwe, zniknęła jak miraż, którym była, wypaliła się razem z oparami brandy wypełniającymi mu głowę.

– Wybacz, pani.

Chciał już ją puścić, gdy nagle uniosła rękę i objęła jego twarz. Badali się wzrokiem. Hawkwood nie potrafił nic wyczytać z jej oczu.

– Wybaczam ci, kapitanie – powiedziała, a potem wtuliła twarz w jego szyję. Poczuł, że Isolla drży. Zaczął całować jej mokre włosy, zdumiony i jednocześnie uradowany. Wtuliła się weń przez jakieś pół minuty, a potem wyprostowała się i wyszła, nie patrząc na niego ani się nie odzywając. Hawkwood słyszał, jak rozpryskuje wodę, zmierzając do swojej kajuty. Stał nieruchomo, jak

człowiek skamieniały ze zdumienia.

* * *

Gdy wreszcie wrócił do biurka, czuł się dziwnie obojętny, jakby ocalenie okrętu nie było już ważne. Za kołem sterowym stało teraz czterech ludzi, a reszta załogi kuliła się na półpokładzie pod sterem, osłonięta przed wiatrem. Hawkwood poszedł tam i sprawdził kurs na różę kompasowej. Mknęli w kierunku wschodnio-północny wschód z prędkością, jeśli się nie mylił, co najmniej dziewięciu węzłów. Nim zaczął się szkwał, od wybrzeży Gabrionu dzieliło ich może ze sto pięćdziesiąt mil. Przy obecnej prędkości wpadną na brzeg za około szesnastu godzin. Nie mieli czasu do stracenia. Hawkwood podjął decyzję, stanął przy sterze, chwytając za sztormlinę, i krzyknął do sterników:

– Dwa rumby w lewo. Kurs północno-północny wschód, chłopaki. Arhuz!

– Kapitanie?

Pierwszy oficer wyglądał jak czarna, mokra foka.

– Chcę, żebyście rzucili dryfkotwę z rufy na jednocalowej linii. Długość pięćset sążni.

Wykorzystajcie jeden z bramsli. To powinno zahamować dryf.

Arhuz nie odpowiedział. Skinął głową z ponurą miną i opuścił pokład rufówki, zabierając ze sobą grupę marynarzy.

Klamka zapadła. Spróbują ominąć Kłopot i dotrzeć do północnego wybrzeża Gabrionu. Jeśli po wydostaniu się ze sztormu napotkają w końcu południowe wiatry, będą mogli swobodnie manewrować na otwartym Morzu Hebrionów, zamiast przesuwając się tuż przy południowym brzegu wyspy. Z drugiej strony jednak będą musieli zaryzykować przepłynięcie przez cieśniny. Nie można było nic na to poradzić.

O ile zdołamy dotrzeć tak daleko, pomyślał Hawkwood. Wciąż wspominał uścisk ramion Isolli, słony smak jej warg, biernie poddających się pocałunkowi. Nie potrafił zrozumieć, co to mogło znaczyć. Żałował, że z pewnością poczuła w jego ustach smak brandy.

Okręt zmienił kurs. Wiatr nie dał już Hawkwoodowi w potylicę, ale w lewe ucho. Szebeka kołysała się teraz nie tylko w przód i w tył, lecz również na boki. Z tego powodu nabierała jeszcze więcej wody, a nacisk na płetwę sterową był tak wielki, że wyrwał koło sterowe z rąk sterników. Przyczepili do niego liny od talii sterowych, żeby ułatwić sobie zadanie, ale Hawkwood niemal wyczuwał, jak zsuwają się one z bębna na dole.

– Tak trzymać! – zawołał do sterników. Bezpieczny obszar morza był mały i musieli dokładnie pilnować kursu.

Na pokład wszedł Bleyn, odziany w za dużą kurtkę z impregnowanego materiału.

– W czym mogę pomóc?! – zawołał przenikliwym głosem.

– Zejdź pod pokład. Pomóż ludziom przy jednej z pomp.

Skinął głową, uśmiechając się jak szalenciec, i znowu zniknął. Z pomp tryskały na zawietrzną spore fontanny wody, ale *Zajac Morski* wciąż nabierał jej więcej niż powinien. Nagle pojawił się okrętowy cieśla, jakby wyczarowany niepokojem Hawkwooda.

– Pieto! – przywitał go kapitan. – Jak się trzymamy?

– Mamy w ładowni trzy stopy wody, kapitanie, i jej poziom rośnie. *Zajac* zawsze był suchym okrętem, ale przy tym kursie spojenia puszczają. Czy nie możemy znowu popłynąć z wiatrem?

– Nie możemy, chyba że chcesz się rozbić na gabrionowskich skałach. Pompujcie dalej, Pieto, i uważajcie na łańcuch w kluzie kotwicznej. Musimy przetrzymać ten sztorm.

Cieśla potarł czoło kostkami dłoni i zszedł pod pokład z niezadowoloną, zalęknioną miną.

Hawkwood zorientował się, że pokochał swój dzielny żaglowiec. *Zajac Morski* śmiało wspinał

się na potężne fale – woda przelewała się teraz również przez lewą burłę – a jego ostry dziób trzymał się kursu, mimo że sztorm gwałtownie szarpał płetwą sterową. Był równie uparty i nieustępliwy jak jego kapitan.

To właśnie było życie, to był jego smak. Bładło przy tym wszystko, co mógł znaleźć na dnie butelki. Po to właśnie się urodził.

Hawkwood nie opuszczał pozycji po nawietrznej stronie pokładu rufówki. Czuł, jak bryzgi smagają go w twarz, a jego dzielny żaglowiec skacze dziarsko po falach, i śmiał się w głos z czarnych chmur, ulewy i złośliwej furii sztormu.

CZTERNAŚCIE

Corfe zarządził, że pogrzeb ma być równie wspaniały jak wszelkie pogrzeby monarchów. Królową Odelię złożono na spoczynek z żałobną pompą, jakiej nie widziano w Torunnie od czasu śmierci króla Lofantyra przed blisko siedemnastu laty. Sieroty Formia ustawiły się w szeregach na ulicach, trzymając uniesione piki. Oddział pięciu tysięcy Katedralników towarzyszył karawanowi w drodze do katedry, gdzie królową Torunni miano pochować w wielkiej krypcie rodzinnej Fantyrów. Pogrzebową orację odśpiewał sam wielki pontyfik Albrec. Słuchali go tłoczący się na ławach moiżni królestwa, odziani w piękne stroje w żałobnych barwach. Odelia była ostatnią więzią łączącą ich z dawną Torunną, z innym światem. Wielu obecnych zerkało dyskretnie na upstrzoną siwizną głowę króla, zastanawiając się, czy pogłoski o jego bliskim ślubie są prawdziwe. Wszyscy wiedzieli, że królowa pragnęła, by jej mąż ożenił się, nim jeszcze jej zwłoki ostygną. Kogo jednak miał poślubić? Jaką kobietę wybierze, by zasiadła na tronie Odelii w chwili, gdy toczą otwartą wojnę z całą potęgą Drugiego Imperium, Hebrion już upadł, a Astarac się chwieje? Powaga, z jaką zgromadzeni żegnali królową, nie była udawana. Wiedzieli, że Torunna zbliża się do jednego z najbardziej krytycznych punktów w całej swej historii, być może nawet bardziej niebezpiecznego od wojen merduckich. Krążyły też pogłoski, że już zaatakowano Gaderion i generał Aras z najwyższym trudem broni przejścia przez Przesmyk Torrinu. Co robi Corfe? Już od wielu dni tysiące rekrutów zbierały się w stolicy, gdzie poddawano ich wstępniemu szkoleniu. Torunn przerodził się w fortecę, punkt zborny dla armii. Dokąd jednak miała ona pomaszerować? Nie wiedział tego nikt poza Naczelnym Dowództwem, a jego członkowie milczeli jak spowiednicy.

Gdy pogrzeb dobiegł końca, a ciało Odelii złożono w królewskiej krypcie, żałobnicy opuścili szeregiem katedrę. Zostało w niej tylko dwóch ludzi siedzących w pierwszej ławie – król i generał Formio – oraz stojący w cieniu osobisty strażnik Corfe’a, Felorin. Po krótkiej rozmowie Formio również wyszedł. Na pożegnanie położył dłoń na karku króla i potrząsnął nim delikatnie. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie. Potem Corfe znowu pochylił głowę ozdobioną diademem, który ongiś należał do Kaile’a Ormanna. Po chwili król wstał i zapukał do drzwi katedralnej zakrystii. Felorin podążył za nim jak cień.

– Proszę – rozległ się głuchy głos i król popchnął masywne, okute żelazem wrota. Pontyfikowi Albrecowi towarzyszyło dwóch inicjantów, którzy właśnie zdejmowali zeń ceremonialne szaty. Za nim widniały półki zastawione kielichami oraz relikwiarzami, a także liczne wieszaki obciążone zdobnymi szatami, jakie pontyfik musiał przywdziewać na podobne okazje.

– Zostawcie nas, bracia – rzucił krótko Albrec.

Inicjanci pokłonili się nisko królowi i pontyfikowi, a potem wyszli przez małe boczne drzwi.

– Corfe, czy mógłbyś mi z tym pomóc? – zapytał Albrec, ciągnąc za bogato haftowany ornat.

– Felorinie – odezwał się król. – Zaczekaj pod drzwiami i dopilnuj, żeby nikt nie wchodził do środka.

Wytatuowany żołnierz skinął bez słowa głową i z głuchym łoskotem zatrzaskał za sobą wielkie drzwi zakrystii.

Corfe pomógł Albrecowi wyplątać się z ceremonialnego stroju, który następnie zawiesił na wieszaku. Niski duchowny wciągnął przez głowę czarny inicjancki habit, ucałował, dysząc lekko, symbol Świętego i zawiesił go sobie na szyi. Jego oddech przedostawał się z głośnym świstem przez bliźniacze otwory po nosie.

Na małym kominku, kunsztownie wykutym z jednego bloku cymbryckiego bazaltu, palił się ogień. Stanęli przed nim, żeby ogrzać dłonie, jak dwaj ludzie, którzy właśnie skończyli pracę na zimnie. To Albrec przerwał milczenie.

– Czy nadal zamierzasz to zrobić?

– Tak. Ona by tego chciała. W gruncie rzeczy, to było jej ostatnie życzenie. Miała rację.

Królestwo tego potrzebuje. Dziewczyna wyruszyła już w drogę.

– Królestwo tego potrzebuje – powtórzył Albrec. – A co z tobą, Corfe?

– Co ze mną? Królowie mają nie tylko przywileje, lecz również obowiązki. Trzeba to zrobić, i to szybko, zanim wyruszę na wojnę.

– A co z Herią? Czy słyszałeś coś o tym, jak to przyjęła?

Corfe wzdrygnął się, jak uderzony.

– Nic nie słyszałem. – Stał, pocierając dłonie przed ogniem, jakby je mył. – Minęło osiemnaście lat, odkąd ostatnio widziałem jej twarz, Albrecu. Radość, którą dzieliliśmy ze sobą przed laty, jest teraz dla mnie jak sen. – Głos Corfe'a stał się nagle twardszy, a jego twarz znieruchomiała.

Wyglądała w blasku płomieni, jak wykuta z bazaltu. – Nikt nie może żyć wspomnieniami, a zwłaszcza król.

– Na świecie są też inne kobiety, inne sojusze, które można zawrzeć – zauważył łagodnym tonem Albrec.

– Nie. Kraj potrzebuje tego sojuszu. Albrecu, jestem przekonany, że pewnego dnia Torunna i Ostrabar połączą się w zjednoczone królestwo, a wojna, którą ze sobą toczyliśmy, stanie się jedynie wspomnieniem. Ta szansa jest warta każdego poświęcenia, każdego bólu.

Pontyfik pochylił głowę, nie spuszczając spojrzenia z udręczonej twarzy Corfe'a. A co będzie z tobą, przyjacielu? – pomyślał.

– Golophin przynosi między nami wiadomości przy pomocy swego sokoła. Aurungzeb wie już o śmierci Odelii. Zgodziliśmy się na małą, cichą uroczystość, gdy tylko dziewczyna tu przybędzie. Nie będzie państwowego święta ani wielkiego widowiska, nie tak szybko po... po tym, co wydarzyło się dzisiaj. Zawiadomi się ludzi i będę mógł wyruszyć na wojnę bez dalszej zwłoki. Chcę, żebyś to ty udzielił nam ślubu, Albrecu. – Corfe machnął ręką. – Tutaj, z dala od gapiów.

– W zakrystii?

– To równie dobre miejsce jak każde inne.

Albrec potarł z westchnieniem kikuty pozostałe po palcach, które zabrał mu mróz.

– Jak sobie życzysz. Ale muszę ci coś powiedzieć, Corfe. Przestań karać sam siebie za to, co przyniósł ci los. To nie twoja wina i nie masz też czego się wstydić. Co się stało, to się nie odstanie.

Wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu Corfe'a.

– Tak, oczywiście – odparł z uśmiechem król Torunny. – Mówisz zupełnie jak Odelia. – Wydał z siebie zduszony dźwięk, który miał być śmiechem. – Na krew Boga, Albrecu, brakuje mi jej. Była jednym z nielicznych prawdziwych przyjaciół, jakich miałem w życiu, na równi z Andruwem, Formiem i innymi, którzy już dawno nie żyją. Była dla mnie jak prawa ręka. Gdyby urodziła się mężczyzną, byłaby wspomniałym królem. – Potarł oko otwartą dłonią. – Może trzeba było jej powiedzieć. Może wtedy nie nalegałaby na to tak mocno.

– Odelia? Nie, i tak by tego chciała, ale dręczyłaby się tym, tak samo jak ty. Lepiej, że nie wiedziała, kim jest dla ciebie królowa Ostrabaru.

– Królowa Ostrabaru... zastanawiam się czasami, nawet po tylu latach, jak to dla niej wyglądało, jaki koszmar musiała przeżyć, gdy ja uciekałem z Aekiru z podkulonym ogonem.

– Dość już tego – oznajmił stanowczo Albrec. – Powtarzam: co się stało, to się nie odstanie. Nie zdołasz zmienić przeszłości. Możesz tylko dołożyć starań, żeby przyszłość była lepsza.

Corfe spojrział na niskiego duchownego i w jego przekrwionych, lśniących w blasku ognia oczach Albrec ujrzał coś, co wstrząsnęło nim do głębi. Potem król znowu się uśmiechnął.

– Masz oczywiście rację – przyznał, starając się, by jego głos zabrzmiał lekko. – Czy wiesz, że Mirren będzie miała macochę młodszą od siebie? Mam nadzieję, że zostaną przyjaciółkami. – Słowo „nadzieja” dziwnie brzmiało w jego ustach. Corfe uściskał małego mnicha, jakby byli braćmi, a potem klęknął i ucałował pierścień pontyfikalny. – Muszę już iść, Wasza Świątobliwość. Król nie jest panem własnego czasu. Dziękuję za to, że poświęciłeś mi swój.

Odwrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom zakrystii. Felorin otworzył je przed nim i oddalili się obaj, władca i jego cień. Albrec skierował spojrzenie na jasny płomień na kominku i nie usłyszał, że jego dwaj inicjanczy pomocnicy wrócili do zakrystii i przystanęli z szacunkiem za jego plecami. Nadal był wstrząśnięty błyskiem, który dostrzegł w oczach Corfe’a. To był człowiek, który wiedział, że nie znajdzie spokoju za życia, i był zdecydowany poszukać go w śmierci.

* * *

Tylko nieliczni w kłębiących się obecnie w Torunnie tłumach zauważyli merducką karawanę, która dotarła do miasta kilka dni później. Składała się ona z około trzydziestu wozów, a w połowie długości kolumny zmierzała zasłonięta kotarami lektyka, kołysząca się na ramionach ośmiu muskularnych niewolników. Karawanie przydzielono eskortę czterdziestu konnych Katedralników. Wjechała do miasta przez Bramę Północną, gdzie wartownicy mieli się spodziewać jej przybycia. Merduccy posłowie i towarzyszące im świty były w owych dniach w Torunnie codziennym widokiem, nikt więc nie zwracał szczególnej uwagi na karawanę zmierzającą niespiesznie ku górującemu nad ujściem Torrinu wzgórz, na którym wznosił się granitowy, pełen splendoru pałac. Jego okna nadal osłaniał czarny kir na znak żałoby po zmarłej królowej Torunny.

Chorąży Baraz przebywał na pałacowym dziedzińcu w chwili, gdy ciężko wyładowane kryte wozy wtoczyły się z łoskotem przez bramę. Zaprzęgnięto je w wielbłądy o głowach ozdobionych czarnymi i białymi strusimi piórami. Na rozkaz chorążego straż honorowa zaprezentowała szable. Spoceni niewolnicy zatrzymali się z lektyką na plecach i grupka merduckich dziewcząt o twarzach ukrytych za jedwabnymi kwefami uniosła kotary, ukazując ledwie widoczną postać w środku. Następnie pomogły jej wysiąść przy użyciu trzech podnóżków. Szczupła dziewczyna stanęła niepewnie na dziedzińcu. Zimny wiosenny wiatr szarpał jej kwefem. Baraz podszedł do niej i pokłonił się nisko.

– Pani – powiedział po merducku – serdecznie witam cię w mieście Torunnie i królestwie Torunny.

Nie zdążył wygłosić dalszej części kwiecistej mowy powitalnej, którą przygotował ostatniej nocy, po tym, jak król poinformował go krótko o zleczonej mu misji, gdyż z grupy wyłoniła się tęga merducka matrona o czarnych oczach, widocznych nad zasłoną, która zapytała, kim Baraz jest i dlaczego król nie przyszedł osobiście powitać narzeczonej.

– Króla powstrzymały nieprzewidziane okoliczności – odparł gładko Baraz. – Przygotowania do wojny...

– Sibir Baraz! Znam cię! Służyłam w domu twojego stryja, zanim przeniesiono go do pałacu. Mój dzielny chłopcze, alez wyrosłeś! – Kobieta objęła go potężnymi ramionami i pociągnęła jego głowę, wtulając ją w swój falujący, mocno pachnący perfumami biust. – Nie poznajesz Haratty, która wycierała ci nos, kiedy ledwie potrafiłeś powiedzieć, jak masz na imię?

Baraz z trudem wyplątał się z jej miękkiego uścisku. Ludzie ze straży honorowej stojący za jego plecami zaczęli nagle pokasływać, a w oczach szczupłej dziewczyny, która wysiadła z lektyki, pojawił się roztańczony błysk.

– Pewnie, że cię pamiętam. A teraz, pani – dodał, zwracając się do dziewczyny – poinstruowano mnie, żebym odprowadził ciebie i twoją świtę do waszych pokojów, a także upewnił się, że będziesz

tam miała wszystko, czego ci trzeba.

Haratta odwróciła się i zaklaskała w dłonie, a potem zupełnie innym tonem, twardym i wrzaskliwym, zaczęła wydawać rozkazy służkom, niewolnikom oraz wozakom. Gdy już zdołała zamienić majestatyczny spokój karawany w chaotyczny wir aktywności, odwróciła się do Baraza i uszczypnęła go w zaczerwieniony policzek.

– Ależ z ciebie przystojny młodzieniec. Z pewnością też jesteś w łaskach u króla Corfe’a. Prowadź, panie Baraz! Pani Aria i ja z pewnością pójdziemy za tobą wszędzie.

Mrugnęła doń z jowialną lubieżnością, a gdy się zawahał, popędziła go, jakby był kurczakiem stojącym jej na drodze.

Procesja miała lekko cyrkowy wygląd. Baraz szedł przodem. Obok niego podążała Haratta, której usta nie zamykały się ani na chwilę. Dalej stąpała Aria ze swoimi dziewczętami, a za nimi dziwny, przypominający krokodyla korowód muskularnych, spoconych mężczyzn, dźwigających kufry, skrzynki, zwinięte dywany, wypchane worki, a nawet słowika w klatce. Jednakże żałobne flagi łopoczące na murach pałacu wkrótce pohamowały nawet gadatliwość Haratty i na miejsce dotarła cicha, lekko przybita grupa.

Pałacowy zarządca, stary, biegły kwatermistrz nazwiskiem Cullan, czekał na nich w towarzystwie obleczonych w czerń dworaków. Merduckich gości ulokowano w ciągu wielkich jak jaskinie sal o marmurowych posadzkach. Tradycyjnie były one zarezerwowane dla przybywających z oficjalną wizytą potentatów, ale od czterdziestu lat, od czasów króla Minantyra, nie korzystano z nich zbyt często. Nawet pałace się we wszystkich kątach piecyki koksowe tylko w niewielkim stopniu rozpraszały zrodzony z zaniedbania chłód. Haratta obrzuciła krytycznym spojrzeniem przydzieloną im komnatę, ale do Cullena i jego podwładnych odnosiła się uprzejmie, a nawet z szacunkiem. Merduccy niewolnicy ustawili w każdej z sal mały pagórek bagaży, po czym zaprowadzono ich do pokoi nad kuchniami. Z pewnością były one cieplejsze i mniej wietrzne od przestronnych, pustych komnat przydzielonych wyżej postawionym gościom.

Baraz odwrócił się, chcąc odejść, ale Aria położyła mu dłoń na ramieniu.

– Kiedy zobaczę się z królem, chorąży Baraz?

– Nie wiem, pani. Rozkazano mi dopilnować twego zakwaterowania, a potem zameldować się u niego, to wszystko.

Odsunęła się i skinęła głową. Jej oczy były niewiarygodnie młode i pełne strachu, co było widoczne pomimo silnego makijażu. Baraz uśmiechnął się do niej.

– To dobry człowiek – zapewnił miłym głosem. Potem wziął się w garść i zasalutował. – Zakwaterujemy też w tym skrzydle parę pałacowych służek, żebyś miała wszystko, czego ci będzie potrzeba. Powodzenia, pani – pożegnał się i wyszedł.

Świta Arii poświęciła resztę dnia na przerobienie zimnych komnat na coś bardziej odpowiedniego dla merduckiej księżniczki. Gdy nadszedł wieczór, a wraz z nim zimna wiosenna burza znad Gór Cymbryckich, zdążyli już upodobnić zimną salę do luksusowych pomieszczeń mieszkalnych, do jakich byli przyzwyczajeni. Rozłożono bogate, kolorowe dywany, które pokryły nagi marmur, na ścianach zawieszono gobeliny, rozblęśły mosiężne i srebrne lampy, zapalono kadzidło, a zamknięty w złotej klatce słowik śpiewał co sił w małym szarym gardziołku.

Aria i Haratta przebywały w sypialni, zajęte wypakowywaniem jedwabnych sukni oraz szali z jednego z większych kufrów. Haratta rozwodziła się drobiazgowo nad zaletami i wadami każdego ze strojów, gdy jedna ze służek o sarnich oczach wbiegła z szelestem sukni do pokoju i padła przed nimi na kolana.

– Pani, pani! Przyszedł król Torunny.

– Co takiego? – warknęła Haratta. – Bez zapowiedzenia? Z pewnością się mylisz.

– Nie! To on. Jest sam, towarzyszy mu tylko wytatuowany żołnierz, który czeka w korytarzu. Król chce pomówić z księżniczką!

Haratta cisnęła na podłogę kosztowny jedwabny strój, któremu właśnie się przyglądała.

– Barbarzyńcy! Odeślij go! Nie, nie możemy tego zrobić. Moja słodziutka, musisz go przyjąć. W końcu jest królem, chociaż teraz wierzę w te opowieści o jego chłopskim pochodzeniu. To niesłychane, żeby tak nas zaskoczył, nie zapowiadając się przedtem. Zasłoń twarz, dziewczyno. Porozmawiam z nim i powiem mu coś do słuchu.

Haratta wstała, zasłoniła kwefem wydęte w grymasie nadąsania wargi i wyszła z komnaty, zamiatając błyszczącym strojem.

W głównym przedpokoju stał mężczyzna w średnim wieku, grzejący dłonie nad węglem drzewnym płonącym w piecyku. Był ubrany na czarno, a ciasna bluza opinała tors szczupły jak u młodzieńca. Gdy jednak się odwrócił, Haratta zauważyła, że jego włosy są w trzech czwartych siwe, a oczy zapadnięte. Mimo to błyszczały jasno w świetle lamp. Na skroniach miał prosty srebrny diadem, a poza tym nie nosił żadnych ozdób. Mógł sobie być królem, lecz Haratta i tak zamierzała go za podobną beczelność zbesztać uprzejmie, ale zimno. Powstrzymało ją jednak coś, co zobaczyła w jego oczach. Dygnęła na ramusiański sposób.

– Mówisz po normańsku? – zapytał.

– Trochę, mój panie. Nie tak dużo.

– Haratta się nazywasz, jak słyszałem.

– Tak, panie.

– Jestem Corfe. Przyszedłem pomówić z panią Arią. Przepraszam, że nie byłem obecny przy waszym przybyciu, ale zatrzymały mnie sprawy państwowe.

Przerwał. Gdy wyczytał w jej twarzy niezrozumienie i niepokój, jego spojrzenie złagodniało.

– Chcę tylko porozmawiać chwilę z twoją panią – wyjaśnił po merducku. – Zaczekam, jeśli to konieczne.

Kobieta wyraźnie się uspokoiła.

– Poproszę, żeby zaraz przyszła.

W spojrzeniu tego mężczyzny było coś, co już przy pierwszym spotkaniu skłaniało ludzi do posłuszeństwa.

* * *

Gdy po kilku chwilach Aria weszła do środka, spowijały ją całe jardy czarnego jak noc jedwabiu, najlepszego jaki miała. Powieki zabarwiła sobie kohlem, a rzęsy w kącikach oczu podkreśliła czarnym antymonem. Haratta weszła za nią i zajęła miejsce w mrocznym kącie, przyglądając się, jak jej pani podchodzi powoli do swego przyszłego męża. Był od niej znacznie starszy, mógł być jej ojcem.

Król Torunny pokłonił się nisko, a ona pochyliła głowę. Nie wyglądał tak staro, jak się obawiała. Właściwie miał posturę znacznie młodszego mężczyzny. Nie był też szpetny i jej pierwsze, nedorzeczne, dziewczęce obawy rozproszyły się. Nie będzie musiała dzielić łoża z łysym, brzuchatym libertynem.

Wymieniali pozbawione znaczenia uprzejmości, przyglądając się z uwagą sobie nawzajem. Mówił po merducku niezłe, ale nie biegle, jakby niedawno uczył się tego języka w pośpiechu. Na jej prośbę przeszli na normański, gdyż dzięki matce był on dla niej drugim językiem ojczystym. Jego twarz miała surowy wyraz, ale gdy Arii udało się wywołać na niej uśmiech, ujrzała pod maską królewskiej powagi kogoś innego, znacznie młodszego mężczyznę. Polubiła jego posępną aurę i

nagły, niespodziewany uśmiech, który ją rozproszył. Ich oczy miały prawie taki sam kolor.

Zapytał o jej matkę i odwrócił się, żeby poruszyć węgielki pogrzebaczem. Aria zapewniła lekkim tonem, że matka czuje się bardzo dobrze i przesyła pozdrowienia przysłanemu zięciowi. To ostatnie wymyśliła, to miała być tylko pusta uprzejmość, nic więcej, ale gdy wypowiedziała te słowa, pogrzebacz znieruchomiał, zawisł nad rozżarzoną, czerwonym sercem węgli. Król milczał i Aria zastanawiała się, czym go obrażała. Po chwili odwrócił się do niej i zobaczyła potłśniący na czole mężczyzny. Wydawało się, że jego oczy zapadły się jeszcze głębiej w czaszkę. Nie błyszczały już w świetle ognia.

– Czy mogę zobaczyć twoją twarz? – zapytał.

To ją zaskoczyło. Nie miała pojęcia, jak zareagować na tak śmiałą prośbę. Zerknęła na ukrytą w cieniu Harattę i omal nie zawołała jej na pomoc, ale się powstrzymała. Czemu by nie? W końcu miał się z nią ożenić. Odsunęła kwef i bez słowa zdjęła jedwabny kaptur.

Usłyszała, że Haratta wciągnęła powietrze z oburzenia, ale patrzyła tylko na twarz króla, która natychmiast straciła cały kolor. Corfe robił wrażenie wstrząśniętego, jednak szybko wziął się w garść. Uniósł dłoń, jakby chciał pogłaskać Arię po policzku, ale zaraz ją opuścił, nie dotykając dziewczyny.

– Wyglądasz jak wykapana matka – oznajmił ochryplym głosem.

– Tak mi zawsze mówiono, panie.

Ich spojrzenia się spotkały i było w nich coś nieokreślonego. Żył w nim jakiś potężny, nienasycony głód, pełna żalu tęsknota, która dotknęła ją do żywego. Aria ujęła jego stwardniałe palce i poczuła, jak zadrżał pod tym dotykiem.

Podeszła do nich Haratta.

– Mości królu, nie można się tak zachowywać. Jestem tu jako przyzwoitka księżniczki i mówię ci, że posunąłeś się za daleko. Ario, co ty wyprawiasz? Zasłoń się, dziewczyno. Mężczyzna nie ogląda twarzy żony przed nocą poślubną. Co za wstyd!

Corfe ani na chwilę nie odrywał spojrzenia od Arii.

– Tu, w Torunnie, mamy inne zwyczaje – odparł cicho. – A poza tym rano mamy wziąć ślub.

Aria poczuła, że jej serce zabiło gwałtownie.

– Tak szybko? Ale...

– Porozumiałem się w tej sprawie z twoim ojcem i wyraził na to zgodę. Posag przybędzie razem z twoim bratem Nasirem i posiłkami, które przyprowadzi.

Haratta zakrztusiła się. Otarła chusteczką oczy.

– Och, moja nieszczęsna dziewczynka, moje biedactwo. Czy się jej wstydzisz, panie, że śpieszysz się z tą sprawą, jak... jak złodziej zakradający się w nocy?

Zimne spojrzenie Corfe'a natychmiast ją uciszyło.

– Toczmy wojnę, kobieto, a to królestwo pochowało dziś rano swą królową. Moją żonę. Wszyscy wolelibyśmy, żeby to się odbyło inaczej, ale warunki dyktują nam, co mamy robić. Już niedługo będę musiał wyruszyć na wojnę. Wybacz mi, Ario. Nie chciałem cię urazić. Twój ojciec zgadza się ze mną w tej sprawie.

Pochyliła głowę.

– Rozumiem.

Nadal trzymała jego palce. Poczuła, że zacisnął je nagle. Potem puścił jej dłoń.

– Rankiem będzie na ciebie czekał kryty powóz, który zawiezie cię do katedry, gdzie weźmiemy ślub. Możesz zabrać ze sobą Harattę i jeszcze jedną służącą, ale na tym koniec. Są pytania? – zakończył, jakby wydawał rozkazy grupie żołnierzy. Jego głos stał się twardym, bezosobowym

głosem dowódcy.

Aria i Haratta pokręciły głowami.

– To bardzo dobrze. Do zobaczenia rano. – Uniósł dłoń Aarii do ust i ucałował jej kostki. Dotyk jego warg był suchy i lekki jak piórko. – Dobranoc, panie.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Aria zakryła twarz dłońmi, by stłumić łkanie.

* * *

Obudziły ją dzwony. Choć była późna wiosna, przed kilkoma dniami spadł śnieg, zapewne ostatni w tym roku, i zwykły dla Aurungabaru zgiełk oraz tumult stłumiła jego biała powłoka. Rankiem jednak huknęły dzwony we wszystkich ocalałych ramusiańskich kościołach w mieście, najgłośniejsze zaś były dźwięczne, żałobne tony odlanych z brązu tytanów Carcassona. Heria odrzuciła na bok liczne narzuty, nakryła ramiona pelisą, podbiegła do okna i odsunęła zdobne okiennice.

Pod wpływem zimna zaczerpnęła gwałtownie tchu. Biel oślepiła ją po panującym w komnacie półmroku. Słońce wciąż wspięło się po niebie i było jedynie szafranową plamą przeświecającą przez grube wstęgi szarych chmur. Czyżby bito na trwozę? Ludzie na ulicach nie okazywali jednak strachu. Wozy toczyły się na targowisko, omywane gęstymi obłokami oddechów wołów, a spowici w grube ubrania poganiacze ziewali. Nie sprawiali wrażenia przerażonych wieściami o wojnie, pożarze czy najeździe.

Zapukano do drzwi i do środka natychmiast weszły służące, przynosząc gorącą wodę, ręczniki oraz ubranie. Zamknęła okiennice i pozwoliła, żeby ją rozebrały. W ogóle nie zwracały uwagi na dzwony. Gdy już była naga, weszła do wielkiej, płaskodennej balii wypełnionej gorącą wodą i kobiety natarły ją wonnymi gąbkami, wyłowionymi z jasnych jak klejnoty głębin Levangore. Potem owinęły jej białe kończyny ciepłymi ręcznikami i Heria wyszła z balii, by obejrzeć ubrania, które przygotowały dla niej na dziś.

Sułtan wszedł do komnaty bez fanfar i ceremonii, zacierając upierścienione dłonie.

– Ach! Złapałem cię!

Służące padły na kolana, ale Heria stała nadal.

– Panie, właśnie dokonuję ablucji.

– Proszę, dokonuj sobie! – Aurungzeb uśmiechał się szeroko pod wielką czarną brodą. Usiadł na skrzypiącym krześle i poprawił szaty na wydatnym brzuchu. Zakrzywiony puginał, który nosił za szarfą, sterczał spod szat, jakby go nim przebito. – Z pewnością nie zobaczę nic, czego już przedtem nie widziałem. W końcu nadal jesteś moją żoną i ciągle masz świetną figurę. Opuść te ręczniki, Aharo. Nawet królowe nie zawsze muszą pamiętać o godności.

Wykonała polecenie i stanęła przed nim jak biały, nagi posąg. Służące skuliły się u jej stóp, a Aurungzeb popatrzył na nią z uznaniem. Ignorował gorejącą w oczach kobiety nienawiść albo jej nie dostrzegał.

– Wspaniała, wciąż wspaniała. Słyszysz dzwony? Pewnie, że słyszysz. Pomyślałem sobie, że to ja ci powiem. Związek, którego od tak dawna pragnęliśmy, lada chwila zostanie zawarty. Dziś rano nasza córka wychodzi za Corfe'a z Torunny. Nasze królestwa połączy nierozzerwalna więź. Mój wnuk będzie pewnego dnia władał Torunną. Ha, ha!

Twarcz Herii poczerwieniła.

– To nie miało się wydarzyć tak szybko. Mieliśmy być na ślubie. Obiecałeś, że poprowadzę ją do ołtarza. Ustaliliśmy to.

Aurungzeb machnął owłosioną dłonią.

– To się okazało niemożliwe. Ale cóż w końcu znaczy drobna uroczystość? Dopiero co

pochowali swoją królową. Corfe chciał cichego ślubu, bez pompy. Lada dzień ma wyruszyć na wojnę. Lepiej, żeby zostawił przedtem w Arii swe nasienie.

Heria wyrwała szlafrok z rąk jednej z zamarłych w bezruchu służących i owinęła się nim. Jej oczy płonęły, ale miały też nieobecny wyraz, jakby wpatrywały się w jakieś okrucieństwo widoczne tylko dla niej.

– Miałam przy tym być – powtórzyła szeptem. – Miałam ich zobaczyć. Miałam...

Aurungzeba ogarnęła irytacja.

– Tak, tak, wszyscy o tym wiemy. Sprawy wagi państwowej stanęły na przeszkodzie. Nie możemy mieć na tym świecie wszystkiego, czego pragniemy. – Dźwignął się z krzesła i podszedł do niej. – Zapomnij o tym. Stało się.

Uniosł podbródek Herii i spojrzał na jej twarz. Patrzyła przez niego na wskroś, jakby nie istniał. Zmarszczył brwi.

– Może i jesteś królową, ale jesteś też moją żoną i podporządkujesz się mojej woli. Wydaje ci się, że świat zatrzyma się dlatego, że ty tego pragniesz?

Puścił ją. Palce zostawiły czerwone ślady na jej policzku.

Spojrzenie Herii wróciło do komnaty. Po chwili uśmiechnęła się.

– Jak zwykle masz rację, mój sułtanie. Cóż mogę wiedzieć o sprawach państwowych? Jestem tylko kobietą.

Jej dłoń poszukała jego dłoni, uniosła ją i wsunęła pod luźny kołnierz szaty, by mogła się zamknąć na jednej z pełnych piersi. Na twarzy Aurungzeba zaszła nagła zmiana.

– Czasami trzeba mi przypominać, że jestem kobietą – oznajmiła Heria, unosząc brew.

Aurungzeb obliznął górną wargę, zwilżając śliną wąsy.

– Zostawcie nas – warknął do służących. – Królowa i ja chcemy porozmawiać na osobności.

Kobiety wstały z pochylonymi głowami i opuściły komnatę, szurając pantofelkami. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Aurungzeb uśmiechnął się szeroko. Wyciągnął rękę i szarpnął szatę Herii. Strój opadł aż do talii.

– Ach, nadal jesteś piękna – wyszeptał. – Moja słodka, zawsze wiedziałaś, jak...

Dłoń, którą Heria głaskała szarfę na okazałym brzuchu, zacisnęła się nagle na wykonanej z kości słoniowej rękojeści puginału. Wyciągnęła jednym ruchem broń.

– Ale ty nigdy nie wiedziałaś – rzekła i wbiła nóż głęboko w brzuch, obracając ostrze i przecinając ciało, tak że wnętrzności wypłynęły na wierzch razem ze strumieniem krwi. Aurungzeb opadł na kolana z westchnieniem zdumienia, nadaremnie starając się zamknąć otwór w swym ciele.

– Straże – chciał zawołać, ale to słowo wydostało się z jego ust jako stłumiony szept. Padł na bok w powiększającą się kałużę własnej krwi. Wybałuszył oczy, kopiąc nogami.

– Dlaczego...?

Jego królowa spojrzała nań z pogardą, nadal ściskając zakrwawiony nóż w małej dłoni.

– Jestem Heria Car-Gwion z miasta Aekiru, a moim prawdziwym mężem jest i zawsze był Corfe Cear-Inaf, dawniej oficer aekirskiego garnizonu, a obecnie król Torunny. – Wbiła spojrzenie w przerażoną twarz konającego Aurungzeba. – Zrozumiałeś?

Sułtan Ostrabaru wydał z siebie bulgoczący dźwięk. W jego pełnych grozy oczach zrodziła się jakaś straszliwa świadomość. Zdjął dłoń z rany i wyciągnął ją ku Herii na podobieństwo szponu. Odsunęła się, zostawiając w kałuży jego krwi ślady bosych stóp. Przyglądała się w milczeniu, jak ruchy mężczyzny słabną. Znowu spróbował krzyknąć, ale krew wypełniła mu usta i trysnęła na zewnątrz. Heria nakryła szatą jego wykrzywioną twarz i stanęła nad nim naga, przyglądając się, jak szarpie się bezsilnie pod tkaniną. W końcu znieruchomiał. Z jej oczu płynęły łzy, ale twarz miała

nieruchomą jak kariatyda.

Zamrugła. Wydawało się, że dopiero teraz zauważyła, że nadal trzyma nóż. Rękę miała czerwoną aż po łokieć. Ktoś pukał do drzwi, cicho, lecz natarczywie.

Rozejrzała się po komnacie, spoglądając na nią przez zasłonę łez. Uśmiechnęła się, a potem wbiła sobie ostry nóż głęboko w pierś.

PIĘTNAŚCIE

Królewska sypialnia robiła dość odpychające wrażenie. Wielkie łoże z baldachimem dominowało nad nią niczym forteca. Wyglądało na solidnie wykonane, z myślą raczej o obowiązkach niż przyjemnościach. Corfe sypiał w nim samotnie już od czternastu lat.

Stał przed kominkiem tak wielkim, że można by w nim upiec pół świni, grzejąc niepotrzebnie dłonie nad buzującymi wysoko płomieniami. To była ta sama komnata i miał na palcu ten sam pierścień, ale wkrótce jego łoże miała dzielić inna kobieta. Sięgnął po kielich z winem, połyskujący dyskretnie na wysokim nadprożu, i wychylił jednym łykiem połowę krwawoczerwonej zawartości. Nie poczuł smaku, zupełnie jakby pił wodę.

Ślub rzeczywiście był cichy. Obecni byli tylko Formio, Comillan i Haratta, jako świadkowie, a Albrec dzięki Bogu mówił krótko i rzeczowo. Aria zdjęła kwef i kaptur, gdyż była teraz Torunnanką, i pochyliła głowę, gdy pontyfik wkładał na jej krucze sploty delikatny filigran korony królowej.

Corfe potarł się z roztargnieniem po piersi. Od rana czuł tam ból, którego nie potrafił wytłumaczyć. Zaczął się podczas ślubu, był tępy i pulsujący.

– Proszę – powiedział, gdy rozległo się pukanie do drzwi, tak ciche, że ledwie je usłyszał.

Do komnaty wkroczył miniaturowy orszak. Otwierała go para merduckich dziewcząt niosących zapalone świece. Za nimi szła Aria. Czarne włosy miała rozpuszczone, a na ramiona zarzuciła ciemny płaszcz. Grupę zamykała Haratta, która również niosła świecę. Corfe przyglądał się z oszołomieniem, jak trzy kobiety otoczyły Arię kręgiem, jakby chciały ją osłaniać. Płaszcz opadł na podłogę obok łoża i król ujrzał tylko przelotnie w blasku świec białą postać, która schowała się pośpiesznie pod kołdrą. Haratta i dziewczyny odwróciły się. Służki wyszły, jak pogrążone w transie, nie zwracając uwagi na wosk skapujący na grzbiety ich dłoni. Haratta się jednak zatrzymała.

– Dostarczyłyśmy ją nietkniętą, panie, i spełniłyśmy swój obowiązek. Życzymy ci wiele radości. – Wyraz oczu kobiety zadawał kłam jej słowom. – Zaczekam pod drzwiami, na wypadek gdybyście czegoś potrzebowali.

– Nie ma mowy – warknął Corfe. – Masz natychmiast wrócić do swoich pokojów. Jasne?

Haratta pokłoniła się bez słowa i wyszła.

Gdy kobiety ze świecami opuściły komnatę, wydało mu się, że zrobiło się tu bardzo ciemno. Pomieszczenie oświetlał jedynie blask płonącego na kominku ognia. Corfe wypił resztę wina. Leżąca w wielkim łożu Aria sprawiała wrażenie porzuconej lalki. Ściągnął bluzę i przysiadł na łożu, żeby zdjąć buty. Nie wiedział, czy żałować, że wypił to wino, czy raczej tego, że nie wypił go więcej.

Cisnął buty na drugi koniec komnaty. Za nimi podążyły spodnie. Diadem Kaile'a Ormanna położył z większym szacunkiem na stojącym obok łoża niskim stoliku. Potarł twarz palcami, zastanawiając się nad absurdalnością tej sytuacji, nad kaprysem losu, który przywiódł jego i tę dziewczynę do tego samego łoża. Lepiej o tym nie myśleć.

Wsunął się pod kołdrę, czując się stary, zmęczony i podchmielony. Aria poderwała się nagle, gdy otarł się o nią. Była zimna.

– Chodź do mnie – powiedział. – Jesteś całkiem jak sopel.

Objął ją ramionami. Ogrzał się przy kominku, ale ona była zziębnięta i drżała. Wydawała mu się bardzo szczupła i krucha. Wsunął twarz w jej włosy i nagle wstrzymał oddech.

– Te perfumy? Skąd je masz?

– Dostałam na pożegnanie od matki.

Znieruchomiał. Mało brakowało, a wybuchnąłby śmiechem. W młodości kupował je swej młodej żonie. Najwyraźniej na aekirskich bazarach nadal je sprzedawano.

Odtoczył się od drżącej dziewczyny i wpatrzył w tańczące na wysokim suficie odbicia płomieni.

– Czy cię czymś uraziłam, panie? – zapytała.

– Jesteś teraz moją żoną, Ario. Mów mi: Corfe.

Przyciągnął ją do siebie. Ogrzała się już i leżała w jego objęciach, wtulając mu głowę w bark.

Kiedy się nie poruszył, przebiegła palcem po paśmie wypukłej skóry na obojczyku.

– Co zostawiło ten ślad?

– Merducki tulwar.

– A ten?

– To było... do diabła, nie pamiętam.

– Masz dużo blizn, Corfe.

– Przez całe życie byłem żołnierzem.

Umilkła. Corfe złapał się na tym, że zasypia. Powieki same mu się zamykały. Bardzo przyjemnie było tak leżeć. Położył dłoń na biodrze Aarii i przebiegł palcami wzdłuż jej uda. Coś w nim zapłonęło. Przetoczył się swobodnie nad nią, wspierając się na łokciach, i ujął jej twarz w dłonie. Otworzyła z zaskoczenia usta, które ułożyły się w kształcie litery „O”.

Gdy trzymał w dłoniach tę twarz, otoczoną wachlarzem ciemnych włosów, zalała go fala wspomnień. Pochylił głowę i pocałował Aarię w usta. Z początku zareagowała nieśmiało, ale po chwili udzieliła się jej jego pasją i dziewczyna poczuła przyjemność, a przynajmniej zapragnęła mu ją sprawić.

Starał się nie zrobić jej krzywdy, ale i tak krzyknęła cicho, wbijając mu paznokcie w plecy. Kiedy skończył, stoczył się z niej i ponownie wpatrzył w sufit. Stało się, pomyślał. Oczy go szczypały i poczuł, że mruga w półmroku, jakby spoglądał na bezlitosny blask słońca w południe.

– Czy to zawsze tak boli? – zapytała cicho Aria.

– Pierwszy raz? Tak, nie... pewnie zawsze.

– Muszę ci urodzić syna. Tak mi nakazał ojciec – ciągnęła. Ujęła pod kołdrę jego dłoń. – Nie było tak źle, jak się spodziewałam.

– Naprawdę?

Uśmiechnął się z przekąsem. Nie mógł na nią patrzeć, ale cieszył się z jej ciepła, dotyku dłoni i cichego głosu. Znowu wziął ją w ramiona. Ciągle coś mówiła, gdy zapadł w mroczny, błogosławiony sen.

* * *

Kiedy ktoś załomotał do drzwi, usiadł natychmiast w łożu, budząc się w jednej chwili. Ogień na kominku płonął niczym wulkaniczna lawa. Fragmenty nieba widoczne za żaluzjami były czarne jak węgiel. Świt jeszcze nie nadszedł.

– Panie – dobiegł głos zza drzwi. – Przyszły wieści z Ostrabaru. Nadzwyczaj pilne.

To był Felorin.

– Dobra. Już idę. – Wciągnął ubranie i buty. Aria przyglądała mu się z szeroko otwartymi oczami, podciągawszy kołdrę pod brodę. Zawahał się, a potem pocałował ją w usta. – Śpij. Niedługo wrócę.

Pogłaskał ją po włosach, uśmiechnął się do niej i wyszedł.

W pałacu było jeszcze ciemno. Palilo się tylko kilka lamp umieszczonych w uchwytych na ścianach. Felorin trzymał w ręku świecę. Obaj mężczyźni szli pełnymi ech korytarzami, a ich cienie pląsały drwiąco na ścianach.

– To Golophon, panie – poinformował Corfe’a Felorin. – Czeka w Sali Mieczy. Nie chciał mówić z nikim oprócz ciebie. O jego powrocie zawiadomił mnie chorąży Baraz. Przybył prosto z Aurungabaru, dzięki jakiejś magii. Coś się tam wydarzyło. Pozwoliłem sobie obudzić również

generała Formia, panie.

– Dobrze zrobiłeś. Prowadź.

W ogromnej Sali Mieczy panował mrok. Tylko w jednym końcu na wielkim kominku zapalono ogień i przysunięto do niego stół, na którym paliła się lampa. Golophin stał tyłem do ognia. Jego naznaczona bliznami twarz była niemożliwą do odczytania maską. Przy stole siedział Formio, na blacie leżały papier, gęsie pióra i inkaust, a w cieniach stał chorąży Baraz.

– Golophinie! – warknął Corfe. Formio wstał, widząc nadchodzącego króla. – Co się stało? Czarodziej popatrzył pytająco na Baraza i Felorina.

– W porządku. Możesz mówić.

Twarz Golophina nie zmieniła wyrazu. Nadal była straszliwą, niemożliwą do odczytania maską.

– Byłem w Aurungabarze, mniejsza z tym, w jaki sposób tam dotarłem. Wygląda na to, że sułtan i jego królowa padli dziś rano ofiarą zamachu.

Nikt się nie odezwał. Nawet Formio miał zdumioną minę. Corfe złapał za oparcie krzesła i osunął się na nie jak starzec.

– Jesteś pewien? – nie wytrzymał Baraz.

– Jestem – warknął stary mag. – W mieście zapanował chaos. Ogarnięte paniką tłumy wyległy na ulice. Ludzie z pałacu zdołali dochować tajemnicy przez parę godzin, ale potem ktoś się wygadał i teraz już wszyscy o tym wiedzą. – Zawahał się. – Wszystko to wydaje mi się nieprzyjemnie znajome – dodał z nutą niesmaku w głosie.

Popatrzyli na Corfe'a, ale król siedział z łokciami wspartymi na kolanach i wpatrywał się w pustkę. Jego oczy nic nie wyrażały.

– Aruan? – zapytał po chwili Formio.

– Podejrzewam, że tak. Na pewno przemycił swego agenta na dwór.

Nie żyła. Jego Heria nie żyła.

– Mówisz: dziś rano? – zdołał wreszcie zapytać Corfe.

– Tak, panie. A właściwie już wczoraj. Jakies trzy godziny przed południem.

Corfe potarł pierś. Ból zniknął, ale jego miejsce zajmowało, powoli i nieubłaganie, coś gorszego. Odchrząknął, starając się rozjaśnić myśli.

– Co z Nasirem? – zapytał. – Jak daleko jest już od stolicy?

– Towarzyszy mu teraz mój chowaniec. Przebywa trzydzieści mil na wschód od Khedi Anwar. Prowadzi piętnaście tysięcy ludzi. Armie, która miała nas wesprzeć.

– Czy już wie?

– Tak, panie, powiedziałem mu. Zwinął obóz i maszeruje z powrotem do stolicy.

– Potrzebujemy tych ludzi – wtrącił cicho Corfe.

– A Ostrabar potrzebuje sułtana – odrzekł Golophin.

– To dzieciak, nie ma jeszcze siedemnastu lat.

– Armia go popiera. A Aurungzeb oficjalnie uznał go za dziedzica. Nie ma nikogo innego.

Corfe uniósł głowę.

– Golophin ma rację. Nasir będzie potrzebował tych żołnierzy, żeby przywrócić porządek w stolicy. Musimy się bez nich obyć.

Heria nie żyła, naprawdę nie żyła.

Stłumił narastający przypływ poczucia beznadziejności.

– Nasir będzie potrzebował pięciu, może sześciu dni, by wrócić do Aurungabaru. Golophinie, czy są jacyś inni pretendenci do tronu, którzy mogliby wywołać kłopoty przed jego przybyciem?

Czarodziej zastanawiał się przez chwilę.

– Nie słyszałem o żadnych. Aurungzeb spłodził inne dzieci z nałożnicami, ale Nasir jest jego jedynym synem i wszyscy go znają. Nie przewiduję żadnych trudności z sukcesją.

– To znakomicie. A kto w tej chwili sprawuje władzę w Aurungabarze?

Golophin wskazał głową na chorążego Baraza, który stał zapomniany w cieniu.

– Kuzyn tego młodzieńca, shahr Baraz młodszy. Przez pewien czas był osobistym strażnikiem królowej i do końca jej powiernikiem. To on przejął kontrolę nad sytuacją, gdy służące znalazły ciała.

– Rozmawiałeś z nim?

– Krótko.

Golophin nie podzielił się z obecnymi swymi podejrzeniami dotyczącymi shahra Baraza. Był to nadzwyczaj uczciwy i honorowy człowiek, ale choć opowiedział czarodziejowi o zamachu, wyraźnie coś przed nim ukrywał. Golophin był jednak przekonany, że nie chodziło mu o własny interes. Shahr Baraz był ze starej *Hraib* i uważał, że człowiek, który dopuszcza się kłamstwa, w pewnym sensie umiera.

Corfe wstał.

– Formio, wyślij do Aurungabaru szybkich kurierów z wyrazami naszego poparcia dla nowego sułtana. Z wyrazami naszego pełnego, a jeśli okaże się to konieczne, również materialnego poparcia. Niech jakiś skryba ubierze to w odpowiednie słowa i o świcie trzy egzemplarze mają ruszyć w drogę.

Formio skinął głową i zanotował to sobie na karcie papieru. Skrzywienie gęsiego pióra i trzaskanie płonących na kominku drzew były jedynymi dźwiękami słyszalnymi w wielkiej pustej Sali Mieczy.

– Mamy teraz za mało żołnierzy – ciągnął Corfe. – Będę musiał osłabić południowy korpus Melfa, by zgromadzić wystarczająco wielu ludzi dla głównej operacji, która zacznie się tutaj.

Podszedł do kominka, oparł pięści na kamiennym obmurowaniu i wpatrzył się w płonące drwa.

– Nieprzyjaciel z pewnością ruszy bezzwłocznie do ataku, gdyż nasz sojusznik został chwilowo wyeliminowany z gry. Formio, wyślij kolejne pismo do Arasa w Gaderonie. Musi lada moment spodziewać się walnego szturmu. Niech kurier po drodze na północ powtórzy też tę wiadomość Heydowi i powie mu, że ma zmierzać do celu forsownym marszem. Jeśli zaś chodzi o sam Torunn, chcę, żeby stacjonująca tu armia była w każdej chwili gotowa do wymarszu. Dość już czasu zmitrężyliśmy. Wyruszę z wojskami przed upływem tygodnia.

Gęsie pióro Formia umilkło na te słowa.

– Pogórze nadal pokrywa gruba warstwa śniegu – zauważył Fimbrianin.

– Nic się na to nie poradzi. Pod moją nieobecność będziesz sprawował rządy jako regent.

– Corfe, ja...

– Masz słuchać rozkazów. – Król odwrócił się od kominka i spojrzał z uśmiechem na Formia, by złagodzić wydźwięk tych słów. – Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać.

Fimbrianin ustąpił. Z gęsiego pióra skapnęła kropla inkaustu i na białej karcie pojawił się czarny kleks. Corfe spojrzał na Golophina.

– Czułbym się spokojniejszy, gdybyś z nim został.

– To niemożliwe, panie.

Corfe zmarszczył brwi, a potem się odwrócił.

– Rozumiem. To nie twój obowiązek.

– Źle mnie zrozumiałeś, panie. Będę ci towarzyszył.

– Co takiego? Czemu, u licha...?

– Panie, obiecałem umierającej kobiecie, że podczas nadchodzącej próby będę stał u twego boku.
– Golophin uśmiechnął się. – Być może służenie królom weszło mi po prostu w nawyk. Tak czy inaczej, wyruszę z tobą na wojnę. Jeśli się zgodzisz.

Corfe pokłonił się. Jego oczy odzyskały częściowo blask.

– To byłby dla mnie zaszczyt, panie magu. – Wyprostował się i spojrzał na chorążego Baraza, który nie ruszył się z miejsca. – Bardzo bym się ucieszył, gdybyś ty również nam towarzyszył, chorąży.

Młodzieniec podszedł bliżej, a potem znowu stanął sztywno na baczność.

– Tak jest.

Jego oczy błyszczały radośnie.

– Została jeszcze jedna sprawa... – Corfe przerwał. Wszyscy spojrzeli nań i dostrzegli w jego oczach jakiś błysk gwałtownie ukrytego bólu. – Mirren musi natychmiast wyjechać do Aurungabaru, żeby wyjść za mąż.

Formio skinął głową, ale na twarzy Baraza pojawił się wyraz rozpacz.

– Czy nie można z tym trochę poczekać? – zapytał łagodnym tonem Golophin. – Dopiero zacząłem ją uczyć.

– Nie można. Gdybyśmy zwlekali, uznano by, że nie jesteśmy pewni Nasira. Nie. Oni przysłali nam Arię, a my musimy wysłać do nich Mirren. Kiedy wyjdzie za Nasira, cały świat zrozumie, że nasz sojusz jest równie silny jak przedtem, mimo że Aurungzeb nie żyje, a posiłki zawróciły z drogi.

– To najwyraźniejszy sygnał, jaki możemy wysłać – zgodził się Formio.

Corfe pomyślał, że sprawiedliwość wymaga, by sam wycierpiał choć część tego, co musiała znieść Heria. Kryła się w tym pełna ironii symetria, jakby całą tę sprawę uknuł dla rozrywki jakiś złośliwy bóg. Niech i tak będzie. Wytrzyma ten ból, tak jak wytrzymał inne.

– Chorąży Baraz – odezwał się – przyprowadź tu pałacowego zarządcę, jeśli łaska. Formio, zanieś te notatki skrybom, a potem obudź starszych nad służbą. Spotkamy się tu za godzinę. Felorinie, pilnuj drzwi.

Gdy w wielkim pomieszczeniu zostali tylko Corfe i Golophin, król oparł czoło o gorące kamienne nadproże.

– Golophinie, jak ona zginęła?

Stary mag był wyraźnie zaskoczony. Minęła chwila, nim zrozumiał pytanie.

– Merducka królowa? Według shahra Baraza od ciosu nożem. Służące były w pobliżu, ale nic nie słyszały. Tak mi powiedział.

Łzy Corfe'a spadły niepostrzeżenie w ogień i zniknęły w nim, nie ogłaszając tego nawet sykiem.

– Panie... Corfe, czy źle się czujesz?

– To moja noc poślubna – oznajmił martwym tonem król. – Czeka na mnie nowa żona.

Golophin położył mu dłoń na ramieniu.

– Być może powinieneś wrócić do niej na chwilę, zanim usłyszysz o tym od kogoś innego.

Dobry Boże, mało brakowało, by o tym zapomniał. Uniósł głowę, z tępych zdumieniem w oczach.

– Masz rację. To ja powinienem jej powiedzieć. Ale najpierw muszę porozmawiać z Cullenem.

– Masz. Łyknij sobie trochę.

Czarodziej podał mu małą stalową manierkę. Corfe przyjął ją odruchowo i uniósł do ust.

Fimbriańska brandy. Gdy wypełnił nią usta, a potem przełknął, oczy go zaszczypały i pocięły z nich łzy.

– Zawsze mam przy sobie coś na rozgrzewkę – wyjaśnił Golophin, również pociągając łyk z manierki. – W dzisiejszych czasach nic innego nie chroni przed chłodem.

Corfe zwrócił się ku niemu. Mag spoglądał nań z łagodnym, pytającym wyrazem twarzy, jakby chciał go zachęcić, by coś powiedział. Przez chwilę miał już słowa na końcu języka. Poczłby wielką ulgę, gdyby pozwolił im popłynąć, gdyby poszukał wsparcia u tego starca, jak inni królowie przed nim. Powstrzymał się jednak. Wystarczyło, że wie o tym Albrec. Nie mógłby dzisiaj znieść współczucia. To by go złamało. Musiał też okazać współczucie innym, nim nadejdzie dzień.

Rozległy się kroki. To wracał Baraz w towarzystwie starego, posiwiąłego zarządcy. Corfe wyprostował się.

– Cullen, musisz natychmiast obudzić księżniczkę Mirren. Ma spakować wszystko, co będzie jej potrzebne podczas długiej podróży. Niech w stajniach zaprzęgna kilkanaście lekkich wozów, tyle żeby wystarczyło dla odpowiedniej świty. Chorąży Baraz, wybierzesz w moim imieniu *tercio* kirasjerów, które posłużą jako eskorta.

– Co mam powiedzieć księżniczce, panie? – zapytał lekko zdziwiony Cullen.

– Że wyjeżdża do Aurungabaru, żeby wyjść za mąż. Zobaczę się z nią przed odjazdem, ale musi być gotowa do drogi o zmierzchu. To wszystko.

Zarządca stał jeszcze, niezdecydowany, przez krótką chwilę, otwierając i zamykając usta. Potem pokłonił się i wyszedł, otulając się szczerlnie szlafrokiem, jakby od króla bił jakiś złowrogi chłód. Baraz podążył za nim z niezadowoloną miną.

Na kilka minut zapadła błogosławiona cisza. Corfe gorąco pragnął zejść do stajni, osiodłać konia i wyruszyć samotnie w góry. Uciec od tego świata, od jego decyzji, komplikacji i bólu. Wyprostował się z westchnieniem. Zaczęła go boleć chora noga.

– Lepiej tu zostań – polecił Golophonowi. – Niedługo wrócę.

Poszedł zawiadomić nową żonę, że została sierotą.

* * *

Transportowce zajmowały cztery mile brzegu rzeki. Stała tam z górą setka szerokich, płaskodennych jednostek, a każda z nich mogła przewieźć w swej wielkiej ładowni pięć *tercios*. Załadunek trwał już od dwóch dni, ale w torunnańskim porcie nadal było tłoczno od ludzi, koni i mułów, a na nabrzeżach leżały stosy prowiantu i ekwipunku. Utracono dwanaście koni oraz kilka ton zapasów, ale najgorsze mieli już za sobą. Transportowce odbiją od brzegu z wieczornym odpływem i zaczną powolną, lecz niepowstrzymaną wędrówkę pod prąd Torrinu.

– Wreszcie nadszedł ten dzień – zauważył Formio z wymuszoną swobodą.

– Tak. Przez pewien czas sądziłem, że nie nadejdzie nigdy. – Corfe pociągnął za wyściółkę pancernych rękawic. – Zostawiam ci trzy tysiące regularnych żołnierzy – oznajmił przyjacielowi. – Razem z rekrutami to będzie spory garnizon. W Gaderionie są Aras i Heyd, a na południu Melf i Berza, więc ci, którzy zostaną tutaj, nie powinni zobaczyć wojny.

– Będzie nam brakowało tych merduckich posiłków – zauważył z powagą Formio.

– To prawda. Ja również czułbym się pewniej, gdyby tu były. Ale nie ma już sensu nad tym płakać. Formio, załatwiłem z Albrekiem wszelkie formalności. Gdy tylko wejdem na pokład transportowca, zostaniesz regentem i zachowasz ten tytuł do chwili mojego powrotu. Wyzaczyłem kilkaset twoich Sierot jako grupę, która przejmie szkolenie rekrutów od Straży Osobistej. Reszta wsiadła już na statki.

– Zabierasz ze sobą śmietankę armii – poskarżył się Formio.

– Wiem o tym. Przed nimi trudna droga. To nie jest zadanie dla rekrutów.

– I czarodziej też rusza z tobą.

– Może mi się przydać – odparł z uśmiechem król. – Mam wrażenie, że to dobry człowiek.

– Nie ufam mu, Corfe. Jest za blisko wroga. Wie o nim zbyt wiele i nigdy nam nie wyjaśnił, skąd

czierpie tę wiedzę.

– Wiedzieć takie rzeczy to jego zadanie, Formio. Osobiście bardzo się cieszę, że będzie mi doradzał. A poza tym z pewnością zmierzmy się w bitwie z czarami. Dobrze będzie móc przeciwstawić im własne.

– Żałuję, że nie będę z tobą – rzekł cicho Fimbrianin.

– Ja również, przyjacielu. Zawsze odnosiłem wrażenie, że im wyżej człowiek się wespnie na tym świecie, tym rzadziej może robić to, co chce.

Formio uściskał go za ramię.

– Nie jedź z nimi. – Jego zwykle nieprzenikniona twarz płonęła gorącym pragnieniem. – Pozwól, żebym ja ich poprowadził, Corfe. Ty zostań tutaj.

– Nie mogę. To sprzeczne z moją naturą, Formio. Wiesz o tym.

– W takim razie uważaj na siebie, przyjacielu. Obaj widzieliśmy już wiele bitew, ale serce mi mówi, że ta, na którą wyruszasz, będzie najgorsza.

– Cóż to, zostałeś jasnowidzem?

Formio uśmiechnął się, ale w jego twarzy było niewiele wesołości.

– Być może.

– Wyglądaj nas wczesnym latem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócimy Przesmykiem Torrinu.

Obaj mężczyźni spoglądali na siebie przez długą chwilę. Nie musieli mówić nic więcej. Potem objęli się jak bracia. Formio odsunął się i pokłonił nisko.

– Powodzenia, mój królu. Niech Bóg czuwa nad tobą.

* * *

Połowa miasta przyszła do portu ich pożegnać. Ludzie wznosili okrzyki i machali rękami, gdy kolejne transportowce odbijały od brzegu, wypływając na środek ujścia rzeki. Szerokie statki płynące z południowo-wschodnim wiatrem, dmącym od Morza Kardiańskiego, ustawiły się gęsiego i rozpoczęły długi rejs w górę rzeki.

Jedyna torunnańska księżniczka wyruszyła już do Aurungabaru, gdzie miała wziąć ślub, ale nowa królowa stała na nabrzeżu, otoczona grupą dam dworu, dworzan i strażników. Pomachała Corfe'owi ręką. Na jej bladej twarzy nie było uśmiechu, a oczy miała zaczerwienione i podkrążone. Król zsalutował jej w odpowiedzi, a potem oderwał wzrok od wiwatujących tłumów i spojrzął na zachód, gdzie wznosiły się lśniące w słońcu Góry Cymbryckie. Ich szczyty niknęły w chmurach. Gdzieś między tymi straszliwymi turniami biegła ukryta droga, wiodąca aż do morza Tor. Tą właśnie trasą wielka armia, którą dowodził, musiała pomaszerować ku zwycięstwu. Nie czuł lęku ani niepokoju na myśl o drodze przez góry i o bitwach, które nadejdą później. Wreszcie zdołał oczyścić umysł.

CZĘŚĆ TRZECIA
NASTANIE NOCY

*I oddali pokłon smokowi za to, że dał zwierzęciu moc,
a także zwierzęciu oddali pokłon, mówiąc: Któż jest
podobny do zwierzęcia i któż może z nim walczyć?*

Objawienie św. Jana, rozdz. 13, w. 4
(tłumaczenie: *Biblia tysiąclecia*)

SZESNAŚCIE

Rankami słońce powoli wynurzało się zza szczytów Thurianu i w głębi Przesmyku Torrinu było ciemno i chłodno jeszcze długo po chwili, gdy wierzchołki okolicznych gór zaśniły jasno w blasku jutrzeńki. Chodzący po murach Gaderionu wartownicy przeklinali i chuchali w dłonie. Przed nimi ciągnęła się wąska dolina, szara, cienista i pokryta szronem. W półmroku było widać ogniska rozpalone przez dziesiątki tysięcy nieprzyjaciół.

Generał Aras, który dokonywał obchodu murów w towarzystwie grupki adiutantów i kurierów, witał wartowników cichym głosem i zatrzymywał się co chwila, by spojrzeć na migotliwą konstelację ognisk widoczną na dole. Robił to co rano i co rano oglądał ten sam widok.

Obrońcy Wału Ormanna z pewnością doświadczyli tego samego. Świadomości, że nie mogą zrobić nic więcej niż czekać na atak nieprzyjaciela. Dręczącego napięcia towarzyszącego temu oczekiwaniu. Himeriański wódz, kimkolwiek był, świetnie potrafił czekać na odpowiednią chwilę.

Słońce wreszcie wysunęło się zza białych, mroźnych gór i na mury Candorwiru po zachodniej stronie doliny padło czerwonożółte światło. Rozjaśniło ono dziobatą ścianę urwiska Orlego Gniazda, przesunęło się wzdłuż muru kurtynowego i padło na kamienną redutę, pokrywając załamujące się pod ostrymi kątami umocnienia kontrastowymi cieniami. W końcu zatrzymało się u stóp donżonu, pozostawiając samą fortecę w półmroku. Tylko wysoka głowa Szpikulca błyszczała w promieniach słońca padających zza białych turni. W samym donżonie Aras słyszał brzęk żelaznych trójkątów straży, wzywających nocną wartę na śniadanie i wysyłających dzienną na posterunki. W Gaderionie zaczął się kolejny dzień.

Generał odwrócił się. Na niego śniadanie czekało w donżonie. Solona wieprzowina, wojskowy chleb i być może jabłko, popite odrobiną piwa. Taki sam posiłek, jaki spożywali jego ludzie. Nauczył się tego od Corfe'a już przed wielu laty. Co prawda, jadł ze srebrnego talerza, ale był to jedyne luksus, na jaki pozwalał sobie głównodowodzący oficer Gaderionu.

– Ostatnie wozy odjechały dziś na południe, zgadza się? – zapytał.

Jego kwatermistrz, Rusilan z Gebraru, skinął głową.

– To były ostatnie. Po ich odjeździe zostaną tu tylko żołnierze z garnizonu. Kilka tysięcy gąb mniej do wykarmienia. Choć to trudne dla tych, którzy mają rodziny.

– Gdy walki zaczną się na dobre, będą spokojniejsi, wiedząc, że ich żony i dzieci są bezpieczne na południu – sprzeciwił się Aras.

– Zaczną się na dobre – mruknął inny członek grupy, mężczyzna o kwadratowej twarzy, noszący pod półpancerzem podniszczoną fimbriańską tunikę. – W ciągu dwóch ostatnich tygodni straciliśmy z górą tysiąc ludzi. Siedzimy tu osaczeni jak stary odyniec w zaroślach, czekający na włócznie myśliwych. Zaczną się na dobre.

– Osaczony odyniec bywa niebezpieczny, pułkowniku Sariusie. Niech no tylko nieprzyjaciół znajdzie się w zasięgu naszych dział, a przekona się o tym na własnej skórze.

– Oczywiście, generale. Zastanawiam się tylko, dlaczego się wahają. Nasze źródła sugerują, że Finmarkanie i Tarberanie dotarli już na miejsce. Od co najmniej czterech dni mają tu całą, gotową do ataku armię. Ich linie zaopatrzenia to z pewnością koszmar dla kwatermistrzów.

– Przewożą tysiące ton zaopatrzenia łodziami rybackimi przez morze Tor – wyjaśnił Rusilan. – Łód rozpuścił się już niemal całkowicie i zbudowali w Fonteriosie całkiem spory port. Jeśli uznają za stosowne, mogą sobie pozwolić na zaczekanie do lata, bo Himerianom płaci dziś daninę kilkanaście różnych krajów.

Rusilanowi przerwał huk armatniego wystrzału. Grupa oficerów zeszywniała, zszokowana. Wysoko na ścianie Szpikulca pojawiła się chmura dymu, ciężka, jak kawałek wełny. Nim zdążyła się

oddalić na jard od lufy działa, które wystrzeliło, trójkąty zagrały sygnał alarmowy.

Aras i jego towarzysze pobiegli wzdłuż muru kurtynowego, pod prąd fali żołnierzy pędzących w przeciwną stronę. Przeszli przez małą furkę łączącą mur ze wschodnią częścią fortyfikacji, wdrapali się po kładce na górę i wyjrzel na zewnątrz przez otwór strzelniczy. Wokół nich tłoczyli się przy działach artylerzyści.

– Wygląda na to, że przeciwnik się ruszył – zauważył bystrooki Fimbrianin, pułkownik Sarius. – Widzę formacje piechoty, ale na razie na tym koniec.

– Jak są liczne? – zapytał Aras.

– Trudno to ocenić. Hordy żołnierzy nadal ustawiają się w szyki przed obozami. Co najmniej dwa albo trzy duże *tercio*. Rozciągnęli się na milę, a to tylko pierwszy szereg. Jestem przekonany, że to generalny szturm.

Oczy Fimbrianina lśniły, jakby czekała na niego jakaś szczególna atrakcja.

– Widzę zaprzęgi. Tak jest, przesuwają działa. A więc o to chodzi. Nieprzyjaciel postanowił rozmieścić baterie na stanowiskach. I to w biały dzień! Co oni sobie myślą?

– Chorąży Duwar – warknął Aras. – Pobiegnij do sygnalistów. Niech zagrają: „Walna bitwa, strzelać bez rozkazu”.

– Tak jest!

Młody oficer popędził sprintem do stacji sygnałowej na szczycie Szpikulca.

– Panowie – zwrócił się Aras do starszych stopniem oficerów, którzy mu towarzyszyli – na stanowiska. Wszyscy wiecie, co macie robić. Rusilan i Sarius zostaną ze mną. Sądzę, że powinniśmy przejść na górne mury, żeby mieć lepszy widok. Kiedy się zacznie, na dole robi się gorąco.

Aras uświadomił sobie, że w powietrzu unosi się dziwna aura radości. Nawet prości żołnierze przy działach uśmiechali się do siebie podczas ładowania. Ich oficerowie wręcz płonęli z niecierpliwości. Już od wielu dni, a nawet tygodni, nieprzyjaciel nękał ich i zmuszał do odwrotu, aż wreszcie nie mieli innego wyjścia, jak skryć się za mocnymi murami Gaderionu. A teraz wróg szykował się do uderzenia na te mury i wiedzieli, że wreszcie będą mogli wyrzucić krwawą zemstę.

Aras i jego towarzysze zatrzymali się na samym szczycie murów donżonu. Za plecami mieli tylko litą skałę złowrogiego Szpikulca. Dyszeli ciężko, pokonawszy biegiem kilka kondygnacji schodów. Przed nimi rozpościerał się widok na całą dolinę: kanciastą redutę, wijący się jak wąż mur kurtynowy, błyszczące w słońcu działa Orlego Gniazda, sterczące z wnętrza wznoszącej się naprzeciwko nich góry. Na tych wszystkich potężnych i skomplikowanych umocnieniach tysiące ludzi odzianych w torunnańską czerń trudziły się w kazamatach, ładowały arkebuzy albo biegały w długich szeregach, nosząc proch, kule i przybitki do baterii.

– Idą – zauważył cierpkim tonem Sarius.

– Chciałbym mieć takie oczy jak ty, pułkowniku – rzekł Aras. – Co to za ludzie?

– Hołota z Almarku. Nieprzyjaciel nie chce tracić dobrych żołnierzy w pierwszym rzucie. Z pewnością wie, że namierzylimy każdy punkt w dolinie. Tylko popatrz na ich mundury! Ta zgraja nie widziała na oczy placu apelowego.

Aras dostrzegał już w odległości półtorej mili posuwający się naprzód szeroką linią tłum. Ziemia od niego ciemniała. Za pierwszą falą zmierzała druga, lepiej zorganizowana. Jeszcze dalej kłębiły się dziesiątki koni ciągnących działa, przodki dział oraz jaszczce.

Pierwsza fala posuwała się naprzód bardzo szybko, nie utrzymując żadnego szyku poza tą szeroką, nierówną linią. Żołnierze byli ubrani w almarkański błękit, niektórzy mieli piki i miecze, a inni truchtali z arkebuzami na ramionach. Zbliżali się do punktu, w którym przed laty na dnie doliny posadzono linię rosnących co pół furlonga drzewek. Znaczyła ona granicę zasięgu torunnańskich

dział. Gdy przeciwnik podszedł bliżej, Aras wstrzymał oddech. Jego ludzi uczono czekać z otwarciem ognia do chwili, gdy nieprzyjaciel znajdzie się już daleko za linią.

Wszędzie na murach Gaderionu gorączkowa aktywność przerodziła się w pełen skupienia bezruch. Nad doliną unosiła się woń wolnopalnych lontów. Starzy żołnierze zwali ją „perfumami wojny”.

Z jednej z kazamat reduty buchnęła chmura dymu. Po sekundzie usłyszeli głuchy łoskot strzału. Pośrodku nieprzyjacielskiego szeregu trysnął w górę wąski gejzer ziemi pomieszanej ze strzępami ludzkich ciał. W dywanie maleńkich figurek pojawiła się na chwilę dziura.

Po krótkiej chwili wystrzeliły wszystkie działa w dolinie, aż zadrżało powietrze. Aras czuł pod podeszwami butów wibrację potężnych murów fortecy. Huk tej pierwszej salwy rejestrowało się nie tyle słuchem, co całym ciałem. Z otworów strzelniczych buchały fale gorącego powietrza i dymu, wyglądające jak wiatr dmący od bram piekieł.

Po kilku sekundach dla żołnierzy z himeriańskiej straży przedniej faktycznie nastąpiło piekło na ziemi. Grunt pod ich stopami eksplodował fontannami kamieni i piasku. Arasowi przypominało to działanie gwałtownej ulewy na odkrytą glebę. Pierwsze szeregi nieprzyjaciela po prostu zniknęły w burzy eksplozji. Większość torunnańskich artylerzystów używała pustych w środku kul wypełnionych prochem. Gdy takie pociski eksplodowały, na wszystkie strony sypał się śmiertelny grad rozżarzonego do czerwoności metalu, który rozdzierał ludzi na strzępy, kaleczył ich i unosił w powietrze. Niżej rozmieszczone działa strzelały jednak litymi kulami, które uderzały w zbite szeregi nieprzyjaciela na wysokości piersi, zostawiając w nich krwawy pokos. Każdy pocisk zabijał kilkunastu albo dwudziestu kilku ludzi, a fragmenty ich ciał sypały się na towarzyszy. Aras złapał się na tym, że przyglądając się temu, wali pięścią w kamienny mur. Jego twarz zamarała w dzikim, radosnym grymasie. Ta pierwsza fala składała się z jakichś piętnastu tysięcy ludzi i kule armatnie masakrowały ich w odległości dobrej mili od murów Gaderionu. Z tych murów dobiegał go głośny, ochryply ryk. To artylerzyści krzyczeli radośnie, czy może wręcz wyli, ponownie ładując i wytaczając rarogi. Było słychać nieustanny łoskot, który odbijał się echem od okolicznych gór i powracał wzmocniony, aż wreszcie niemal nie sposób było go znieść. Aras miał trudności z odróżnieniem go od bicia własnego serca. Dym przesłonił światło porannego słońca, rzucając cień na szczyty Gór Cymbryckich na zachodzie. Wydawało się niemożliwe, by cały ten hałas i mrok mogły być dziełem człowieka.

– Nie przerwali ataku! – krzyknął z niedowierzaniem pułkownik Sarius.

Nieprzyjaciel wciąż posuwał się naprzód po zoranym, dymiącym gruncie, zostawiając z tyłu trupy setek towarzyszy. Przez huk dział przebijały się krzyki himeriańskich żołnierzy.

– Dotrą do murów – stwierdził zdumiony Aras. Co mogło skłonić ludzi do maszerowania naprzód pod tak morderczym ostrzałem?

Wydawało się, że całe dno doliny pokrywają sylwetki biegnących ludzi. Pociski padały na nich bez chwili przerwy. Widać już było, że wielu nieprzyjaciół niesie łopaty i drewniane belki, a inni dźwigają na plecach wiklinowe kosze szańcowe. Poganiali ich siedzący na koniach, zakuci w zbroje inicjanci, wymachując buzdyganami i wrzeszcząc wściekle.

Dalej w dolinie zaczęła się druga fala szturmowa. Tym razem uczestniczyli w nim noszący ciężkie zbroje, zdyscyplinowani żołnierze, którzy poruszali się z przerażającą szybkością. Wysocy mężczyźni w długich kolczych płaszczach ze stalowymi kirysami dzierżyli w dłoniach dwuręczne miecze albo topory, a na plecach mieli kabury ze skałkowymi pistoletami. To byli gallowglassowie z Finnmarku, szturmowa piechota Drugiego Imperium.

Ludzie z pierwszej fali zatrzymali się daleko poza zasięgiem arkebuzów i padli na ziemię, jak na

rozkaz. Almarkańscy żołnierze zaczęli kopać jak szaleńcy, nie zważając na deszcz pocisków. Przerzucali zmarzniętą glebę za plecy i wzmacniali boki okopów kłodami drewna oraz wypełnianymi pośpiesznie koszami szańcowymi. Zginęły kolejne setki, ale kule, które ich zabijały, zmiękczały też ziemię, pomagając im w ryciu. W miarę, jak okopy stawały się coraz głębsze, skuteczność torunnańskiej artylerii malała. Rarogi z Gaderionu miały płaski tor pocisku i gdy nieprzyjaciel znalazł się poniżej poziomu ziemi, niemal nie sposób było pochylić działa tak nisko, by ogień mógł być skuteczny.

Aras sięgnął do torby po ołówek i papier. Oparł się o blanki i nakreślił pośpiesznie notatkę, a potem ją podpisał i zwrócił się do jednego z kurierów, którzy czekali na podorędziu podczas całego szturm.

– Zanieś to do wszystkich dowódców baterii na murze. Mają przenieść ogień. Zrozumiałeś? Przenieść ogień na drugą falę. Śpiesz się.

Młodzieniec oddalił się biegiem, ściskając w jednej ręce rozkaz, a w drugiej unosząc pochwę z mieczem.

– Teraz wszystko rozumiem – mówił Sarius. – Nieprzyjaciel jest sprytniejszy, niż się nam zdawało. Poświęcił pierwszą falę, żeby zdobyć bezpieczny przyczółek dla drugiej. Ale to i tak w niczym im nie pomoże. Będą tylko tam siedzieli i nasze działa wbiją ich w ziemię.

– Albo i nie – sprzeciwił się Aras. – Spójrz na dolinę, za gallowglassami.

Sarius zagwizdał cicho.

– Konna artyleria. Pędzi tu na złamanie karku. Chyba nie zamierzają przenieść tych dział na sam przód? To szaleństwo!

– Sądzę, że zamierzają. Kimkolwiek jest nieprzyjacielski dowódca, potrafi myśleć oryginalnie. I nie boi się ryzyka.

W miarę, jak kurier posuwał się wzdłuż muru, działa Gaderionu przenosiły ogień, celując w drugą falę nieprzyjaciela, która posuwała się naprzód miarowo i bez większych trudności. Gdy na gallowglassów spadły pierwsze kule, ich zwarty szereg zaczął się rozpraszać. Przyśpieszyli kroku, przechodząc z wolnego truchtu w sprint. Aras widział, że wielu z nich pada na ziemię. Kiedy wpadali w dziury po pociskach, obalał ich ciężar zbroi. Było ich może z osiem tysięcy i musieli pokonać około pół mili, nim będą mogli skryć się w okopach, przygotowanych z taką zawziętością przez ich almarkańskich towarzyszy.

– Sariusie – odezwał się Aras – zejdź do reduty. Spróbujemy zorganizować wycieczkę. Weź połowę ciężkiej jazdy, nie więcej, i zaatakuj Finnmarkan. Kiedy tu dotrą, będą zdyszani.

– Tak jest!

Sarius oddalił się biegiem, jak mały chłopak.

Aras spojrzał na jednego z młodych adiutantów.

– Pobiegnij wzdłuż murów. Do wszystkich dowódców baterii. Urządzimy wycieczkę. Niech będą gotowi wstrzymać ogień, gdy tylko nasza konnica wyjedzie za bramy.

Mijały minuty. Aras czekał niecierpliwie, a gallowglassowie z każdą chwilą zbliżali się do linii prymitywnych okopów. Ponosili straty, ale nie tak ciężkie jak pierwsza fala. Zawdzięczali to lepszym zbrojom oraz luźniejszemu szeregowi. Huk bitwy przerodził się w głuchy łoskot, gdyż wszyscy w dolinie byli częściowo ogłuszeni.

Wielka brama reduty otworzyła się i na zewnątrz wyjechały szeregi torunnańskiej kawalerii, które ustawiły się w szereg pod osłoną redanu. Himeriańscy żołnierze w południowej części doliny zatrzymali się na chwilę, a potem zabrali znowu do pracy ze zdwojonym wysiłkiem. Aras zauważył jednak, że wielu z nich odrzuciło łopaty i chwyciło za arkebuzy.

Sarius ustawił swych ludzi na pochyłym gruncie przed redutą. Cztery linie kawalerzystów, rozciągnięte na jakieś pół mili. Gdy już się sformowali, pułkownik zajął miejsce pośrodku pierwszego szeregu, razem z trzema adiutantami i chorążym. Błysnął miecz, trąbka zagrała dźwięcznie pośród obłoków ciemnego dymu i pierwsza linia, złożona z około czterystu jeźdźców, ruszyła do ataku. Gdy tylko żołnierze oddalili się o kilka długości konia, podążył za nimi drugi szereg, a potem trzeci i czwarty. Tysiąc sześciuset ludzi, ciężka jazda w czarnych zbrojach. O ich ramiona opierały się gotowe do strzału pistolety skałkowe.

W prowizorycznych okopach odległych o trzy furlongi Almarkanie odrzucili łopaty i sięgnęli po broń. Działa w reducie i na murze kurtynowym umilkły, jako że miały konnicę na linii strzału, ale artyleria rozmieszczona w Orlim Gnieździe i w donżonie wciąż zasypywała gradem pocisków gallowglassów, którzy byli już blisko celu. Pięciuset padło, ale pozostali zdawali sobie sprawę, że jedyną nadzieją ocalenia jest dla nich ukrycie się w okopach. Jeśli będą musieli wycofać się tą samą drogą, którą przyszli, nie unikną zagłady.

Aras obserwował szarżę torunnańskiej konnicy. Gdy była już blisko celu, cała linia eksplodowała nagle dymem. To kawalerzyści wypalili ze skałkowych pistoletów. Odpowiedziały im almarkańskie arkebuzy. Konie zaczęły padać na ziemię, zrzucając jeźdźców z siodeł.

Wdarli się do okopów. Niektórzy przeskoczyli konno przez umocnienia, inni zatrzymali się na ich brzegu. Nie brakowało też takich, którzy zlecieli z koni i wpadli do środka. Drugi szereg zatrzymał się i wypalił z pistoletów, gdzie tylko było to możliwe. Chorągiew Sariusza nadal unosiła się nad szeregami, ale Aras nie widział samego pułkownika w straszliwym wirze ludzi, koni oraz obłoków dymu. Sarius nie zapomniał jednak o swych zadaniach: trzeci i czwarty szereg rozjechały się na flanki, a dopiero potem uderzyły na okopy.

Na całej szerokości doliny rozgorzała zażarta walka wręcz. Almarkanie nie mogli się mierzyć z niezrównaną torunnańską ciężką konnicą, ale braki w wyszkoleniu i morale nadrabiali liczebnością. Sarius miał dziewięć razy mniej ludzi od przeciwnika, a do tego gallowglassowie zbliżali się nieubłaganie, pokonując ostatnie ćwierć mili. Gdy włączyli się do walki, liczniejsi wrogowie zaleją konnicę.

Ludzie w niebieskich mundurach zaczęli wypadać z okopów pojedynczo i dwójkami, a potem drużynami i kompaniami. Almarkanie w końcu pękli. Za późno.

Gallowglassowie włączyli się do walki, wymachując wielkimi mieczami bądź toporami. Aras zobaczył, jak jedno uderzenie potężnej broni ścięło rumakowi głowę. Chorągiew Sariusza nadal powiewała nad walczącymi. Konie bez jeźdźców kwiczały donośnie, cwałując po polu walki. Przez bitewny tumult przebiły się słabe dźwięki trąbki. Sarius zarządził odwrót.

Konnica oderwała się od przeciwnika, strzelając za siebie z drugiej pary pistoletów skałkowych. Torunnie nie próbowali sformować szyku, gdyż gallowglassowie naciskali na nich zbyt mocno. Beładna masa jeźdźców oddaliła się od stert trupów wypełniających okopy i popędziła w górę po stoku redanu. Na szczycie czekało już dwustu arkebuźników, mających osłaniać ich odwrót. Nigdzie nie było widać szkarłatno-złotej chorągwi Sariusza.

Konnica wpadła na nasyp. Wiele koni dźwigało po dwóch jeźdźców. Inni kawalerzyści, którzy stracili wierzchowce, uczepili się końskich ogonów albo strzemion i pozwolili się wciągnąć pod górę. Znowu zagrały wielkie działa Gaderionu. Rozwścieczeni artylerzyści pragnęli pomścić rzeź towarzyszy z kawalerii. Himeriańskie umocnienia przerodziły się w piekło unoszącej się w powietrzu ziemi i ciał. Gallowglassowie i Almarkanie przerwali pościg i skryli się w okopach. Niebo nad nimi zrobiło się czarne, a ziemia trzęsła się pod stopami. Furia Torunnan okazała się jednak bezsilna. Almarkanie wytrzymali wystarczająco długo, by do okopów zdołały dotrzeć posiłki

i nieprzyjaciela nie sposób już było stamtąd przegnać. Jakieś piętnaście tysięcy żołnierzy zajęło pozycje w odległości pół mili od murów Gaderionu.

Aras zbiegł po wielkich schodach na mur kurtynowy. Otoczyły go gęste kłęby dymu. Brudni od sadzy artylerzyści nadal strzelali jak szaleni. Powietrze w kazamatach zdawało się parzyć płuca generała. W końcu dotarł na dziedziniec pośrodku reduty. Kawalerzyści wciąż wjeżdżali do środka przez wysoką dwuskrzydłową bramę.

– Gdzie Sarius? – zapytał oficera z zakrwawionym czołem, ale odpowiedziało mu tylko puste, szalone spojrzenie. Umysł mężczyzny nadal zaprzętała walka w okopach.

– Gdzie Sarius? – zwrócił się do drugiego, z podobnym rezultatem. W końcu wypatrzył niesionego na noszach chorążego i zatrzymał dźwigających go ludzi.

– Gdzie twój pułkownik?

Ranny otworzył oczy. Ucięto mu rękę w łokciu. Krew skapywała z kikuta jak z nieszczęelnego kranu.

– Poległ – wychrypiał.

Aras pozwolił noszowym zabrać nieszczęśnika. Na dziedzińcu kłębili się zakrwawieni ludzie i ranne konie. Pomimo huku artylerii usłyszał łoskot bramy, która zamknęła się za ostatnimi wracającymi żołnierzami. Otarł twarz i ruszył z powrotem ku szalejącej na murach burzy.

* * *

Podobnie jak wiele ramusiańskich stolic Cartigella zaczęła życie jako port. Była najważniejszym z miast plemiennego króla Astarar i przed z górą ośmiuset laty zdobyły ją świeżo zjednoczone fimbriańskie plemiona. Astarac, jak później nazwano tę krainę, stał się pierwszą zdobyczą rodzącego się dopiero Imperium Fimbriańskiego. Niespełna sto pięćdziesiąt lat po podboju miasto zbuntowało się przeciw zdobywcom z północy, ale wielki elektor Cariabus Narb, ten sam, który założył Charibon, obiegnął je i zmiażdżył rebelię. Wielu z buntowników, którzy ocaleli ze splądrowanego miasta, uciekło na południe, do dżungli Macassaru, i ich potomkowie stali się korsarzami. Niektórzy jednak trzymali się razem i pod dowództwem kapitana imieniem Gabor pożeglowali za Wyspy Malacarskie w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mogliby żyć w spokoju, nie obawiając się zemsty Fimbrian. Zamieszkali na wielkiej wyspie położonej na południowy zachód od Macassaru, dając początek Gabrionowi.

Miało minąć jeszcze blisko czterysta lat, zanim wreszcie Astarac zrzuci jarzmo rozsypującego się Imperium Fimbriańskiego. W tym czasie Fimbrianie uczynili ze zburzonej Cartigelli wielkie miasto, celowo jednak nie otoczyli jej murami, pamiętając o trudnym, trwającym cały rok oblężeniu, do którego zostali zmuszeni. Mury obronne tego grodu wzniesli dopiero astarańscy monarchowie – ród Astarar przetrwał w jakiś sposób stulecia poddaństwa – i mogły one nie być aż tak wysokie i niezdołyte jak mury stawiane przez imperialnych inżynierów.

A teraz Cartigellę oblężono po raz drugi.

Himeriańska armia wyruszyła z Vol Ephrir pośrodku zimy, a z chwilą, gdy spływające z Malvennoru rzeki wezbrały z powodu roztopów, dotarła do granic Wschodniego Astaracu, spornego księstwa, które król Forno odebrał Perigraine przed zaledwie sześćdziesięciu laty. Himerianie znakomicie zamaskowali swe posunięcia za pomocą wywołanych dwoomerem śnieżyc. Ich zimowy atak był tak zaskakujący, że król Mark wypłynął na spotkanie sprzymierzonych flot pod Abrusio, nie wiedząc, że jego królestwu zagraża najazd.

Astararńska armia, dowodzona przez syna Marka, Cristiana, dała się całkowicie zaskoczyć. Himerianie zdążyli się zapuścić daleko w głąb Wschodniego Astaracu, nim ktokolwiek próbował ich zatrzymać. W chaotycznej bitwie, stoczonej podczas śnieżycy u podnóża Malvennoru, Astaranie

zostali pokonani i zmuszeni do odwrotu. Ten odwrot zamienił się w paniczną ucieczkę, gdyż dniem i nocą nękała ich kawaleria z Perigraine oraz olbrzymie wilki. Większość żołnierzy dotarła w luźnych grupach do Garmidalanu, gdzie zamierzali bronić się do ostatniego. Himerianie jednak otoczyli tylko miasto, by spokojnie wziąć je głodem.

Główna część sił imperium nie przyłączyła się do pościgu, lecz ruszyła na zachód, ku przełęczom Malvennoru, strzeżonym tylko przez nieliczne oddziały astarańskiej tylnej straży. Gdy górskie rzeki wezbrały z powodu roztopów, Himerianie zeszli z gór, nie napotykając poważniejszego oporu, i rozpoczęli krwawy marsz przez królestwo króla Marka, pędząc przed sobą astarańskich żołnierzy dowodzonych przez niedoświadczonego następcę tronu. Zatrzymali się dopiero pod murami stolicy, Cartigelli.

Choć książę Cristian miał przeciwko sobie wielokrotnie liczniejszą armię, korzystającą z usług władców pogody i wzmocnioną legionami bestii, zachował jeszcze odrobinę nadziei. Nieprzyjaciel nie zdołał dotąd zamknąć morskich szlaków, Cartigellę mogły więc ocalić posiłki przysłane przez jej dawnego sojusznika, Gabrion, albo nawet przez Morskich Merduków. Książę rozesłał posłańców do wszystkich wolnych królestw zachodu, wzmocnił mury i czekał, podczas gdy Himerianie rozmieścili na okolicznych wzgórzach działa oblężnicze i przystąpili do ostrzału miasta.

W dzień śmierci sultana Aurungzeba dokonano pierwszego wyłomu w murach i w położonych za nimi dzielnicach miasta wybuchły walki. Astaranie – zarówno żołnierze, jak i cywile – bronili się zawzięcie i bohatersko, ale inicjancy mniśi-wojownicy dowodzący kompaniami wilkołaków zepchnęli ich z zewnętrznych umocnień. Zginęły tysiące obrońców, a Cristian wycofał się do samej cartigellańskiej cytadeli. Himeriańska ofensywa zatrzymała się pod murami niezdobytej fortecy, wzniesionej na wysokiej, dominującej nad miastem skale. Astaranie artylerzyści zasypywali stamtąd gradem pocisków himeriańskie bestie. Nawet wilkołaki nie były w stanie znieść podobnego ostrzału. Himerianie wycofali się na bezpieczną odległość i dowodzeni przez młodego księcia żołnierze zaczęli mieć nadzieję, że może uda im się przetrzymać oblężenie.

Następnego ranka w zatoce pojawiła się jednak potężna flota. Z ładowni jej okrętów wychynał rój ohydnych latających stworów, które runęły na cytadelę niczym szarańcza i zalały obrońców. Cristian zginął wraz z otaczającą go strażą osobistą. Cartigellę złupiono z brutalnością przekraczającą nawet legendarne okrucieństwa Fimbrian. Dym pożarów wzbijał się ku niebu czarnym słupem widocznym na wiele mil w czystym wiosennym powietrzu.

Po trzech dniach Astarac skapitulował i wcielono go do Drugiego Imperium.

SIEDEMNAŚCIE

*A teraz piekło zstąpiło na ziemię
I w płomieniach jego ognia zginą
Wszystkie plany chciwców.*

*A Zwierzę, gdy nadejdzie,
Będzie kroczyło po popiołach ich marzeń.*

– Tak powiedział cztery i pół wieku temu Honorius Szalony, a jego proroctwa nigdy nie okazały się błędne, choć ciężąca nad nim klątwa sprawiała, że za jego życia lekceważono je jako bredzenie obłąkanego pustelnika. Przyjaciele, jesteśmy narzędziami historii, instrumentami w rękach Boga. Wszystko, co uczyniliśmy w przeszłości i co jeszcze uczynimy, jest tylko spełnieniem Jego wizji, mającej na celu dobro świata. Nie kłopotcie się więc. Z krwi, ognia i dymu zrodzi się nowa jutrzienka, drugi początek dla rozproszonych ludów Ziemi.

Aruan nie podnosił głosu, ale wszyscy w wielkim tłumie słyszeli jego słowa. Rozpalały one ogień w sercach i podnosiły na duchu. Każdy ze zgromadzonych prostował ramiona, jakby wikariusz generalny przemawiał tylko do niego.

Słuchali go ludzie stojący na nabrzeżu, na rejach okrętów oraz na wszystkich ulicach starożytnego miasta Kemminovol, stolicy Candelarii. Kiedy przemawiał, noc zaczęła rzednąć i zza szarej sylwetki wzgórza na wschodzie wyłoniło się słońce, dotykając złotymi promieniami wierzchołków najwyższych masztów.

– Idźcie więc wykonać swe zadanie i wiedzcie, że służycie w ten sposób Bogu. Towarzyszy wam Jego błogosławieństwo.

Aruan uniósł rękę w błogosławiącym geście i wszyscy słuchacze pochyłili głowy jak jeden mąż. Gdy zszedł z prostego podium, skleconego ze starych skrzynek na ryby, ludzie natychmiast wrócili do swych zadań. Na pokładach tłoczyli się spoceni, wyężdżający mięśnie mężczyźni.

Bardolin pomógł arcymagowi zejść z podwyższenia. Aruan miał białą twarz i zalewał go pot.

– Nie będę w najbliższym czasie tego powtarzał. Obawiam się, że nie zdawałem sobie sprawy, jaki to wysiłek. Trudno jest podnosić ludzi na duchu.

– Słuchało cię wiele tysięcy. Nie wmówisz mi, że dotknąłeś każdego – sprzeciwił się Bardolin.

– Och, tak. Potrafię naginać do swej woli całe armie, ale to wymaga trudu. Muszę usiąść, Bardolinie. Odprowadź mnie do powozu, dobrze?

Weszli obaj do zamkniętego czterokołowego pojazdu. Aruan wsparł głowę o obite skórą oparcie i zamknął oczy.

– Tak lepiej. Znacznie lepiej. Z Almarkanami i Perigrainianami jest łatwiej. Rozumiesz, dzieli ich od Astaran i Torunnan tradycyjny antagonizm. Ale Candelarianie od stuleci byli narodem kupców. Otwierali drzwi przed każdym zdobywcą, jaki się napatoczył, a potem dalej robili interesy. Musiałem ich trochę rozpalić, że tak powiem.

– A więc to oni pójdą w pierwszej fali?

– Tak jest. Za nimi podążą główne siły Perigraine, które wesprą przeprowadzony drogą morską atak lądowym uderzeniem na Rone. Sforsują Candelan pośród wzgórz na południu. Południowa Torunna jest słabo broniona i upadnie szybko. Nasz wywiad donosi, że torunnański król w końcu wymaszerował na czele głównej armii. Płynie rzeką na północ, w stronę przesmyku. W stolicy została tylko garstka regularnych żołnierzy oraz tłum rekrutów. Nim wielki Corfe zorientuje się, jakie są nasze zamiary, będziemy w Torunnie, a on zostanie wzięty w dwa ognie.

– A co z Gaderionem? Jak silny nacisk mamy tam wywierać na Torunnan?

– Bardzo silny, Bardolinie. Musimy przekonać Corfe'a, że jego obecność w przesmyku jest

niezbędna, by zapobiec upadkowi twierdzy. Dlatego szturm musi być prowadzony z całą bezwzględnością. Jeśli Gaderion padnie, tym lepiej. Ale nie musi paść. Jego zadaniem jest zaprzętać uwagę głównej torunnańskiej armii.

Bardolin skinął głową z nieustępliwą miną.

– Wykonamy to zadanie.

– A co z Golophinem? Masz od niego jakieś wieści?

– Zniknął. Zamknął umysł i odgrodził się od świata. Niewykluczone, że nie ma go już w Torunnie.

– Naszemu przyjacielowi Golophinowi zaczyna brakować czasu – rzekł cierpkim tonem Aruan,

ocierając łysinę. – Wytrop go, Bardolinie.

– Zrobię to. Możesz na mnie liczyć.

– Świetnie. Muszę teraz odpocząć. W najbliższych dniach będę potrzebował siły. Cztery z Pięciu Królestw należą już do nas, Bardolinie, ale to piąte jest najtrudniejsze do zdobycia. Kiedy padnie, będziemy bliscy dorównania dawnemu Imperium Fimbriańskiemu.

– A co z samymi Fimbrianami? – zapytał Bardolin. – Ich poselstwo opuściło Charibon przed wieloma tygodniami i od tego czasu nie usłyszeliśmy od nich ani słowa.

– Czekają, żeby się przekonać, jak się powiedzie Torunnie. Och, mam pewne plany również wobec Fimbrii, niech ci się nie zdaje. Elektorzy zbyt długo już trzymali się z dala od spraw świata. Wydaje im się, że ich ojczyzna jest niezdojta. Być może będę musiał wyprowadzić ich z błędu.

Aruan uśmiechnął się. Przed jego oczyma pojawiła się wizja kontynentu zjednoczonego pod jedną władzą. Stanowczą, ale dobroczynną, niekiedy brutalną, lecz zawsze sprawiedliwą.

– Gdy Torunna padnie, zostaniesz jej prezbiterem – oznajmił Bardolinowi. Potem przymrużył powieki i wydał wargi. – A jeśli chodzi o pana Golophina, dam mu ostatnią szansę. Znajdź go i porozmawiaj z nim. Powiedz mu, że jeśli przyjdzie do nas z otwartym sercem i czystym sumieniem, będzie mógł w moim imieniu władać Hebrionem. Nie mógłbym mu zaoferować wspanialszej nagrody.

W oczach Bardolina pojawił się błysk.

– To go przekona. Jestem tego pewien. Ta propozycja przechyli szalę.

– Tak jest. Rzecz jasna, będziemy musieli rozczerować Murada, ale jestem pewien, że znajdziemy dla niego jakieś inne zajęcie, kiedy już zabije hebrionką królową i jej marynarza. Znakomicie! Sprawy posuwają się naprzód, przyjacielu. Orkh wprowadza się już do Astaracu, a nasze armie zbierają się przed ostatnią kampanią. Musisz wrócić do Gaderionu i znowu zacząć szturmować te mury. – Ucisnął dłoń Bardolina. – Mój generale-magu, zdobądź dla mnie wierność Golophina, a we trójkę zaprowadzimy porządek na tym nieszczęsnym świecie.

* * *

Po bezkresnym, spienionym, skąpanym w blasku księżyca przestworze Levangore przesuwały się wysokie fale, pędzone zmiennym wiatrem wiejącym z południowo-południowego wschodu. Na czarnej kopule bezchmurnego nieba lśniły punkciki gwiazd i jasny jak srebrna latarnia księżyc.

Richard Hawkwood wbił wzrok w Gwiazdę Polarną, spoglądając przez dwa maleńkie przezierniki kwadrantu. Pion zwisał swobodnie i kapitan kołysał się wraz z pokładem, rekompensując w ten sposób jego ruchy. Gdy poczuł się usatysfakcjonowany, złapał za pion i odczytał wynik na skali. Okręt znajdował się sześć stopni na południe od szerokości geograficznej Abrusio. Sześć stopni odpowiadało z górą trzystu milom. Zgodnie z jego obliczeniami w ciągu ostatnich jedenastu dni przemieścili się około sześciuset mil na wschód. Znajdowali się na południe od Candelarii, mniej więcej na szerokości geograficznej Garmidalanu. Mieli za sobą dwie trzecie drogi.

Zerknął na różę kompasową. Płynęli na północno-północny wschód, mając wiatr z prawego baksztagu. Kazał wreszcie rozwinąć na dwóch pierwszych masztach ożaglowanie rejowe, pozostawiając łacińskie żagle tylko na bezanmaszcie. *Zajac Morski* wspinał się zgrabnie na fale, płynąc pod kursami i marslami. Płynęli z prędkością około pięciu węzłów. Choć żaglowiec żwawo sunął naprzód, doświadczony obserwator mógłby zauważyć, że znaczną część olinowania wielokrotnie wiązano i splatano, a fokmaszt wzmocniono dębowymi belkami oraz niezliczonymi linami, żeby się nie rozleciał. Wzdłuż całej jego długości biegła szczelina.

Udało im się prześcignąć sztorm i przemknęli przez Cieśniny Malacarskie, niemalże ocierając się o brzeg. Hawkwood dzień i noc przebywał na pokładzie, a człowiek przy sondzie co chwila sprawdzał głębokość. Potem wiatr skręcił w lewo i powoli odzyskał naturalny charakter. Typowa dla tej pory roku na Morzu Hebrionńskim bryza zastąpiła zrodzoną z dweomeru wichurę. To jednak jeszcze nie był koniec trudów załogi. *Zajac Morski* poważnie ucierpiał podczas wyścigu ze szkwałem i choć nie mógł przerwać rejsu ani zawinąć do brzegu, załoga była w stanie rozpocząć prace remontowe.

Trwały one prawie tydzień i nawet w tej chwili okręt nabierał stanowczo za dużo wody i podczas każdej wachty trzeba było na pół szklanki uruchamiać pompy. Nie zatonęli jednak i wyglądało na to, że udało im się prześcignąć prześladowców dzięki połączeniu szczęścia, umiejętności żeglarskich oraz znakomitej konstrukcji szybkiego żaglowca. Załoga wyglądała jak banda bladych duchów. Ludzie zapadali w sen, gdy tylko mogli się położyć, ale przeżyli. Najgorsze mieli za sobą.

Hawkwood schował różę kompasową do szafki, zanotował położenie statku na zabazgranej mapie swego umysłu i ziewnął szeroko. Jego pas zwisał luźno. Wkrótce będzie musiał zrobić w nim nową dziurę. Za to odrosły mu włosy i jego czaszkę znowu porastała stercząca, upstrzona siwizną szczecina.

Wachtę pełnił Ordio, jeden z lepszych podoficerów na pokładzie. Z wystudiowaną nonszalancją przyglądał się rozgwieżdżonemu nocnemu niebu, opierając się o reling po prawej burcie. Minęły już dwie szklanki porannej wachty i za godzinę miał nadejść świt. Hawkwood obiecywał sobie, że gdy wreszcie dotrą do lądu, prześpi całą dobę. Od tygodni nie spał więcej niż godzina, góra dwie na raz.

– Zawołaj mnie, jeśli wiatr się zmieni – rozkazał odruchowo Ordiowi i zszedł pod pokład, chwając się lekko na nogach z nigdy go nieopuszczającego zmęczenia. Koce na hamaku były wilgotne i cuchnęły pleśnią, ale nic mu to nie przeszkadzało. Ściągnął mokre łachy, z rozkoszą wczuł się pod narzuty i zasnął natychmiast.

Po pewnym czasie coś obudziło go gwałtownie. Słońce już wzeszło, ale w kajucie było ciemno. *Zajac Morski* nadal płynął ustalonym kursem, choć, sądząc po dźwięku opływającej kadłub wody, zwiększył prędkość o jakiś węzeł. To jednak nie szum wody go obudził. W kajucie ktoś był.

Usiadł, zrzucając koce w ciemności, ale dwie dłonie wsparte na jego ramionach nie pozwoliły mu wstać. Wzdrygnął się, gdy zimne usta dotknęły jego ust. Potem po jego zębach przesunął się ciepły język. Uniósł ręce i wziął w dłonie twarz tej, która go całowała. Poczł pod palcami twardą bliznę na miękkim policzku.

– Isollo.

Ona jednak nie odezwała się ani słowem, tylko pchnęła go na hamak. Rozległ się szelest i trzask guzików. Potem położyła się obok niego. Zadrżała, czując na nagiej skórze dotyk cuchnących koców. Jej rozpuszczone włosy łaskotały delikatnie twarze ich obojga, gdy szukali się w ciemności. Hamak kołysał się, a liny, na których wisiał, poskrzypywały w rytm stłumionych odgłosów wydawanych przez kochanków. Kiedy skończyli, jej skóra była ciepła i wilgotna pod jego dotykiem. Pot skleił ze sobą oba ciała. Hawkwood zaczął coś mówić, ale zakryła mu usta dłonią i uciszyła go pocałunkiem.

Potem zeszła z hamaka. Słyszał kroki jej bosych stóp na deskach pokładu, kiedy się ubierała. Wsparł się na łokciu i zobaczył szczupłą sylwetkę w promieniach słońca przedostających się do środka przez szczelinę pod drzwiami.

– Dlaczego? – zapytał.

Zajęta splataniem włosów Isolla znieruchomiała na chwilę, pozwalając, by znowu opadły jej na ramiona.

– Nawet królowe potrzebują od czasu do czasu odrobiny pociechy.

– A czy nadal byś jej potrzebowała, gdybyś nie była królową podbitego królestwa?

– Gdybym nie była królową, nie byłoby mnie tutaj, kapitanie. Ani ciebie.

– Gdybyś nie była królową, ożeniłbym się z tobą i byłabyś szczęśliwa.

Zawahała się.

– Wiem o tym – rzekła cicho. Potem zebrała rzeczy i wymknęła się przez drzwi równie cicho, jak przyszła.

* * *

Spędzili na jaskrawoniebieskim wiosennym morzu jeszcze dwa dni i rutyna pokładowych czynności stała się dla wszystkich stylem życia. Władaly nim szklanki, a jego rytm wyznaczały niezapadające w pamięć posiłki. *Zajac Morski* żeglował miarowo przed siebie, aż wreszcie stał się całym ich światem, izolowanym i uporządkowanym. Wiatr był przychylny, a niebo przesłaniały nieliczne, wysoko się unoszące chmury. Nigdzie nie widzieli innych statków, choć ludzie na oku dniem i nocą wypatrywali masztów. Hawkwoodowi wydawało się to dziwne. Przez Levangore, zwłaszcza jego zachodnią część, biegły niektóre z najruchliwszych szlaków morskich na świecie, a mimo to nie widzieli dotąd ani jednego żagla.

Wiatr wciąż skręcał w lewo, aż wreszcie zaczął wiać ze wschodnio-południowego wschodu. By nie tracić zbyt szybko, Hawkwood musiał zmienić kurs na północno-północno wschodni, żeby mieć wiatr z baksztagu. Z lewej burty mieli teraz błękitne sylwetki gór Malvennoru, które tworzyły kręgosłup Astaracu, ojczyzny Isolli. Królowa całymi godzinami stała przy zawietrznym relingu, wpatrując się w kraj swego dzieciństwa. Ludzie na oku patrzyli na otwarte morze i dlatego to Isolla przyszła do Hawkwooda podczas popołudniowej wachty i wskazała na horyzont na południowym zachodzie.

– Co o tym sądzisz, kapitanie?

Hawkwood wyteżył wzrok i ujrzał na tle sinych cieni gór ciemną plamę, wysoką czarną kolumnę wznoszącą się ku niebu.

– To dym – stwierdził. – Jakiś wielki pożar gdzieś w oddali.

– To Garmidalan – szepnęła Isolla. – Spalili miasto.

Stała na pokładzie przez cały dzień, wpatrując się w odległy słup dymu. Gdy zapadł zmierzch, wszyscy mogli zobaczyć na zachodnim horyzoncie czerwoną lunę, nie mającą nic wspólnego z zachodem słońca.

O zmierzchu pojawił się na pokładzie Bleyn, który przez cały dzień wiernie towarzyszył dręczonej chorobą morską Jemilli. Chłopak podszedł do stojącej przy relingu Isolli. Między nimi nieoczekiwanie nawiązała się przyjaźń. Gdy Hawkwood zobaczył, jak stoją obok siebie przy relingu jego okrętu, spoglądając na falujące morze, poczuł w piersiach niemal fizyczny ból. Nie potrafił jednak powiedzieć dlaczego.

– Żagiel na horyzoncie! – zawołał człowiek na oku.

– Gdzie?

– Za prawym baksztagiem, kapitanie. Widać tylko maszty. Ma na nich mało płótna, ale to chyba

rejowe żagle.

Hawkwood wbiegł na wanty po prawej burcie, a potem wspiał się po wantach wręgi środkowej na top grotmasztu. Obserwator siedział na rei nad nim. Wpatrując się w kilwater okrętu, lekko fosforyzujący w świetle coraz wyraźniejszych gwiazd, kapitan zdołał zauważyć na horyzoncie czerwono-żółty błysk. Otarł załzawione oczy, ale nie zobaczył już nic więcej. Obcy żaglowiec, jeśli rzeczywiście był to żaglowiec, płynął mniej więcej tym samym kursem co oni. Z pewnością jednak nie miał na masztach nic więcej niż zrefowane kursy, bo w przeciwnym razie rysowałby się biało na tle nieba. To znaczy, że mu się nie śpieszyło.

Mimo to Hawkwoodowi nie spodobał się ten widok. Zaczął wykrzykiwać rozkazy, nie schodząc z masztu.

– Wszyscy na pokład! Do żagli! Arhuz, rozwiń bramsle, grotstaksel i bezansstaksel.

– Tak jest. Wstawać, wstawać, lenie! Właźcie na reje, bo inaczej pogonię was liną!

Po paru minutach na rejach zaroilo się od ludzi. Tłum marynarzy minął Hawkwooda, wspinając się na górę, by rozwinąć bramsel. Gdy dodatkowe żagle pojawiły się na rejach, okręt zadrżał, a jego dziób wyraźnie się pochylał. Kilwater pojaśniał od turbulencji. Hawkwood czuł też skrzywienie napiętych masztów. *Zając Morski* zwiększył prędkość niczym spięty ostrogami rumak pełnej krwi. Jego kapitan znowu skierował spojrzenie za rufę.

I ujrzał jasne sylwetki rozwijanych żagli. Choć zwiększyli prędkość, żaglowiec w całości wysuwał się już zza horyzontu. To musiała być szybka jednostka, a jej załoga z pewnością była liczna, jeśli zdołała rozwinąć tak wiele żagli w równie krótkim czasie. Na grotmaszcie i bezanmaszcie pojawiły się żagle skośne, co znaczyło, że okręt jest barkentyną. Boże wszechmogący, ależ był szybki. Hawkwood poczuł w żołądku nagły chłód.

Spojrzał na pokład. Ludzie zapalali lampy przy relingu rufowym.

– Stać! Zgaście te światła!

Nastrój na pokładzie zmienił się w jednej chwili. Marynarze skierowali poblądłe twarze w stronę kapitana, a potem spojrzeli za rufę. Obcy żaglowiec zbliżał się tak szybko, że było już go widać nawet z pokładu rufówki.

Hawkwood przełknął ślinę, przeklinając nagłą suchość w ustach. Na obu burtach barkentyny pojawił się szereg świateł. Okręt otwierał furty armatnie. Kapitan zwiesił głowę.

– Sternik, halsować na wiatr! – zawołał ochrypłym głosem. – Przygotujcie się do walki.

Zszedł powoli z masztu. Pokład na dole eksplodował gorączkową aktywnością. Nieprzyjaciel znowu ich doścignął.

OSIEMNAŚCIE

Ostatnie z wozów już porzucono i ludzie z armii uginali się teraz pod ciężarem plecaków, a na tyle ich ogromnej kolumny podążała pobrzękująca, porykująca kawalkada ciężko objuczonych mułów, popędzanych przekleństwami poganiaczy. Zostawili już za sobą ostatni bity trakt i posuwali się naprzód wąską, kamienistą ścieżką. Przed nimi piętrzyły się Góry Cymbryckie. Z ich szczytów opadały gęste chmury śniegu.

Opuścili Torunn przed dziesięcioma dniami i mieli już za sobą pierwszy, łatwy etap podróży. Trzy dni płynęli w górę rzeki, a po ciągnącym się bez końca wyokrętowaniu przez pięć kolejnych maszerowali przez spokojne, rolnicze tereny północnej Torunny. W każdej wiosce i miasteczku byli witani radosnymi okrzykami, a mieszkańcy bez oporów zaopatrywali ich w potrzebny prowiant. Tysiąc mułów i siedem tysięcy koni wyskubało aż do korzeni wiosenną trawę na wszystkich pastwiskach. Król Torunny co wieczór wzywał do siebie miejscowych właścicieli ziemskich i własnoręcznie wypłacał im rekompensatę w złocie.

Gościnne równiny zostały już jednak za nimi, podobnie jak pogórze. Znajdowali się u podstawy Gór Cymbryckich, najwyższych w zachodnim świecie, a ich spocone twarze kierowały się ku położonym wyżej śniegom i lodowcom. Po drugiej stronie gór czekała ich bitwa.

* * *

Corfe zatrzymał wierzchowca na szczycie wysokiego, skalistego wzgórza, przyglądając się mijającej go armii. Towarzyszyli mu Felorin, generał Comillan ze Straży Osobistej, chorąży Baraz oraz odziany na czarno mężczyzna wędrujący na piechotę – marszałek Kyne, który pod nieobecność Formia dowodził Sierotami.

Przednią straż stanowiło pięć tysięcy Katedralników prowadzących konie za uzdy. Większość z nich pochodziła z tych właśnie okolic. Dalej podążało dziesięć tysięcy doborowych torunnańskich żołnierzy uzbrojonych w szable i arkebuzy. Potem szły Sieroty, dziesięć tysięcy fimbriańskich wygnańców dźwigających na ramionach piki. Za nimi wlokła się długa karawana mułów, a kolumnę zamykało pięciuset pancernych jeźdźców ze Straży Osobistej Corfe'a, zakutych w czarne zbroje *ferinai*.

Zarówno torunnańska piechota, jak i Sieroty, prowadzili ze sobą lekkie działa, posuwające się pośrodku kolumny. Niekiedy trzeba je było przenosić przez głębokie strumienie albo rumowiska osypujących się głazów. To były konne sześćofuntówki, wszystkiego zaledwie trzy baterie. Corfe nie odważył się zabrać w góry nic więcej.

W sumie owego wiosennego poranka ku szczytom Gór Cymbryckich wędrowało z górą dwadzieścia sześć tysięcy ludzi. Ich kolumna ciągnęła się na zbyt wąskiej ścieżce przez blisko cztery mile. Nie była to najliczniejsza armia, jaką Torunna kiedykolwiek wysłała do boju, ale Corfe nie wątpił, że zalicza się do najgroźniejszych. W długiej kolumnie mieli swych reprezentantów najlepsi żołnierze z czterech różnych ludów: Torunnan, Fimbrian, cymbryckich dzikusów oraz Merduków. Jeśli zdołają się przedostać przez góry, będą po ich drugiej stronie sami i pozbawieni wsparcia, a przeciwko nim staną armie z całej reszty świata. Muszą zdobyć Charibon albo zginą, a wraz z nimi zginie ostatnia, najlepsza nadzieja dla świata.

Koniec był już bardzo blisko – kres ostatniej, najdłuższej wojny, jaką mieli toczyć ludzie w tej epoce. Hebrion padł. Nieprzyjaciel podporządkował sobie również Astarac, Almark i Perigraine. Ze wszystkich Bożych Monarchii wolność zachowała tylko Torunna.

Zrównam Charibon z ziemią, pomyślał Corfe, siedząc na koniu i przyglądając się mijającej go armii. Zabiję wszystkich czarodziejów, zmiennokształtnych i czarownice, których zdołam znaleźć. Uczynię z upadku Aruana straszną nauką dla przyszłych pokoleń. A jego Zakon Inicjantów zetrę z

powierzchni ziemi.

Pojawił się białozór i zatoczył szeroki krąg wokół głowy Corfe'a. Wydawało się, że ptak patrzy na niego. Po chwili opadł w dół, tak szybko, jakby atakował zdobycz, i usiadł na uschniętym konarze jarzębiny. Król oddalił się od swych oficerów, by nie mogli podsłuchiwać ich rozmowy.

– I co, Golophinie?

– Twoja ścieżka istnieje, Corfe, choć słowo „ścieżka” może być nieco zbyt optymistyczne. Po tej stronie gór niebo jest czyste, ale na zachodzie szaleje ostatnia wiosenna śnieżycą. Warstwa śniegu szybko rośnie.

Corfe pokiwał głową.

– Spodziewałem się tego. Felimbri mówili nam, że zima najdłużej trwa po zachodniej stronie gór, ale i tak droga jest tam łatwiejsza. – Wskazał na armię, która posuwała się przed nim niczym kolczasty wąż, zdecydowany wdrzeć się w głąb gór. – Gdy już opuścimy pogórze i znajdziemy się nad linią śniegów, dotrzemy do ogona lodowca, któremu plemiona nadały nazwę „Gelkarak”. To znaczy „Zimny Zabójca”. Ten lodowiec stanie się dla nas drogą przez góry.

– To niebezpieczna trasa. Widziałem ten lodowiec. Jest popękany i poprzieszany szczelinami jak pumeks. Z gór często schodzą tam lawiny.

– Gdyby wyrosły nam skrzydła, przelecielibyśmy nad górami – odparł Corfe, uśmiechając się ironicznie. – Ale ponieważ to niemożliwe, musimy się zadowolić tą trasą. – Przerwał na chwilę. – Jak wygląda sytuacja w... gdzie właściwie byłeś, Golophinie?

– Powrót Nasira z wojskami przywrócił spokój w Aurungabarze. Wszyscy uznali go za sułtana Ostrabaru. Połączy swą koronację ze ślubem. Uroczystość odbędzie się, gdy tylko Mirren dotrze do miasta.

Corfe odetchnął głośno.

– A ile jeszcze drogi jej zostało?

– Powinna zjawić się u bram za pięć dni. Zostawiła wozy z tyłu i bardzo szybko posuwa się naprzód konno w towarzystwie niewielkiej świty.

Corfe uśmiechnął się na te słowa.

– To do niej podobne. A co z tobą, Golophinie? Kiedy wrócisz do armii?

– Mam nadzieję, że dzisiejszej nocy, kiedy rozbijecie obóz. Wieczorem mam się spotkać z shahrem Barazem młodszym. Mam wrażenie, że coś go gryzie. Zostanę z wami aż do końca. Jestem przekonany, że po przejściu przez góry będziecie potrzebowali mojej pomocy, panie. Do zobaczenia.

Białozór zerwał się do lotu tak gwałtownie, że sucha jarzębina aż się zatrzęsała, i zniknął w chmurze wiszącej nad najbliższymi szczytami. Corfe trącił wierzchowca, nakazując mu wracać do czekających cierpliwie oficerów.

– Panowie, jutro miniemy granicę śniegów – oznajmił im, wciąż śledząc wzrokiem lot ptaka.

* * *

Śnieg jednak znalazł ich wcześniej. Gdy wieczorem rozbijali obóz, z gór zeszła zimna wichura, przynosząc ze sobą gwałtowną, oślepiającą śnieżycę. Twardy śnieg był suchy jak piasek i niemal równie drobny. Wielu ludzi dało się zaskoczyć. Wiatr wyrwał im z rąk skórzane namioty, które ulatywały w dal. Wyszarpywał również płaszcze z plecaków i gasił ogniska. Spanikowane muły zaczęły wierzgać. Niektóre wyrwały się poganiaczom i uciekły cwałem tą samą drogą, którą tu przyszły. Kilka innych, przerażonych zderzeniem z niesionym wiatrem namiotem, który wypadł ze śniegu niczym diabeł, skoczyło z niskiego urwiska i wylądowało na skałach na dole, łamiąc nogi. Ich juki pękły i czarny proch wysypał się na śnieg.

Sciana śnieżycy otoczyła ze wszystkich stron tysiące ludzi kulących się z zimna pośród wzgórz.

Upłynęło kilka godzin, nim udało się przywrócić porządek, rozbić namioty i obciążyć je kamieniami, spętać muły i powiązać je w nieruchome szeregi. Dopiero wtedy ludzie mogli pochłonąć zimne racje żywnościowe przy ledwie się tłących ogniskach.

Wiatr uspokoił się z chwilą wschodu księżyca. Stojący przed przekrzywionym namiotem Corfe uniósł wzrok i zobaczył, że niebo się przejaśnia. Rozbłysły na nim miliony gwiazd, odległych, migotliwych płomyków, czerwonych i niebieskich. W ich blasku na drobnym śniegu, który pokrywał teraz ziemię grubą warstwą, pojawiły się delikatne cienie. Wyglądało to tak, jakby jakimś cudem przenieśli się do innego świata, pełnego migotliwej szarości rozświetlanej blaskiem księżyca. Zaspy sprawiały wrażenie usianych maleńkimi diamentami, a ludzie przerodzili się w czarne sylwetki skąpane w księżycowej poświacie, która otaczała ich swym oddechem.

Żołnierze obudzili się dobrze przed świtem. Płachty namiotów były sztywne jak deski pod ich zdrętwiałymi palcami. Manierki wypełniała zmieszana z lodem woda. Od jej picia bolały zęby, a gdy metal zetknął się ze skórą, przymarzał do niej i trzeba go było boleśnie odrywać.

Comillan poczłapał przez śnieg do namiotu króla. Corfe dmuchał sobie w urękawiczone dłonie, spoglądając na wąskie przełęcze, ku którym zmierzali. Za jego plecami niebo jaśniało już z nadchodzącym świtem, ale na górze nadal było widać świecące zimnym blaskiem gwiazdy.

– Straciliśmy jedenaście mułów i jednego pechowego chłopaka, który poszedł wieczorem się odlać i znaleziono go dopiero rano. Poza tym wygląda na to, że wszystko jest w porządku. – Król nie odpowiedział. – Mam wrażenie, że dzisiaj czeka nas trudna droga – dodał generał.

– To prawda – odezwał się wreszcie Corfe. – Comillan, chcę, żebyś wybrał trzydziestu dobrych ludzi i wysłał ich przodem na piechotę. Zbroje mogą zostawić w obozie. Ktoś musi wytyczyć trasę dla głównych sił. Najlepiej, żeby to byli ludzie z plemion, tacy jak ty.

– Tak jest.

– Czy nagle śnieżyce o tak późnej porze są tu czymś normalnym?

– Wiosną? Nie, choć czasem się zdarzają. To był dopiero początek. Ale przynajmniej ludzie czegoś się nauczyli. Wyciągają z plecaków zimowe łachy i zbierają drwa, dopóki jeszcze mogą. Załaduję na muły, ile tylko się da. Wyżej w górach opał nam się przyda.

– Znakomicie.

– Jak rozumiem, czarodziej nie wrócił, panie?

– Nie wrócił. Być może śnieżyca oślepia magów tak samo jak zwyczajnych ludzi.

Po godzinie słońce wyszło już zza horyzontu i wznosiło się szybko po bezchmurnym niebie, które wydawało się krusze i przejrzyste jak szkło. Cały świat pokryła warstwa oślepiającej bieli. Żołnierze smarowali sobie oczodoły błotem albo sadzą, żeby złagodzić blask. Niektórzy ściskali też w zębach liście, żeby nie robiły się im pęcherze na dolnych wargach. Zwiadowcy Comillana ruszyli naprzód pewnym krokiem ludzi poruszających się w znanej sobie okolicy. Wielka kolumna podążająca za nimi rozciągnęła się i podzieliła na grupki. Zmęczona armia wlokła się pod górę. Nawet kawalerzyści szli piechotą, prowadząc za uzdy parskające wierzchowce. Do każdego z dział przydzielono po całym *tercio* i żołnierze taszczyli armaty w górę po stromej, pokrytej śniegiem ścieżce.

Zdyszany Corfe zatrzymał się i spojrzał za siebie. Zielone ziemie Torunny rozciągały się w dole jak jakiś szczęśliwszy świat, o którym zapomniała zima. Na samym horyzoncie było widać coś, co z pewnością było Morzem Kardiańskim lśniącym w blasku słońca. Torrin wił się i meandrował przez królestwo, błyszczący jak klinga miecza. Tu i ówdzie rysowały się też ciemnobrązowe plamy miasteczek. Unoszący się nad nimi dym brukał błękit firmamentu.

Niebo pozostawało czyste jeszcze przez dwa dni. Choć śnieg już więcej nie padał i tylko czasami

wiał kapryśny wietrzyk z południowego wschodu, temperatura spadła tak bardzo, że płaszcze ludzi pokrywał szron zrodzony z ich zamarzających oddechów, a z końskich wędzideł zwisały sopele. Śnieg pod ich stopami zrobił się twardy jak skała, co ułatwiało wędrówkę, ale na bardziej stromych odcinkach grupy ludzi musiały się wysuwać przed kolumnę, by wyrąbać kilofami w lodzie proste schody. W przeciwnym razie tysiące stóp i kopyt nie mogłyby znaleźć na nim punktu oparcia.

Byli już wysoko w górach i stoki zasłoniły przed nimi krainę leżącą na dole. Ze wszystkich stron otaczały ich zmarznięte skalne iglice, oślepiające pola śnieżne oraz białe piargi i osypiska. Corfe zmniejszył o połowę długość wart podczas ciemnych, zimnych nocy, bo ludzie nie mogli wytrzymać na mrozie dłużej niż godzinę i zaraz po warcie natychmiast chowali się pod koce. Palili niewiele ognisk, starając się nie szastać skromnym zapasem drewna. Mogło im się jeszcze przydać.

Wreszcie dotarli do końca wytyczonych przez ludzi szlaków i znaleźli się u stóp lodowca Gelkarak. Spoglądali z bojaźnią na coś, co wyglądało jak osypujące się urwisko z jasnoszarej, półprzezroczystej skały. Ale to nie była skała, tylko stary lód, który spłynął z gór w ciągu tysiącleci, tworząc potężną, zamarzniętą rzekę szeroką na pół mili i głęboką na wiele sążni.

– Musimy zamontować na szczycie wielokrążki z linami, żeby wciągnąć tam zwierzęta i działa – stwierdził Corfe, zwracając się do Comillana i Kyne’a, którzy stali obok niego, opatuleni w futra. – Będziemy pracowali przez całą noc. Nie ma czasu do stracenia. Comillan, ty zajmiesz się końmi. Kyne pomoże pułkownikowi Rilkemu z działami.

Król wpatrzył się w niebo. Jego większa część nadal była czysta, ale wokół szczytów przed nimi zbierały się posępne chmury, niosące ze sobą śnieg.

Potrzebowali dwóch dni i jednej nocy, by przetransportować kolejno na szczyt lodowca wszystkie konie, muły oraz działa. Nie wymagało to wyczynów sztuki inżynierskiej. Dowódcy skierowali do pracy przy linach grupy liczące sobie aż do trzystu ludzi. Nawet najbardziej uparty muł nie mógł się oprzeć tak wielkiej przewadze fizycznej.

Drugiego dnia tej żmudnej wspinaczki na niebie pojawiły się chmury i znowu zaczął padać śnieg. Nie była to straszliwa śnieżycą, jaka dopadła ich przedtem, ale ciężkie białe płatki, które sypały się z nieba w martwej ciszy i pokrywały ziemię ze zdumiewającą szybkością. Wkrótce ekipy na szczycie pracowały już po uda w śniegu, który pokrył również liny. Skierowano więcej ludzi do odśnieżania terenu. Kilku z nich wpadło w ukryte szczeliny i zginęło. Po tym wydarzeniu grupka Katedralników z plemienia Felimbrich zbadała lodowiec na przestrzeni kilku mil. Powiązali się ze sobą linami i posuwali naprzód krok po kroku. Oznaczyli każdą szczelinę wbitą pionowo w śnieg piką, na której szczycie powiewała ciemna płachta, wytyczając w ten sposób bezpieczny szlak dla armii. Przez cały ten czas robiło się coraz zimniej, a płuca żołnierzy funkcjonowały coraz słabiej w rzadniejącym powietrzu.

Stracili działo i sześć mułów, gdy cała seria sztywnych od lodu lin zerwała się jednocześnie i zaprzęg zsunął się z krawędzi lodowca. Mimo to pod koniec piątego dnia spędzonego w górach cała armia znalazła się na lodowcu Gelkarak i mogła ruszyć w dalszą drogę.

Lodowiec wił się między niebotycznymi turniami jak ogromny wąż o płaskim grzbiecie. Z uwagi na pokrywający go śnieg sprawiał wrażenie szerokiej, bezpiecznej drogi, ale pod tą warstwą kryło się mnóstwo dziur, szczelin i pęknięć. W ciemne, bezwietrzne noce słyszeli jęki i poskrzypywania pod stopami. Czuli się jak mrówki łażące po grzbiecie jakiejś ogromnej, niespokojnej bestii. Lodowiec biegł w przybliżeniu na zachód, a od czasu do czasu z wyżej położonych dolin docierał do niego kolejny dopływ. W ciągu trzech następnych dni przeprawy Corfe stracił piętnastu zwiadowców podążających przed główną grupą. Nawet plemiona nigdy nie zapuszczały się tak głęboko w góry.

W końcu wrócił Golophin. Pewnej mroźnej nocy pojawił się u wejścia do królewskiego namiotu i wszedł do środka, pozdrawiając skinieniem głowy Felorina, który stał obok, tupiąc nogami w śniegu. Białozór przycupnął na przedramieniu czarodzieja niczym szara oszroniona rzeźba. Twarz Golophina posiniała ze zmęczenia.

Corfe był sam. Ślęczał w blasku świec nad starożytnym, pełnym luk tekstem odkrytym przez Albreca w Torunnie. W rogu płonął mały piecyk na węgiel drzewny, ale nie ogrzewał zbytnio namiotu. W środku panował lodowaty chłód. Król spojrzął na Golophina.

– Spóźniłeś się – stwierdził, marszcząc brwi.

Czarodziej usiadł na obozowym stołku, pozwalając chowańcowi zeskoczyć na ziemię i zająć miejsce u podstawy pryczy Corfe’a. Potem zdjął z głowy kapelusz o szerokim rondzie, z którego posypał się połyskliwy śnieg.

– Przepraszam.

Corfe wręczył mu skórzany bukłak. Golophin pociągnął łyk, otarł usta i zakorkował naczynie.

– Ach, tak lepiej. Dziękuję, panie. To prawda, spóźniłem się. Od czasu naszego poprzedniego spotkania odbyłem długie wędrówki, dłuższe niż było to moim zamiarem. Ósma Dyscyplina to wspaniały dar, ale czasami kusi człowieka do przesady. Głód wieści jest potężną siłą.

– Jakie to wieści?

– Twoja córka dotarła dziś do Aurungabaru i rankiem ma wyjść za męża. Nowy sułtan Ostrabaru połączył koronację i ślub w jedną uroczystość. Potem Nasir wyruszy do Torunny na czele ludzi, których obiecał ci jego ojciec. Piętnaście tysięcy żołnierzy, głównie ciężka jazda.

– Świetnie – powiedział Corfe, choć nie wyglądał na uradowanego.

– Pułkownik Heyd dotarł do Gaderionu. Himerianie szykują się tam do drugiego szturmu.

Przynoszę ci wyrazy szacunku od generała Arasa. Utrzyma się tak długo, jak tylko zdoła, ale poniósł ciężkie straty, a liczebność Himerian zdaje się rosnąć z dnia na dzień. Dokonali już trzech wyłomów w murze kurtynowym, ale nie udało im się dotąd ustanowić przyczółka po drugiej stronie. Linie łączności z południem są otwarte. Na razie.

Corfe skinął głową. Twarz miał wychudłą i szarą od zimna.

– Czy to już wszystko?

– Nie. Najbardziej zdumiewającą wiadomością zachowałem na koniec. W Aurungabarze odbyłem kolejną rozmowę z shahrem Barazem młodszym. Sułtan i jego małżonka spoczywają już w grobie, sukcesja jest bezpieczna, ale jego nadal coś dręczy.

Corfe przyglądał się w milczeniu staremu czarodziejowi. Jego oczy lśniły czerwonym blaskiem w świetle piecyka.

– Jest przekonany, choć trudno mi było skłonić go, by to przyznał, że Aurungzeb nie zginął z ręki skrytobójcy. – Golophin zawahał się. – Zabiła go jego królowa.

Corfe zamarł w bezruchu.

– Na tym jeszcze nie koniec. Sądzi też, że potem sama przebiła się nożem. Ta ramusianka, która od siedemnastu lat była jego żoną i wydała na świat jego dzieci. Musiała go skrycie nienawidzić przez cały ten czas. Nikt nie zgadnie, co w końcu skłoniło ją do działania. Shahr Baraz kochał ją jak córkę. To on wymyślił tę historyjkę o cudzoziemskich skrytobójcach na usługach Himeriusa. Dwór i harem uwierzyli mu. Czemu miałyby wątpić w jego słowa? Nawet Nasir nie podejrzewa prawdy. Może lepiej, żeby tak zostało. Pomyślałem sobie jednak, że chciałbyś się dowiedzieć.

Król odwrócił twarz, kryjąc ją w cieniu. Zdziwiony Golophin przyglądał mu się z uwagą.

– Panie, nie mogę umknąć przed myślą, że coś cię łączyło z merducką królową. Coś...

Golophin umilkł.

Król nie poruszył się ani nie odezwał. Stary mag potarł podbródek.

– Wybacz mi, Corfe. Jestem jak kumoszka szukająca tematu do plotek. To najgorsza wada starości. Gdy starzec wypłoszy zajęcia, uważa, że koniecznie musi go dopaść. Stałem się z upływem lat zbyt podejrzliwy. Dopatruję się związków i spisków nawet tam, gdzie ich nie ma.

– Była moją żoną – wyjaśnił cicho Corfe.

– Słucham?

Król wbił wzrok w czerwone węgielki w sercu piecyka.

– Nazywała się Heria Car-Gwion i była córką kupca jedwabnego z Aekiru. Była moją żoną. Kiedy miasto upadło, myślałem, że zginęła. Ale ona ocalała. Ocalała, Golophinie, i zabrano ją do ostrabarskiego sułtana, który uczynił ją swoją królową. Poślubiłem jej rodzoną córkę. Tego bowiem wymagało dobro królestwa. A teraz mówisz mi, że zginęła z własnej ręki. W dniu, gdy ożeniłem się z dziewczyną, która powinna być moją córką. Moim dzieckiem. Była moją żoną!

Golophin wstał pośpiesznie, przewracając stołek. Corfe skierował nań wypełnione blaskiem ognia oczy. Na chwilę czarodzieja ogarnął śmiertelny strach. Nigdy w życiu nie widział w niczyjej twarzy takiej udręki, takiej nagiej przemocy.

Corfe wybuchnął śmiechem.

– Wreszcie znalazła spokój. Nie żyje. Przez wszystkie te lata życzyłem jej śmierci, bo nie potrafiłem zapomnieć. Sam również pragnąłem umrzeć. Myślę, że gdyby złożono mnie w grobie obok niej, mógłbym wreszcie odpocząć. Ale nawet po śmierci nie będziemy mogli być razem. Kiedyś byłem gotowy zrównać z ziemią wszystkie merduckie miasta na świecie, by ją odzyskać. Ale teraz jestem królem i nie mogę myśleć tylko o sobie.

Jego uśmiech wyglądał straszliwie. Przez chwilę Corfe robił wrażenie groźniejszego niż wszyscy wielcy magowie czy zmienni, jakich Golophin w życiu spotkał. Wydawało się, że powietrze wokół niego skrzy się od nagromadzonej energii.

Corfe wstał i czarodziej odsunął się od niego. Chowaniec wzbił się w powietrze i z głośnym krzykiem przerażenia wylądował na ramieniu pana. Król uśmiechnął się po raz drugi, i teraz jego twarz miała bardziej ludzki wyraz, a straszliwy blask w oczach zgasł.

– Spokojnie. Nie jestem szaleńcem ani potworem. Siadaj, Golophinie. Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Czarodziej usiadł na stołku, uspokajając przerażonego chowańca odruchowymi pieszczotami. Nie potrafił się uwolnić od pełnej zdumienia myśli, która przyszła mu do głowy.

Ten człowiek ma w sobie dweomer.

Nie, to nieprawda. To coś innego niż dweomer. Niezłomna siła potężniejsza od sztuki magów. Można by ją nazwać antydweomerem. Golophin nie potrafił tego do końca wytłumaczyć, nawet samemu sobie, zrozumiał jednak, że ma przed sobą człowieka, którego woli nic nie złamać, którego nie poskromi żadne zaklęcie. Uświadomił sobie też coś jeszcze: instynkt nie wprowadził w błąd umierającej Odelii. Jeśli ten człowiek zwycięży, może się dopuścić rozlewu krwi na ogromną skalę. Los, jaki spotkał jego żonę, zadał mu niemożliwy do uśmierzenia ból i Corfe szukał ulgi w przemocy. A Golophin nieświadomie rozniecił ten płomień jeszcze silniej.

* * *

Przez trzy następne dni armia wlokła się z mozołem szczytem lodowca Gelkarak. Starli się po drodze z serią krótkich, ale gwałtownych śnieżyc, podczas których ponieśli wielkie straty w koniach i mułach. Stracili też kolejne działo, które wpadło w szczelinę, pociągając za sobą z górą dwudziestu żołnierzy powiązanych z nim linami. Rozległ się trzask przypominający wystrzał z arkebuza i działo przebiło pokrywą ośnieżonego lodu, pociągając za sobą w otchłań wrzeszczących mężczyzn, jakby

byli rybami złapanymi na linkę z wieloma haczykami. Po tym wypadku ludzie posuwali się naprzód ostrożniej. Ich prędkość spadła jeszcze bardziej, gdy sobie uświadomili, że w gruncie rzeczy to kwestia szczęścia, czy człowiek postawi nogę w niewłaściwym miejscu, czy też nie. Rozładowano juczne muły, by zaprząć je do dział zamiast ludzi, to jednak oznaczało, że żołnierze dźwigali jeszcze większe ciężary. Pokonywali w ciągu dnia najwyżej siedem i pół mili, częściej znacznie mniej. Według oceny Corfe'a mieli za sobą dopiero jakąś połowę drogi.

Powietrze zrobiło się rzadkie i drażniło płuca. Nawet najzdrowsi mężczyźni dyszeli ciężko podczas marszu. Na szczęście pogoda znowu się poprawiła i choć podczas gwiaździstych nocy przeraźliwy mróz zadawał im męki, dni były słoneczne i pogodne. Wiele zwierząt okulało, raniąc sobie nogi o pokrywającą śnieg skorupę. Kawalerzyści szybko się nauczyli owiazywać pęciny swych wierzchowców. Zimno odbierało siły zarówno zwierzętom, jak i ludziom. Wielu żołnierzy, zwłaszcza Torunnan, wkrótce zaczęło cierpieć z powodu odmrożeń oraz ślepoty śnieżnej. Po naradzie starszych stopniem oficerów zdecydowano, że chorych zostawi się z tyłu z niewielką strażą, by wrócili na wschód tak szybko, jak tylko zdołają. Razem z nimi zostały dziesiątki znużonych zwierząt, które mogły jeszcze dźwigać ciężar jeźdźców, a także znaczna część zapasów.

Minęli już jednak najwyższy punkt trasy i zostawili lodowiec za sobą. Znaleźli wąski szlak prowadzący w kierunku zachodnio-południowo-zachodnim i podążyli nim, zgodnie ze wskazówkami zawartymi w starym tekście posiadanym przez Corfe'a. Droga była tu trudniejsza niż na lodowcu, usiana licznymi głazami i drobnymi kamieniami, ale była też mniej zdradziecka i nastrój ludzi się poprawił.

Wreszcie, dwudziestego czwartego dnia po opuszczeniu Torunnu, nadszedł wieczór, gdy żołnierze zatrzymali się u wylotu wielkiej doliny między dwiema skalnymi wyniosłościami i spojrzeli w dół, na mroczniejące z chwilą zachodu słońca bezkresne Równiny Toriańskie oraz bliższe, leżące niemal u ich stóp, morze Tor, które lśniło krwawoczerwonym blaskiem.

Liczebność armii zmniejszyła się o z górą tysiąc ludzi, stracili też kilkaset mułów i koni, ale udało im się osiągnąć cel. Przeszli przez Góry Cymbryckie i od Charibonu dzieliło ich tylko niespełna sto mil łatwego marszu.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Aurungabar był w ciągu jednego miesiąca świadkiem pogrzebu sułtana i jego królowej oraz ślubu i koronacji nowego sułtana i jego królowej. W mieście nadal panował nastrój niepewności, ale obecność w obrębie murów oddziału wojska niezachwianie wiernego sułtanowi Nasirowi wywierała silnie uspokajające działanie. Harem oczyszczono ze wszystkich, którzy knuli spiski podczas krótkiego bezkrólewia. Absolutny władca Ostrabaru dowiódł swej wartości, działając szybko i bezlitośnie. Mógł być jeszcze młodzieńcem, ale miał zdolnego wezyra w osobie shahra Baraza młodszego. Krążyły też pogłoski, że nowa ramusiańska małżonka bardzo mu pomogła w konsolidacji pozycji. Była ponoć czarodziejką o znacznej mocy, potężniejszą nawet niż jej matka czarownica. W krnąbrnej stolicy szybko zapanował spokój i zaczęły krążyć pogłoski, że sułtan czuje się już wystarczająco pewny swej pozycji i pragnie jak najszybciej wyruszyć na wojnę.

Nasir zamknął się z nowym wezyrem w jednym z mniejszych apartamentów Królewskiej Sypialni. Siedział za biurkiem, przerzucając stertę papierów, a shahr Baraz spoglądał mu przez ramię, wskazując na coś od czasu do czasu. O szyby tłuł wiosenny deszcz, a na kominku pod jedną ze ścian palił się żółty ogień. Na drewnianym stojaku przy drzwiach umieszczono merducki półpancerz, a na obramowaniu kominka leżał skryty w pochwie tulwar. W pewnej chwili Nasir potarł powieki i wyprostował się z potężnym ziewnięciem. Szczupły i ciemnowłosy, miał śniadą cerę i szare oczy. Był ubrany w szatę z czarnego jedwabiu, połyskującą w świetle ognia.

– Wszystko to może poczekać, Baraz. Wszystkie te nominacje na urzędy i zwolnienia z podatków to błahostki.

– Nieprawda, Nasirze – sprzeciwił się z naciskiem wezyr. – To takie drobne dary pozwolą ci kupić lojalność ludzi.

– Jeśli trzeba ją kupować, to znaczy, że nie jest nic warta.

Shahr Baraz uśmiechnął się krzywo.

– Mówisz zupełnie jak matka.

Nasir pochylił głowę. Jego jasne oczy pociemniały.

– To prawda. Nigdy nie myślałem, że odziedziczę tron w ten sposób, Baraz. Nie w ten sposób.

Wezyr położył mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, mój sułtanie. Ale teraz ten ciężar spoczywa na twoich barkach. Dorośniesz do niego z czasem. Zacząłeś całkiem nieźle.

Twarcz Nasira znowu się rozpromieniła. Chłopak odwrócił się.

– Tylko nieźle?

Obaj parsknęli śmiechem.

Rozległo się pukanie do drzwi i bezceremonialnie weszła przez nie królowa. Ona również była odziana w czarny jak noc jedwab. Złote włosy miała rozpuszczone, a na jej ramieniu siedziała szczebiocząca cicho marmozeta. Oczy małpki błyszczały jak klejnoty.

– Nasirze, czy przyjdiesz wreszcie do łóżka? Jest już parę godzin po półno...

Zobaczyła shahra Baraza i skrzyżowała ramiona na piersiach.

Nasir wstał i podszedł do niej. Wezyr widział, jak na siebie patrzą. W ich oczach została jeszcze resztką nieśmiałości, ale był tam też żar. To przynajmniej wypadło dobrze, pomyślał. Trzeba się cieszyć z małych radości. A także z tych, które nie są takie małe.

– Zatonąłem w nudnych szczegółach – wyjaśnił żonie Nasir – mimo że pragnę tylko jak najszybciej wyruszyć na czele armii.

– Jesteś pewien, że pragniesz tylko tego, panie?

Uśmiechnęli się do siebie jak dwoje psotnych dzieci. Faktycznie, żadne z nich nie miało jeszcze

osiemnastu lat.

– Armia wyrusza rankiem, królowo – oznajmił shahr Baraz. Jego niski, starczy głos wyrwał ich z rozmarzenia.

– Wiem o tym – odparła Mirren. Z jej twarzy zniknęła wesołość. – Odwiedził mnie Golophin. Już od wielu dni pokazuje się tu co chwila. Jeśli Nasir ma wyruszyć przed świtem, powinien choć chwilę odpocząć.

– Zgadzam się – rzekł shahr Baraz. – Ale musimy załatwić z sułtanem jeszcze parę spraw, a noc ucieka, pani.

Mirren przymrużyła powieki. Marmozeta syknęła na shahra Baraza. Z twarzy dziewczyny zniknął jednak wyraz buntu, gdy ujrzała błysk nieustępliwości w oczach wezyra. Pocałowała Nasira w usta i wyszła. Gdy sułtan odwrócił się z westchnieniem, zobaczył, że Baraz potrząsa z uśmiechem głową.

– Ładna z was para. Czern i złoto. Będziecie mieć piękne dzieci, Nasirze. Znalazłeś sobie wspaniałą królową, ale jest uparta i samowolna jak wojskowy muł. – Oburzony Nasir otworzył usta, ale shahr Baraz pochylił ze śmiechem głowę. – Tak powiedział Golophin. Ten wścibski starzec rozmawiał również ze mną. Pod wieloma względami jest córką swego ojca. Prawdę mówiąc, przypomina mi też...

Umilkł nagle, ale i tak wiedzieli, co chciał powiedzieć.

* * *

Merducka armia wymaszerowała przed wschodem słońca, gdy na ulicach było tak spokojnie, jak to tylko możliwe w stolicy. Żołnierze ustawili się w szyki na placu Chwały Bożej, na który ongiś spoglądał z posępną miną pomnik Myrniusa Kulna, a potem pomaszerowali w długich szeregach ku Bramie Zachodniej. Była zimna, bezchmurna noc, słońce nie wyjrzało jeszcze zza Gór Jafrarskich, a król Corfe z Torunny, który ongiś uciekł przez tę samą bramę z płonącego Aekiru, nie dotarł nawet do podnóża Gór Cymbryckich. Nasir wiódł na zachód piętnaście tysięcy ciężkozbrojnej jazdy. Szedł z odsieczą królestwu, które było niegdyś najgorszym wrogiem jego ludu. Był jednak młody i rzadko zastanawiał się nad ironią kryjącą się w podobnych sytuacjach. Co więcej, połowa krwi płynącej w jego żyłach wywodziła się z tamtego królestwa. Podobnie jak młoda żona, którą już zdążył pokochać.

* * *

Tego samego poranka dwa okręty mknęły przez wschodnie Levangore z szybkością galopujących koni. Ich maszty były sztywne, rozwinięto bowiem prawie wszystkie żagle, a na pokładach roіło się od ludzi. Przez cały wieczór i noc oba żaglowce mknęły na północno-północny wschód, mając świeżą bryzę z lewego baksztagu. Teraz z ich prawej burty majaczyły fioletowe sylwetki Gór Cymbryckich, maszerujących ku morzu na wschód od Candelanu. Torunna, ostatnie z wolnych królestw zachodu, rysowała się przed nimi w blasku świtu. Promienie słońca najpierw dotknęły śniegu na górskich szczytach, nadając mu szkarłatno-różową barwę. Turnie wyglądały jak duchy unoszące się nad pogrążonymi w mroku górami.

Murad patrzył przez chwilę na wschód słońca, po czym ponownie przeniósł spojrzenie na uciekający żaglowiec. Nocą szebeka próbowała ich zgubić, ale księżyc świecił zbyt jasno, a ścigający mieli za bystry wzrok. Znajdowała się teraz zaledwie nieco ponad cztery kable przed nimi, prawie w zasięgu dział. *Zmartwychwstaniec* zbliżał się do niej szybko.

Istota, która była ongiś lordem Galiapeno, spojrzała w stronę rufy, na mężczyznę w czarnym habicie inicjanta, który stał obok grotmasztu. Postać przypominała nieruchomy kamienny maszkaron, mimo że barkentyna kiwała się i kołysała mocno. Mężczyzna emanował bezgłośną wibracją, wyczuwalną przez deski pokładu. Murad wiedział, że ten bezdźwięczny werbel jest częściowo odpowiedzialny za ich obecną prędkość.

Richard Hawkwood był zbyt biegłym marynarzem, żeby można go było doścignąć konwencjonalnymi metodami. Przetrzymał sztorm, który miał go zatopić, a potem omal go nie zgubili na wielkim, pustym Levangore. Dopiero jeden z homunkulusów Murada wypatrzył go przypadkiem, lecąc wysoko, daleko za swym panem, w poszukiwaniu wieści. Nie będzie drugiego sztormu. Owa taktyka nie okazała się skuteczna. Ku wielkiej radości Murada Aruan pozwolił mu na zdobycie *Zająca Morskiego*, jeśli tego zapragnie. Z załogą mógł zrobić, co zechce, pod warunkiem, że królowa Hebrionu zginie. Spotkanie z dawnym towarzyszem i zadanie mu powolnej śmierci sprawi Muradowi olbrzymią przyjemność.

Wiele wiedział o śmierci. Owej nocy, gdy zatopiono flotę, zabłądził we mgle, wracając z okrętu flagowego, i obserwował z szalupy, jak wielka armada rozpada się w drzazgi. Pamiętał, jak odrywał palce zdesperowanych tonących od burty łodzi, żeby nie wywrócili jej swym ciężarem. Rozkazał swoim ludziom odpłynąć we mgłę. Tam wsparli się na wiosłach, by obserwować płonące okręty i słuchać ludzkich krzyków. Uratowali się z rzezi. Tak przynajmniej sądził.

Potem zjawił się mag, otoczony wściekłym sztormem czarnego płomienia, i w mgnieniu oka spopielił towarzyszy Murada. Wydawało się, że jego również spotka ten los, ale wtedy wydarzyło się coś dziwnego.

Znam cię – odezwał się głos. Murad leżał na dnie płonącej łodzi. Jego poparzone ciało omywały fale, a mag wisiał nad nim jak wielki nietoperz. Ranny poczuł, że intruz obraca go w obie strony, by mu się przyjrzeć, choć w ogóle go nie dotknął.

Zabij go – usłyszał inny głos – głos, który znał. Ten pierwszy wybuchnął jednak śmiechem.

Nie sądzę. Może się jeszcze przydać.

Zabij go!

Nie. Zapomnij o nienawiściach i uprzedzeniach. Jesteście do siebie bardziej podobni, niż ci się zdaje. On należy do mnie.

Tak oto Murad z Galiapeno wstąpił na służbę Drugiego Imperium.

Służył mu z ochotą. Przez całe życie nienawidził magów, czarownic i wszystkiego, co wiązało się z dweomerem, najbardziej jednak drażnił go fakt, że musi słuchać rozkazów ludzi, których uważał za mniej wartych od siebie, nawet ostatniego króla Hebrionu. Teraz rozkazywał mu ktoś, w kim uznawał lepszego od siebie, i dawało mu to dziwną pociechę. W końcu mógł z zadowoleniem robić to, co mu kazano, a jeśli owe rozkazy zgadzały się z jego inklinacjami, to tym lepiej. Jeśli zaś chodzi o dweomer, no cóż, pogodził się z nim. W końcu, czyż Murad nie stał się obecnie jego częścią?

Co więcej, gdy tylko kobieta, którą ścigał, zginie, on zostanie władcą Hebrionu. Obiecał mu to Aruan, a ten zawsze dotrzymywał słowa.

* * *

– Wysunąć działa dziobowe – rozkazał i załoga natychmiast wykonała polecenie. Garstka spośród jego ludzi była zwykłymi najemnikami, marynarzami z różnych flot, większość jednak stanowili wysocy Zantu o czarnej, błyszczącej skórze, którzy zrzucili rogowe skorupy i trudzili się teraz przy linach, przesuwając wymierzone w przód działa okrętu, tak by wycelowały w rufę zbiegów.

– Usunei!

– Słucham, panie.

– Sprawdźmy, czy nie uda nam się zdrapać z nich farby. Strzelać bez rozkazu.

Stękający z wysiłku ludzie obrócili dwa rarogi na handszpakach, a działomistrze wycelowali je, spoglądając wzdłuż odlanych z brązu luf. W zaciśniętych pięściach trzymali zapalone wolnopalne lonty. W końcu poczuli się usatysfakcjonowani i unieśli swobodne ręce. Gdy dziób okrętu skierował

się w górę, wetknęli lonty w otwory i odskoczyli na bok, zwinnie jak pantery. Oba rarogi wypaliły jednocześnie i odskoczyły w tył, przesuając się z piskiem na lawetach. W górę buchnęły obłoki dymu, szybko jednak zostały rozwiane przez wiatr i prędkość żaglowca. Przyglądający się uważnie Murad zauważył dwie fontanny tuż za rufą *Zająca Morskiego*.

– Dobry strzał! Unieście je trochę wyżej, a będziemy ich mieli.

Ci, którzy mieli wystarczająco dobry wzrok, mogli prześledzić lot następnych pocisków. Dwie ciemne plamy przeszły powietrze, zrobiły dwie dziury w bezanie szebeki, a potem rozbiły w drzazgi coś na jej śródookręciu. Murad roześmiał się i klasnął w dłonie. Artylerzyści uśmiechnęli się szeroko, odsłaniając kły.

Po jakiejś minucie uszkodzony bezan szebeki rozpruł się i spadł z rei, łopocząc wściekle. Bryzgi uderzyły Murada w usta. Z błyskiem w oczach zlizął z warg słony smak. *Zając Morski* tracił prędkość. Następne dwie kule trafiły w reje bezanmasztu. Zauważył małą, wymachującą kończynami postać, która zleciała do morza.

– Zwiększyć prędkość! – wrzasnął Murad. – Hej, ty, daj mi jeszcze dwa węzły, a dorwiemy ich przed śniadaniem!

Zakapturzony inicjant, do którego się zwrócił, nie odpowiedział. Skulił się tylko pod swą szatą, a tonacja wypełniającej okręt wibracji wzrosła o oktawę. *Zmartwychwstaniec* pochylił nisko dziób i przednie furty armatnie zalała woda, czysta i zielona. Maszty zaskrzypiały głośno, a baksztagi napięły się mocno, ale nic nie pękło. Władca pogody nie poruszał okrętem, lecz otaczającą go wodą. Kadłub żaglowca otoczyła ze wszystkich stron gwałtowna, tryskająca pianą turbulencja, która kłóciła się z naturalnym rytmem morskich fal. Okręt drżał, jakby potrząsał nim jakiś podwodny gigant. Kilku marynarzy padło z nóg, ale Murad wciąż stał na zalewanym falami kasztelu dziobowym, trzymając się jednej z want grotmasztu. Blask w jego oczach wzmógł się, przechodząc w żółty ogień. Zbliżali się do zdobyczy. Już tylko półtora kabla – trzysta jardów – dzieliło koniec dziobu barkentynty od relingu rufowego *Morskiego Zająca*. Za pół szklanki zrównają się z nim.

– Wszyscy przygotować się do abordażu! – zawołał Murad, podnosząc głos.

Homunkulus zerwał się z liny, na której siedział, i wylądował mu na ramieniu. Na kasztelu dziobowym tłoczyła się horda Zantu, którzy przywdziali czarne rogowe zbroje i kłapali niecierpliwie szczypcami. Zbroja była zrobiona ze skóry i z rogu, ale gdy człowiek ją wdziewał, stawał się w jakiś sposób jej częścią. Nie tylko chroniła ciało, lecz również zwiększała siłę tego, który ją nosił. Zantu nawet bez czarnych zbroi byli groźnymi wojownikami, ale kiedy je włożyli, stawali się niemal niezwyciężeni.

– Pamiętajcie! – zawołał Murad. – Kapitana trzeba wziąć żywcem, a ciało kobiety muszę zobaczyć na własne oczy. Reszta należy do was.

Zantu pościli przez wiele dni, przygotowując się na tę chwilę. Ich oczy spoglądały spod lśniących masek z błyskiem głodu i niecierpliwości.

Murad rozpoznawał już Hawkwooda. Kapitan stał na rufie żaglowca w towarzystwie ciemnowłosego chłopaka, który wydawał się dowódcy ścigających dziwnie znajomy. Hawkwood wykrzykiwał rozkazy, zagłuszane przez wiatr i szum spienionych fal. Wtem *Zając Morski* zamyszkował mocno na prawą burtę, odsłaniając wszystkie działa. Było ich tylko sześć. Furty armatnie rozwarły się, burtę przesłoniła chmura dymu, a po uderzeniu serca rozległ się huk wystrzałów. Murad poczuł powiew kuli, która przemknęła mu nad głową, tak silny, że aż zachwiał się na nogach. Pozostałe pociski uderzyły w burtę *Zmartwychwstańca*, siejąc chaos i zniszczenie. Wielokrażki i fragmenty olinowania poleciały w powietrze, a stojący w zwartej grupie oddział abordażowy został zmasakrowany. Ścieki pokładowe spłynęły krwią, a strzępy ludzkich ciał

pofrunęły aż na pokład rufówki.

Wibracja kadłuba ustała. Murad popatrzył na rufę i zobaczył, że jedna z kul armatnich rozcięła władcę pogody w habicie inicjanta na dwoje. *Zmartwychwstaniec* stracił prędkość, a otaczająca go woda płynęła teraz bardziej naturalnym nurtem.

– Dajcie mi z powrotem tę prędkość! – wrzasnął do kapitana okrętu, gabriońskiego renegata, który stał z pobielającą twarzą za kołem sterowym. – Strzelajcie do nich! Dorwijcie ich i zatopcie, na miłość Boską!

Kapitan zakręcił kołem sterowym i barkentyna zmieniła kurs, kierując ku uciekinierom swe znacznie cięższe działa.

– Ognia! – zawołał.

Artylerzyści wzięli się w garść i wystrzelili nierówną salwę.

Zantu jednak nie byli tak dobrze wyszkoleni, jak załoga Hawkwooda. Murad zobaczył, że trzy kule uderzyły w cel i w górę poleciały odłamki drewna. Pociski zniszczyły lewy reling *Zająca Morskiego*, większość jednak przeleciała górą, przecinając liny, ale nie wyrządzając poważniejszych szkód.

Oba okręty traciły prędkość i oba zwracały się ku prawej burcie, płynąc z wiatrem. Obok ucha Murada przeleciała arkebuzowa kula. Pochylił się instynktownie. Hawkwood ustawił na burcie kilku uzbrojonych w broń ręczną marynarzy, którzy prowadzili ogień. Za rufą szebeki woda plusnęła kilka razy w górę. Wyrzucali zabitych za burtę. Sfrustrowany Murad walił pięścią w reling. Homunkulus podskakiwał na jego ramieniu, skrzecząc głośno.

– Więcej żagli! – ryknął do kapitana. – Jeśli nam uciekną, zapłacisz za to życiem, panie marynarzu.

Załoga wbiegła na wanty i zaczęła rozwijać wszystkie płachty płótna na pokładzie barkentyny. Błysnęły sztaksle oraz kliwry i *Zmartwychwstaniec* ruszył naprzód z prędkością zbliżoną do poprzedniej. Na szebecie wciąż nie rozwinięto nowego bezanu i znowu się do niej zbliżali. Murad ignorował świszczące wokół niego kule arkebuzowe i pomógł zdziśiatkowanym artylerzystom wytoczyć dziobowe działa. Wystrzelili, gdy okręt unosił się na fali, i tym razem udało im się trafić prosto w rufę *Zająca Morskiego*. Odłamki drewna posypały się w powietrze, a jeden z arkebuźników wpadł do morza. Murad znowu wybuchnął śmiechem i rozkazał kolejnym ludziom przejść na dziób.

Drugi oddział Zantu dołączył do niego przy działach. Na pokładzie rufówki *Zająca Morskiego* zebrała się grupa ludzi. Od czasu do czasu nadlatywała stamtąd kula z arkebuza. Oba okręty dzieliło od siebie zaledwie pięćdziesiąt jardów. Murad wyraźnie już widział Hawkwooda, który osobiście stał za kołem sterowym, obserwując zbliżającą się barkentynę. Pomagał mu ciemnowłosy chłopak, a obok nich przystanąła sama Isolla. Celowała w niego z arkebuza. Zdumiony Murad zobaczył, że z lufy trysnął dym. Potem coś uderzyło go w bok głowy. Zwalił się na pokład i homunkulus zaskrzeczał ochryple. Szlachcic podniósł się z wysiłkiem. Uświadomił sobie, że ogłuchł na jedno ucho. Gdy dotknął go ręką, poczuł wilgoć. Isolla odstrzeliła mu połowę małżowiny.

Rozwścieczony Murad otworzył usta, ale w tej samej chwili *Zajac Morski* wykonał ostry zwrot na lewą burtę, prosto z wiatrem. Działa szebeki wystrzeliły ponownie, w precyzyjnie wymierzonej sekwencji. Pociski przeszły *Zmartwychwstańca* od dziobu aż po rufę.

Żagle zadrżały, a potem napięły się mocno. Okręt odpadł od kursu, płynąc z wiatrem. Murad obejrzał się i zobaczył, że koło sterowe zostało rozbite na kawałki, a kapitan i sternik leżą martwi na pokładzie. Deski były śliskie i lepkie od krwi. Wszędzie walały się kawałki drewna i strzępy ciał, a także fragmenty lin i rozbite wielokrążki. Murad popędził do zejściówki.

– Zejdźcie do rumpła i stamtąd sterujcie okrętem! – zawołał do stojących na dole oszołomionych Zantu. – Reszta wracać do dział i strzelać!

Wdrapał się z powrotem na pokład rufówki. Przeklinał i ociekał krwią, ściskając w dłoni strzępek ciała pozostały po uchu. Oba okręty płynęły teraz z wiatrem równoległymi kursami, w odległości niespełna kabla od siebie. Zmierzały do długiej zatoczki, w której znajdował się torunnański port Rone. Hawkwood uciekał w stronę brzegu.

Oba żaglowce oddały salwę całymi burtami. *Zmartwychwstaniec* miał więcej dział i były one cięższe, ale artylerzyści *Zajęca Morskiego* byli lepiej przeszkoleni i strzelali celniej. Szebeka płynęła jednak wolniej, a z pomp po lewej burcie tryskały fontanny wody. Pociski dział Murada z pewnością przedziurawiły ją pod linią wodną.

Chudy szlachcic poczuł przyływ optymizmu. Jego załoga poniosła ciężkie straty, ale zostało mu jeszcze wystarczająco wielu ludzi, by dokonać abordażu.

– Prawo na burzę! – krzyknął do luku prowadzącego na pokład sterowy.

Zmartwychwstaniec poruszał się ociężale, zdołał jednak skrócić o dwa rumby i wymierzyć dziób wprost w przednią część lewej burty szebeki. Odległość zmniejszała się przerażająco szybko. Nim Murad zdążył wykrzyknąć słowa ostrzeżenia, okręty zderzyły się z gwałtownym wstrząsem, który zwałił z nóg wszystkich na obu pokładach. Dziób *Zmartwychwstańca* pękł z przyprawiającym o mdłości trzaskiem i oderwał się, przeszywając burtę szebeki, a potem grzęznąc na dole w przeraźliwym skupisku połamanego drewna, lin oraz żelaznych okuć. Oba żaglowce płynęły z wiatrem, nierozzerwalnie ze sobą złączone, i oba utraciły sterowność.

Murad szybko wziął się w garść, zerwał na nogi i wyciągnął rapier.

– Do abordażu! – zawołał, biegnąc wzdłuż pokładu ku miejscu, gdzie szczątki dziobu łączyły barkentyne z szebeką. Podążyło za nim dwudziestu paru artylerzystów Zantu, którzy ściskali w rękach haki abordażowe i kordelasy. Przeszli po niepewnym moście z połamanych drzewc, prowadzącym nad spienionym morzem, i wpadli na śródkręcie szebeki. *Zajęc Morski* zanurzał się głęboko w wodzie. Pociski dział faktycznie przebiły jego pokład i żaglowiec powoli tonął.

Napastników powitały trzy czy cztery strzały. Jeden z ludzi Murada spadł z mostu i runął do wody. Potem pojawił się Hawkwood – nareszcie Hawkwood! – trzymający w jednej ręce kordelas, a w drugiej pistolet. Obaj mężczyźni spoglądali na siebie z zacieklą nienawiścią, podczas gdy ich załogi starły się w zacieklej walce wręcz na śródkręciu i schodniach *Zajęca Morskiego*.

Pistolet Hawkwooda nie wypalił. Skończyło się tylko na błysku. Murad ruszył ze śmiechem na przeciwnika. Błysnął rapier, a homunkulus zaatakował oczy marynarza.

Otoczał ich gęsty tłum mordujących się nawzajem ludzi, ale poświęcali mu tak niewiele uwagi, jakby na świecie było tylko ich dwóch. Hawkwood wyciągnął sztylet i dźgnął nim wymachującego skrzydłami homunkulusa, odbijając jednocześnie atak Murada. Stworzonko wrzasnęło przeraźliwie i uczepiło się jego karku. Gryzło, łopotało skrzydłami i sięgało ku oczom przeciwnika ostrymi jak igły pazurami. Szlachcic skoczył do przodu, nie przestając się śmiać. Jego rapier wbił się w udo Hawkwooda na całe trzy cale. Murad wyszarpnął broń i marynarz osunął się na jedno kolano. Homunkulus wdrapał mu oko, ale Hawkwood odrzucił sztylet i złapał małe monstrum w garść. Zacisnął palce, gruchocząc maleńkie żebra, i cisnął zdychającym stworkiem w Murada.

Ten odtrącił go na bok. To nie był chowaniec, tylko zwykły goniec, więc strata nie była zbyt wielka. Znowu skoczył naprzód. Rozpierała go radość. Uniósł rapier, gotowy wykończyć przeciwnika.

Kłębiący się wokół tłum odrzucił go jednak do tyłu. Murad zaklął i znowu ruszył naprzód, lecz tym razem coś uderzyło go w bok, tak mocno, że aż zabrakło mu tchu. Syknął z bólu. Przy

Hawkwoodzie stała jakaś kobieta. To była Isolla! Twarz miała naznaczoną blizną od ognia, ale poznał ją natychmiast, mimo że narzuciła na suknię marynarską kurtkę. Jej pobieląca twarz wyrażała determinację. Nie było w niej strachu. Wystrzeliła do stojącego tuż obok Murada.

I chybiła. Któryś z walczących odtrącił lufę na bok. Gazy, które buchnęły z lufy, przypaliły włosy chudego szlachcica, omal go nie oślepiając. Murad złapał wolną ręką lufę i dźgnął kobietę rapierem. Broń wbiła się pod obojczykiem i wniknęła głęboko, przeszywając serce. Isolla ześliznęła się z klingi i upadła na Hawkwooda. Murad uśmiechnął się i uniósł rapier, by dokończyć dzieła.

I nagle coś uderzyło go z wielką siłą w bok szyi. Jego lewe ramię zdrętwiało od ciosu. Zdumiony szlachcic zachwiał się z bólu. Cytrynowe oczy straciły blask, gdy dwoje łączący ze sobą jego spalone kończyny osłabł. Murad odwrócił się, wypuszczając rapier ze znieczulonych palców.

Stał przed nim Bleyn, jego pasierb. Trzymał w dłoni sztylet Hawkwooda, zakrwawiony aż po rękojeść. Twarz chłopaka zastygła w grymasie furii, ale po policzkach spływały łzy. Bezgranicznie zdumiony Murad wyciągnął ku niemu zdrową rękę.

– Jak...?

Bleyn podszedł bliżej i dźgnął go sztyletem w pierś. Nóż przebił mostek i Murad osunął się na kolana.

– Skąd...?

Hawkwood spoglądał nań z błyskiem w ocalałym oku. Trzymał w ramionach ciało Isolli. Nieludzkie światło w oczach Murada zgasło i przez chwilę okaleczony marynarz widział jego dawne, znajome spojrzenie.

– Nie wiedziałem...

Hawkwood patrzył tylko na niego, bez gniewu czy nienawiści. Obserwował, jak z twarzy Murada ucieka życie. Podbródek opadł na pierś i szlachcic runął na pokład jako zwykły, spalony trup. Zobaczywszy, że ich wódz nie żyje, jego ludzie utracili odwagę i dali się zepchnąć do morza.

* * *

Porzucili *Zająca Morskiego* i cisnęli płonące pochodnie na pokłady *Zmartwychwstańca*, nim wsiedli do szalup. Zapadał zmrok i na powierzchni wody było widać mnóstwo ciemnych twarzy wrogów. Inni skakali z burt barkentyny, próbując dopłynąć do łodzi. Rozbitkowie strzelali do nich, gdy ci byli jeszcze w wodzie, albo odrąbывali im ręce, kiedy próbowali wspiąć się na burty. W końcu zdołali zostawić ich za sobą. Kilwater lśnił w blasku płonącego okrętu. Po krótkim czasie przybili do pochyłego brzegu na wschód od Rone i zatrzymali się tam na chwilę, stojąc po kolana w falach. Obserwowali sylwetkę płonącego *Zmartwychwstańca*, rysującą się na tle wieczornego nieba. Następnie ogień dotarł do prochowni i barkentynę pochłonął gwałtowny wybuch. Huk niósł się przez chwilę ostrymi echem nad wzgórzami zatoczki. Potem przez dłuższy czas widzieli szczątki unoszące się na spokojnych wodach. Wreszcie zapadła noc.

Richard Hawkwood wykonał zadanie. Dowiózł królową Torunny do Hebrionu. Pochowali ją na nadmorskim wzgórzu i usypali na jej grobie kopiec z kamieni.

DWADZIEŚCIA

Kurierzy przybyli do Torunnu wraz z czerwonym blaskiem jutrzeńki. Ich wierzchowce omal się nie ochwaciły. Pokrywały je plamy piany i błota. Ludzie zsunęli się z siodeł na pałacowym dziedzińcu i pobiegli chwiejnym krokiem ku wielkim drzwiom. Stojący tam wartownicy wzięli z ich rąk meldunki i po szybkiej wymianie słów popędzili do Sali Mieczy.

Formio, regent Torunnu, stał przed kominkiem, na którym palił się ogień. Na masywnym nadprożu było widać puste miejsce, tam gdzie kiedyś wisiała Udzielająca Odpowiedzi. Szabla wyruszyła na wojnę razem z królem i kto wie, czy jeszcze kiedyś tu wróci? Fimbrianin potarł machinalnie ręce, trzymając je przy ogniu. Kiedy do środka wpadli wartownicy, niosąc tuby z dokumentami, nie sprawiał wrażenia zbytnio zaskoczonego. Spojrzał na pieczęcie i ze złowrogą miną skinął głową.

– Obudźcie jego sułtańską mość i powiedzcie mu, żeby tu przyszedł – rozkazał zdyszonym żołnierzom. – Tylko pokornie. A potem przekażcie moje pozdrowienia pułkownikowi Gribbenowi. Ma natychmiast postawić w stan gotowości cały garnizon, a potem również tu przyjść.

Gdy Formio znowu został sam, złamał pieczęcie, rozwinął listy i przeczytał je z zasepioną miną.

Rone, 20 forialona

Himerianie uderzyli na nas od południa. Wiedzieliśmy, że mogą to zrobić, ale ich armia jest znacznie liczniejsza, niż się tego spodziewaliśmy. Wcielili do niej również candelańskie posiłki. Moje oddziały poniosły klęskę w bitwie stoczonej pięć mil na wschód od Candelanu. Musieliśmy wycofać się do Rone, gdzie stacjonują okręty admirała Berzy. Większość z nich poddaje się właśnie remontom w suchym doku, więc admirał zgodził się oddać swoją piechotę morską pod moją komendę. Będę się bronił, jak długo zdołam, ale potrzebne mi posiłki. Sami tylko Perigrainianie mają około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi. Nieprzyjacielskie oddziały składają się głównie z piechoty, ale towarzyszy im również trochę tych przekłętých Psów. Strach, jaki wzbudzają, jest zupełnie nieproporcjonalny do ich liczby.

Jestem przekonany, że to nie zwykły wypad, ale inwazja na pełną skalę. Nieprzyjaciel zamierza podbić całe królestwo od południa, podczas gdy nasze siły będą zajęte na dalekiej północy. Potrzebni mi ludzie, i to jak najszybciej.

Z prośbą o pośpiech,

Steynar Melf,

Głównodowodzący Armii Południe.

Czytając list, Formio mełł w ustach przekleństwa. Do dokumentu dołączono wykaz stanu oraz liczbę ofiar, a także nakreśloną z grubsza mapę terenu operacji. Melf z pewnością był profesjonalistą, ale nie można go było zwać wojskowym feniksem. Co więcej, nawet wliczając piechotę morską Berzy, mógł przeciwstawić potężnej himeriańskiej armii niespełna pięć tysięcy ludzi.

Formio uniósł wzrok, gdy do sali wszedł merducki sułtan eskortowany przez dwóch osobistych strażników. Towarzyszył mu pułkownik Gribben, zastępca dowódcy garnizonu Torunnu, oraz dwóch adiutantów. Wszyscy mieli zaspane twarze i półprzytomne spojrzenia ludzi przed chwilą wyrwanych ze snu.

– Mości regencie – odezwał się Nasir – mam nadzieję, że...

– Jak szybko możesz wyruszyć ze swymi ludźmi w drogę, sułtanie? – przerwał mu ostrym tonem Formio.

Nasir zamknął usta i wytrzeszczył oczy.

– Co się stało?

– Jak szybko?

Młodzieniec zamrugał.

– Nie dzisiaj. Mamy za sobą wyczerpujący marsz. Konie potrzebują dłuższego odpoczynku.

Pewnie jutro rano.

Nasir potarł gładkie czoło, spoglądając nerwowo w obie strony.

– Świetnie. Gribben, wybierz dziesięć tysięcy najlepszych ludzi z garnizonu. Muszą być w pełni sił, zdolni do długiego forsownego marszu.

– Tak jest!

Gribben zasalutował, choć na jego twarzy malował się niepokój połączony z konsternacją.

– Ten łączony oddział wyruszy w drogę jutro o świcie. Nie będzie taborów. Żadnych mułów ani wozów. Ludzie będą dźwigali racje na plecach. Nie zabierze też artylerii.

– Dokąd się udamy? – zapytał sułtan, zupełnie jak chłopiec, którym do niedawna był.

– Na południe. Himerianie uderzyli na nasze ziemie i pokonali naszą armię. Wygląda na to, że udało im się nas zaskoczyć.

– A kto będzie dowodził, regencie? – zapytał Gribben.

Formio zawahał się. Spojrzał na Nasira, starannie ważąc słowa.

– Wasza sułtańska mość jeszcze nigdy nie dowodził armią w boju, i to nie jest odpowiedni moment na naukę. Proszę... błagam, byś pozwolił przejąć dowództwo nad łączoną armią komuś bardziej doświadczonemu.

Formio wskazał głową na Gribbena, który walczył we wszystkich bitwach stoczonych przez torunnańską armię w ciągu ostatnich siedemnastu lat, od czasu Berrony, i niedawno otrzymał awans od samego Corfe'a.

Nasir zaczerwienił się.

– To nie wchodzi w grę. Nie mogę wam powierzyć śmietanki ostrabarskich wojsk, podczas gdy sam towarzyszę armii. Ja będę nimi dowodził, nikt inny.

Formio przeszył młodzieńca uważnym spojrzeniem.

– Sułtanie, to nie jest gra ani manewry na poligonie. Armia, która wyruszy na południe, nie może sobie pozwolić na przegraną. Nie wątpię w twą odwagę...

– Nie ustąpię miejsca zwykłemu pułkownikowi. Nie mógłbym spojrzeć moim ludziom w twarz, gdybym to uczynił. Ale nie osądzaj mnie zbyt pochopnie, mości regencie. Nie jestem głupim chłopakiem marzącym o chwale. Jeśli ktoś ma objąć dowództwo nad łączoną armią, to musisz być ty, regent Torunny, sam wielki Formio. Ciebie będą słuchać. – Nasir uśmiechnął się. – I ja również, choć jestem sułtanem.

Formio poczuł się zmieszany, lecz natychmiast podjął decyzję.

– Zgoda, obejmę dowództwo. Gribben, ty zostaniesz w stolicy. Wasza sułtańska mość, dziękuję za wyrozumiałość. Panowie, mamy mnóstwo roboty i tylko jeden dzień na to, żeby ją wykonać. Jutro o tej porze musimy już być w drodze na południe.

* * *

Nocą wiatr osłabł i niebo było całkowicie bezchmurne. Nieliczna grupa rozbitków skupiła się wokół ogniska, tworząc mroczny, milczący pierścień. Jeden z nich, młodzieniec o szerokich barach i szarych jak morze oczach, odłączył się jednak od reszty i stanął na wzgórzu, wpatrując się w horyzont. W blasku ubywającego księżyca na jego twarzy pojawiły się cienie.

– Kolejne miasto płonie – zauważył ze znużeniem w głosie Bleyne. – Jak myślisz, które to?

Hawkwood skierował ocalałe oko na południowy zachód.

– To na pewno Rone – oznajmił drżącym głosem. – Położone najdalej na południe z miast Torunny. Całe szczęście, że nie zdołaliśmy do niego dotrzeć.

– Świat oszalał – wtrąciła Jemilla. – Wszyscy ci dawni jasnowidze mieli rację. To są ostatnie dni.

Hawkwood obrócił ku niej głowę. Matka Bleyna siedziała na złożonym kocu, przyciskając kolana do piersi. Pozlepiane włosy zasłaniały jej twarz, jak kaptur uszyty ze szcurzych ogonów. Podczas rejsu straciła sporo na wadze, gdyż przez większość czasu dręczyła ją choroba morska. W kącikach ust pojawiły się bruzdy, a nos również nie był przedtem tak wydatny. Wiek w końcu odcisnął na Jemilli swe piętno. Nie wydawała się już Richardowi Hawkwoodowi pociągająca.

Najwyraźniej wiedziała o tym, bo zachowywała się w jego towarzystwie niemal nieśmiało. Zebrała polne kwiaty, by położyć je na mogile Isolli. Dawna Jemilla zareagowałaby wzgardą na taki gest. Kiedy się odzywała, w jej głosie nie słyszało się charakterystycznego dla niej ostrego tonu. Hawkwood coś jednak w niej wyczuwał, jakąś tajemnicę, która ją dręczyła. Gdy wspierał się na ramieniu Bleyna, kuśtykając w głąb lądu, zauważył, że Jemilla przygląda się im obu z osobliwą miną. Mógł to być niemal wyraz żalu.

Znowu opuścił głowę, by popracować nad prostą kulą, którą próbował sobie wystrugać ze złamanego wiosła. Po chwili jednak przerwał. Na jego sztylcie nadal pozostały ślady krwi Murada. Otarł z twarzy zimny pot.

Być może Jemilla miała rację. Świat faktycznie oszalał. Albo może niewidzialne moce kierujące jego losami miały gorzkie poczucie humoru. No cóż, ten wyścig dobiegał już końca.

Blask ognia odbił się w ocalałym oku Hawkwooda, oślepiając go na chwilę. Pokochała go królowa, ale utracił ją w chwilę po tym, jak ją odnalazł. A Murad wreszcie zginął. Co dziwne, Hawkwood nie cieszył się ze śmierci szlachcica. Dostrzegł w oczach umierającego coś, co budziło litość, nie poczucie triumfu. Mogło to być zdziwienie. Widział je w twarzach wielu konających. Z pewnością któregoś dnia ten sam wyraz pojawi się na jego twarzy.

– Nic nie wiem o tej części świata – przyznał Bleyn. – Dokąd pójdziemy?

– Na północ – odparł Hawkwood. Podniósł się z trudem, by wypróbować swą podporę. Dyszał ciężko i ochryple. – Przynajmniej jesteśmy teraz w przyjaznym kraju. Musimy umknąć Himerianom i dotrzeć do Torunnu.

– A co potem?

Hawkwood pokuśtykał w stronę młodzieńca.

– Potem będziemy mogli się upić.

Klepnął chłopaka w ramię i stracił równowagę. Bleyn go podtrzymał.

– Będą nam potrzebne konie i wóz. W ten sposób daleko nie zajdziesz.

Jemilla przyglądała się obu stojącym poza zasięgiem blasku ogniska mężczyznom. Byli tak do siebie podobni, a zarazem tak różni. Ojciec i syn. Otarła ukradkiem łzy. Wypełnił ją gniew. Ta wiedza pozostanie ukryta w jej sercu aż do dnia jej śmierci.

– Bleyn jest teraz prawowitym władcą Hebrionu – oznajmiła głośno. – Jest ostatnim z królewskiej dynastii Hibrusydów, czy to pochodzących z prawowitego łoża, czy nie. Wszyscy jesteście mu winni wierność i musicie mu okazać pomoc na wszelkie możliwe sposoby.

– Matko... – zaprotestował Bleyn.

– Niech nikt z was o tym nie zapomina. Gdy dotrzemy do Torunnu, wiadomość o jego pochodzeniu ogłosi się publicznie. Czarodziej Golophin już o tym wie. Dlatego właśnie powiedział nam, żebyśmy popłynęli z wami.

– A więc plotki mówiły prawdę – mruknął Arhuz. – To syn Abeleyna.

– Tak jest, mówiły prawdę. Bleyn jest wszystkim, co zostało z hebrionńskiej szlachty.

Hawkwood trącił łokciem młodzieńca, który stał bez słowa, pogrążony w niepewności.

– Błagam o pozwolenie wsparcia się na królewskim ramieniu, wasza wysokość. Myślisz, że mógłbyś wprawić w ruch królewskie nogi i znaleźć nam trochę drewna na opał?

Bleyn i siedzący wokół ogniska marynarze wybuchnęli śmiechem, choć wychudła twarz Jemilli pociemniała. Chłopak zostawił Hawkwooda i oddalił się w rozświetloną blaskiem księżycy noc. Marynarz pokuśtykał z powrotem do ogniska.

– Jemillo – odezwał się ostrym tonem. Spiorunowała go spojrzeniem, gotowa do sprzeczki, ale Hawkwood uśmiechnął się tylko do niej z błyskiem gorączki w oczach. – Będzie dobrym królem.

* * *

Następnego ranka ujrzeli w promieniach wschodzącego słońca kilka słupów dymu wzbijających się ku niebu na południowym zachodzie. Od najbliższego dzieliło ich zaledwie około dziesięciu mil. Drżący z zimna uciekinierzy wygrzebali się z koców i spoglądali na zbrukane niebo, tupiąc nogami. Nie mieli wiele tematów do rozmów, a jeszcze mniej żywności, ruszyli więc bezzwłocznie w drogę, licząc na to, że znajdą jakąś przyjazną wioskę albo gospodarstwo rolne, gdzie będą mogli otrzymać prowiant na drogę.

Znaleźli pod dostatkiem gospodarstw i wiosek, ale wszystkie były opustoszałe. Okoliczni mieszkańcy również zobaczyli dym i postanowili nie czekać, aż jego przyczyna dotrze do nich. Bleyn i Arhuz oddalili się spory kawałek na wschód od grupy i odkryli mnóstwo prowiantu, a także dodatkowe koce – osłonę przed zimnymi nocami. Niestety, wszystkie wierzchowce i pojazdy zabrali ze sobą uciekający tubylcy, musieli więc nadal wlec się na piechotę. Grupa cały czas kierowała się na północ. Najwolniej szedł Hawkwood, a z opatrunku na jego oku bez przerwy spływała wąska strużka żółtego płynu.

Wędrowali tak przez cztery dni. Nocami spali w opuszczonych domach, przed świtem ruszali w dalszą drogę. Piątego dnia dogonili jednak tył kolumny uchodźców i dołączyli do pozbawionych dziedzictwa zbiegów, którzy blokowali drogę tak daleko, jak okiem sięgnąć. Idący o kuli Hawkwood otrzymał miejsce na tyle wyładowanego wozu, a Jemilla dołączyła do niego, bo dręcząca marynarza od kilku dni gorączka rosła nieubłaganie. Kobieta pilnowała, by się nie odkrywał, i ocierała mu pot i ropę z rozpalonej twarzy.

Dni stawały się coraz cieplejsze, w miarę jak późna wiosna przechodziła we wczesne lato. Tłumy uciekinierów wzbijały obłoki pyłu nie ustępujące rozmiarami kłębowi dymu, które podążały za nimi. Z rozmów z torunnańskimi uchodźcami Bleyn dowiedział się, że Rone padło po gwałtownym szturmie, a obrońców wycięto w pień. Okręty stojące w porcie spalono, a okolicę spustoszone. Torunnański dowódca Melf i admirał Berza również zginęli, ale zdołali dać mieszkańcom czas na ucieczkę przed triumfującymi Perigrainianami i Candelarianami, którzy posuwali się za nimi. Jednakże zdyscyplinowane oddziały zawsze poruszają się szybciej niż tłum spanikowanych cywili i nieprzyjaciel był coraz bliżej. Nikt nie chciał spekulować, co się stanie, gdy Himerianie dogonią uchodźców, wielu z nich jednak pamiętało wojny merduckie i już to wszystko widziało. Gdzie jest król? – pytali. Gdzie jest armia? Czy to możliwe, że wszyscy są w Gaderionie? Czy w ogóle zapomnieli o południu? Dziesiątki tysięcy ludzi wlokły się zakurzonymi traktami, niosąc w ramionach dzieci, ciągnąc za sobą ręczne wózki wypchane dobytkiem albo strzelając zawzięcie z biczów, by pogonić zaprzężone do wozów ospałe woły.

* * *

– Pomóż mi go zsadzić – poprosiła syna Jemilla. Oboje zdjęli majaczącego Hawkwooda z przeciążonego wozu, który włókł się pośród upału i kurzu. Żeglarz szarpał się w ich ramionach, mamrocząc coś od rzeczy. Nawet przez przepocony koc czuło się gorąco rozpalonego ciała.

Pozostali marynarze dawno już ich porzucili, nawet Arhuz. Rozpłynęli się w tłumie

wypełniającym trakt i pobocza. Jemilla i Bleyn z najwyższym trudem znieśli we dwoje swe bredzące w malignie brzemię ze szlaku, przebijając się przez tłum uchodźców. Wreszcie wydostali się z ciżby i złożyli żeglarza na trawiastym stoku, nieopodal zieleniącego się bukowego lasu. Jemilla położyła dłoń na rozpalonym czole chorego. Miała wrażenie, że niemal czuje kipiącą w jego czaszce truciznę.

– Rana się zapaskudziła – stwierdziła. – Nie wiem, co moglibyśmy zrobić.

Ujęła rękę Hawkwooda i brązowe palce mężczyzny zacisnęły się wokół jej białych, tamując dopływ krwi. Nie odezwała się jednak ani słowem.

Bleyn potarł powieki kostkami dłoni. Nagle wydał się bardzo młody i zagubiony.

– Czy on umrze, matko?

– Tak. Tak, umrze. Zostaniemy tu z nim.

Jemilla wywołała u syna szok, pochylając głowę i wybuchając bezgłośnym płaczem. Po jej bladej, dumnej twarzy spłynęły łzy. W swym krótkim życiu nigdy nie widział, by matka płakała. Uczepiła się tego człowieka, jakby był jej bliski, mimo że podczas rejsu traktowała go wyniośle, jak szlachcianka nisko urodzonego.

– Kim on był? – zapytał zdumiony.

Osuszyła pośpiesznie oczy.

– Największym marynarzem epoki. Wyruszył na wyprawę, która przeszła już do legendy, ale nie przyniosła mu wielu korzyści, bo nie był szlachetnie urodzony. Był dobrym człowiekiem i... i kiedyś go kochałam. Myślę, że on również mógł mnie kochać w owych latach, gdy na świat nie zstąpił jeszcze obłęd.

Znowu pojawiły się łzy, choć jej twarz nie zmieniła wyrazu. Niczego nie pragnęła bardziej, niż powiedzieć Bleynowi, kim naprawdę był ten człowiek, tego jednak nie mogła uczynić. Chłopak nigdy nie może się o tym dowiedzieć, jeśli ma z przekonaniem zgłosić pretensje do hebrionńskiego tronu.

Rozumowanie Jemilli nie wyglądało jednak przekonująco, nawet dla niej samej. Pięć Królestw padło, ich ostatnia nadzieja, Torunna, rozpadała się. Wkrótce na świecie nie będzie już miejsca dla niej, dla jej syna ani dla dawnego porządku. Pokonała jednak zbyt długą drogę, by wyrzec się teraz nadziei. Zachowała milczenie.

Dzień mijał niepostrzeżenie, gdy tak siedzieli na trawie – troje zagubionych ludzi na poboczu wielkiego traktu wypełnionego zagubionymi, przerażonymi uchodźcami. Nim nadszedł koniec, Hawkwood otworzył oko i ścisnął dłoń Jemilli tak mocno, że aż kości zatrzeszczały pod jego palcami.

– Zwijać, zwijać żagle – wyszeptał słabym głosem. – Billerand, rozwiń kursy i marsie. Kurs prosto na zachód z wiatrem z baksztagu.

Potem westchnął i rozluźnił palce. Jego oko straciło blask. Długa podróż Richarda Hawkwooda dobiegła końca.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Aruan obudził się ze świadomością, że ciemną nocą coś się zmieniło, równowaga przesunęła się w jakimś punkcie. Był mistrzem jasnowidzenia, podobnie jak wszystkich innych dyscyplin, ale to wrażenie nie miało nic wspólnego z dweomerem. Przypominało raczej bóle w stawach dręczące starca przed burzą.

Wstał, wezwał lokaja i szybko się umył i ubrał. Mieszkał teraz we wspaniałych, choć skromnie urządzonych apartamentach pontyfikalnych, mimo że w oczach świata to Himerius był pontyfikiem, nie on. Wyrzwał przez okno na rozciągające się w dole kruzganki Charibonu. Świt jeszcze nie nadszedł. Noc nadal wisiała gęstym całunem nad rogami katedry i biblioteki świętego Garaso.

Zacisnął i otworzył pokrytą niebieskimi żyłkami pięść, przyglądając się jej z posępną miną. Był okrutnie zmęczony podróżowaniem po całym kontynencie, podporządkowywaniem sobie woli ludzi i rozpalaniem ognia w ich sercach. Rone już jednak padło, himeriańskie armie maszerowały przez południową Torunnę, nie napotykając większego oporu, w Gaderionie zaś Bardolin zburzył mur kurtynowy i obiegił Torunnan w trzech wielkich fortecach, łącznie z posiłkami, które niedawno nadeszły. Aruan podbił już Hebrion, Astarac, Almark i Perigraine. Ich mieszkańcy byli na jego rozkazy, a szlachtę wyrznięto. Pozostała tylko Fimbria, trzymająca się z dala od konwulsji świata. Odkąd jej poselstwo opuściło przed miesiącem Charibon, nie otrzymał od elektoratów ani jednego słowa. No cóż, policzy się z nimi we właściwym czasie.

Nadal jednak dręczył go niepokój. Miał wrażenie, że przeoczył którąś z figur przeciwnika na szachownicy wojny i kłopotą go ta myśl.

* * *

Gdy w końcu zaczęło świtać i nad białymi szczytami Gór Cymbryckich pojawiły się wstęgi szkarłatnego blasku, król Corfe Cear-Inaf wyprowadził swą armię spomiędzy wzgórz na brzeg morza Tor. Ustawił ludzi w szyk na samej granicy bezleśnych Równin Toriańskich, zaledwie cztery mile od granic Charibonu. Był jedenasty enderialona roku Świętego 567, trzydzieści jeden dni od chwili, gdy wyruszył z Torunnu.

Armia przez niego prowadzona była wyraźnie mniejsza od tej, która przed kilkoma tygodniami wsiadła na transportowce i popłynęła w górę Torrinu. Wielu żołnierzy zginęło w bezlitosnych górach, a z górą dwa tysiące ludzi, Fimbrian, Torunnan i górskich dzikusów, odkomenderował jeszcze pośród wzgórz, rozkazując im zniszczyć himeriańskie transportowce cumujące na wschodnim brzegu morza Tor i w ten sposób odciąć linie zaopatrzenia armii, która okopała się na Linii Thuriańskiej i pod Gaderionem.

Dlatego Corfe miał tylko niespełna dwadzieścia dwa tysiące żołnierzy, gdy zszedł z gór, by wydać bitwę siłom Drugiego Imperium pod samymi bramami jego stolicy. Choć było jeszcze ciemno, ustawił swych ludzi w szyk. Pomimo ich zmniejszonej liczebności szeregi ciągnęły się przez z górą dwie i pół mili.

Prawą flankę oparł o sam brzeg morza. Trzy tysiące torunnańskich arkebuźników ustawiły się tam w cztery szeregi, każdy długi na pół mili. Po lewej mieli główny korpus Sierot, osiem tysięcy fimbriańskich pikinierów pod dowództwem marszałka Kyne'a, wzmocnionych dodatkowym tysiącem arkebuźników. Najeżona pikami falanga składała się z dziewięciu szeregów i zajmowała tysiąc jardów. Dalej stały kolejne trzy tysiące arkebuźników, a na lewym skrzydle główny oddział Katedralników, cztery tysiące ciężkiej jazdy ustawionej w cztery szeregi. Kawalerzyści mieli lance, szable i pistolety skałkowe, a lakierowane zbroje lśniły w świetle poranka krwawoczerwonym blaskiem. Ich komendantem mianowano Comillana, gdyż poprzedni dowódca zginął w ośnieżonych górach. Pośród szeregów konnicy ukrywały się trzy baterie konnej artylerii. Artylerzyści czekali tylko

na rozkaz rozpoczęcia ognia.

Za pierwszą falą, bliżej lewego skrzydła niż środka, podążał torunnański król w towarzystwie pięciuset żołnierzy ze Straży Osobistej. Towarzyszył mu też łączony oddział złożony z około dwóch tysięcy Fimbrian i Torunnan, który miał służyć jako odwód, a także wzmacniać otwartą flankę. Daleko z tej flanki, na wyżej położonym terenie po drodze do Charibonu, przycupnęła cytadela rycerzy, szara przysadzista forteca otoczona namiotami i taborami niewielkiej armii. Gdy Torunnanie ruszą na miasto, będą mieli fortecę oraz obozowisko za sobą, z lewego skrzydła. Co więcej, szybcy zwiadowcy z oddziałów Katedralników, którzy posuwali się przed armią już od wielu dni, zameldowali wczoraj, że widzieli liczny oddział piechoty, obozujący jakieś piętnaście mil na zachód od Charibonu, na samym Trakcie Nariańskim. Nie zbliżyli się do tych żołnierzy na tyle, by móc ustalić ich narodowość, ale raczej nie ulegało wątpliwości, że to kolejne posiłki mające wzmocnić zastępy imperium. Dlatego Corfe kazał swym ludziom maszerować przez całą noc, by zdążyć zaatakować Charibon przed przybyciem tej nowej armii.

Nie miał złudzeń co do tego, że szanse przeżycia jego ludzi wiszą na bardzo cienkiej nitce. Wiedział też, że nawet jeśli odniosą zwycięstwo w klasztornym mieście, nie było większej nadziei, by zdołali wrócić do Torunny. Miał jednak przed sobą głowę węża, i jeśli ją zetnie, zachód może jeszcze powstać i rzucić jarzmo. Dla tej szansy warto było poświęcić armię. A jeśli chodzi o jego własne życie, wiedział, że nie ma już żadnej nadziei na szczęście, i był gotów je oddać.

Przed Torunnanami i Fimbrianami, którzy sformowali szyk na równinie, było widać kolejne obozowiska, rozbite pośród pajęczyny zwirowych dróg. Dalej majaczyła trójżroźna wieża Katedry Świętego, wysoka i surowa. Dorównywały jej wysokością wzniesiona tuż obok biblioteka świętego Garaso oraz Pałac Pontyfikalny. Wszystkie te budynki łączyły ze sobą Długie Krużganki. To było serce Charibonu i całego Drugiego Imperium. Jeśli chce ściąć głowę węża, musi zburzyć te gmachy i wyrznąć ich mieszkańców.

Albrec sprzeciwiał się żarliwie, gdy Corfe opowiedział mu o swych zamiarach, ale on nie był żołnierzem. Nie było go też tutaj i nie widział ogromnej fabryki wojny, w jaką przerodził się Charibon. Corfe wolałby spalić tysiąc ksiąg niż stracić bez potrzeby jednego ze swych ludzi. Prędzej pozwoli, by historia wieków poszła z dymem, niż dopuści do tego, by umknął choć jeden ze złych pomiotów Aruana. Wbił to do głowy podkomendnym podczas narady wojennej przeprowadzonej między wzgórzami. Golophon również był obecny, ale nie odezwał się ani słowem.

– Nie wystawili wart – stwierdził z niedowierzaniem chorąży... nie, haptman, Baraz. – Panie, jestem przekonany, że wszyscy śpią.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz, haptmanie. – Corfe powiódł wzrokiem wzdłuż lśniących w ostrym świetle poranka szeregów, które ciągnęły się w obie strony dalej niż okiem sięgnąć. Zaczerpnął głęboko tchu. – Alarinie, daj sygnał do ataku.

Chorągiew Corfe'a niósł cymbrycki dzikus, bliski kuzyn Felorina. Stał teraz w strzemionach i zamachał czarno-szkarłatnym sztandarem Torunny. Nie mieli używać trąbek, dopóki nie zacznie się bitwa. Sygnał przekazano dalej i potężny, zorganizowany tłum ruszył przed siebie, zamieniając się w cichą, pełznącą ciemność, która sunęła ku namiotom nieprzyjaciela, najeżona groźną bronią. Kto przyjrzałby się bliżej ekwipunkowi żołnierzy, potarłby powieki i wybałuszył oczy ze zdziwienia. Każdy z mężczyzn miał przyspawane do zbroi krótkie żelazne gwoździe. Nawet końskie nagłowki i napierśniki miały podobne ozdoby, a grotów pik Fimbrian oraz lanc Katedralników nie wykonano z błyszczącej stali, lecz również z czarnego żelaza. Pomijając szkarłat Katedralników, cała armia była mroczna jak cień. Rzadko widziało się błysk jasnego metalu.

Gdy już pokonali dwie mile, Corfe rozkazał odwodowi przesunąć się bardziej w lewo, ponieważ

właśnie mijali obozy Rycerzy-Bojowników, otaczające ich cytadelę. Przedtem panował tam spokój, teraz jednak zaczął się ruch. Widział już szwadrony dosiadającej koni kawalerii. Potem w porannym powietrzu poniosła się seria dźwięcznych tonów rogu, a ze szczytu fortecy wzniósł się ku niebu słup szarego dymu.

– Wygląda na to, że nieprzyjaciel w końcu wygramolił się z łózek – zauważył łagodnym tonem Corfe. – Baraz, pojedź do pułkownika Olby i powiedz mu, żeby cofnął odwody. Ma nas osłaniać od tyłu z lewej. Jeśli będzie to konieczne, niech się ustawi w czworobok. Musi być przygotowany na odepchnięcie Rycerzy-Bojowników od głównego oddziału.

– Tak jest!

Baraz oddalił się galopem.

– Chorąży Roche.

– Słucham, panie.

Koń młodego oficera tańczył pod nim, a oczy jeźdźca błyszczały jak szkło. Wreszcie zobaczy prawdziwą bitwę.

– Pojedź do marszałka Kyne'a, w sam środek falangi, i powiedz mu, że ma dalej maszerować na Charibon, nawet jeśli straci kontakt z arkebuźnikami, których ma z lewej. Udzielam mu pozwolenia na odkomenderowanie oddziału osłaniającego flankę, jeśli uzna to za stosowne, ale musi cały czas maszerować naprzód. Jasne?

– Tak jest!

Kawałki darni wzbily się w górę niczym ptaki, gdy Roche zawrócił wierzchowca i odjechał.

Nieprzyjaciel w rzeczy samej już nie spał. W odległości mili przed czołem armii ludzie wypadali z namiotów i ustawiali się w szyki w beładnym pośpiechu. To byli arkebuźnicy i uzbrojona w miecze piechota – wszyscy odziani w niebieskie almarkańskie mundury. Wiele tysięcy żołnierzy przygotowywało się do zamknięcia drogi do Charibonu. Gdy kłębili się pod jego bramami, dzwony Katedry Świętego oraz wszystkich innych kościołów w klasztornej mieście zabiły na trwogę. Corfe widział, że ulice Charibonu wypełniły się żołnierzami biegnącymi na południowy wschód, by wyjść mu na spotkanie. Na zachód od miasta ustawiały się inne formacje – według słów jego zwiadowców finnmarkańscy gallowglassowie. Mieli tam wielkie obozowiska, ale musieli pokonać dwie mile, nim dotrą do jego flanki. Corfe wyciągnął Udzielającą Odpowiedzi i stara, sklepywana stal szabli Johna Mogeny zaśniła ciemnym blaskiem. Uniósł ją nad głowę i poprowadził Straż Osobistą ku lewej flance Katedralników. Torunnańska armia pokonywała w straszliwym tempie dzielącą ją od Charibonu odległość. Rozwinęła szyki na kształt wielkiej litery L, z podstawą zwróconą ku zachodowi. Z ust żołnierzy nie wyrwał się ani jeden okrzyk bojowy. Słysząc było tylko głuchy łoskot tysięcy uderzających o ziemię kopyt i nóg.

– Chorąży Brascian – odezwał się Corfe do kolejnego ze skupionych wokół niego młodych oficerów. – Znajdź pułkownika Rilkego, który dowodzi baterią dział. Będzie z Katedralnikami. Powiedz mu, że ma natychmiast skierować swoje działa na zachód i rozpocząć ostrzał Rycerzy-Bojowników. Potem poszukaj Comillana i przekaz mu, że ma zaatakować rycerzy, gdy będzie gotowy, ale nie wolno mu ich ścigać. Żadnego pościgu, czy to jasne?

– Tak jest, panie.

– Ma się wycofać, gdy tylko nieprzyjaciel pójdzie w rozsypkę. Działa będą osłaniały jego odwrót. Potem ma czekać na dalsze rozkazy.

Siedem czy osiem tysięcy Rycerzy-Bojowników ustawiło się już przed cytadelą i rozbitymi u jej podnóża namiotami w długą linię zwróconą na wschód. Lada moment ruszą do ataku i trzeba ich będzie zneutralizować. Corfe śledził wzrokiem oddalającego się Brasciana. Młodzieniec popędzał

wierzchowca płazem szabli. Po chwili zniknął w morzu zakutych w czerwone zbroje Katedralników. Po paru minutach szeregi konnicy rozstały się i ustawiono przed nimi działa. Katedralnicy zatrzymali się za linią sześciofuntówek i wyrównali szeregi. Choć składali się głównie z ludzi z cymbryckich plemion, byli teraz tak samo zdyscyplinowani, jak Torunianie. Serce Corfe'a wezbrało dumą na ich widok. Przed laty byli tylko bandą źle uzbrojonych galerników, a z czasem przeobrazili się w najgroźniejszą konnicę na świecie.

Rycerze-Bojownicy ruszyli naprzód. Przed nimi jechał tonsurowany prezbiter, wymachujący buławą. Oni również nosili ciężkie zbroje, na napierśnikach mieli wymalowaną białą farbą Znak Świętego, a twarze ukryte za zasłonami hełmów. Ich długonogie wierzchowce pochodziły z pięknej rasy wywodzącej się z Równin Toriańskich. Almarkańska arystokracja już od stuleci hodowała je jako konie do polowania i do przejażdżek, były jednak mniejsze od masywnych rumaków, jakich używali Katedralnicy. Konie ludzi Corfe'a pochodziły od tych, które sprowadzili na wschód Fimbrianie w pradawnych czasach, gdy część ich armii stanowiła jeszcze konnica. Cymbryckie dzikusy kradły najlepsze z nich, a potem przez stulecia hodowały je wyłącznie z myślą o rozmiarach i odwadze. O wojnie.

Nagle ciszę zmaćcił huk. To wystrzeliła pierwsza sześciofuntówka. Potem nastąpiła szybka salwa wszystkich trzech baterii. Rilke dobrze wyszkolił swych artylerzystów. Ledwie działa zdążyły odskoczyć do tyłu na lawetach, jego ludzie pochyłili je znowu, przetarli i załadowali na nowo. Strzelali kartaczami, pustymi w środku pociskami wypełnionymi kulami arkebuzowymi. Gdy dym się rozwiął, ujrzeli obraz straszliwej rzezi. Wzdłuż całej linii nieprzyjaciela konie padały z kwikiem na ziemię, przygniatając jeźdźców, stawały dęba, odsłaniając wyprute jelita, albo uciekały w panice przed śmiertelnościami gradem, wpadając na podążających za nimi towarzyszy. Szarża rycerzy załamała się w krwawym chaosie. Koń ich prezbitera cwałował bez jeźdźcy po polu bitwy. Z ran w jego szyi i boku spływała krew. Jeździec leżał zaś nieruchomo na zdeptanej trawie. Tonsura lśniła jasno jak porcelanowa miseczka.

– Teraz – wyszeptał Corfe, uderzając w kolano obleczone w pancerną rękawicę dłonią. – Teraz. Mogłoby się zdawać, że Comillan odczytał jego myśli, ponieważ gdy tylko artyleria oddała drugą salwę, wyjechał przed szereg swych ludzi w towarzystwie trzymającego chorągiew żołnierza i nieartykułowanym krzykiem wydał rozkaz ataku. Głośne tony myśliwskich rogów cymbryckich dzikusów przebiły się przez krzyki rannych ludzi i kwiczenie koni, a potem masa pancерnej konnicy ruszyła naprzód, niby jakiś monstrualny tytan spuszczonej ze smyczy. Serce Corfe'a zabiło radośnie, gdy jeźdźcy przeszli w kłus, potem w galop, a wreszcie pochyłili lance w szarży. Ziemia drżała pod kopytami koni. Dzikusy śpiewały straszliwy wojenny hymn ze swych rodzinnych wzgórz. Nie przerywając pieśni, Katedralnicy wdarli się w szeregi nieprzyjaciela, jak rozgrzany nóż przecinający masło. Ich pierwsza i druga linia wbiła się krwawym klinem w formację Rycerzy-Bojowników. Mniejsze konie Himerian padały na ziemię pod impetem szarży. Katedralnicy odrzucili połamane, zakrwawione lance i oddali salwę ze skałkowych pistoletów, zabijając kolejnych nieprzyjaciół i zwiększając panikę. Potem sygnał srebrnego rogu wezwał ich do odwrotu. Dwa pierwsze szeregi zawróciły, osłaniane przez trzeci i czwarty, które przemknęły przez ich linie, ustawiły się równo i też oddały salwę. Ludzie Comillana oddalili się kłusem od nieprzyjaciela, który nie próbował ich powstrzymać. Na pozór wydawało się, że nie ponieśli żadnych strat, ale Corfe widział krwawiące na równinie ciała. To jednak był drobiazg w porównaniu z ogromną stertą zakutych w stal ludzkich i końskich trupów, w jaką zmieniły się dumne szeregi Rycerzy-Bojowników.

Ci, którzy przeżyli, uciekali przez stratowane pozostałości obozu, często na piechotę, szukając schronienia za murami cytadeli. Torunianie kontynuowali natarcie.

* * *

Przerażony Aruan obserwował masakrę swych rycerzy z wysokiej wieży Pałacu Pontyfikalnego. Inicjanccy skrybowie i gońcy tłoczyli się wokół niego niczym czarne muchy zlatujące się do rany. Żaden z nich nie śmiał spojrzeć w gorejące oczy swego pana. Przesuwając wzrokiem po rozległym polu bitwy, Aruan zauważył, że almarkańscy żołnierze rozlokowani na południe od Charibonu oddali nierówną salwę z arkebuzów. Atakujący ich Torunnie nawet nie zwolnili. Zwarli tylko szeregi i przeszli po ciałach poległych towarzyszy. Na oczach arcymaga piki Sierot pochyliły się, przeradając się w płot najeżony ostrymi kolcami, w których nie odbijało się światło. Almarkanie nie potrafili znieść tego przerażającego widoku i zaczęli się wycofywać do zapewniającego niepewne schronienie obozu, przystając po drodze, żeby wystrzelić. Torunnańska falanga zatrzymała się i tysiąc arkebuźników w jej szeregach również oddało salwę. Potem Sieroty wznowiły marsz, wyłaniając się z obłoków dymu. Wydawało się, że nie są ludźmi, ale maleńkimi trybikami w jakiejś ogromnej, przerażającej maszynie wojennej, niepowstrzymanej jak siły natury.

Aruan zatoczył oczyma. Z jego gardła wyrwało się warknięcie. Adiutanci odsunęli się trwożnie, ale on w ogóle nie zwracał na nich uwagi. Zebrał siły i wystrzelił na wschód impuls czystej, skupionej mocy, strzałę energii wypuszczoną z ogromnego łuku. Ten szybki jak błyskawica strzępek dweomeru niósł ze sobą żądanie jego umysłu.

Bardolinie, do mnie.

Wrócił do swego ciała i warknął na adiutantów, nie patrząc w ich stronę. Wbił wzrok w dymiące pole bitwy na dole.

– Spuście Psy – rozkazał.

* * *

Torunnie rozciągnęli szyki. Zasadnicza grupa piechoty wciąż posuwała się naprzód, natomiast Katedralnicy zawrócili na północ, by osłaniać jej otwartą flankę. Towarzyszyły im działa Rilkego. Odwody dowodzone przez pułkownika Olbę rozwinęły się w szyk bitewny, zapelniając lukę pozostawioną przez czerwonych jeźdźców. Żołnierze spoglądali na zachód, na wypadek gdyby niedobitki rycerzy próbowały ponowić atak. Torunnański król znajdował się nieopodal punktu, w którym łączyły się te dwa szyki. Czarno-szkarłatna chorągiew łopotała nad jego głową, a ze wszystkich stron otaczała go Straż Osobista.

Z północnego zachodu maszerowały na nich długie kolumny noszących błyszczące kolczugi gallowglassów, szturmowej piechoty Drugiego Imperium. Z obozów położonych nad brzegiem morza Tor zmierzały już ku nim świeże kontyngenty Almarkan, Perigrainian i Finnmarkan. Na błękitnym niebie było widać maleńkie sylwetki machających skrzydłami homunkulusów, służących swemu panu jako gońcy. Aruan wzywał wszystkie *tercios*, które pozostały jeszcze między Górą Cymbryckimi a Wzgórzami Nariańskimi, na odsiecz Charibonowi. Kościelne dzwony wciąż biły jak szalone, a Torunnie zbliżali się do miasta niczym fala czarnego żelaza.

To Golophin pierwszy wyczuł ich bliskość. Zesztywniał w siodle wojskowego muła, którego wolał od konia. Wyglądał, jakby węszył.

– Corfe! – zawołał. – Psy!

Król zerknął na niego i skinął głową. Potem spojrział na Astana, swego trębacza.

– Zagraj „stop”.

Czysty, zimny zew rogu przebił się przez bitewny tumult. Gdy tylko tony wybrzmiały, podjęli je trębacze innych kompanii i formacji. Po paru sekundach wszyscy żołnierze znieruchomieli, a Sieroty wsparły piki o ziemię. Rozciągnięty na z górą dwie mile szyk uzbrojonych ludzi i tupiących niecierpliwie koni zatrzymał się, jakby na coś czekał. Nad polem bitwy zapadła cisza, maćona

jedynie słyszalnymi tu i ówdzie strzałami oraz rżeniem niecierpliwych rumaków. Dzwony Charibonu również umilkły.

Golophin wyglądał, jakby wyęczał słuch. Stał sztywno w strzemionach wiercącego się nerwowo muła. Wkrótce wszyscy żołnierze usłyszeli ten dźwięk. Szaloną, chóralną kakofonię wilczej sfory, wzmocnioną do tego stopnia, że niosła się nad zdeptaną, krwawą, spaloną trawą pola bitwy, jakby dobywała się z powietrza nad ich głowami.

– Arkebuźnicy, przygotować się! – zawołał Corfe, unosząc Udzielającą Odpowiedzi. Jego rozkaz przekazano wzdłuż szyków. Katedralnicy otworzyli olstra, sięgając po pistolety.

Ruszyły na nich wielką sforą. Setki, tysiące Psów. Wypadły na ulice centrum Charibonu kudłatą, zębatą falą. Ich ślepie błyszcząły szaleńczo, a pazury ślizgały się ze stukiem po bruku. Ludzkie oddziały Aruana rozstały się przed nimi trwożnie, wciskając się w mury i kryjąc w drzwiach. Psy ich jednak ignorowały. Wypadły z wąskich uliczek, biegnąc to na dwóch, to na czterech łapach, i skupiły się w wielką chmurę na równinie przed bramami miasta. Dowodzili nimi odziani w kolczugi inicjanci. Roilo się tam od likantropów wszelkich wyobrażalnych kształtów i rodzajów. Szczekały, warczały i syczały nienawistnie na milczące szeregi Torunnan niczym wizja zrodzona z jakiegoś pierwotnego koszmaru.

Almarkanie, którzy znaleźli się między tymi dwiema liniami, umknęli panicznie na zachód. Zwalili po drodze resztę swoich namiotów, a niektórzy nawet porzucili broń. To nie byli profesjonalni żołnierze, ale pasterze ze Wzgórz Nariańskich i rybacy z brzegów Morza Hardyckiego. Nie chcieli mieć nic wspólnego z nadchodzącą rzezią.

Corfe przymrużył powieki, spoglądając na tłum zmiennych, którzy kłapali zębami w stronę jego ludzi, lecz mimo to usłuchali rozkazów inicjanckich dowódców i pozostali na miejscu. Potem osłonił oczy dłonią i skierował wzrok na wysokie budynki Charibonu, odległe już tylko o niespełna milę. Zastanawiał się, czy jedną z postaci, które tam widzi, jest twórca tych okropieństw. Z wieży sąsiadującej z katedrą obserwowała ich grupka ludzi. Z pewnością jednym z nich był Aruan. Wtem powietrze wokół postaci zamigotało. Corfe odwrócił wzrok, by potrzeb zażawione oczy, był jednak przekonany, że dołączył do nich ktoś nowy.

W tej samej chwili Psy Boże ruszyły do ataku, biegnąc przez zniszczony obóz Almarkan. Z daleka wyglądały jak fala szczurów. Przerazone ich rykiem, wyciem i warczeniem konie stawały dęba, szarpiąc za uzdy. Corfe nie wydał rozkazu. Jego ludzie wiedzieli, co mają robić. Psy biegly skłębioną masą wprost na ich linię. Niosły ze sobą przemożny, okropny smród.

Gdy zbliżyły się na odległość czterdziestu jardów, Sieroty pochyliły piki, a wszystkie pistolety i arkebuzy wypaliły długą, donośną salwą, która zdawała się brzmieć bez końca. Czoło armii spowiły nieprzeniknione kłęby dymu. Po chwili wypadły z nich nieprzeliczone setki wilkołaków i zmiennych najprzeróżniejszych postaci, które rzuciły się na Torunnan.

Armia zadrżała od ich impetu. Na całej długości szyków podjęto walkę wręcz. Corfe widział ciała żołnierzy wyrzucane w powietrze, miażdżone i rozdierane pazurami. Ale gdy tylko któryś ze zmiennych uderzył w człowieka Corfe'a, bez względu na to jak lekko, natychmiast padał z wrzaskiem na ziemię. Wkrótce u stóp Sierot i Torunnan utworzyła się straszliwa barykada złożona z nagich ciał. Wystarczyło, by zmienni choć skaleczyli się o żelazne kolce torunnańskiej zbroi, a opuszczał ich dweomer i ich zwierzęce ciała rozplływały się.

Gdy tylko dym pierwszej salwy rozproszył się, niesiony z wiatrem ku morzu, można było ujrzeć, jak wielkie straty spowodowali arkebuźnicy. Na równinie leżały tysiące nagich trupów, gdzieś skupione w sterty wysokie na trzy albo cztery ciała. Trawa była ciemna i śliska od ich krwi.

Natarcie Psów załamało się. Choć gnała je żądza krwi, uświadomiły sobie, że popełniły błąd, i zaczęły się cofać od śmiertelnej linii chronionych żelazem ludzi. Pierzchały setkami, tratując po drodze inicjanckich oficerów albo odrzucając na bok z gniewnym warczeniem. Ale nawet odwrót nie mógł ich uratować. Gdy tylko zerwały kontakt z Torunnamami, żołnierze znowu pochyliłi arkebuzy i Corfe usłyszał głosy wykrzykujących rozkazy oficerów. Zabrzmiała druga salwa, a potem trzecia. Kule, którymi strzelali jego ludzie, nie były wykonane z ołowiu, lecz z czystego żelaza. Ciężkie pociski mknęły z głośnym świstem nad polem bitwy, powalając setkami uciekające Psy. Gdy dym wreszcie się rozproszył, na równinie nie było nic żywego. Trupy budzących największy lęk żołnierzy Aruana zaścieniały je niczym makabryczny spad owoców. Psy wycięto do nogi. Nad polem bitwy zapadła niesamowita cisza.

Corfe spojrział na trębacza i skinął głową. Dzikus uniósł róg do ust i zagrał. Torunnanie wznowili natarcie.

* * *

– Golophin nas zdradził – rzekł Aruan głosem twardym jak kamień. – Powiedział Torunnamom, jak nas zabijać.

Bardolin stał obok niego, spowity ostatnimi, kurczącymi się nitkami dweomeru. Jego szaty cuchnęły lekko spalenizną, a twarz miał wymizerowaną ze zmęczenia.

– Każda wiejska czarownica mogła im powiedzieć to samo.

– W Torunnie nie ma już ani jednej. Nie, to był Golophin. W końcu zdecydował, po której stronie się opowiedzieć. Szkoda. Myślałem, że zdołamy przemówić mu do rozsądku.

Oczy Aruana miały nieobecny wyraz, jakby nie potrafiły pojąć znaczenia rozgrywającego się przed nimi spektaklu.

– Ich piechota wkracza do miasta – stwierdził arcymag. – Bardolinie, w imię Boże, cóż to są za ludzie? Czy nic ich nie przstraszy?

Hebriński mag nie odpowiedział na to pytanie.

– Psy na razie nas zawiodły. Są jeszcze inne, które będziemy mogli przywołać w odpowiednim momencie. Na razie jednak musimy stawić czoło nieprzyjacielowi z mieczami w rękach. Z północy i z południa nadciągają już posiłki. Corfe wykazał się wielką odwagą, ale nie może zwyciężyć, nie przeciwko tak wielkiej przewadze liczebnej.

Aruan poklepał go po ramieniu.

– I to mi się podoba. Cieszę się, że jesteś ze mną, Bardolinie. Potrzebny mi twój zdrowy rozsądek. Człowiek musiałby być z kamienia, żeby w takich chwilach nie stracić choć trochę równowagi.

– W takim razie lepiej przekażę ci wieści, zanim stracisz jej więcej. Wczoraj armia Torunnan i Merduków pod dowództwem Formia pokonała nasze siły w bitwie pod miastem Staed w południowej Torunnie. Inwazja zakończyła się niepowodzeniem.

Aruan nie poruszył się ani nic nie powiedział, ale mięśnie jego szczęk zaciskały się i rozluźniały niczym niespokojny robak poruszający się pod skórą.

– Czy to wszystko?

– Nie. Nasi szpiedzy donoszą, że po bitwie Formio przyjął w swej kwaterze głównej młodego człowieka, który twierdzi, że jest dziedzicem hebrińskiego tronu, synem z nieprawego łoża Abeleyna i jego dawnej kochanki. Młodzieniec poinformował Fimbrianina, że królowa Isolla nie żyje. Murad załatwił ją na Levangore, nim sam dał się zabić. – Bardolin spuścił wzrok. – Richard Hawkwood również zginął.

– No cóż, pewnie musimy się cieszyć choć z tego. Nasze plany spaliły na panewce, Bardolinie,

mój stary przyjacielu, ale to tylko przejściowe niepowodzenie. Jak sam zauważyłeś, zmierzają tu już świeże siły, które przeważą szalę.

Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawił się groźny, wilczy błysk, świadczący o sekretnej wiedzy.

Inicjant, który opierał się o balustradę razem ze swymi towarzyszami, ściągnął kaptur i wskazał na południe.

– Panie, Torunnanie są już na ulicach – oznajmił drżącym głosem. – Zbliżają się do katedry!

– Niech się zbliżają – odparł Aruan. – Pozwólmy skazanym na chwilę chwały.

* * *

Pole bitwy powiększyło się, pochłaniając klasztorne miasto. Corfe ponownie skierował Sieroty ku zachodowi, opierając ich prawe skrzydło o kompleks drewnianych budynków tworzących południowe przedmieścia Charibonu. Ci arkebuźnicy, którzy przedtem zajmowali pozycje na brzegach morza Tor, ruszyli na północ i zaczęli naciskać na Wielki Plac położony w sercu miasta. Tymczasem Katedralnicy ustawili się w szyk na południe od Sierot, by osłaniać ich flankę, a odwód pod dowództwem Olby ruszył szybkim marszem na północ, żeby dołączyć do szturm na miasto. Niektóre z budynków już płonęły, a himeriańscy żołnierze, którzy próbowali powstrzymać natarcie Torunnan, byli dezorientowani i pozbawieni dowódców. Doświadczeni torunnańscy zawodowcy pędzili ich przed sobą jak owce, posuwając się naprzód *tercio* za *tercio*. Spokojne zwykle kruzganki Charibonu wypełnił ogłuszający huk salw oraz krzyki zdesperowanych ludzi. Zakuci w żelazo najeźdźcy nie dawali pardonu, zabijając wszystkich mężczyzn, kobiety oraz duchownych w czarnych strojach, którzy stanęli im na drodze, aż rynsztoki spływały krwią.

Ale Drugie Imperium nie rzuciło jeszcze do walki wszystkich swych sił. Z zachodu nadciągały szeregi gallowglassów w błyszczących kolczugach. Żołnierze opierali dwuręczne miecze na ramionach, a twarze ukrywali za maskami wysokich hełmów. Za ich plecami ustawiały się w szyk kolejne pułki Almarkan i Perigrainian, gotowe zepchnąć Torunnan do morza.

Wiatr znad Równin Toriańskich przyniósł ze sobą dym i smród toczonej w głębi ładu bitwy. Przez opary przebiły się jasne chorągwie snopów słonecznego światła, znacząc zbrojne oddziały cętkami blasku. Na obszarze trzech mil kwadratowych na południe od Charibonu ziemię pokryły popioły wojny, jakby bitwa była jakimś gwałtownym, mrocznym pożarem, który zostawiał po sobie tylko zwęglone trupy. A był jeszcze wczesny ranek.

Znowu zabrzmiały działa Rilkego i w szeregach nacierających gallowglassów pojawiły się czerwone kwiaty zniszczenia. Jednakże ci Finnmarkanie nie byli przerażonymi chłopcami, jak almarkańscy rekruci, ale przybocznymi wojownikami samego króla Skarp-Hedina. Nie przerwali marszu, szybko zamykając luki w szykach. Corfe nie mógł nie czuć dla nich podziwu.

Przyglądał się polu bitwy, jakby było ono jakąś łamigłówką, którą musiał rozwiązać. Za gallowglassami kończyły ustawiać szyki potężne masy żołnierzy. Pierwsi z nich ruszyli już do natarcia w ślad za Finnmarkanami. Przeciwnik miał kilkakrotną przewagę liczebną i nie minie wiele czasu, nim ktoś w nieprzyjacielskim dowództwie pójdzie po rozum do głowy i zajdzie Corfe'a z lewej flanki. Mógł albo wycofać się i czekać na atak nieprzyjaciela, albo zapomnieć o ostrożności.

Spojrzał na północ. Przedmieścia Charibonu płonęły. Jego ludzie toczyli krwawy bój na ulicach, przebijając się do serca miasta. Tam właśnie rozstrzygnie się starcie: pośród świętych kruzganków i inicjanckich kościołów. Musiał dokonać wyboru. Wiedział, że zwycięstwo w otwartym boju nie jest możliwe. Mógł stoczyć konwencjonalną bitwę, oszczędzając życie swych ludzi w nadziei, że uda im się przeprowadzić zbrojny odwrót i uciec przed nacierającymi hordami. Albo mógł świadomie skazać na zagładę swe ukochane dzieło, zapomnieć o zasadach taktyki i postawić wszystko na jedną

kartę. A wszystko po to, by doprowadzić do śmierci jednego człowieka.

Jeśli mu się nie uda, jeśli Aruan i jego sługusi przeżyją dzisiejszy dzień, zachód stanie się kontynentem niewolników, a magowie i ich bestie będą nim władali przez niezliczone lata.

Zerknął na Golophina. Stary czarodziej popatrzył mu prosto w oczy. Wiedział, co należy zrobić.

Corfe zwrócił się do chorążego Roche'a. Młodzieniec gapił się na bitwę z wytrzeszczonymi oczyma. Zalewał go pot.

– Pojedź do Comillana. Ma zaatakować gallowglassów i nie popuszczać, dopóki nie pójda w rozsypkę. Potem udaj się do Kyne'a. Sieroty muszą ruszyć do natarcia i kontynuować je tak długo, jak tylko zdołają.

Młody oficer zasalutował pośpiesznie i odjechał. Stało się. Tak oto rozstrzygną się losy świata. Corfe miał wrażenie, że wielki ciężar spadł mu z ramion.

– Zabieram Straż Osobistą do miasta – oznajmił haptmanowi Barazowi. – Powiedz Olbie, żeby podążył za nami ze swym oddziałem.

Gdy młody oficer się oddalił, Corfe ponownie spojrzął na Golophina.

– Będiesz ze mną w chwili śmierci? – zapytał lekkim tonem.

Stary czarodziej pokłonił się w siodle. Jego naznaczona blizną twarz miała wyraz posepny jak u katedralnej chimery.

– Będę z tobą, Corfe. Aż do końca.

DWADZIEŚCIA DWA

Bardolin obserwował szarżę Katedralników z dachu budynku stojącego przy Wielkim Placu. Zebrał w okolicznych domach tylu wycofujących się Almarkan, ilu tylko mógł. Ustawił ich przy oknach oraz na balkonach, skąd mieli ostrzeliwać atakujących Torunnan. Z północy wciąż napływały do miasta nowe posiłki i podczas gdy Torunnanie posuwali się naprzód, paląc i zabijając, on oraz Aruan rozmieścili tysiące nowych żołnierzy, którzy mieli zagrozić im drogę. Na każdej ulicy wznoszono barykady, a za każdym rogiem czekali arkebuźnicy.

Jednakże na równinach położonych za miastem czerwoni jeźdźcy z Torunny wciąż parli naprzód, ramię w ramię z fimbriańskimi pikinierami, falangą liczącą sobie osiem, dziewięć tysięcy ludzi. Maszerowali na spotkanie gallowglassom z Finnmarku. Ten widok wywołał w Bardolinie jakiś dziwny żal. Przyglądał się, jak Katedralnicy ruszyli do szarży szkarłatną falą, a Sieroty opuściły straszliwe piki i podążyły za nimi. Nad polem bitwy dominowały szkarłat i czerń, barwy Torunny. Usłyszał przebijający się z trudem przez zgiełk bitwy wojenny hymn cymbryckich plemion, straszliwy i piękny jak letnia burza. Gdy legendarna szarża Katedralników dotarła do celu, gallowglassowie zostali odrzuceni do tyłu, a srebro zmieszało się z czerwienią. Finnmarkanie walczyli zawzięcie, ale nie mogli się mierzyć z armią, którą stworzył Corfe Cear-Inaf. W końcu ich szyk załamał się, pękł i poszedł w rozsypkę. Wtedy uderzyły na nich Sieroty, by dokończyć krwawego dzieła. Ich piki poruszały się bezbłędnie jak na paradzie.

Wtem jego mózg przeszło lekkie ukłucie.

Teraz, zrób to teraz.

Bardolin wyprostował się ze łzami w oczach. Wzniósł dłonie ku niebu i wykrzyczał po staronormańsku słowa wezwania i mocy, które wstrząsnęły budynkiem aż po fundamenty. I te słowa spotkały się z odpowiedzią. Z południa nadleciała ciemna chmura, plamiąca wiosenne niebo. Była coraz bliżej, podczas gdy żołnierze na dole toczyli bój, nie zwracając na nią uwagi. Dym pożarów Charibonu wybiegł jej na spotkanie. Ludzie wreszcie zauważyli złowrogą ciemność i wokół Bardolina rozległy się krzyki strachu. Latacze Aruana opadły ze słonecznego nieba wielotysięczną chmurą, uderzając na torunnańską armię niczym szarańcza. Nawet rumaki Katedralników nie potrafiły się oprzeć nagłej grozie tego niespodziewanego ataku. Stawały dęba, zrzucając jeźdźców, kwiczały i kłębiły się zdezorientowane. Szkarłatne zbroje dzikusów zniknęły pod czarną chmurą. W jej wnętrzu spieszeni, potracani przez spanikowane wierzchowce żołnierze zaczęli desperacką walkę o ocalenie życia. Ten widok dodał otuchy niedobitkom gallowglassów oraz postępującym za nimi pułkom Himerian. Zaczął się kontratak. Sieroty Corfe'a wyszły nieprzyjacielowi na spotkanie i na nie również opadła chmura. Ta część pola bitwy przerodziła się w tornado cienia oraz ciemności, w którego sercu płonął ogień rzezi.

* * *

Słońce przygasło, nad światem zapadł przedwczesny zmierzch. Z południa napłynęły potężne chmury, gnane ledwie widocznymi błyskawicami. Powietrze wypełnił chłód. Zaczął padać deszcz. Wraz z nim z nieba sypały się długie lodowe sztylety, które raniły ludzi i odbijały się z grzechotem od ich zbroi. Ziemia na równinie zaczęła mięknać. Nogi żołnierzy i koni zapadały się w błoto, tworząc potężne grzęzawisko. Brodzący w nim, straszliwie obciążeni ludzie okładali się nawzajem mieczami, walcząc z bezmyślną zawziętością zwierząt.

Na ulicach miasta panował tak wielki tłok i ścisk, że Corfe i jego żołnierze musieli zsiąść z koni i je porzucić. Pięciuset uzbrojonych w szable i pistolety ludzi w czarnych zbrojach *ferinai* przebijają się naprzód na piechotę. Z ich straszliwych hełmów skapywały krople deszczu. To byli Torunnanie i cymbryckie dzikusy, Fimbrianie i Merducy, śmietanka armii. Gdy zobaczyli ich regularni torunnańscy

żołnierze walczący w cieniu płonących budynków, rozległ się donośny krzyk:

– Idzie król!

Straż Osobista parła wciąż naprzód, aż wreszcie dotarła do pierwszej z barykad, zza której almarkańscy arkebuźnicy prowadzili gorączkowy ostrzał. Rozległ się dźwięk przypominający łoskot ciężkiego gradu tłukącego o blaszany dach. Kilku Torunnan zachwiało się, gdy uderzyły w nich arkebuzowe kule. Ich zbroje były jednak odporne na takie pociski. Szli dalej, osłaniając przed deszczem lonty pistoletów, aż wreszcie oddali salwę z odległości kilku kroków. Potem odrzucili pistolety, wyciągnęli szable i zaczęli się wspinać na barykadę. Almarkanie uciekli.

Torunnanie wciąż parli przed siebie. Nieprzyjaciel od czasu do czasu strzelał do nich jeszcze z okien na górnych piętrach, ale większość Himerian wycofała się na Wielki Plac, przed katedrę i bibliotekę świętego Garaso. Zebrali się tam, a Bardolin, Aruan oraz dziesiątki inicjantów przywrócili w ich szeregach porządek. Garstka ocalałych Psów siedziała, warcząc, na bruku, a homunkulusy krążyły w powietrzu niczym sępy.

Corfe i jego ludzie wypadli na plac z kilku ulic jednocześnie. Wszystkie lonty w obu armiach zamokły od deszczu, arkebuźnicy odrzucili więc na bok swą bezużyteczną broń, sięgając po szable. Wysokie hełmy Straży Osobistej nadawały jej żołnierzom wygląd czarnych wież wyrastających nad tłum lżej uzbrojonych towarzyszy. Za nimi podążał szybkim marszem odwód Olby. W jego skład wchodziło tysiąc Sierot, wspierających na ramionach piki. Dziesiątki żołnierzy ginęły od kul nieprzyjaciół strzelających z okien.

Wielki Plac w Charibonie miał bok o długości prawie pół mili. Na jego północnym końcu wznosiła się biblioteka świętego Garaso, największa na świecie od czasu upadku Aekiru. Na zachodzie majaczyły wieże Pałacu Pontyfikalnego, nowszego budynku, który znacznie rozbudowano w ciągu ostatniego dziesięciolecia. A na wschodzie stała trójrożna Katedra Świętego. Choć plac był olbrzymi, otaczające go ze wszystkich stron wysokie budynki nadawały mu wygląd gigantycznego amfiteatru. Corfe widział na jego drugim końcu dwie błyszczące sylwetki. Z pewnością byli to Aruan i Bardolin. Obaj mieli na sobie antyczne półpancerze zdobione złotem, które błyszczało na deszczu. Wtem jeden z nich wyprostował się, nie zważając na najeźdźców, i wznosił ręce ku zachmurzonemu niebu, z którego lały się strugi zmieszanej z lodem wody. Wyrecytował jakieś słowa o niezwykłym, magicznym brzmieniu i jego żołnierze unieśli nagle głowy, zerkając na czekających nieopodal przerażających Torunnan. Opuścił ich strach. Zaczęli krzyczeć, wyć i tłuc mieczami o napierśniki. Nad placem poniosł się brzęk metalu.

Torunnanie Corfe'a zwarli szyki i stali w bezruchu, zachowując ciszę. Ich pierwszy szereg tworzyła Straż Osobista, skupiona gęściej wokół króla. Dalej stał tysiąc opierających piki na ramionach Sierot, a z tyłu dwa tysiące torunnańskich arkebuźników, którym zostały już tylko szable.

Obok króla stał Golophin, jedyny człowiek na całym zatłoczonym placu, który nie miał zbroi ani broni. Corfe spojrział na niego.

– Który jest który?

– Aruan to ten łysy z orlim nosem. Bardolin ma złamany nos i wygląda jak żołnierz. To on, ten z prawej.

– A gdzie jest Himerius, jak sądzisz?

– On ma już prawie osiemdziesiąt lat. Wątpię, żeby stanął do boju.

Corfe uświadomił sobie, że Golophinowi również niewiele brakuje do tego wieku. Położył ukrytą w pancernej rękawicy dłoń na jego ramieniu.

– Może lepiej ty też przejdź na tyły, Golophinie.

Czarodziej potrząsnął głową, uśmiechając się niezbyt miło.

– Żadna broń mnie dziś nie zrani, panie. Zresztą wcale nie jestem bezbronny.

– W takim razie pomóż mi go zabić – zażądał Corfe, podnosząc głos, by przekrzyczeć hałas czyniony przez Himerian oraz szum deszczu.

Golophin skinął głową, ale się nie odezwał. Odwrócił się, by szerokie rondo kapelusza zasłoniło jego oczy.

W tej samej chwili himeriańscy żołnierze ruszyli do ataku, wrzeszcząc jak diabły. Uderzyli z szalonym impetem w pancerną linię Straży Osobistej i jak opętani zaczęli okładać Torunnan mieczami.

Linia żołnierzy Corfe’a cofnęła się nieco, ale nie pękła. Sieroty przesunęły się do przodu, podejmując walkę. Jedni Fimbrianie dźgali na oślepkami, inni zaś wyciągnęli krótkie miecze o szerokich klingach, wypełniając luki po poległych żołnierzach Straży Osobistej.

Dyscyplina Torunnan oparła się nawet karmionemu dweomerem szalowi Himerian. W gruncie rzeczy to właśnie ten szal mógł spowodować, że wielu nieprzyjaciół wystawiało się na ciosy, gdyż, śpiesząc się zabijać Torunnan, zapominali o obronie. Powalili wielu wysokich żołnierzy Corfe’a, atakując ich po trzech albo po czterech, ale Fimbrianie Olby wypełniali luki i linia wytrzymała.

Corfe wyczuł chwilę, gdy szala się przechyliła i nieprzyjaciel zaczął tracić inicjatywę, tak jak fala, która załamuje się na brzegu i musi zacząć się cofać.

– Zagraj sygnał wzywający do ataku! – rozkazał Astanowi.

Głośne i czyste dźwięki rogu przebiły się przez bitewny tumult. Gdy Torunnanie ruszyli naprzód, z ich gardeł wyrwał się ochrypy, zwierzęcy ryk. Czar prysnął i Himerianie zaczęli się cofać.

– Chodźcie ze mną – rozkazał Corfe. Pod jego chorągwią zebrała się grupa ludzi, którzy zaczęli przerąbywać sobie drogę przez szeregi nieprzyjaciela. Parli ku Aruanowi i Bardolinowi, stojącym na schodach biblioteki świętego Garaso i otoczonym tłumem żołnierzy. Corfe’owi towarzyszyli Baraz, Felorin, Golophin, Astan, Alarin oraz z górą dwudziestu innych. Trzymali się razem z siłą pancernej pięści, a gdy wrogowie ujrzeli blask w oczach Corfe’a, bledli i pierzchali.

Torunnanie wylali się na plac w ślad za swym królem. Odwrót nieprzyjaciela przerodził się w paniczną ucieczkę. Himerianie walczyli z Hebrionczykami i Astaranami, sterroryzowali małe królestwa oraz księstwa północy i odcisnęli swe piętno na dwóch trzecich znanego świata. Jednakże w starciu z doborowymi torunnańskimi żołnierzami i z ich królem-żołnierzem nie mieli najmniejszych szans. Nawet czary Aruana nie były w stanie tego zmienić.

Corfe i jego ludzie szli po zasłanym trupami placu, aż wreszcie znaleźli się w odległości kilku jardów od Aruana, Bardolina oraz ich ostatnich strażników, tłoczących się na schodach biblioteki. Aruan sprawiał wrażenie doszczętnie wyczerpanego, ale w jego oczach nadal gorzał śmiertciony blask. Zachował też wyprostowaną, arogancką postawę. U boku arcymaga stał Bardolin. Jego zbroję splamiła krew wrogów, a w dłoni ścisnął krótki pałasz. Robiło się coraz ciemniej. Chmury dymu przesłoniły niebo. Deszcz lał błyszczącymi strugami i po bruku spływała brudna od krwi woda. Nad placem zapadła cisza, choć ze wszystkich stron dobiegał ich zgiełk odległej walki, jakby Charibon jęczał w agonii.

Corfe wskazał na Aruana końcem Udzielającej Odpowiedzi.

– Nadszedł twój koniec.

O dziwo, arcymag ryknął śmiechem.

– Czyżby? Dziękuję za ostrzeżenie, mały królu, ale obawiam się, że wprowadzono cię w błąd.

Golophinie, bądź tak łaskaw i powiedz mu prawdę. Znasz ją dzięki swemu dalekowidzeniu.

Golophin zmarszczył brwi. Corfe odwrócił się gwałtownie ku niemu.

– Co on gada?

– Panie, Katedralnicy i Sieroty są pokonani. Otoczono ich na polu bitwy. Szykują się do ostatniego boju. Latające legiony tego stwora rozbiły ich szyki, a z zachodu nadciągają kolejni żołnierze, wielka armia. Bitwa jest przegrana.

Corfe ponownie spojrzął na Aruana i ku zdumieniu wszystkich uśmiechnął się.

– Niech i tak będzie. Oni wykonali swoje zadanie, a teraz ja muszę wykonać swoje.

Uniósł Udzielającą Odpowiedzi i pocałował jej ciemną klingę, a potem znowu ruszył naprzód.

Jego ludzie nie odstępili go na krok, a ci z nich, którzy byli cymbryckimi dzikusami, zaczęli śpiewać. Tym razem nie był to wojenny hymn, lecz żałobna pieśń intonowana przez myśliwych nad zabitą zwierzyną.

Aruan otworzył i zamknął usta. Potem zacisnął powieki. Jego ciało zamigotało i zaczęło się robić przezroczyste. Gdy już się wydawało, że zniknie bez śladu, nad głowami jego ludzi przemknął impuls niebieskiego blasku, który obalił arcymaga na ziemię. W mgnieniu oka znowu stał się w pełni materialny. Wspierał się na rękach i kolanach, dysząc ciężko.

Golophin opuścił dymiącą pięść.

– Nikt stąd nie ucieknie – oznajmił. – Nie dzisiaj.

* * *

Na schodach starożytnej charibońskiej biblioteki, budynku, gdzie ongiś Albrec znalazł dokument, który pozwolił na zjednoczenie wielkich religii świata, stoczono ostatnią, zażartą walkę. Himerianie bronili się z niewidzianą dotąd zaciekłością, ale Torunianie przerodzili się w straszliwe, mordercze maszyny. Ciała spadały ze schodów, gromadząc się w stosy u ich podstawy, ale Corfe z każdą chwilą zbliżał się do Aruana i Bardolina. Gdy ostatni z ich obrońców padli, drzwi biblioteki otworzyły się i wyłoniła się z nich kolejna fala wrzeszczących szaleńczo żołnierzy. Nie zdołali jednak zagłuszyć posępnego hymnu śmierci śpiewanego przez dzikusów. Ich również zepchnął do tyłu czarny płot poruszających się bez chwili przerwy żelaznych mieczy. W końcu walka przeniosła się do wysokich, mrocznych pomieszczeń samej biblioteki. Toczone ją w blasku lamp i pochodni, pośród wysokich regałów, stosów książek oraz popielatych kolumn. Ludzie rozproszyli się. Jedni próbowali uciekać, a inni chcieli ich dopaść. Corfe i jego towarzysze trzymali się jednak razem, podążając za błyskiem jasnej zbroi Aruana. Szli za nim przez cienie, aż wreszcie osaczyli go w towarzystwie zaledwie kilku obrońców. Jego oczy gorzały nienawiścią i czymś w rodzaju obłędu. Bił odeń nasilający się odór bestii.

Bardolin wystąpił z grupy i skrzyżował miecze z samym Corfe'em. Wydawało się jednak, że król Torunny urósł w półmroku starożytnego budynku, zamieniając się w jakiegoś ogromnego wojownika z legendy. Uderzeniem pancernej pięści odtrącił Bardolina na bok i szedł dalej naprzód, nie spuszczać spojrzeń z Aruana.

Wtem arcymag przerodził się w bestię, ujadającą i nieokiełznaną. Rzemienie zbroi pękły i pancerz odpadł od ciała. Stało się ono wielkim skupiskiem nieprzeniknionej ciemności, w którym błyszcząły żółte ślepia, a z ociekającej śliną paszczy sterczały długie kły. Wilk skoczył naprzód, przewracając wysoki regał zastawiony księgami. Ciężki drewniany mebel uderzył Corfe'a w lewy bok, zwalając go z nóg. Udzielająca Odpowiedzi wypadła mu z rąk, umykając po kamiennej posadzce. Aruan stanął nad przeciwnikiem, a potem pochylił się, by przegryźć mu gardło.

Ale w tej samej chwili skoczyli nań dwaj żołnierze, osłaniając szablami powalonego króla. Baraz i Felorin pośpieszyli mu na ratunek, z głośnym krzykiem atakując ogromnego zmiennego. Wilk odskoczył z nadnaturalną szybkością, zerwał ze ściany ciężką półkę i zatoczył nią szeroki łuk. Trafił Baraza w skroń, łamiąc mu kark. Potem znowu uniósł masywny przedmiot, ale Felorin pochylił się i uderzył szablą w górę. Chybił, a wilk cofnął się pośpiesznie, zasłaniając się półką jak tarczą. Nagle

Felorin otworzył usta. Broń wypadła mu z ręki i uderzyła z łoskotem o posadzkę. Spróbował się odwrócić, ale coś uderzyło go po raz drugi. Osunął się na kolana.

Bardolin wyszarpnął oręż i odsunął się od dzikusa, który zwałił się twarzą na podłogę. Zarys postaci maga był zamazany, jakby rzucał więcej niż jeden cień. I rzeczywiście, gdy zwrócił się w stronę króla, można było zauważyć, że drugi cień oddzielił się od niego i zniknął w mroku biblioteki. Bardolin ruszył naprzód, a wilk szedł za nim.

Corfe miał złamaną lewą rękę i żebra po tej samej stronie. Czuł w ustach smak krwi. Wstał z ochryplym westchnieniem bólu, a potem schylił się, by podnieść szablę. Trębacz i chorąży leżeli martwi za jego plecami. Nie wiedział, kto ich zabił. Choć w całej bibliotece słychać jeszcze było odgłosy walki, w tym miejscu został sam.

Bardolin zwrócił się ku niemu, podczas gdy wilk próbował zająć go z boku. Corfe chwiał się na nogach, ściskając w zdrowej ręce Udzielającą Odpowiedzi. Szabla wydawała mu się niewiarygodnie ciężka. Wsparł się na niej jak na lasce i spojrzał na człowieka, który był ongiś protegowanym, uczniem i przyjacielem Golophina. Tak jak mówił czarodziej, miał twarz żołnierza. Patrząc na niego, Corfe uświadomił sobie, że w innym czasie albo w innym świecie mogliby zostać przyjaciółmi. Uśmiechnął się. Inny świat czekał na niego. Był już blisko.

Bardolin skinął głową, jakby Corfe wypowiedział tę myśl na głos. W jego oczach było jednak coś dziwnego. Spoglądał za plecy przeciwnika...

Wilk rzucił się do ataku. Corfe, ostrzeżony ruchem oczu Bardolina, odwrócił się błyskawicznie, zapominając o bólu. Udzielająca Odpowiedzi podskoczyła w jego dłoni, lekko jak ptak. Gdy ogromna bestia uderzyła łapami, pchnął ją szablą, czując, że sztych wbija się na pół piędzi, nie więcej. Pazury zdrapały mu skórę z twarzy, a potem opadły. Rozległ się przenikliwy ryk, przypominający głos zwierzęcia schwytanego we wnyki. Wilk zwałił się na posadzkę sztywno jak ścięte drzewo. Nim jeszcze jej dotknął, przestał być zwierzęciem. Przeobraził się w nagiego starca. Z rany nad sercem Aruana płynęła strużka krwi. Arcymag uniósł głowę, a jego oczy płonęły nienawiścią. Starzał się na oczach Corfe'a, jego twarz pokrywały bruzdy i zmarszczki, mięśnie topniały, a skóra ciemniała, jak wygarbowana. Po chwili zostały z niego tylko nagie, połączone ścięgnami kości, a spojrzenie zniknęło w pustych oczodołach czaszki.

Corfe zachwiał się. Skóra pod jego oczyma zwisała w strzępach. Krew spływała czarnym strumieniem po napierśniku. Bardolin podszedł bliżej, unosząc pałasz. Jego twarz nie zmieniła wyrazu, nadal była maską łagodnego żalu.

Corfe zdołał sparować pierwszy atak. Za drugim razem pałasz uderzył w jego napierśnik, odrzucając go do tyłu. Oparł się o ustawione pod kątem biurko skryby i odbił trzeci atak.

– Nie!

Nagle rozbłysło oślepiające światło. Golophin wszedł między walczących. Magiczny ogień buchał mu z oczu i gorzał wokół pięści. Mag dyszał ciężko i nawet jego oddech zdawał się jaśnieć fosforyzującym blaskiem. Bardolin cofnął się, choć w jego oczach nie było strachu.

– Odsuń się, Golophinie – zażądał spokojnie.

– Nie godziliśmy się na to!

– Nie szkodzi. To konieczne. On musi zginąć, bo inaczej wszystko pójdzie na marne.

– Nie pozwolę ci tego zrobić, Bardolinie.

– Nie próbuj mnie powstrzymywać. Nie w tej chwili, gdy jesteśmy tak blisko. Aruan nie żyje, tak jak się umawialiśmy. Ale on również musi zginąć.

– Nie – oznajmił stanowczo Golophin, a blask w jego oczach rozjarzył się jaśniej.

Po policzkach Bardolina spływały łzy.

– Niech i tak będzie, mistrzu.

Opuścił pałasz i z jego ciała popłynęło światło nie ustępujące jasnością blaskowi Golophina.

Corfe osłonił oczy. Miał wrażenie, że pośród roztańczonej burzy gorejącego blasku dostrzega ataki i kontrataki. Księgi zajmowały się ogniem i obracały w popiół, a posadzka poczerniała, on jednak nie czuł ciepła. Kamienna powierzchnia drżała pod nim.

Światło zgasło. Corfe zamrugał, by uwolnić się od oślepiających powidoków. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że dyszący ciężko Golophin stoi nad leżącym na posadzce, ale przytomnym Bardolinem.

– Przykro mi, Bard – rzekł i uniósł pięść. Kula błękitnego magicznego ognia gorzała w niej niczym strzała na napiętej cięciwie.

Nagle jednak z mroku zniszczonej biblioteki wychynął cień. Zbliżając się, nabierał wyrazistych kształtów, aż wreszcie Corfe’owi wydało się, że widzi młodą dziewczynę o gęstych włosach barwy brązu. Krzyknął, by ostrzec Golophina, ale z jego gardła wyrwał się tylko ochryply charkot. Cień dziewczyny skoczył na plecy starego czarodzieja. Golophin odchylił głowę, krzycząc przenikliwie. Dziewczyna wniknęła w ciało czarodzieja i jego magiczny ogień pochłonęła ciemność sięgająca ku sercu. Przez chwilę był wijącą się, groteskową kolumną o wirujących w szaleńczym tańcu kończynach i twarzach. Światło rozbłysło oślepiająco po raz ostatni i to, co przed chwilą było kolumną, padło na posadzkę jak udręczona szmaciana lalka.

* * *

Ciszę mącił jedynie chrapliwy oddech Corfe’a. W powietrzu unosił się odór wilka, a także inny, przypominający starą woń spalenizny. Corfe sięgnął po szablę i poczołgał się ku ciału Golophina, podpierając się jedną ręką. Nie znalazł jednak nic poza pustą szatą. Wyglądało na to, że walki w bibliotece już się skończyły. Choć słyszał gdzieś daleko między regałami ludzkie głosy, wokół niego były tylko trupy.

Czołgał się dalej, aż wreszcie dotarł do leżącego w mroku ciała Bardolina. Zatrzymał się przy nim, doszczętnie wyczerpany. Dokonało się. Było po wszystkim.

Bardolin jednak poruszył się niespodziewanie. Uniósł głowę i Corfe zobaczył, że oczy maga błyszczą w ciemności, choć reszta jego ciała jest nieruchoma.

– Co z Golophinem?

– Nie żyje.

Bardolin opuścił głowę i Corfe usłyszał jego płacz. Kierowany jakimś uczuciem, którego nie potrafił wyjaśnić, wypuścił z dłoni Udzielającą Odpowiedzi i ujął czarodzieja za rękę.

– W końcu okazało się, że nie mógł tego zrobić – wyszeptał Bardolin. – Nie potrafił cię zdradzić.

Corfe milczał. Mag zacisnął mu palce na dłoni.

– Powinien być lepszy sposób – wyszeptał. – Musi być lepszy sposób. To niemożliwe, żeby zawsze miało być tak.

Odwrócił głowę. Corfe odnosił wrażenie, że czuje, jak umyka z niego życie. Robiło się jaśniej. Mrok za wysokimi oknami biblioteki zaczynał się rozpraszać. Corfe uniósł wzrok i zobaczył skrawek błękitu prześwitujący zza chmur. Było słychać głosy zbliżających się ludzi, sądząc z wymowy, Torunnan.

– Tym razem będzie inaczej – zapewnił Bardolina. Ale czarodziej już nie żył.

* * *

Niedobitki torunnańskiej armii ustawiły się w wielki krąg na spowitym kłębami dymu polu bitwy. Otaczało je morze wrogów. W oddali było widać płonący Charibon. Dym jego pożarów przesłaniał słońce. Wokół walczących narosły monstrualne sterty trupów. Nieprzebrane pułki Himerian

atakowały z bezlitosną zaciętością, wspinając się na ciała poległych. Krąg Torunnan kurczył się z każdą chwilą, gdy ze wszystkich stron napierały na nich tysiące wrogów. Otoczeni żołnierze zapomnieli o nadziei i postanowili drogo sprzedać życie. Dyscyplina nie załamała się, pomimo topniejącej liczby. Przynajmniej ich koniec będzie godny pieśni.

Zza horyzontu na zachodzie wyłoniła się kolejna armia. Torunnie obserwowali jej marsz z czarną rozpaczą, podczas gdy Himerian ten widok skłonił do wybuchu jeszcze gwałtowniejszej przemocy. Ci z żołnierzy, którzy byli obdarzeni najlepszym wzrokiem, przerywali jednak walkę i nagle pośród pułków i *tercios* na polu bitwy rozeszła się wieść niosąca ze sobą dziwną nadzieję.

Nadchodząca armia rozpostarła się w szyk bojowy z gładką precyzją maszyny. Wszyscy na zachodnim krańcu pola bitwy widzieli już, że jej żołnierze są odziani na czarno, a na ramionach niosą piki. W miarę, jak się zbliżali, szturm Himerian tracił na sile. Wieść niosła się coraz szerzej. Wkrótce wszyscy powtarzali ją sobie krzykiem. Zdumieni Torunnie unieśli głowy.

Tak oto fimbriańska armia przysła z odsieczą swym dawnym wrogom, Torunnam. Żołnierze Drugiego Imperium spojrzeli tylko na tego czarnego lewiatana i rzucili się do ucieczki.

EPILOG

Najwyższe turnie Gór Jafrarskich pokrywał wieczny śnieg, ale u ich podstawy letni wieczór był pogodny i ciepły. Nadchodził już zmierzch i na czystym niebie płonęły jasno pierwsze gwiazdy.

Dwóch starszków grzało dłonie przy ognisku, a ich wierzchowce zanurzyły nosy w świeżej trawie. Jeden był zwyczajnym mułem, a drugi siwym wałachem o delikatnych kończynach. Merducy od wielu pokoleń hodowali takie konie na wschodnich stepach. Obaj mężczyźni obserwowali bez słowa trzeciego jeźdźca, który zmierzał w ich stronę przez opustoszałe wzgórza. Był odziany w czarny płaszcz, a na głowie nosił srebrny diadem. U jego boku wisiała szabla o szlachetnym rodowodzie, ale twarz naznaczyły mu blizny wyglądające na ślady pazurów jakiejś bestii. Zatrzymał się na granicy blasku i zsiadł z konia. Gdy ruszył ku nim, zauważyli, że utyka na jedną nogę.

– Zobaczyłem wasze ognisko i pomyślałem sobie, że mógłbym się do was przyłączyć – oznajmił. Otulił się płaszczem i usiadł przy targanych wiatrem płomieniach.

– Jesteś znużony – zauważył jeden ze starszków, mężczyzna o łagodnym spojrzeniu, który miał siwą brodę i mnisią tonsurę na głowie.

– Pokonałem długą drogę.

– W takim razie zostań z nami. Znajdziesz tu spokój – zapewnił drugi, siwowłosy starzec o twarzy Merduka.

– Z chęcią.

Trzej mężczyźni siedzieli spokojnie przy ognisku, aż zapadła noc i góry przerodziły się w czarne cienie, rysujące się na tle gwiazd. Wreszcie człowiek z blizną poruszył się, pocierając nogę.

– Mało brakowało, żebym zgubił drogę, tam na dole. Mało brakowało, żebym wkroczył na niewłaściwą ścieżkę.

– Ale tego nie zrobiłeś – odparł z uśmiechem tonsurowany starszek. W jego oczach malowało się bezbrzeżne współczucie. – Teraz wszystko być może wreszcie będzie dobrze. A ty możesz odpocząć.

Człowiek z twarzą naznaczoną bliznami skinął z westchnieniem głową. Coś jednak wyraźnie nadal go kłopotowało.

– Kim jesteś, panie? – zapytał cicho.

– Ludzie zwali mnie Ramusiem, gdy żyłem między nimi. A mojego przyjaciela zwali shahrem Barazem. Możesz z nami zostać, jeśli chcesz.

– Z przyjemnością – zgodził się przybysz. Oklapł, jakby z jego barków zdjęto ostatnie brzemię.

– A jak mamy zwać ciebie? – zapytał łagodnym tonem shahr Baraz.

Mężczyzna uniósł głowę. Wydało im się, że widzą teraz znacznie młodszą twarz. Blizny zniknęły.

– Nazywam się Corfe. Byłem kiedyś królem.

Obaj towarzysze pokiwali głowami, jakby usłyszeli coś, o czym już wiedzieli. Potem wszyscy trzej umilkli, wpatrując się w ogień, podczas gdy nad ich głowami skrzyła się ogromna kopuła nocnego nieba, a pod stopami mroczne serce Ziemi wirowało w swej bezkresnej wędrówce pośród gwiazd.